

Unik

Kellerman Jonathan



calibre 0.9.43

Specjalne podziękowania dla emerytowanego kapitana Daidabell a z biura koronera Los Angeles.

1

Omal nie zabiła niewinnego człowieka.

Creighton Charley Bondurant jechał ostrożnie, ponieważ od tego zależało jego życie. Przez Latigo Canyon ciągnęły się kilometry wąskiej, krętej drogi. Charley nie przepadał za urzędasami, ale ustawienie znaków z ograniczeniem prędkości do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę nie było głupie.

Mieszkał piętnaście kilometrów w górę od Kanan Durne Road, na półtorahektarowym kawałku rancza, które należało do jego dziadka za czasów Coolidge'a. Dziadek trzymał konie i muły, bo lubił ich upór. Charley dorastał wśród rozsądnych, rzeczowych ranczerów i nielicznych bogaczy, którzy też byli w porządku. Pojawiali się na jazdę konną w weekendy. Teraz przyjeżdżali tylko bogaci pozerzy.

Cierpiący na cukrzycę, reumatyzm i depresję Charley mieszkał w dwupokojowym domku z widokiem na porośnięte dębami wzgórze, a dalej ocean. Miał sześćdziesiąt osiem lat, nigdy się nie ożenił. Nędzna imitacja mężczyzny - tak nazywał sam siebie nocami, kiedy leki mieszały się z piwem i ogarniało go przygnębienie.

W pogodniejsze dni udawał starego kowboja.

Tego ranka był między tymi skrajnościami. Sztywne paluchy stóp bolały go jak diabli. Dwa konie padły zeszłej zimy. Zostały mu tylko trzy chude, białe kłaczki i na pół ślepy owczarek. Na karmę i siano wydawał większość emerytury. Ale noce były ciepłe, jak na październik, nie miał złych snów, a gnaty mu nie dokuczały.

To przez siano wstał o siódmej, wyczołgał się z łóżka, wypił kawę i zjadł czerstwą drożdżówkę - do diabła z poziomem cukru we krwi. Potem krótka przerwa, żeby uruchomić wewnętrzną kanalizację, i o ósmej, już ubrany, odpalał pikapa.

Na luzie stoczył się piaszczystą drogą do Latigo, obejrzał na lewo i prawo, przetarł oczy, wrzucił jedynkę i pojechał. Paśnik Topanga znajdował się dwadzieścia minut drogi na południe; Charley postanowił wpaść po drodze do Malibu Stop & Shop po kilka sześciopaków, puszkę tytoniu

i trochę chipsów.

Był ładny poranek - tylko kilka obłoków dryfowało na wschodzie po błękitnym niebie, od Pacyfiku wiał słodko pachnący wiatr. Charley włączył radio i słuchając Raya Price'a, skierował się na południe, powoli, uważając na jelenie. Przed zmrokiem te szkodniki rzadko wyłaziły, ale w górach nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać.

Naga dziewczyna wyskoczyła mu pod koła o wiele szybciej niż jeleni.

Oczy miała pełne grozy, usta rozwarte tak szeroko, że Charley przysięgał, że widział jej migdałki.

Wbiegła na drogę, wprost pod jego pikapa, z rozwianym włosom, wymachując rękami.

Charley wcisnął hamulec. Samochodem zarzuciło. Potem ostro zniosło go na lewo, prosto na poobijaną barierkę, oddzielającą drogę od trzystumetrowej nicości.

Runął w stronę błękitnego nieba.

Cały czas wciskał hamulec. Leciał dalej. Zmówił modlitwę, otworzył drzwi i przyszykował się do skoku.

Przeklęta koszula zaczepiła się o klamkę. Wieczność stała się nagle bardzo bliska. Co za głupia śmierć!

Rozdzierając materiał, wyrzucając z siebie przekleństwa i błagania, Charley napiął całe swoje sęcate ciało i obolałą stopą wcisnął hamulec do samej podłogi.

Ciężarówka sunęła dalej, zarzucała tyłem, sypała żwirem.

Zadygotała. Potoczyła się jeszcze kawałek. Stuknęła w barierkę.

Charley usłyszał zgrzyt metalu.

Samochód stanął.

Charley wysiadł. Piers miał ściśniętą, nie mógł wciągnąć powietrza do płuc. To by dopiero było: uratowany przed upadkiem w zapomnienie, wykitował na głupi zawal.

Zakrztusił się i wessał powietrze. Pociemniało mu przed oczami, więc oparł się o ciężarówkę. Nadwozie zaskrzypiało; odskoczył, czując, że znów się zsuwa.

Ciszę poranka przeszył wrzask. Charley otworzył oczy, wyprostował się i zobaczył dziewczynę. Wokół nadgarstków i kostek miała czerwone ślady. Na szyi sińce.

Piękne młode ciało; solidne balony podskakiwały, kiedy biegła w jego stronę - to grzech tak myśleć, była przerażona, ale skoro miała takie balony, to na co niby miał zwrócić uwagę?

Gnała, szeroko rozkładając ramiona, jakby chciała, żeby Charley ją objął.

Ale wrzeszczała, miała przerażone oczy, więc nie był pewien, co powinien zrobić.

Pierwszy raz od dawna był tak blisko nagiej kobiety.

Ale nie było w tym nic podniecającego. Miał przed sobą dziecko - mogłaby być jego córką. Wnuczką.

I te ślady na nadgarstkach, kostkach, szyi.

Znów zaczęła krzyczeć.

- Obożeobozoboz!

Była już tuż obok niego, złote włosy chłostały jego twarz. Czuł zapach jej strachu. Zobaczył gęsią skórkę na ładnych, opalonych ramionach.

- Pomocy!

Biedaczka dygotała. Charley ją objął.

2

Człowiek trafia do L.A., kiedy nie ma już co ze sobą zrobić. Dawno temu pojechałem na zachód z Missouri jako zdesperowany szesnastoletni abiturient, z częściowym stypendium na uniwerku.

Jedyny syn alkoholika i cierpiącej na depresję matki. Nic mnie nie trzymało na równinach.

Żyjąc jak nędzarz, ucząc się, pracując i dorabiając graniem na gitarze w kapelach weselnych, udało mi się zdobyć wykształcenie. Zarobiłem trochę jako psycholog, o wiele więcej na trafionych inwestycjach. Kupiłem sobie dom na wzgórzach.

Moje związki to zupełnie inna historia, ale tak by było niezależnie od tego, gdzie bym mieszkał.

Kiedy pracowałem jeszcze z dziećmi, codziennie wysłuchiwałem opowieści rodziców. Dowiedziałem się, jak wygląda życie rodzinne w okolicach L.A. Pakowanie się i przeprowadzki co rok lub dwa lata, kierowanie się impulsami, śmierć domowego rytuału.

Wielu moich pacjentów mieszkało na spieczonych słońcem pustkowiach, bez towarzystwa innych dzieci; całymi godzinami przewożono ich w tę i z powrotem do beżowych zagród, które nazywano szkołami. Długie, elektroniczne noce rozjaśniane były katodami i nagłaśniane agresywną muzyką. Okna sypialni wychodziły na falujące w upale kilometry sąsiedztwa, które wcale nie zasługiwało na tę nazwę.

W L.A. jest wielu wymyślonych przyjaciół. Moim zdaniem to nieuniknione. Mieszkamy w mieście przemysłowym, które produkuje fantastykę.

Miasto niszczy trawę czerwonymi dywanami, czci sławę dla niej samej, radośnie dewastuje wszystko, bo toczy się tu ciągła „przebudowa”. Przyjdź do swojej ulubionej restauracji, a najprawdopodobniej zastaniesz szyld krzyczący o porażce i okna zaklejone szarym papierem. Zadzwoń do przyjaciela, a usłyszysz, że nie ma takiego numeru.

„Nie przekierowujemy”. To chyba tutejsze motto.

W L.A. możesz zniknąć na bardzo długo, zanim ktokolwiek uzna to za problem.

*

Kiedy Michaela Brand i Dylan Meserve zniknęli, nikt tego nie zauważył.

Matka Michaeli, dawniej kasjerka na stacji benzynowej, teraz mieszkała z butlą tlenową w Phoenix. Ojciec nieznany - być może jeden z kierowców, których Maureen Brand zabawiała latami. Michaela wyjechała z Arizony, żeby uciec przed upałem, poszarzałymi krzakami, nieruchomym powietrzem i ludźmi pozbawionymi marzeń.

Rzadko dzwoniła do matki. Syk butli Maureen, zwiędłe ciało, ostry kaszel i spojrzenie chorej na odmě doprowadzały ją do szału. W sercu Michaeli z L.A. nie było na to miejsca.

Matka Dylana Meserve'a zmarła dawno temu na niezdiagnozowaną, zwyrodnieniową chorobę neuromięśniową. Jego ojcem był saksofonista altowy z Brooklynu, który po pierwsze, w ogóle nigdy bachora nie chciał, a po drugie, zmarł pięć lat temu po przedawkowaniu.

Michaela i Dylan byli piękni, młodzi i szczupli, i przyjechali do L.A. z oczywistych powodów.

W dzień on sprzedawał buty w sklepie w Brentwood. Ona była kelnerką w pseudotrattorii w Beverly Hills.

Poznali się w Domu Gry, gdzie pobierali lekcje dramy od Nory Dowd.

Widziano ich ostatni raz w poniedziałek wieczorem, tuż po dwudziestej drugiej, kiedy razem wychodzili z zajęć. Mordowali się na nich ze sceną z *Simpatico*. Żadne z nich nie osiągnęło tego, o co chodziło Samowi Shepardowi, ale w sztuce było dużo niezłych ról - i sporo wrzasku... Nora Dowd polecała im, żeby „włali” samych siebie w tę scenę, „poczuli” smród końskiego nawozu, otworzyli się na cierpienie i beznadzieję.

Oboje uważali, że im się to udało. Vinnie Dylana był doskonale szalony i niebezpieczny, a Michaela dobrze wykreowała Rosie - tajemniczą kobietę z klasą.

Nora Dowd wydawała się zadowolona z pracy podopiecznych, zwłaszcza z występu Dylana.

To Michaelę trochę zraniło, ale trudno.

Nora wyskoczyła z jedną ze swoich gadek o prawej i lewej półkuli mózgu. Mówiła bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

Salon Domu Gry był urządzonej jak sala teatralna. Wykorzystywano go jedynie podczas zajęć - dość częstych, bo studentów nie brakowało. Jedną z podopiecznych Nory, dawną tancerkę egzotyczną April Lange, dostała rolę w sitcomie. Jej zdjęcie z autografem wisiało w przedpokoju, zanim ktoś je zabrał. Jasnowłosa, bystrooka, trochę drapieżna. Michaela myślała często: czemu właśnie April?

A z drugiej strony, może to był dobry znak. Skoro przytrafiło się to April, mogło się przytrafić każdemu.

Dylan i Michaela mieszkali w kawalerkach, on przy Overland w Culver City, ona przy Holt Avenue, na południe od Pico. Oba mieszkania były ciasne, ciemne, położone na parterze. Właściwie nory. W L.A. czynsz miażdżył człowieka. Jedną wypłatą często ledwie starcza na zaspokojenie podstawowych potrzeb. Czasem więc ciężko nie popaść w depresję.

Kiedy nie pojawili się w pracy dwa dni z rzędu, zostali zaocznie zwolnieni.

I tyle.

3

Dowiedziałem się o tej sprawie tak jak wszyscy: trzeci news w wieczornych wiadomościach, tuż po procesie gwiazdora hip-hopu oskarżonego o pobicie i powodziach w Indonezji.

Jadłem samotnie kolację i słuchałem jednym uchem. Zwróciłem na to uwagę, bo ciekawią mnie lokalne sprawy kryminalne.

Dwoje ludzi uprowadzonych pod bronią, znalezionych nagich i odwodnionych na wzgórzach Malibu. Poskakałem po kanałach, ale w żadnych innych wiadomościach nie podali szczegółów.

Następnego ranka trochę więcej było w „Timesie”: dwoje studentów aktorstwa wyszło z wieczornych zajęć w West L.A. i pojechało na wschód samochodem młodej kobiety do jej mieszkania w dzielnicy Pico-Robertson. Kiedy stali na czerwonym świetle na skrzyżowaniu Sherbourne i Pico, zostali porwani przez zamaskowanego mężczyznę z bronią, który wepchnął ich oboje do bagażnika i poprowadził sam, jadąc przez blisko godzinę.

Kiedy samochód się zatrzymał, a bagażnik otworzył, porwani znaleźli się w zupełnej ciemności, gdzieś „za miastem”. Miejsce to później zidentyfikowano jako Latigo Canyon na wzgórzach Malibu.

Porywacz zmusił ich, żeby zeszli po stromej pochyłości. W dole kobieta związała mężczyznę, cały czas pod bronią, a potem sama została związana. Sugerowano gwałt, ale nie powiedziano nic konkretnego. Opis napastnika: „biały, średniego wzrostu, przysadzisty, w wieku między trzydzieści a

czterdzieści lat, z południowym akcentem”.

Malibu było terenem hrabstwa i podlegało jurysdykcji szeryfa. Przepięknie położony osiemdziesiąt kilometrów od głównej siedziby biura szeryfa, ale tak poważnymi sprawami zajmowali się detektywi i wszyscy, którzy mieli jakieś informacje, proszono o telefon do śródmieścia.

Kilka lat wcześniej, kiedy Robin i ja odbudowywaliśmy dom na wzgórzach, wynajęliśmy drugi na plaży w zachodnim Malibu. Oboje wędrowaliśmy po krętych kanionach i cichych parowach po lądowej stronie Pacific Coast Highway, spacerowaliśmy po dębowych wzgórzach, wznoszących się nad oceanem.

Z Latigo Canyon zapamiętałem kręte drogi, węże i jastrzębie. Chociaż wydostanie się z cywilizacji chwilę trwało, wysiłek się opłacał: nagrodą była cudowna, ciepła pustka.

Gdybym chciał dowiedzieć się więcej o porwaniu, zadzwoniłbym do Mila. Byłem zajęty trzema sprawami o ustalenie opieki nad dzieckiem, dwie dotyczyły rodziców z branży filmowej, w trzeciej zaś brali udział przerażająco ambitni chirurdzy plastyczni z Brentwood, których małżeństwo legło w gruzach, kiedy ich infomercial kosmetyków okazał się finansową klapą. Mimo wszystko znaleźli czas, żeby zrobić sobie ośmioletnią teraz córkę, którą najwyraźniej postanowili emocjonalnie zniszczyć.

Ciche, pucołowate dziecko, z dużymi oczami, lekko się jękające. Ostatnio nabrała skłonności do długich okresów milczenia.

Oceny rodzin to najpaskudniejsza strona psychologii dziecięcej i od czasu do czasu nachodzi mnie myśl, żeby to rzucić. Nigdy nie wyliczyłem sobie, w jakim procencie odnoszą sukces, ale te sprawy, które mi wychodzą, są dla mnie bodźcem do dalszych działań, zupełnie jak wygrane w automacie na monety.

Odłożyłem gazetę zadowolony, że porwanie studentów to nie mój problem. Ale kiedy brałem prysznic i ubierałem się, wciąż wyobrażałem sobie scenerię miejsca przestępstwa. Wspaniałe, złociste zbocza, zapierająca dech w piersiach błękitna nieskończoność oceanu.

Doszedłem już do stanu, kiedy nie umiem patrzeć na piękno i nie dostrzegać jednocześnie jego przeciwieństwa.

Domyślałem się, że sprawa będzie niełatwa, a jedyną nadzieję na sukces pewnie da wyłącznie ślad zostawiony przez przestępcę: charakterystyczny odcisk opony, włókno rzadkiej tkaniny albo materiał biologiczny. To o wiele mniej prawdopodobne, niż można by wnioskować z telewizji. Najpowszechniejszym śladem znajdowanym na miejscach przestępstwa jest odcisk dłoni, a policja dopiero zaczęła je katalogować. Próbkę DNA potrafią być niezwykle pomocne w śledztwie, ale zaległości są tam straszliwe, a bazy danych zupełnie nieintuicyjne.

Jakby tego było mało, przestępcy się wycwanili i zaczęli używać prezerwatyw, a w tej dziedzinie konkretny wyglądał mi na ostrożnego planistę.

Gliniarze oglądają tę samą telewizję, którą wszyscy inni, i czasami czegoś się z niej uczą. Ale Milo i jemu podobni mają takie powiedzenie: To nie ślady rozwiązują sprawy, tylko detektywi.

Milo byłby szczęśliwy, że ta sprawa trafiła się komuś innemu.

Ale trafiła się jemu.

*

Kiedy porwanie zamieniło swój charakter, media zaczęły podawać nazwiska.

Michaela Brand, lat dwadzieścia trzy. Dylan Meserve, lat dwadzieścia cztery.

Zdjęcia z policyjnych archiwów nie dodają urody, ale nawet z numerami przy szyjach i spojrzeniem osaczonego zwierzęcia oboje wyglądali jak żywcem wyjęci z opery mydlanej.

Przedstawili odcinek reality show, który niespodziewanie źle się dla nich skończył.

Plan wyszedł na jaw, kiedy sprzedawca w sklepie przemysłowym Krentza w West Hollywood przeczytał o porwaniu w „Timesie” i przypomniał sobie dwójkę młodych ludzi, płacących gotówką za zwój żółtej, nylonowej liny trzy dni przed rzekomym zajściem.

Nagranie z kamery wideo potwierdziło tożsamość, a analiza liny wykazała stuprocentową zgodność z pętami znalezionymi na miejscu przestępstwa oraz otarciami na ciałach Michaeli i Dylana.

Śledczy szeryfa poszli tym tropem i zlokalizowali sklep turystyczny Wilderness Outfitters w Santa Monica, gdzie dwójka rzekomo porwanych kupiła latarkę, wodę w butelkach i zupki w proszku. Całodobowy sklep spożywczy niedaleko Century City potwierdził, że niecałą godzinę przed zgłoszonym czasem porwania kartą kredytową Michaeli Brand zapłacono za tuzin snickersow, dwie paczki suszonej wołowiny i szesciopak millera lite’a. Opakowania i puste puszki znaleziono niecały kilometr od wzgórza, na którym dwójka upozorowała swoje uwięzienie.

Ostatecznym ciosem był raport lekarza z izby przyjęć szpitala św. Jana: Meserve i Brand twierdzili, że nie jedli przez dwa dni, ale elektrolity mieli w normie. Co więcej, żadna z ofiar nie nosiła śladów poważniejszych zranień, poza otarciami od sznura i „lekkim” otarciem pochwy Michaeli, które mogło być wynikiem „samogwałtu”.

Skonfrontowani z tymi dowodami oboje się złamali, przyznali do upozorowania porwania i zostali oskarżeni o utrudnianie pracy policji oraz składanie fałszywych zeznań. Oboje powołali się na swoje ubóstwo i przyznano im obrońców z urzędu.

Obrońcą Michaeli został Lauritz Montez. Poznaliśmy się prawie dziesięć lat wcześniej przy okazji wyjątkowo parszywej sprawy: zamordowania dwuletniej dziewczynki przez dwóch nieletnich chłopców - jeden z nich był klientem Monteza. Sprawa ta wróciła znów w zeszłym roku, kiedy morderca, już jako młody mężczyzna, zadzwonił do mnie kilka dni po wyjściu z więzienia, a zaraz potem został znaleziony martwy.

Lauritz Montez nie lubił mnie od samego początku, a to, że odgrzebywałem przeszłość, tylko pogarszało sprawę. Dlatego byłem zaskoczony, kiedy zadzwonił i poprosił, żebym sporządził ocenę psychologiczną Michaeli Brand.

- Dlaczego miałbym żartować, doktorze?
- Cóż, nie przepadaliśmy za sobą.

- - Nie zapraszam przecież na piwo - odparł. - Bystry z pana facet, a ja chcę, żeby dziewczyna miała porządną ocenę.
- - Jest oskarżona o wykroczenie - powiedziałem.

- -Tak, ale szeryf się wkurzył i naciska prokuraturę, żeby zażądała kary więzienia. A to tylko zakręcona dziewczyna, która popełniła głupstwo. I bez tego czuje się wystarczająco podle.
- - Chce pan, żebym uznał ją za chwilowo niepo czytelną. Montez się zaśmiał.
- - Chwilowa szajba... to byłoby świetne, ale wiem, jaki pan jest upierdliwy, kiedy chodzi o fakty. Dlatego niech pan powie tak, jak było: namieszało się dziewczynie w głowie, miała chwilę słabości, dała się ponieść. Na pewno jest na to jakaś nazwa.

- Prawda - powiedziałem. Znow się zaśmiał.
- Podejmie się pan?

- Córka chirurgów plastycznych zaczęła mówić, ale oboje rodzice zadzwonili do mnie rano i poinformowali, że sprawa została zakończona i moje usługi nie są im już potrzebne.

- Jasne - odparłem.
- Poważnie?
- Dlaczego nie?
- Z Duchayem nie poszło tak gładko.
- A mogło?

-

- Fakt. Dobrze, każę jej zadzwonić i się umówić. Zrobię, co w mojej mocy, żeby załatwić

panu zwrot kosztów. W granicach rozsądku.

- Rozsądku nigdy za wiele.
- A najczęściej za mało.

4

• Michaela Brand przyszła do mnie cztery dni później. Pracuję w domu nad Beverly Glen. W połowie listopada całe miasto jest ładne, a Glen najładniejsze. Uśmiechnęła się.- Dzień dobry, doktorze Delaware. Superchata, moje imię wymawia się Mik-aj-la. Jej uśmiech był ciężką artylerią w bitwie o bycie zauważanym. Zaprowadziłem ją przez wysoki, biały, pusty salon do mojego gabinetu w głębi domu.

- Była wysoka, miała wąskie biodra i obfity biust. Chodziła mocno rozkołysanym krokiem. Jeśli jej piersi nie były prawdziwe, ich naturalność mogła być reklamą prawdziwego mistrza skalpela. Twarz miała owalną i gładką, z szeroko rozstawionymi niebieskimi oczami, dzięki którym bez wysiłku zdołałaby doskonale udawać fascynację. Głowa wspierała się na długiej, gładkiej łodydze szyi. Nieduże sińce po obu jej stronach zatuszowała makijażem. Reszta skóry dziewczyny była jak brązowy aksamit rozciągnięty na delikatnym, proporcjonalnym szkielecie. Solarium albo spray do opalania. Małe, ciemne piegi na nosie zdradzały jej prawdziwą cerę. Wydatne usta podkreślał jeszcze błyszczący. Kaskada włosów koloru miodu spływała jej za łopatki. Stylista z pewnością poświęcił dużo czasu, żeby stworzyć pozorny bezład tej fryzury. Pół tuzina odcieni blond małpowało naturę. Czarne dżinsy rurki miały talię tak nisko, że ich noszenie prawie wymagało depilacji włosów łonowych. Czarna dżersejowa bluzka bez rękawów, z wyszytym cekinami napisem P_{ORN} S_{TAR} - gwiazda porno - kończyła się trzy centymetry nad krzywym uśmiechem pępka. Taka sama, nieskazitelnie złota skóra opinała twarde jak bęben brzuch. Paznokcie dziewczyny były długie, z francuskim manikiurem, sztuczne rzęsy doskonałe. Wyskubane brwi potęgowały wrażenie nieustającego zdziwienia. Dużo czasu i pieniędzy poświęcono na udoskonalenie tego, co dał szczęśliwy zestaw genów. Michaela przekonała sąd, że jest biedna. Okazało się, że rzeczywiście była, miała pustą kartę kredytową i dwieście dolarów na koncie.- Uprosiłam właściciela mieszkania, żeby dał mi jeszcze miesiąc - powiedziała. - Ale jeśli tego nie wyjaśnię i nie znajdę nowej pracy, wyrzuci mnie. W niebieskozielonych oczach wezbrały łzy. Potrząsnęła głową; jej włosy wzburzyły się i ułożyły na nowo. Mimo długich nóg udało się jej zwinąć w kłębek na dużym, skórzanym fotelu pacjenta i wyglądała, jakby się skurczyła.

- Co dla pani znaczy wyjaśnienie tego? - spytałem.
- Słucham?
- Wyjaśnienie tego.
- No, wie pan... Muszę się wypłatać z tego... tego bałaganu. Pokiwałem głową, a ona przekrzywiła swoją jak szczeniak.
- Lauritz mówił, że pan jest najlepszy.

- Była ze swoim prawnikiem po imieniu. Zacząłem się zastanawiać, czy Montezem kierowała tylko zawodowa odpowiedzialność.
- Daj spokój, podejrzliwy typie, upomniałem się w myślach. Skup się na pacjentce. Pacjentka nachylała się i uśmiechała nieśmiało. Piersi bez stanika wypychały czarną bluzkę.
- Co pan Montez powiedział pani o tej ocenie? - spytałem.
- Że powinnam się otworzyć emocjonalnie.
- Podrapała się w kąciuku oka. Opuściła dłoń i przeciągnęła palcem po kolanie w czarnym dzinsie.
- Jak to się otworzyć?
- No, wie pan, nic nie ukrywać, po prostu być sobą. Jestem... Czekałem.
- Cieszę się, że to pan. Wydaje się pan miły. Podwinęła jedną nogę pod siebie.
- Niech mi pani powie, jak do tego doszło, Michaelo.
- Jak do czego doszło?
- Do udawanego porwania. Wzdrygnęła się.
- Nie pyta pan o moje dzieciństwo?
- Dojdziemy do tego później, ale najlepiej zacząć od samego zajścia. Chciałbym, żeby mi pani o tym opowiedziała własnymi słowami.
- Własnymi słowami. Rany. - Uśmiechnęła się lekko. - Bez gry wstępnej, co?
- Odpowiedziałem uśmiechem. Rozprostowała nogi i czarne skechersy na wysokim obcasie przesunęły się po dywanie. Pobujała stopą. Rozejrzała się po gabinecie.
- - Wiem, że źle zrobiłam, ale jestem porządną dziewczyną, doktorze. Naprawdę. - Skrzyżowała ramiona na napisie PORN STAR. - Od czego zacząć... Muszę się panu przyznać, że czuję się... odkryta.
- Wyobraziłem ją sobie nagą, wbiegającą na drogę. Stary mężczyzna prawie wjechał przez nią w przepaść.

- Wiem, że ciężko wracać myślami do tego, co pani zrobiła, Michaelo, ale tak trzeba.
- Żeby mnie pan zrozumiał?
- To też - odparłem. - Poza tym może będzie pani musiała ałokować.
- To znaczy?
- Opowiedzieć sędziemu, co pani zrobiła.
- Czyli zeznawać - powiedziała. - To takie trudniejsze słowo na zeznawanie?

- - Chyba tak

- Tyle tych słów. - Zaśmiała się lekko. - Przynajmniej czegoś się nauczę.
- Pewnie nie tak, jak pani chciała.

- - To na pewno... Prawnicy, gliniarze. Nawet nie pamiętam, co komu mówiłam.

- Trudno to ogarnąć - stwierdziłem.
- Totalnie, doktorze. Ja tak mam.
- Co pani ma?
- Trudności z ogarnianiem. W Phoenix, w liceum, różni ludzie uważali, że jestem bezmózgiem. A ja po prostu często czegoś nie rozumiałam. Do tej pory tak jest. Może dlatego, że spadłam na głowę, kiedy byłam mała. Zleciałam z huśtawki i straciłam przytomność. Potem w szkole nie szło mi już najlepiej.
- Pechowy upadek.
- Za wiele nie pamiętam. Podobno byłam nieprzytomna przez pół dnia.
- Ile miała pani lat?
- Może trzy. Cztery. Wysoko się huśtałam, uwielbiałam się huśtać. Pewnie się puściłam i poleciałam. Uderzałam się też w głowę kilka innych razy. Ciągłe się przewracałam, potykałam o własne nogi. Szybko rosłam. Kiedy miałam piętnaście lat, wystrzeliłam z metra pięćdziesięciu do metra siedemdziesięciu w pół roku.
- Ma pani pecha.
- Mama mawiała, że kuszę los. Namawiałam ją, żeby kupiła mi nowe džinsy, a potem rozdierałam je na kolanie, więc krzyczała na mnie i mówiła, że już nigdy nic mi nie kupi.

- Dotknęła lewej skroni. Skręciła w palcach kosmyk włosów. Kogoś mi przypominała. Patrzyłem, jak bawi się włosami, i w końcu sobie przypomniałem: młoda Brigitte Bardot. Czy wiedziałyby, kto to?

- W głowie mi się kręci - stwierdziła. - Od tego bałaganu. Jakby to był scenariusz kogoś innego, aja tylko oglądam kolejne sceny.
- Wymiar sprawiedliwości potrafi przytłoczyć.
- Nigdy nie sądziłam, że będę miała z nim do czynienia! Nawet nie oglądam programów policyjnych w telewizji. Mama czyta kryminały, aleja ich nie znoszę.
- A co pani czyta?

- Odwróciła się, nie odpowiedziała. Powtórzyłem pytanie.

- Och, przepraszam, zamyśliłam się. Co czytam... magazyn „Us”, „Pe-ople”, „Elle”, no, wie pan.
- Porozmawiamy o tym, co się stało?
-

- -Jasne, jasne... to miało być... może Dylan i ja trochę przesadziliśmy, ale moja nauczycielka aktorstwa ciągle powtarza, że najważniejsze to zatracić siebie i wniknąć w odgrywaną postać, trzeba zapomnieć o sobie, o ego. Poddać się scenie i popłynąć.
- -I to właśnie robiła pani z Dylanem - podsunąłem.
- - Myślę, że od tego się zaczęło. Wydawało się nam, że to robimy, i chyba... Tak naprawdę nie wiem, co się stało. To wariactwo. Jak ja się wpakowałam w takie wariactwo?
- Uderzyła pięścią w otwartą dłoń, zadrżała, załamała rękę. Zaczęła cicho płakać. Na jej szyi pojawiła się pulsująca żyła, widoczna przez makijaż, podkreślająca otarcie. Podąłem chusteczkę. Jej palce dotknęły mojej dłoni. Pociągnęła nosem.

- Dzięki. Usiadłem.
- A więc robiła pani to, czego nauczyła się od Nory Dowd.
- Pan zna Norę?
- Czytałem dokumenty z sądu.
- Nora jest w tych dokumentach?

- Wspominają o niej. A więc pozorowane porwanie było związane z pani nauką.
- Cały czas mówi pan „porowane”.
- A jak mam mówić?

- - Nie wiem... jakoś inaczej. Może „ćwiczenie”? Od tego się zaczęło.

- - Ćwiczenie z aktorstwa.
- - Aha. - Założyła nogę na nogę. - Nora nigdy nie powiedziała nam wprost, że mamy przeprowadzić ćwiczenie, ale pomyśleliśmy... zawsze naciskała, żebyśmy dotarli do sedna naszych emocji. Dylan i ja uznaliśmy, że... - Przygryzła wargę. - To nie miało zajść tak daleko. - Znow dotknęła skroni. - Po prostu mi odbiło. Dylan i ja staraliśmy się wypasę autentycznie z artystycznego punktu widzenia. Na przykład kiedy go związałam i wiązałam siebie, przytrzymałam linę na szyi, żeby zostawiła ślad. - Skrzywiła się, dotknęła sińca.
- Widzę.
- Wiedziałam, że to nie potrwa długo. Łatwo się siniaczę. Może dlatego nie za dobrze wychodzi mi ból.
- To znaczy?
- Zaraz zaczynam ryczeć, kiedy mnie boli. - Dotknęła miejsca przy dekolcie bluzki. - Dylan nic nie czuje, jest jak głaz. Kiedy go wiązałam, ciągle powtarzał: „Mocniej, chcę to poczuć”.
-
- - Ból?
- Tak - potwierdziła. - Najpierw wiązałam nogi i ręce. Ale nawet tam boli, jeśli się mocno ściśnie, prawda? A on powtarzał ciągle „mocniej” i „mocniej”. W końcu wrzasnęłam, że mocniej już nie mogę. - Spojrzała w sufit. - A on tylko leżał. Potem się uśmiechnął i powiedział: „Może na szyi zrób mi tak samo”.
- Dylan ma obsesję śmierci?
- To czubek... Tam było wstrętne, ciemno, zimno i taka pustka w powietrzu. Dookoła coś łąziło. - Objęła się ramionami. - Powiedziałam, że dziwne się czuję, że może to nie był dobry pomysł.
- - A Dylan?
- - Leżał z głową na boku. - Zamknęła oczy i zademonstrowała. Rozchyliła usta i pokazała centymetr spiczastego, różowego języka. - Udawał martwe go. Wrzasnęłam: „Daj spokój, to obrzydliwe”, ale on się nie ruszał ani nie odzywał. W końcu miałam dość. Poruszyłam jego głowę. Była bezwładna.
- Metoda - powiedziałem. Nerozumiejące spojrzenie.
- To kiedy całkowicie przeżywa się rolę, Michaelo. Wzrokiem była gdzieś indziej.

- - Może...
- W którym momencie ćwiczenia go pani związała?
- Drugiej nocy, to wszystko działo się drugiej nocy. Przedtem był w porządku, potem zaczął mnie dręczyć. Pozwalałam mu, bo się bałam. Co za głupota!
- Zasłoniła twarz włosami. Skojarzyło mi się to ze spanielem na wystawie; hodowca tak samo przesuwa psu uszy na nos, żeby sędzia mógł dobrze obejrzeć czaszkę.
- Dylan panią przestraszył - podjąłem znów wątek.
- Bardzo długo się nie ruszał.
- - Bała się pani, że związała go za mocno? Odgarnęła włosy, ale nie podniosła wzroku.
- Szczerze mówiąc, nie umiem powiedzieć, nawet teraz, co nim kierowało. Może naprawdę stracił przytomność, a może tylko się ze mnie zgrywał. On... to tak naprawdę był jego pomysł, doktorze, przysięgam.
- Dylan wszystko wymyślił?
- Wszystko. Gdzie kupić linę, gdzie pojechać...
- Dlaczego wybrał Latigo Canyon?
- Powiedział, że tam był, lubi wędrować samotnie, pomaga mu się to wczuć w rolę. - Czubek języka przesunął się po dolnej wardze, zostawiając
-
- ślimaczy ślad wilgoci. - Mówi też, że kiedyś tam zamieszka we własnym domu.
- W Latigo Canyon?
- W Malibu, ale na plaży, jak Colony. Ma pełnego świra.
- Na punkcie swojej kariery?
- Niektórzy bardzo się angażują w każdą scenę, wie pan? Ale potem wiedzą, kiedy przestać. Dylan potrafi być fajny, kiedy jest sobą, ale zżera go ambicja. Chce zająć miejsce Johnny'ego

Deppa na okładce „People”.

- - Ajakie pani ma ambicje, Michaelo?- Ja? Chcę tylko pracować. Telewizja, duży ekran, seriale, reklamy, wszystko jedno.
- Dylanowi by to nie wystarczyło.
- On musi być numerem jeden na liście najseksowniejszych mężczyzn.
- Rozmawiała z nim pani od czasu ćwiczenia?
- - Nie.
- Dlaczego?
- Lauritz radził, żebym trzymała się od Dylana z dala.
- A przedtem była pani z nim blisko?
- - Chyba tak. Mówił, że jest między nami naturalna chemia. Pewnie dlatego tak mnie... poniosło. To wszystko był jego pomysł, ale tam, na wzgórzach, zupełnie mu odwaliło. Ja do niego mówię, potrząsam nim, a on wygląda zupełnie... no, wie pan...
- - Jak trup.
- Nie, żebym kiedyś widziała prawdziwego trupa, ale jak byłam mała, lubiłam oglądać horrory. Teraz nie. Łatwo się obrzydza.
- Co pani zrobiła, kiedy pomyślała, że Dylan wygląda jak trup?
- Zaczęłam wariować i rozwiązywać linę na szyi, a on ciągle się nie ruszał i miał otwarte usta, i wyglądał... - Pokręciła głową. - Tam była taka atmosfera... odbiło mi... Zaczęłam walić go po twarzy i wrzeszczeć, żeby przestał. A jego głowa tylko turlała się z boku na bok. Jak na ćwiczeniach rozluźniających, które Nora każe nam robić przed ważnymi scenami.
- Przeróżające - przyznałem.
- Przeróżające. Mam dysleksję, nie bardzo poważną, czytam nieźle. Ale zapamiętywanie słów zajmuje mi dużo czasu. To znaczy, umiem swoje kwestie, ale muszę ciężko pracować.
- Przez dysleksję widok Dylana był bardziej przerażający?
- Bo w głowie mi się wszystko pomieszało i nie mogłam jasno myśleć. A potem strach to wszystko rozmazał. Jakby moje myśli nie miały sensu, jakby były w innym języku.

-
- Czuła się pani zdezorientowana.
- Chodzi mi o to... niech pan zobaczy, co narobiłam. Rozwiązałam się, wspięłam na wzgórze i wybiegłam na drogę, nawet się nie ubrałam. Musiałam być zdezorientowana. Gdybym myślała normalnie, czy bym to zrobiła? Potem, kiedy ten starszy facet, ten na drodze, który... - Jej grymas sięgnął lewej strony ust, zanim zniknął.
- Ten starszy facet, który... - podjąłem przerwana myśl.
- Chciałam powiedzieć, że mnie uratował, ale nic mi przecież nie groziło. Mimo to byłam mocno przerażona. Bo nie wiedziałam, czy z Dylanem wszystko w porządku. Potem przyjechali ratownicy, a Dylan już stał, rozwiązany. Kiedy nikt nie patrzył, uśmiechnął się ukradkiem. Jakby mówił: „Cha, cha, dobry żart”.
- Czuje się pani przez niego wykorzystana.

- - To jest najsmutniejsze. Utrata zaufania. A zaufanie właśnie miało być najważniejsze. Nora zawsze powtarza, że życie artysty to ciągle niebezpieczeństwo. Pracuje się bez asekuracji. Dylan był moim partnerem, a ja mu ufałam. Dlatego w ogóle się zgodziłam na ten wypad.
- - Długo musiał panią namawiać? Zmarszczyła czoło.

- Przedstawił to jako wielką przygodę. Poczułam się jak dzieciak, który dobrze się bawi.
- Planowanie było zabawą - powiedziałem.
- Właśnie.

- Kupowanie sznura i jedzenia.
- Aha.
- To był dokładny plan. Jej ramiona zeszywniały.
- Co pan ma na myśli?
- Kupowaliście w kilku sklepach w różnych miejscach.
- To wszystko Dylan - rzuciła.
- Wyjaśnił, dlaczego tak to zaplanował?

-

- Właściwie o tym nie rozmawialiśmy. Tyle razy już robiliśmy ćwiczenia, to było po prostu jeszcze jedno. Uważałam, że muszę użyć prawej strony. Mózgu. Nora uczyła nas skupiania się na

prawej stronie mózgu, tak jakby wślizgiwania się w prawy tryb.

- Strona twórcza - mruknąłem.
- Właśnie. Nie analizuj, po prostu rzuć się na fale.

- - Dużo pani mówi o Norze. Cisza.

- Co, według pani, ona myśli o tym, co się stało, Michaelo?
- Ja wiem, co ona myśli. Jest wkurzona. Kiedy policja mnie zwinęła, zadzwoniłam do niej. Powiedziała, że daliśmy się złapać jak amatorzy i durnie i żebym się więcej nie pokazywała. Potem rzuciła słuchawkę.
- Daliście się złapać - powtórzyłem. - Nie złościła się za sam pomysł?
- Tak mi powiedziała. Byliśmy głupi, że się daliśmy złapać. - Jej oczy zwilgotniały.
- Musiało pani być przykro usłyszeć od niej taką naganę - zauważyłem.
- Jest moją mistrzynią.
- Próbowала pani z nią jeszcze rozmawiać?
- Nie odbiera moich telefonów. Teraz nie mogę chodzić do Domu Gry. Zresztą to chyba nie ma znaczenia.
- Pora ruszyć dalej?

- Po jej twarzy popłynęły łzy.

- Nie stać mnie na naukę, bo jestem spłukana. Będę musiała się zapisać do pośredniaka. Zostanę sekretarką albo niańką. Albo będę przerzucać hamburgery.
- To jedyne możliwości?
- Kto da mi dobrą pracę, kiedy muszę chodzić na przesłuchania? Poza tym, dopóki to wszystko się nie skończy... - Wzięła ode mnie następną chusteczkę. - Na pewno nie chciałam nikogo skrzywdzić, proszę mi wierzyć, doktorze. Wiem, że powinnam więcej myśleć, a mniej czuć, ale Dylan...

- Znow podciągnęła nogi. Niewarta wzmianki warstwa tkanki tłuszczowej pozwalała się jej zginać jak kartce papieru. Przy takim braku wewnętrznej izolacji dwie noce w górach musiały dziewczynę przemrozić. Nawet jeśli kłamała o strachu, nie mogło jej być przyjemnie: policyjny raport wspominał o świeżych ludzkich odchodach pod pobliskim drzewem, liściach i papierkach po batonach użytych zamiast papieru toaletowego.

- A teraz - wymamrotała - wszyscy pomyślą, że jestem głupią blondynką.
- Niektórzy twierdzą, że zła reklama nie istnieje.
- Tak? - zdziwiła się. - Tak pan sądzi?

- Ludzie potrafią się zmieniać. Utkwiła spojrzenie w moich oczach.
- Byłam głupia i jest mi bardzo, bardzo przykro.
- Cokolwiek zamierzaliście, przeżyliście dwie ciężkie noce.
- Co pan ma na myśli?
-

- Zimno. Brak łazienki...
- To było obrzydliwe - wtrąciła. - Czułam lodowate zimno i jakieś robale na całym ciele. Potem bolały mnie ręce, nogi i szyja. Bo za mocno się związałam. - Skrzywiła się. - Chciałam wypaść autentycznie. Żeby pokazać Dy łanowi.

- - Co?

- Że jestem poważną aktorką.
- Chciała pani zadowolić kogoś jeszcze, Michaelo?
- To znaczy?
- Musiała pani zdawać sobie sprawę, że media nagłośnią ten incydent. Zastanawiała się pani, jak zareagują ludzie?
- Na przykład kto?
- Zaczniemy od Nory.
- Byłam święcie przekonana, że nabrałaby do nas szacunku. Za to, że się staraliśmy. A ona się wściekła.

- - A pani matka? Machnęła ręką.

- Nie myślała pani o matce?
- Nie rozmawiam z nią. Nie ma jej w moim życiu.
- Czy ona wie, co się stało?

- - Nie czyta gazet, ale jeśli napisali o tym w „Phoenix Sun”, to pewnie ktoś jej pokazał.

- Nie dzwoniła pani do niej?
 - Nie może mi pomóc - wymamrotała.
 - Dlaczego, Michaelo?
 - Jest chora. Na płuca. Zresztą ciągle na coś chorowała. Nawet kiedy spadłam na głowę, to sąsiadka zabrała mnie do lekarza.
-
- Mamy przy pani nie było. Odwróciła wzrok.
 - Kiedy ćpała, biła mnie.
 - Mama brała narkotyki.
-
- - Głównie trawka, czasem antydepresanty. Najczęściej paliła. Trawka, papierosy i curvoisier. Płuca ma porządnie wypalone. Oddycha przez but. Ciężkie dzieciństwo. Znow coś wymamrotała.
-
- Nie dosłyszałem.
-
- - Nie lubię mówić o swoim dzieciństwie, ale jestem z panem totalnie szczerą. Żadnej ścierny, żadnych emocjonalnych zasłon. To jak mantra. Po-
-
- wtarzam sobie „szczerść, szczerść, szczerść”. Lauritz kazał mi mieć to tu, z przodu. - Smukłym palcem dotknęła gładkiego, opalonego czoła.
-
- Co, według pani, miało się stać, kiedy sprawa wyszłaby na jaw? Cisza.
 - Michaelo?
 - Może telewizja.
 - Mieliście się dostać do telewizji?
-
- - Reality TV. Coś między *Punk'd*, *Survivorem* a *Nieustraszonymi*, ale tak, żeby nikt nie wiedział, co jest naprawdę, a co nie. Nie chcieliśmy nikomu zrobić na złość. To miał być po prostu krok do przodu.

- Jakiego rodzaju krok?
- Mentalny.
- A kariera?
- To znaczy?
- Czy uważaliście, że możecie dzięki temu dostać rolę w reality show?
- Dylan myślał, że tak - odparła.
- A pani nie?

- Ja w ogóle nie myślałam... Może w głębi duszy, podświadomie liczyłam na to, że ta akcja pomoże mi się przebić przez mur.
- Jaki mur?
- Sukcesu. Chodzisz na przesłuchania, a tam patrzą na ciebie, jakby cię nie było, a nawet jak mówią, że zadzwonią, to nie dzwonią. A masz tyle samo talentu ile dziewczyna, którą jednak zakontraktowali. Więc trzeba zrobić coś wyjątkowego, dziwnego albo przerażającego, żeby cię zauważyli. - Wstała, okrążyła gabinet. Jedną stopą zawadziła o drugą i prawie straciła równowagę. Może mówiła prawdę, że jest niezdarna. - To kiepskie życie - powiedziała.
- Życie aktora.
- Każdego artysty. Wszyscy uwielbiają artystów, ale też ich nienawidzą! - Złapała obiema dłońmi za włosy i szarpnęła, aż jej piękna twarz ściągnęła się i nabrała gadzich rysów. - Czy pan sobie w ogóle wyobraża, jakie to trudne? - spytała wydłużonymi wargami.
- - Co?Puściła włosy. Spojrzała na mnie z góry, jakbym był tępy.
- - Zmusić. Kogoś. Żeby. Zwrócił. Uwagę!

5

- Spotkałem się z Michaelą jeszcze trzy razy. Większość czasu wspominała dzieciństwo naznaczone zaniedbaniem i samotnością, rozwiązłością matki i różnymi patologiami, potęgowanymi przez każde rozczarowanie. Przypominała sobie lata porażek w szkole, błędów dorastania, chronicznej izolacji, spowodowanej „wyglądem pryszczatej żyrafy”.
- Testy psychometryczne wykazały, że ma średni iloraz inteligencji, słabą kontrolę nad impulsami i tendencję do manipulowania ludźmi. Ani śladu problemów z nauką albo deficytu uwagi. Na skali kłamstwa MMPI miała wysoki wynik, co oznaczało, że nigdy nie przestawała grać. Mimo tego sprawiała wrażenie smutnej, przestraszonej, delikatnej młodej kobiety. Musiałem jednak robić, co do mnie należy, i zadać krępujące pytanie.
- Michaelo, w szpitalu znaleziono ślady otarć wokół pani pochwy.
- Skoro pan tak mówi...
- Tak mówi lekarz, który panią badał.

- Może to on mnie poobcierał w czasie badania.
 - Był niedelikatny?
 - Miał szorstkie paluchy. Jakiś Azjata. Widać było, że mnie nie lubi.
 - Dlaczego miałby pani nie lubić?
 - Niech pan jego spyta. Zerknęła na zegarek.
 - Tej wersji chce się pani trzymać?
- Przeciągnęła się. Dzisiaj miała niebieskie dzinsy, nisko na biodrach, i odsłaniający brzuch biały top z dekoltem. Jej sutki wyglądały jak niewyraźne, szare kropki.
- A muszę mieć jakąś wersję?
 - Może się przydać.
 - Może, jeśli pan o tym wspomni.
- - To nie ma nic wspólnego ze mną, Michaelo. Wszystko jest w aktach sprawy.
 - - Akta sprawy - powtórzyła. - Jakbym popełniła wielką zbrodnię. Nie odpowiedziałem. Skubnęła koronkowe obszycie bluzki.
- Kogo to obchodzi? Dlaczego pana to obchodzi?
 - Chciałbym zrozumieć, co się wydarzyło w Latigo Canyon.
 -
- Dylanowi odwaliło, i tyle - odparła.
 - Fizycznie?
 - Rozochocił się i mnie poobcierał.
 - Co się stało? - spytałem.
 - To co zwykle. - Czyli...
- Robiliśmy to. - Pomachała palcami dłoni. - Dotykaliśmy się. Kilka razy.
 - Kilka razy doszło do zbliżenia.
- - Nigdy nie doszło do zbliżenia. Raz na jakiś czas napalaliśmy się i dotykaliśmy. On oczywiście chciał więcej, ale ja mu nie dałam. - Wystawiła język. - Kilka razy pozwalałam mu zrobić to ustami, ale głównie palcami, bo nie chciałam, żeby się za bardzo zbliżał.

- Co się stało w Latigo Canyon?
 - Nie rozumiem, jaki to ma związek z... całą sprawą.
 - Pani relacje z Dylanem musiały...
 - Dobrze, dobrze - przerwała. - W kanionie robiliśmy to palcami, ale Dylan stał się za ostry. Kiedy się poskarżyłam, powiedział, że zrobił to specjalnie. Żeby było bardziej realistycznie.
 - Kiedy zostaniecie znalezieni.
- Tak - odparła. Odwróciła wzrok. Czekalem.
- To była pierwsza noc - odezwała się po chwili. - Nudziło nam się, nie mieliśmy już o czym gadać.
 - Kiedy skończyły się wam tematy? - spytałem.
 - Szybko. Bo jego kręciło tylko zen i milczenie. Przygotowywał się na drugą noc. Przekonywał, że musimy stworzyć w naszych głowach obrazy. Podgrzać emocje i nie zapychać sobie myśli słowami. - Zaśmiała się ostro. - Milczenie zen. Dopóki się nie napalił. Wtedy nie miał problemów, żeby mi powiedzieć, czego chce. Myślał, że skoro tam jesteśmy, coś się zmieniło. Że mu dam. Jeszcze czego. - Jej spojrzenie stwardniało. - Teraz go nienawidzę.
- *
- Dałem sobie dzień na zastanowienie, zanim napisałem szkic oceny. Historia Michaeli opierała się na ograniczonej zdolności podejmowania decyzji, połączonej z często stosowaną taktyką „to nie ja, to ten drugi”. Zastanawiając się, czy Lauritz Montez nie jest jej nowym nauczycielem aktorstwa, zadzwoniłem do jego biura w gmachu sądu Beverly Hills.
- Nie będzie pan zadowolony.
 - To już nie ma znaczenia - odparł.
 - Sprawa zakończona ugodą?
- Lepiej. Sześćdziesiąt dni odroczenia, dzięki mojej koleżance, która reprezentuje Meserve'a. Marjani Coolidge, zna ją pan?
- - Nie.

- Miała załatwioną wycieczkę do Afryki w poszukiwaniu przodków, poprosiła, żeby odłożyć sprawę. Kiedy minie sześćdziesiąt dni, dostaniemy następne odroczenie. I jeszcze jedno. Uwaga mediów osłabła, a na wokandzie jest sporo poważnych przestępstw. Nie ma problemu, żeby takie trywialne zajścia odkładać na później. Kiedy dojdzie do procesu, wszyscy będą to mieli w dupie. Na razie ciśnie nas biuro szeryfa, a oni mają okres koncentracji jak komary. Moim zdaniem najgorsze, co spotka tych dwoje, to wykładanie Szekspira dzieciakom z miasta.

- Szekspir to nie jej działka.
- A co jest jej działką?
- Improwizacja.
- No, na pewno sobie poradzi. Dzięki, że poświęcił pan czas.
- Niepotrzebna panu ocena?

- Proszę podesłać, ale nie obiecuję, że ktokolwiek ją przeczyta. Co nie powinno pana martwić, bo mogę zapłacić tylko za czas sesji, czterdzieści dolarów za godzinę, żadnych dodatkowych opłat.

- Milczałem.

- Cóż... - mruknął. - Cięcia budżetowe i tak dalej. Naprawdę mi przykro.
- Niepotrzebnie.
- Nie ma pan nic przeciwko?
- Nie przepadam za show-biznesem.

- 6

- Dwa tygodnie po ostatniej sesji Michaeli zwróciłem uwagę na akapit na końcu działu „Metro”:

- **PARA POZORUJĄCA PORWANIE SKAZANA** Dwoje niedoszłych aktorów, oskarżonych o upozorowanie własnego porwania w celu zwrócenia na siebie uwagi, zostało skazanych na

- służbę społeczną w ramach ugody między Departamentem Szeryfa, prokuraturą okręgową i Biurem Obrońców Publicznych. Dylan Roger Meserve, lat 24, i Michaela Ally Brand, lat 23, zostali oskarżeni o wiele wykroczeń - które mogły zakończyć się wyrokiem skazującym na więzienie. Początkiem było nieprawdziwe twierdzenie o porwaniu w West Los Angeles i zawiezieniu do Latigo Canyon w Ma-libu przez zamaskowanego napastnika z bronią. Śledztwo

wykazało, że oboje upozorowali całe zajście. Nawet sami się związali i symulowali dwa dni głodowania.- To było najlepsze rozwiązanie - powiedziała zastępca prokuratora okręgowego Heather Bally, oskarżycielka. Powołała się na młody wiek oskarżonych i ich dotychczasową niekaralność. Podkreśliła też korzyści, jakie mogą wyniknąć z pracy Meserve'a i Brand dla „społeczności teatralnej”. Wymieniła dwa letnie programy, do których oboje mogą zostać przydzieleni: *Lato z teatrem* w Baldwin Hills i *Pościg za dramą* w West Los Angeles. Telefony do biura szeryfa pozostały bez odpowiedzi. Jedno odroczenie wystarczyło. Zastanawiałem się, czy oboje zostaną w mieście. Pewnie tak, jeśli w głowach wciąż roily im się wizje gwiazdorstwa. Posłałem rachunek na sto sześćdziesiąt dolarów do biura Lauritza Monte-za. Wciąż mi nie zapłacono. Zadzwoiłem, zostawiłem uprzejmą wiadomość na sekretarce i uznałem, że całą sprawę należy już wyrzucić z pamięci. Porucznik detektyw Milo Sturgis miał inne zdanie. *Nowy Rok spędziłem sam, a o następnych tygodniach nie warto opowiadać. Pies należący do mnie i do Robin Castagna z dnia na dzień się postarzał. Spike, piętnastokilowy francuski buldog o budowie kominkowego polana i guście wyrafinowanego snoba, prychnął tylko na pomysł wspólnej opieki i zamieszkał u Robin. Przez ostatnich kilka miesięcy życia jego egoistyczny punkt widzenia świata żałośnie zanikł, gdy Spike popadł w senną bierność. Robin dała mi znać, kiedy znalazł się na równi pochyłej. Zacząłem wpadać do jej domu w Venice, siedziałem na wygniecionej kanapie, a ona budowała i naprawiała instrumenty strunowe w swojej pracowni na drugim końcu korytarza. Spike pozwalał mi się trzymać na kolanach, wciskał mi swój łeb jak pustak pod pachę. Od czasu do czasu zerkał na mnie oczami mlecznoszarymi od katarakt.

- Za każdym razem, kiedy wychodziłem, ja i Robin uśmiechaliśmy się do siebie przelotnie, nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co było nieuniknione, ani o niczym innym. Kiedy widziałem Spike'a po raz ostami, nie interesowało go ani stukanie młotka Robin, ani wycie pilarek. Kuszenie smakołykami podtykanymi pod nos nie wywoływało żadnej reakcji. Patrzyłem, jak klatka piersiowa psa unosi się i opada wolno, z mozołem. Słuchałem jego chrapliwego oddechu. Przewlekła niewydolność serca. Weterynarz powiedział, że Spike jest zmęczony, ale nie cierpi, więc nie ma powodu go usypiać, chyba że nie możemy patrzeć, jak odchodzi. Zasnął mi na kolanach, a kiedy podniosłem jego łapę, była zimna. Rozgrzałem ją, pocierając, posiedziałem tak przez chwilę, zaniósłem Spike'a do jego legowiska, położyłem ostrożnie i pocałowałem w sękatę czoło. Pachniał zaskakująco przyjemnie, jak świeżo wykąpany sportowiec. Kiedy wychodziłem, Robin pracowała nad starą mandoliną Gibson F5. Instrument wart sześciocyfrową sumę wymagał skupienia. Zatrzymałem się w drzwiach i obejrzałem. Spike miał zamknięte oczy, a płaski pysk spokojny, prawie dziecięcy. Następnego ranka sapnął trzy razy i odszedł w ramionach Robin. Zadzwoiła do mnie i płacząc, opowiedziała o wszystkim. Pojechałem do Venice, wezwałem firmę kremującą i patrzyłem, jak uprzejmy mężczyzna zabiera żałośnie małe zawiniątko. Robin była w swojej sypialni, wciąż płakała. Kiedy mężczyzna pojechał, poszedłem do niej. Jedno prowadziło do drugiego... *Kiedy rozstałem się z Robin, ona znalazła sobie innego, a ja zakochałem się w mądrej, pięknej psycholog Allison Gwynn. Od czasu do czasu nadal się z nią widywałem. Czasami fizyczny pociąg, który oboje czuliśmy, jeszcze się odzywał. Chyba z nikim się nie spotykała. Uznałem, że to tylko kwestia czasu. Nowy Rok spędziła w Connecticut z babką i gromadą kuzynów. Przysłała mi krawat na gwiazdkę.

Odwdzięczyłem się wiktoriańską broszą. Wciąż nie byłem pewien, co poszło źle. Martwiło mnie, że nie potrafię wytrwać w żadnym związku. Czasami zastanawiałem się, co bym powiedział, gdybym był drugą stroną. Stwierdziłem jednak, że od introspekcji gnije mózg, lepiej skupić się na problemach innych. Ostatecznie to Milo zapewnił mi zajęcie o dziewiątej rano w zimny, suchy, poniedziałkowy poranek, tydzień po ugodzie w sprawie porwania.

- Pamiętaj dziewczynę, którą niedawno oceniałeś? Mikki Brand, tę, która pozorowała własne porwanie. Znaleźli jej zwłoki wczoraj wieczorem. Uduszona i zadżgana.
- Pierwsze słyszę, że miała ksywę Mikki.

- Kiedy człowiek jest zaskoczony, mówi różne rzeczy bez sensu.

- Tak nazywa ją matka.
- No tak, ona wie.

- *

- Spotkaliśmy się na miejscu zbrodni czterdzieści minut później. Do morderstwa doszło w niedzielą noc. Teren już oczyszczono i przeanalizowano, a żółtą taśmę zdjęto. Jedynymi pozostałościami aktu przemocy były krótkie kawałki białego sznura, którym kierowcy od koronera związują zwłoki, kiedy zawiną je już w grubą, przezroczystą folię. Mlecznoszarą. W takim samym odcieniu, uświadomiłem sobie, jak przyćmione kataraktami oczy. Michaela Brand została znaleziona na trawiastym polu dwadzieścia metrów na zachód od Bagley Avenue, na północ od National Boulevard, gdzie ulice te przecinają się pod trasą numer 10. Słaby, podłużny blask odbitego słońca pokazywał, gdzie zwłoki wygniotły chwasty. Estakada w górze zapewniała cień i bezustanny hałas. Na betonowych wspornikach pyszniły się wyzywające graffiti. W niektórych miejscach chwasty sięgały do pasa, paluszniki walczyły z ambrozją, mleczem i niskimi, płozącymi roślinami, których nie rozpoznawałem. To była własność miasta, część terenu pod autostradę, wciśnięta między bogate ulice Beverlywood na północy i bloki klasy pracującej w Culver City na południu. Kilka lat temu były tu problemy z gangami, ale ostatnio przycichły. Mimo wszystko nie przeszedłbym się tędy nocą, i zastanawiałem się, co spowodowało w to miejsce Michaelę. Jej mieszkanie przy Holt było kilka kilometrów dalej. W L.A. to odległość, którą pokonuje się samochodem, nie pieszo. Jej pięcioletniej hondy nie znaleziono. Przyszło mi do głowy, że może dziewczyna została porwana. Tym razem naprawdę. Ironia losu. -1 co o tym sądzisz? - spytał Milo. Wzruszyłem ramionami.

- Wyglądasz na zamyślonego. Mów, co ci leży na sercu.
- Nie warto.

- Przesunął dłonią po swojej dużej, guzowatej twarzy, spojrział na mnie zmrużonymi oczami, jakbyśmy właśnie zostali sobie przedstawieni. Miał
- na sobie strój do brudnej roboty: nylonową wiatrówkę w kolorze rdzy, białą koszulę non-iron z podwiniętymi czubkami kołnierzyka, cienki, bordowy krawat, jak dwa kawałki suszonej wołowiny, luźne brązowe spodnie i jasne pustynne buty na różowej słoninie. Był świeżo ostrzyżony w swoim zwyczajnym stylu, czyli krótko po bokach, co podkreślało siwiznę; gęsto i czarno na górze, gdzie sterczało kłębowisko loków. Baki sięgały mu centymetr pod mięsiste płatki uszu, przywodząc na myśl najgorszego sobowtóra Elvisa. Wreszcie ustaliła mu się waga: na moje oko sto dwadzieścia kilo - większość z tego na brzuchu - przy wzroście metr osiemdziesiąt siedem. Kiedy wyszedł spod estakady, słońce wydobyło jego dzioby po ospie i efekty okrutnego działania grawitacji. Między nami było kilka miesięcy różnicy. Lubił mi powtarzać, że starzeję się o wiele wolniej niż on. Zazwyczaj mu odpowiadałem, że tryb życia szybko zmienia człowieka. Bardzo ostentacyjnie nie przejmuje się swoim wyglądem, ale od dawna podejrzewam, że to tylko pozory. Rick Siherman dawno przestał kupować mu ubrania, których Milo nigdy nie nosił. Rick strzyże się co dwa tygodnie w drogim salonie w West Hollywood. Milo co dwa miesiące jeździ na skrzyżowanie La Brea i Washington, gdzie daje siedem dolarów plus napiwek osiemdziesięciodziewięcioletniemu fryzjerowi, który twierdzi, że podczas II wojny światowej strzygł Eisenhowera. Odwiedziłem raz jego zakład - szare linoleum, skrzypiące krzesła, pożółkłe plakaty, na których szczerzący zęby biali faceci reklamowali brylan-tynę, oraz podobnie stare reklamówki pomady prostującej włosy, skierowane głównie do czarnej klienteli. Milo lubił chępić się Ikeim.
- To była chyba jednorazowa impreza.
- Dlaczego?
- Bo Maurice'a nie postawili przed sądem wojskowym. Rozmawialiśmy w irlandzkim barze przy Fairfax niedaleko Olympic.
- Popijaliśmy chivasa i umacnialiśmy się w przekonaniu, że jesteśmy myślicielami na poziomie. Mężczyzna i kobieta, których Milo udawał, że szuka, zostali zatrzymani na blokadzie drogowej w Montanie i walczyli teraz o ekstradycję. Zabili okrutnego mordercę, drapieżnika, którego należało zabić jak najszybciej. Prawo nie przejmowało się moralnymi subtelnościami i wiadomość o ich zatrzymaniu sprawiła, że Milo wygłosił kwaśne, filozoficzne kazanie. Wypił jednym haustem podwójną whisky, przeprosił za siebie i zmienił temat na fryzjerstwo.
- Maurice nie jest dla ciebie dość modny?
- Jeśli poczekać wystarczająco długo, wszystko staje się modne.

- Maurice to artysta.
- Na pewno tak uważał Jerzy Waszyngton.
- Nie bądź ejdżystą. Wciąż radzi sobie z nożyczkami.
- Co za zručność - mruknąłem. - Powinien był zostać lekarzem. Zielone oczy Miła rozbłysły rozbawieniem i zbożowym alkoholem. - Dwa tygodnie temu miałem wykład dla straży sąsiedzkiej w West Hollywood Park. Zapobieganie przestępczości, takie podstawowe sprawy. Miałem wrażenie, że część młodszych facetów nie uważa. Później jeden z nich do mnie podszedł. Chudy, opalony, orientalne dziary na rękach, same mięśnie. Powiedział, że kupuje przekaz, ale że jestem największym kawałem geja, jakiego widział.

- - Brzmi jak zaproszenie.

- O, jasne. - Milo pociągnął się za obwisły policzek i znów łyknął whisky. - Powiedziałem mu, że dziękuję za komplement, ale powinien bardziej uważać na swoje plecy, kiedy jeździ po mieście. Pomyślał, że to dowcip i poszedł, śmiejąc się do rozpuku.

- West Hollywood to rejon szeryfa - zauważyłem. - Dlaczego ty?

- Wiesz, jak to jest. Czasami jestem nieoficjalnym rzecznikiem wymiaru sprawiedliwości, kiedy mamy alternatywną widownię.

- Kapitan cię naciskał.
- To też.

- *
- Podszedłem do miejsca, gdzie znaleziono Michaelę. Milo został z tyłu, czytając notatki, które sporządził w nocy. Wśród chwastów mignęło coś białego. Jeszcze jeden kawałek sznura ko-ronera. Kierowcy przycięli końcówki, bo Michaela była szczupła. Wiedziałem, co się tu działo: opróżnili jej kieszenie, wyjęli brud z paznokci, wyczesali włosy, zebrali wszystkie „pozostałości”. W końcu zapakowali dziewczynę, załadowali na wózek i zawieźli do białej furgonetki koronera. Teraz pewnie czekała już, razem z dziesiątkami innych zafolio-wanych paczek, równo ułożona na półce w jednej z dużych chłodni, rozmieszczonych wzdłuż szarych korytarzy w piwnicach krypty przy Mission Road. Na Mission Road traktują zmarłych z szacunkiem, ale zaległości, jakie tam mają - sama liczba zwłok - odzierają wszystkich z godności. Podniosłem sznur. Gładki, gruby. Jaki był w porównaniu do żółtej liny, którą Michaela

i Dylan kupili do swojego „ćwiczenia”?

- Gdzie teraz był Dylan? Spytałem Mila, czy ma jakieś pojęcie.
- Od razu zadzwoniłem pod numer na jego formularzu aresztowania. Nieaktualny. Nie zlokalizowałem właściciela mieszkania, które wynajmował. Nie wiem, gdzie mieszkała Michaela.
- Kończyły się jej pieniądze, miała jeszcze miesiąc do eksmisji.
- Jeśli ją wyrzucili, dobrze byłoby wiedzieć, gdzie nocowała. Myślisz, że mogli zamieszkać razem?
- Nie, jeśli mówiła mi prawdę - odparłem. - Obwiniła go o całą sprawę. - Rozejrzałem się. - Nie widzę dużo krwi. Zginęła gdzieś indziej?
- Na to wygląda.
- Kto znalazł ciało?
- Kobieta, która wyszła na spacer ze swoim pudlem. Pies natychmiast wywąchał zwłoki.
- Uduszona i zadżgana.
- Uduszona rękami, na tyle mocno, że ma zmiążdżoną tchawicę. Potem zadano jej pięć ran w klatkę piersiową i jedną w szyję.
- Nic w okolicach genitaliów?
- Była ubrana. Ułożenie ciała nie sugerowało podtekstu seksualnego.
- Samo duszenie może mieć podtekst seksualny. Niektórzy mordercy opisują to doznanie jako poczucie całkowitej dominacji. Długo patrzy się w twarz walczącego, dyszącego człowieka, widząc, jak wycieka z niego życie. Pewien potwór, z którym przeprowadzałem wywiad, śmiał się z tego. „Czas leci bardzo szybko, kiedy człowiek dobrze się bawi, doktorze”.
- Miała coś pod paznokciami? - spytałem.
- Nic specjalnie interesującego. Zobaczymy wyniki z laboratorium. Nie było też żadnych włosów. Nawet psich. Widać pudle nie linieją.
- Którąś z ran zadano podczas walki?
- Nie, dziewczyna była martwa, kiedy ją cięto. Zadając cios w szyję, trafiono w żyłę.
- Pięć to za dużo na działanie pod wpływem impulsu, ale mniej niż można by się spodziewać po ataku szału. Jakaś prawidłowość ułożenia ran?
- Miała na sobie ubranie, więc widać było tylko plamy krwi. Wezmę udział w autopsji, dam ci znać.
- Spojrzałem na wygniecioną trawę.

- Mówisz, że winiła Meserve'a o to oszustwo - odezwał się po chwili Milo. - Bardzo się na nim zawiodła?
- Powiedziała, że go znienawidziła.
- Nienawiść to dobry motyw. Spróbujmy znaleźć tego gwiazdora.
-

7

- Dylan Meserve wyprowadził się z mieszkania w Culver City przed sześcioma tygodniami, nie informując o tym firmy, do której budynek należał. Firma, reprezentowana przez mężczyznę o ściągniętej twarzy, Ralpa Jabbera, była bardziej elastyczna niż właściciel mieszkania Michaeli: Dylan zalegał trzy miesiące z czynszem.
- Jabbera znaleźliśmy chodzącego po pustym mieszkaniu i spisującego coś w notesie. Kawalerka była jedną z pięćdziesięciu ośmiu w trzypiętrowym budynku koloru dojrzałej dyni. Licznik seville'a pokazał, że dom stał pięć kilometrów od miejsca, w którym znaleziono ciało Michaeli. Miejsce morderstwa było więc w podobnej odległości od mieszkań obojga; powiedziałem to Milowi.
- Czyli co, oboje znaleźli wspólne lokum?
- Ja tylko przekazuję spostrzeżenie, nie interpretuję.

Milo chrząknął i wszedł przez niestrzeżone, podwójne drzwi do cuchnącego stęchlizną lobby, wykończonego miedzianą blachą, tapetami, wykładziną w kolorze dyni i skandynawskimi meblami ze sklejki do samodzielnego składania.

Mieszkanie Dy lana Meserve'a znajdowało się na samym końcu ciemnego, wąskiego korytarza. Z dziesięciu metrów widziałem otwarte drzwi, słyszałem wycie przemysłowego odkurzacza.

-1 już po dowodach - sapnął Milo, przyspieszając kroku.

Ralph Jabber dał znak ciemnoskórej, drobnej kobiecie z odkurzaczem. Pstryknęła przełącznikiem, który przyciszył, ale nie wyłączył urządzenia.

- Mogę w czymś pomóc?

Milo błysnął odznaką i Jabber opuścił notatnik. Zauważyłem listę.

1. *PODŁOGI: A. Normalne zużycie B. Odpowiedzialność najemcy*
2. *ŚCIANY...*

Jabber był niewysokim człowiekiem z ziemistą cerą i zapadniętą klatką piersiową, ubranym w

błyszczący, czarny garnitur i biały jedwabny podkoszulek. Na bosych stopach miał brązowe mokasyny. O swoim najemcy nie mógł powiedzieć nic ponad to, że chłopak zalegał z czynszem.

Milo zapytał kobietę, czy ona coś wie, ale uśmiechnęła się bez zrozumienia. Miała niecały metr pięćdziesiąt wzrostu, była krępa, z twarzą jak z rzeźbionego dębu.

-Ona nie zna najemców - wyjaśnił Ralph Jabber.

Odkurzacz warczał jak samochód wyścigowy. Kobieta wskazała wykładzinę. Jabber pokręcił głową, zerknął na roleksa, zbyt dużego i zbyt gęsto wysadzanego kamieniami, żeby mógł być autentyczny.

- *El otro apartamento.*

Kobieta wytoczyła odkurzacz z mieszkania.

Dylan Meserve mieszkał w prostokątnym białym pokoju, może trzy-dziesięciometrowym. Pojedyncze aluminiowe okno, umieszczone wysoko na jednej z dłuższych ścian, oferowało widok na szary stiuk. Wykładzina była szorstka i bura. Małe aneks kuchenny wyposażono w pomarańczowe blaty z formiki, białe w miejscach, gdzie obstukano im narożniki; białe szafki poszarzałe przy klamkach; brązową, małą lodówkę, teraz otwartą.

Pustą. Na blacie stały płyny do mycia szyb, czyszczenia kuchenek i dezynfekcji. Niektóre ściany były porysowane na dole. Wykładzina miała nieduże, kwadratowe wgniecenia od mebli. Sądząc po ich liczbie, mebli nie było dużo.

Ralph Jabber trzymał notes płasko przy nodze. Ciekaw byłem, jak ocenił stan mieszkania.

- Trzy miesiące zaległego czynszu - powtórzył Milo. - Jesteście państwo bardzo pobłażliwi.

- Taki biznes-odparł Jabber bez entuzjazmu.

- Jaki?

- Nie lubimy eksmisji. Wolimy utrzymywać niską liczbę wolnych lokali.

- Więc poszłicie mu państwo na rękę.

- - Aha.

- Ktoś rozmawiał o tym z panem Meserve'em?
- Raczej nie.

- - Na ile pan Meserve musiałby zalegać, zanim byście go państwo wyrzucili?
- Jabber zmarszczył czoło.
- Każda sytuacja jest inna.
- Czy pan Meserve prosił o przedłużenie terminu?
- Możliwe. Nie wiem.
- Dlaczego?
- Nie zajmuję się najemcami. Jestem menedżerem końcowo-przejściowym.
- Brzmiało to jak eufemistyczne określenie grabarza.
- - Czyli... - zagadnął Milo.
- -Porządkuję lokal, kiedy jest pusty, przygotowuję dla następnego najemcy.
- Jest nowy chętny na to mieszkanie? Jabber wzruszył ramionami.
- To nie potrwa długo. Mamy spory popyt. Milo rozejrzał się po małym, ponurym pokoju.
- Lokalizacja, lokalizacja, lokalizacja.
- Właśnie. Wszędzie blisko, poruczniku. Studia, autostrady, plaża, Beverly Hills.
- Wiem, że to nie jest pana dziedzina, ale próbuję prześledzić działania pana Meserve'a. Jeśli nie prosił o przedłużenie terminu, czy byłby jakiś inny powód, dla którego odpuścilibyście mu państwo czynsz na trzy miesiące?
- Jabber przymknął oczy. Milo przysunął się bliżej, wykorzystał swój wzrost i masę. Jabber się cofnął.
- Nieoficjalnie?
- Czy to drażliwy temat, panie Jabber?
- Nie, nie, nie o to... Prawda jest taka, że to duży budynek, a mamy jeszcze inne, nawet

większe. Czasami coś się... przeoczy.

- - A więc być może pan Meserve miał szczęście i jakoś się prześliznął. Jabber wrzucił ramionami.
- - Ale w końcu - ciągnął Milo - jego niepłacenie czynszu wyszło na jaw.

- Oczywiście, tak. Zresztą mamy przynajmniej jego kaucję za pierwszy miesiąc i szkody. Nie dostanie jej z powrotem, bo nas nie zawiadomił.
- Jak się państwo dowiedzieliście, że się wyprowadził?
- Odcięto mu telefon i prąd. My płacimy gaz, ale zawiadamiają nas, kiedy wyłączają pozostałe rzeczy.

- To taki system wczesnego ostrzegania. Jabber uśmiechnął się ponuro.
- Nie dość wczesnego.
- Kiedy wyłączono prąd i telefon?
- Musiałby pan zadzwonić do biura.
- Pan mógłby to zrobić.

- Jabber zmarszczył czoło, wyjął komórkę, wcisnął trzycyfrowy kod szybkiego wybierania.- Samir? Cześć, Sammy, tu Ralph. Jestem, tak, jak zwykle... Powiedz mi, kiedy wycisnęli sok w Overland D-14? Dlaczego? Bo gliniarze pytają.

- Tak... kto wie, Sammy, są tu teraz, chcesz z nimi sam pogadać? Dobrze, to mów, żebym mógł się ich... żeby się dowiedzieli tego, co potrzebują. Słuchaj, mam jeszcze sześć innych, Sammy, w tym dwa w Valley, a jest już jedenasta... tak, tak... - Minęło półtorej minuty. Z telefonem wciśniętym między ucho i ramię Jabber wszedł do aneksu kuchennego, pootwierał szafki, przesunął palcem po półkach. - Dobrze. Tak. W porządku. Tak, zrobię, tak. - Rozłączył się. - Media odcięli miesiąc temu. Jeden z naszych inspektorów powiedział, że nie było żadnej poczty od sześciu tygodni.

- Miesiąc temu, a pan przyszedł dopiero dzisiaj. Jabber się zaczerwienił.
- Już mówiłem, to duża firma.
- Pan jest właścicielem?
- Chciałbym. Mój teść.
- To z nim pan rozmawiał? Jabber pokręcił głową.

- Ze szwagrem.
 - Rodzinny interes - zauważył Milo.
-
- Przez małżeństwo - odparł Jabber. Jego usta zwinęły się w ciasny, blady pąk. - To wszystko? Muszę zamykać.
 - Kto jest inspektorem?
 - Moja szwagierka. Żona Samira. Kazał jej przyjść się rozejrzeć. Nie jest zbyt bystra, nie przekazała nikomu, że nie było poczty.
 - Domyśla się pan, dokąd wyruszył pan Meserve?
 - Nie poznałbym go, gdyby tu teraz wszedł. Po co to całe przesłuchanie? Co zrobił?
 - Czy ktoś w firmie mógłby mieć informacje na jego temat? - spytał Milo.
 - Na pewno nie.
 - Jak wynajął mieszkanie?
 - Pewnie skorzystał z jakiejś agencji. Przez Internet albo telefonicznie. Większość ludzi wynajmuje przez Internet.
 - Jak to działa?
-
- - Najemca wysłał formularz do agencji, a ta przekazuje go nam. Jeśli najemca się kwalifikuje, wpłaca kaucję za pierwszy miesiąc i się wprowadza. Potem płacimy prowizję agencji.- Na jak długo Meserve się wprowadził?
-
- Płacił z miesiąca na miesiąc, nie prowadzimy wynajmu długoterminowego.
 - Wynajem długoterminowy nie obniża liczby pustych lokali?
 -
-
- Można trafić na menela - odparł Jabber. - Nieważne, co jest na papierze.
-
- Co trzeba zrobić, żeby zakwalifikować się jako najemca?
 - Mnóstwo bezdomnych zabiłoby za taki lokal.
 - Żądacie referencji?
 - Oczywiście.
 - Czyje referencje podał Meserve?
 - Jak mówiłem, jestem tylko...
 - Niech pan zadzwoni do szwagra. Proszę.

• *

• Trzy referencje: od poprzedniego najmującego w Brooklynie, kierownika sklepu z obuwem, w którym Meserve pracował przed aresztowaniem, i Nory Dowd, dyrektora artystycznego Domu Gry w West L. A., gdzie młody mężczyzna pracował jako „konsultant kreatywny”. Jabber przyjrzał się temu, co zapisał, zanim pokazał notatkę Milowi.

• - To aktor? - Zaśmiał się.

• - Macie tu dużo aktorów? - Aktorzy to menele. Samir jest głupi.

• Pojechałem za Milem na komisariat w West L.A., gdzie zaparkował swój służbowy wóz na parking dla personelu i przesiadł się do seville’a.

• Meserve przestał odbierać pocztę niedługo po tym, jak go przyskrzynili - poinformował. - Pewnie zamierzał prysnąć, gdyby w sądzie mu nie poszło. - Przejrzał notes, szukając adresu szkoły aktorstwa. - Co sądzisz o jego funkcji „konsultanta kreatywnego”?

• Może terminował, żeby dorobić. Michaela winiła Dylana za oszustwo, ale Nora Dowd najwyraźniej nie.

• Co Michaela o tym sądziła?

• - Nie mówiła o reakcji Nory wobec Dylana. Była zaskoczona, że mistrzyni wściekła się na nią za tę akcję.

• Dowd dała kopa Michaeli, ale Dylana zatrzymała jako konsultanta?

• Jeśli to prawda.

• Meserve sfalszował referencje?

• Jest znany z tego, że lubi upiększać.

• Milo zadzwonił na Brooklyn, zlokalizował najmującego, którego chłopak podał w swoich referencjach.

• - Facet mówi, że znał starego Meserve’a, bo sam jest muzykiem na pół etatu i razem kiedyś grywali. Niewyraźnie przypomina sobie Dylana jako dziecko, ale nigdy nie wynajmował mu mieszkania.

• Konsultant kreatywny - powtórzyłem z ironią.

• Pogadajmy z konsultowaną.

- Dom Gry był starym, parterowym budynkiem stojącym na dużej działce, kawałek na północ od Venice Boulevard w West L.A. Drewniany si-ding pomalowany na ciemną zieleń z kremowymi obwódkami, do tego nisko osadzony punkt ciężkości, dookoła dachu okapy tworzące mały, ciemny ganek. Garaż po lewej miał staromodne wrota od stodoły, ale wyglądał na świeżo pomalowany. Architektura terenu pochodziła z poprzedniej epoki: dwie czteropiętrowe palmy kokosowe, byle jak przycięte, zaniedbane rajskie ptaki, agapanty i kalle otaczające płaski, pożółkły trawnik. To była okolica ludzi wynajmujących lokale w kanciastych blokach i pudełkowatych domach, czekających na wyburzenie. Nic nie wskazywało na działalność szkoły aktorstwa. W środku było ciemno.

- Pewnie nie musi się reklamować - stwierdził Milo. - Albo prowadzi zajęcia w dzień.
- Jeśli większość studentów pracuje, powinno tu się coś dziać wieczorami - odparłem.
- Zajrzyjmy, tak czy inaczej.

- Podeszliśmy do drzwi. Podłoga ganku zrobiona była z zielonych desek, grubo pobejcowanych. Okienko w obitych dębową boazerią drzwiach zasłonięto nieprzezroczystą koronką. Po prawej sterczała ręcznie wykuta, miedziana skrzynka na listy. Milo otworzył klapkę i zajrzał do środka. Pusto. Wcisnął guzik i rozległo się dzwonienie. Nikt nie otworzył. Dwa domy dalej na ulicę cofał stary dodge dart. Za kierownicą siedział Latynos koło trzydziestki. Właśnie odjeżdżał spod jasnoniebieskiego bungalowu. Milo podszedł do niego, pomachał. Nie wyjął odznaki, ale ludzie i bez tego często go słuchają. Mężczyzna opuścił szybę.

- Dzień dobry. Wie pan coś o swoim sąsiedzie? Wzruszenie ramion. Nerwowy uśmiech.
- *No hablo Ingles.*
-

- Milo pokazał palcem.

- Szkoła. *La escuela.* Znow wzruszenie ramionami.
- *No se.*

- Milo popatrzył mężczyźnie w oczy, puścił go machnięciem ręki. Kiedy dart odjechał, wróciliśmy na ganek. Milo jeszcze kilka razy nacisnął guzik. Nikt nie zareagował na sonatę dzwonka.
- - Dobrze, spróbuję później.

- Kiedy się odwróciliśmy, w Domu Gry dały się słyszeć kroki. Koronkowa zasłonka w oknie poruszyła się, ale nie rozchyliła. Potem nic. Milo zawrócił i mocno zastukał. Zazgrzytał zamek. Drzwi otworzyły się szeroko. Wyrzwał zza nich tęgi mężczyzna - trzymał szczotkę i wyglądał na dezorientowanego.
- - Tak? - odezwał się. Zanim słowo opuściło jego usta, zmrużył oczy, a dezorientacja ustąpiła miejsca chłodnej kalkulacji.
- Tym razem Milo wyjął odznakę. Mężczyzna ledwie na nią spojrzał. Jego drugie „Tak?” było cichsze, ostrożne. Miał plamistą, ciasto wata twarz, przekrzywiony nos, kosmyki kędzierzawych, siwiejących włosów sterczące ze skroni, długie baki przechodzące w bezbarwną szczecinę. Wąsy nad spierzchniętymi ustami były jedynym uporządkowanym zarostem na jego twarzy: równą, szarobrazową kreską. Wąskie oczy koloru mocnej herbaty sprawiały wrażenie bardzo czujnych, choć się nie poruszały. Pognieciona, szara koszula i takie same spodnie. Sandały i grube białe skarpety z kurzem i paprochami na czubkach. Tatuże zdobiące mięsiste dłonie mężczyzny znikwały pod rękawami. Czarnoniebieskie, prymitywne i kanciaste. Trudne do odczytania, ale dostrzegłem tam maleńką, wyszczerzoną główkę demona, raczej psotną niż szatańską, kpiącą, kiedy marszczyła się skóra na kłykcium.
- Czy jest Nora Dowd? - spytał Milo. - Nie.
- A Dylan Meserve? - Nie.
- Zna pan Meserve’a?
- Wiem, kto to.
- Niski, niewyraźny głos, sylaby formowane z lekkim opóźnieniem. Prawą dłoń mężczyzna zaciskał na kiju szczotki. W lewej miał koszulę, naciągając ją na wydatnym brzuchu.
- Co pan wie o Meservie? - spytał Milo. Znów zawahanie.
- To jeden ze studentów.
- Nie pracuje tutaj?
- Nie widziałem.
- Powiedziano nam, że jest konsultantem kreatywnym. Brak odpowiedzi.
- Kiedy widział go pan po raz ostatni?
- Drobne, żółte zęby przygryzły spękaną górną wargę.
- Jakiś czas temu.
- Kilka dni?

- - Aha.- Tygodni?

- Może.
- Gdzie jest pani Dowd?
- Nie wiem.
- Nie domyśla się pan?
- Nie, pszešana.
- To pana szefowa?
- Tak, pszešana.
- Może pan spróbuje zgadnąć, gdzie może być? Wzruszenie ramionami.
- Kiedy widział ją pan po raz ostatni?
- Ja pracuję w dzień, ona przychodzi tu wieczorem. Milo wyjął notes.
- Nazwisko, proszę. Brak odpowiedzi.

- Milo przysunął się bliżej. Mężczyzna się cofnął, tak samo jak Ralph Jabber.

- Proszę pana?
- Reynold.
- Imię?
- Reynold. Nazwisko Peaty.
- Reynold Peaty.
- Tak, pszešana.
- Peaty przez dwa „e” czy „e-a”?
- P-E-A-T-Y.
- Pracuje pan tu na cały etat?
- Sprzątam i koszę trawę.
-

- Na cały etat?
- Na pół.
- Ma pan jakieś inne zajęcie?
- Sprzątam w budynkach.
- Gdzie pan mieszka?

- Lewa ręka się zacisnęła. Materiał się napiął.

- Guthrie.
 - Guthrie Avenue w L.A.?
 - Tak, psze pana.
-
- Milo zapytał o dokładny adres. Reynold Peaty zastanawiał się przez chwilę, zanim go podał. Kawałek na wschód od Robertson. Krótki spacer od mieszkania Michaeli Brand przy Holt. Do miejsca morderstwa też blisko.
-
- Wie pan, dlaczego tu jesteśmy?
 - Nie, psze pana.
 - Od jak dawna pan tu pracuje?
 - Pięć lat.
 - A więc zna pan Michaelę Brand.
-
- To jedna z dziewczyn. - Krzaczaste brwi Peaty'ego drgnęły. Materiał na brzuchu napiął się mocniej.
-
- Widział ją pan tu?
 - Kilka razy.
 - Kiedy pracował pan w dzień?
 - Czasami zostaję dłużej - wyjaśnił Peaty. - Jeśli przyjadę późno.
 - Znają pan z nazwiska?
 - To ona zrobiła z nim tamtą rzecz.
 - Tamtą rzecz?
 - Z nim - ciągnął Peaty. - Udawali, że zostali porwani.
 - Ona nie żyje - powiedział Milo. - Ktoś ją zamordował.
-
- Reynold Peaty wysunął dolną szczękę jak buldog, poruszył nią, jakby żuł chrząstkę.
-
- Co pan na to? - spytał Milo.
 - Straszne.
 - Domyśla się pan, kto mógł zrobić coś takiego?

- Peaty potrząsnął głową i przesunął dłonią w górę i w dół kija od szczotki.
- Tak, straszne - przyznał Milo. - Taka ładna dziewczyna... Małe oczy Peaty'ego zwęziły się do samych źrenic.
- Myśli pan, że to on?
-
- - Kto?
-
- Meserve.
- Dlaczego miałbym tak myśleć?
- Pytał pan o niego. Milo czekał.
-
- Peaty obrócił miotłę.
-
- Zrobili to razem. - To?
- Mówili w telewizji.
- Myśli pan, że ich wybryk może mieć związek z morderstwem Michaeli?
- Może.
-
- Dlaczego? Peaty oblizał usta.
- Więcej tu razem nie przyszli.
- Na lekcje aktorstwa - dopowiedział Milo.
- Tak, pszešana.
- Czy przychodzili osobno?
- Tylko on.
- Meserve pojawiał się nadal, ale Michaela nie.
- Tak, pszešana.
- Wygląda na to, że często zostaje pan do wieczora.
- Czasami on tu jest w dzień.
- Meserve?
- Tak, pszešana. - Sam? Przeczenie.
- Z kim?

- Peaty przełożył miotłę z ręki do ręki.
- Nie chcę wpakować się w kłopoty.
- Dlaczego miałoby się tak stać?
- Pan wie.
- Nie wiem, panie Peaty.
- Przez pannę Dowd.
- - Nora Dowd przychodzi tu w dzień z Dylanem Meserve'em.
- Czasami - wymamrotał Peaty. - Ktoś jeszcze?
- Nie, pszešana.
- Oprócz pana.
-
- Wychodzę, kiedy mi mówi, że już dość sprzątanania.
- Co ona i Meserve robią razem? Peaty pokręcił głową.
- Ja pracuję.
- Co jeszcze może mi pan powiedzieć? - dopytywał Milo.
- O czym?
- O Michaeli, Dylanie Mesensie o czymkolwiek, co panu przychodzi do głowy.
- Nic - odparł Peaty.
- A co pan sądzi o oszustwie Michaeli i Dylana? - Milo nie ustępował.
- Było w telewizji.
- Co pan o tym sądzi?
- Peaty próbował żuć wąż, ale ten był przystrzyżony za krótko, żeby złapać go w zęby. Skubnął prawy bak. Spróbowałem przypomnieć sobie, kiedy ostatnio widziałem tak wielkie baki. Na studiach? Na portrecie Martina van Burena?
- Nieładnie jest kłamać - powiedział Peaty.
- Tu się z panem zgodzę. A mnie wszyscy bez przerwy kłamią i bardzo mnie to już wkurza. - Mężczyzna opuścił wzrok na podłogę ganku, a Milo mówił dalej: - Gdzie pan był wczoraj w

nocy, między dwudziestą a drugą?

- W domu.
 - W mieszkaniu przy Guthrie.
 - Tak, psze pana.
 - Co pan robił?
 - Jadłem - odparł Peaty. - Paluszki z kurczaka.
 - Na wynos?
 - Mrożone. Podgrzałem. Piłem piwo.
 - Jakie?
 - Old Milwaukee. Wypiłem trzy. Oglądałem telewizję, potem poszedłem spać.
 - Co pan oglądał?
 - *Family feud*.
 - O której pan zasnął?
 - Nie wiem. Kiedy się obudziłem, telewizor był włączony.
 - O której to było?
-
- Peaty zawiązał włosy baka na palcu.- Może o trzeciej. Godzinę po czasie, jaki określił Milo.
-
- Skąd pan wiedział, że była trzecia?
 - Pytał pan, więc coś powiedziałem. - Ale dlaczego właśnie o trzeciej?
-
- - Czasami kiedy się budzę i patrzę na zegarek, jest trzecia albo trzecia trzydzieści. Nawet jeśli dużo nie piję, muszę wstać. - Peaty znów opuścił wzrok. - Żeby się wysikać. Dwa albo trzy razy.
-
- Nie ma to jak wiek średni - skomentował Milo. Peaty nie odpowiedział.
 - Ile ma pan lat, panie Peaty?
 - Trzydzieści osiem.
 - Młody z pana facet. - Milo się uśmiechnął. Brak odpowiedzi.
 - Jak dobrze znał pan Michaelę Brand?
 - Ja tego nie zrobiłem - wyrzucił z siebie Peaty.
 - Nie pytałem o to.
-
- - Ale wypytuje pan o inne rzeczy. - Pokręcił głową. - Nie chcę już rozmawiać.
 - - To tylko rutynowe pytania - powiedział Milo. - Nie ma powodu... Nadal kręcąc głową, Peaty wycofał się w stronę drzwi.

- Rozmawialiśmy sobie miło - łagodził Milo - potem zapytałem, jak dobrze pan znał Michaelę Brand, a pan nagle nie chce rozmawiać. To tylko wzbudzi moje podejrzenia.
 - Tak nie... - zaczął Peaty, szukając po omacku klamki. Zostawił dębowe drzwi lekko uchylone i klamka była centymetry poza zasięgiem jego ręki.
 - Tak nie co? - drażył Milo.
 - Tak nie można. Mówić, jakbym coś zrobił. - Peaty cofnął się, znalazł klamkę i pchnął drzwi, ukazując dębowe posadzki, ściany i witraże w głębi. - Wypiłem piwo i poszedłem spać.
-
- - Trzy piwa.Brak odpowiedzi.
 - - Niech pan posłucha - zaczął spokojnie Milo. - Nie chciałem pana urazić, ale zadawanie pytań to moja praca.
 - Peaty potrząsnął głową.
 - - Zjadłem i oglądałem telewizję. To nic nie znaczy.
 - Cofnął się do domu; chciał zamknąć drzwi, ale Milo zablokował je stopą. Peaty zeszywniał, ale puścił. Kij od szczotki ścisnął tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. Pokręcił głową; na grube, zaokrąglone ramiona posypały się włosy.
-
- Panie Peaty...
 - Dajcie mi spokój. - To było bardziej skomlenie niż żądanie.
 - Próbuje tylko ustalić podstawowe fakty. Może więc wejdziemy i... Peaty złapał za krawędź drzwi.
-
- - Nie wolno!
-
- Nie możemy wejść?
 - Nie! Zasady! - Czyje?
 - Panny Dowd.
-
- - A może do niej zadzwonię? Jaki ma numer?
-
- Nie wiem.
 - Pracuje pan u niej, ale nie... – Niewierni

- Peaty odskoczył w tył i mocno pchnął drzwi. Milo pozwolił, żeby się zatrzasnęły. Staliśmy na ganku kilka chwil. Po ulicy jeździły samochody.
- - Skąd mogę wiedzieć, czy on tam nie ma sznura i zakrwawionego noża? - burknął Milo. - Ale jak to sprawdzić?
- Milczałem.
- Mógłbyś się odezwać.
- Fakt, facet jest dziwny - przyznałem.
- Tak, tak. Mieszka na Guthrie przy Robertson. Masz przed oczami tę mapkę?
- - Kilka przecznic od Michaeli. Niewiele dalej do miejsca zbrodni. - I do tego jest dziwny.
- Milo obejrzał się na drzwi. Nacisnął dzwonek. Bez odpowiedzi.
- - Ciekawe, o której przyszedł do pracy dzisiaj rano. - Znów nacisnął. Zaczekał. Schował notes. - Z przyjemnością bym się tu rozejrzał, ale nie zamierzam wchodzić od tyłu, żeby jakiś prawnik mógł potem wytknąć nielegalne wtargnięcie. - Wyszczерzył się. - Pierwszy dzień, a ja już fantazjuję o procesie. Dobra, zobaczmy, co da się zrobić w granicach prawa.
- Zeszliśmy z ganku i ruszyliśmy do samochodu.
- To pewnie nic wielkiego, że nie dostaliśmy się do środka - analizował na głos. - Nawet jeśli Peaty to Pan Zły, po co miałby przynosić dowody do pracy? Co o nim sądzisz jako o potencjalnym zabójcy?
- Zdecydowane być może - odparłem. - Rozmowa o Michaeli wyraźnie go zdenerwowała.
- Jakby na nią leciał?
-
- -Była piękną dziewczyną.
- -I zupełnie nie w jego lidze - ocenił Milo. - Praca w otoczeniu niedoszłych gwiazdek mogła być frustrująca dla takiego faceta. Wsiedliśmy do seville'a.
- Kiedy Peaty potrząsał głową sypały się z niego włosy - przypomniałem. - Taki włochaty i niechlujny facet zostawiłby ślady na ciele ofiary, a przynajmniej na miejscu zbrodni.
- Może miał czas posprzątać.
- Może.
- W nocy trochę wiało - powiedział Milo. - Poza tym równie dobrze ten cholerny pudel mógł

złizać wszystkie ślady.

- - Właścicielka pozwoliła mu obwąchiwać ciało? Milo potarł twarz.
- - Właścicielka twierdzi, że odciągnęła psa, kiedy tylko zorientowała się w sytuacji. Mimo to...
- Odpaliłem silnik.

- Muszę uważać, żeby nie skupić się na kimś za wcześnie - stwierdził Milo.
- Masz rację.
- Czasami to robię.

9

- W wydziale komunikacji nie było żadnych pojazdów zarejestrowanych na Reynolda Peaty'ego. Nie miał kalifornijskiego prawa jazdy. Nigdy.

- Ciężko przewieźć ciało bez auta - zauważyłem.
- Ciekawe, czym jeździ do pracy.
- Autobusem, Albo limuzyną.
- Twoje dowcipy są odświeżające. Jeśli okaże się, że warto go dalej obserwować, sprawdzę linie autobusowe. Zobaczę, czy regularnie którąś jeździ. - Zaśmiał się.
- O co chodzi?
- Sprawia wrażenie głupiego i zdziwaczałego, ale pomyśl: zamiata w szkole aktorstwa.
-

- Grał przed nami?
- Cały świat jest sceną - rzucił sentencjonalnie Milo. - Fajnie byłoby mieć scenopis.
- Jeśli grał, dlaczego udawał dziwaka? - spytałem.
- Właśnie... Wracajmy.

- Pojechałem w stronę komisariatu West L.A. Milo zadzwonił do centrali komunikacji miejskiej i dowiedział się, którą linią Peaty jechałby z Pico-Robertson do Domu Gry. Przesiadki i konieczność przejścia kilku przecznic pieszo sprawiały, że półgodzinna wycieczka samochodem zamieniała się w co najmniej półtoragodzinną podróż.

- Honda Michaeli się znalazła? - spytałem.
- Nie... myślisz, że Peaty porwałby dziewczynę z samochodem?
- Oszustwo Michaeli i Dylana mogło podsunąć facetowi kilka pomysłów.
- Życie naśladuje sztukę. - Milo wystukał numer na komórce, zamienił z kimś kilka słów, rozłączył się. - Na razie ani śladu. Ale nie rzucałaby się w oczy. Civic, do tego czarna. Jeśli ktoś zdjął albo zamienił tablice, znalezienie hondy może potrwać bardzo długo.
- Jeśli Peaty jest naszym Złym, może postanowił pojechać dziś rano do pracy samochodem i porzucił go niedaleko Domu Gry - zasugerowałem.
- To by było cholernie głupie.
- Zgadza się.

- Milo przygryzł policzek.
- - Możemy zawrócić? *
- Objechaliśmy okolicę szkoły w promieniu kilometra, przepatrując ulice i zaułki, podjazdy i parkingi. Zajęło nam to ponad godzinę; potem powiększyliśmy zasięg o następny kilometr i poświęciliśmy na to kolejne sto minut. Wypatrzyliśmy sporo hond civic, w tym trzy czarne, wszystkie z prawidłowymi tablicami. Kiedy wracaliśmy na komisariat, Milo zadzwonił do biura koronera - autopsję Michaeli wyznaczono za cztery dni, może dłużej, jeśli nie zmaleje liczba dostarczanych zwłok.
- - Nie da rady przyspieszyć? Tak, tak, wiem... Ale jeśli coś byś zrobił... Byłbym wdzięczny, to może być skomplikowana sprawa. *
- Siedziałem na krześle w małym gabinecie bez okien, Milo próbował sprawdzić Reynolda Peaty'ego w bazach danych. Długo trwało, zanim jego komputer ożył, jeszcze dłużej, zanim na ekranie pojawiły się ikonki. Potem zniknęły, ekran zrobił się czarny i wszystko zaczęło się od początku.
- Czwarty komputer w ciągu ośmiu miesięcy, kolejny używany, tym razem ze szkoły w Pacific Palisades. Ostatnich kilka przekazanych w darowiźnie wytrzymało tyle, ile mleko nieschowane do lodówki. Między Złomem Dwa a Złomem Trzy Milo za własne pieniądze kupił drogiego laptopa; awaria instalacji elektrycznej komisariatu spaliła mu twardy dysk. Kiedy komputer zgrzytając, startował, Milo się zerwał, wymamrotał coś o „zaawansowanym wieku średnim” i „kanalizacji”, potem wyszedł na kilka minut. Wrócił z dwoma kubkami kawy, jeden podał mnie, napił się ze swojego, wyciągnął tanią cygaretkę z szuflady biurka i wsadził niezapalona między siekacze. Bębniąc palcami, wpatrywał się w ekran. Przygryzł za mocno, złamał cygaro, wytarł tytoniowe trociny z ust. Wyrzucił nikaragu-ańskiego uspokajacza i wyjął następnego. Palenie było zabronione w całym budynku. Milo czasami jednak puszcza dymek. Dzisiaj był zbyt podenerwowany, żeby rozkoszować się łamaniem prawa. Kiedy komputer z trudem wracał do życia, Milo przejrzał wiadomości, a ja przeczytałem wstępne ustalenia w sprawie Michaeli Brand, obejrzałem zdjęcia z miejsca zbrodni. Piękna, złocista twarz nabrała szarozielonego koloru. Milo skrzywił się, kiedy ekran na przemian rozjaśniał się i ciemniał.
- - Jeśli chcesz przetłumaczyć *Wojnę i pokój*, nie krępuj się.
- Skosztowałem kawy, zamknąłem oczy i spróbowałem o niczym nie myśleć. Przez ściany

dobiegały mnie dźwięki, zbyt niewyraźne, żeby je sklasyfikować. Gabinet Milo znajduje się na końcu korytarza na pierwszym piętrze, daleko od sali detektywów. To nie jest kwestia braku miejsca: to Milo odizolowano. Figurując w kadrach jako porucznik, nie ma obowiązków administracyjnych i dalej zajmuje się rozwiązywaniem spraw. To część umowy, jaką zawarł z byłym szefem policji. Polityczne zagranie, dzięki któremu szef mógł przejść na emeryturę bogaty i nie niepokojony zarzutami natury kryminalnej, Milo zaś został w departamencie. Jak długo ma wysoki współczynnik zamkniętych spraw i nie obnosi się ze swoją orientacją seksualną, nikt mu nie przeszkadza. Ale nowy szef zapowiada duże zmiany i Milo czeka na pismo, które zburzy jego życie. Tymczasem pracuje. Wrr, wrr, burp, klik, pstryk. Wyprostował się.

- - Dobrze, jedziemy... Wystukał coś na klawiaturze.
- - Nie ma danych w bazie hrabstwa... sprawdzmy NCIC. Dalej, maleńka, pokaż wujkowi Milowi...

- Wcisnął klawisz i stara drukarka igłowa na podłodze zaczęła wypluwać papier. Milo wyrwał wydruk, oderwał perforowaną krawędź, przeczytał, podał mi kartkę. Reynold Peaty zbierał cztery wyroki w Nevadzie. Włamanie trzynaście lat temu w Reno, podglądanie trzy lata później w tym samym mieście, star-gowane na picie w miejscu publicznym i zakłócanie porządku, dwa razy jazda po pijanemu w Laughlin, siedem i osiem lat temu.

- Wciąż pije - powiedziałem. - Przyznał się do trzech piw. Długotrwały problem alkoholowy mogłby wyjaśniać brak prawa jazdy.
- Podglądacz z pociągiem do gorzały. Widziałeś te tatuaże?
- Siedział. Ale ma czyste konto, odkąd przekroczył granice stanu pięć lat temu.

- Imponuje ci to? - Nie.
- A mnie tak - stwierdził Milo. - Połączenie włamania i podglądactwa.

- Włamywanie się go podnieca - powiedziałem. - Badania porównawcze DNA robią z włamywaczy gwałcicieli.
- Gorzała, żeby obniżyć próg zahamowań, młode, seksowne dziewczyny paradujące w tę i z powrotem. Urocza kombinacja.

- *
- Pojechaliśmy do mieszkania Reynolda Peaty'ego na Guthrie Avenue, mierząc po drodze czas potrzebny na pokonanie odległości z miejsca znalezienia zwłok. Przy średnim natężeniu ruchu jechaliśmy schludnymi, obsadzonymi drzewami ulicami Beverlywood zaledwie siedem minut. Po zmroku trwałoby to jeszcze krócej. Pierwszy kwartał na wschód od Robertson

zajmowały bloki i już nie było tam tak ładnie. Mieszkanie Peaty'ego znajdowało się na piętrze dwukondygnacyjnego pudła w kolorze popiołu. Gospodarzem domu była siedemdziesięcioletnia kobieta Ertha Stadlbraun. Wysoka, koścista, ze skórą koloru gorzkiej czekolady i ondulowanymi siwymi włosami.

- - Ten biały wariat - powiedziała.
- Zaprosiła nas do swojego mieszkania na parterze na herbatę i posadziła na cytrynowożółtej, aksamitnej kanapie. W salonie panował porządek - oliwkowy dywan, ceramiczne lampy, bibeloty na półkach. Wszędzie stały meble w typie nazywanym kiedyś śródziemnomorskim. Ścianę nad kanapą zajmował portret Martina Luthera Kinga wśród szkolnych zdjęć tuzina uśmiechniętych dzieci. Ertha Stadlbraun otworzyła nam w podomce. Przeprosiła na chwilę, zniknęła w sypialni i wróciła ubrana w niebieską sukienkę w zegary oraz
- dopasowane czółenka na grubych obcasach. Zapach jej perfum przywodził na myśl stoisko z kosmetykami w średniej wielkości domu towarowym z mojego dzieciństwa spędzonego na Środkowym Zachodzie. Matka nazywała to wodą toaletową.
- Dziękujemy za herbatę - odezwał się Milo.
- Nie za zimna?
- Doskonała. - Na potwierdzenie upił łyk pomarańczowej pekoe. Spojrzał na szkolne zdjęcia. - Wnuki?
- Wnuki i chrześniaki - wyjaśniła Ertha Stadlbraun. - I dwoje dzieci sąsiadów, które wychowałam, kiedy ich matka młodo umarła. Na pewno nie chcecie panowie cukru? Albo owoców, ciastek?
- - Nie, dziękujemy, pani Stadlbraun. To bardzo miłe z pani strony.
- Co takiego?
- Że zaopiekowała się pani dziećmi sąsiadki.
- Ertha Stadlbraun skromnie machnęła ręką i sięgnęła po cukierniczkę. - Przy moim poziomie glukozy nie powinnam tego robić, ale trudno... - Dwie czubate łyżki białego proszku posypały się do filiżanki. - A więc czego chcecie się panowie dowiedzieć o białym wariacie?
- - Jak bardzo jest zwariowany.
- Stadlbraun wyprostowała się, wygładziła sukienkę na kolanach.

- Może wyjaśnię, dlaczego podkreśliłam, że jest biały. Nie dlatego, że mi to przeszkadza. Ale tutaj to jedyny biały człowiek.
- Rzadkość - skwitował Milo.
- Zna pan tę okolicę? - Kiedy przytaknął, mówiła dalej: - Niektóre domy jednorodzinne znów robią się białe, ale pod wynajem biorą sami Meksykanie. Raz na jakiś czas trafia się hipis bez karty kredytowej, który chce coś wynająć. Najwięcej jest Meksykanów. Całe fale. W naszym budynku z czarnych mieszkam ja, pani Lowery i państwo Johnsonowie, bardzo starzy. Reszta to Meksykanie. Oprócz niego.
- Są z nim problemy?
- Ludzie uważają, że jest dziwny. Za cichy. Nie da się z nim pogadać.
- W ogóle się nie odzywa?
- Nie patrzy nikomu w oczy - powiedziała Ertha Stadlbraun. - Wszystkich to denerwuje.
- Aspołeczny typ - stwierdziłem.
- Sąsiadom mówi się „dzień dobry”, bo człowiek zna dobre maniery. Ale on się nie nauczył i nie wie, że uprzejmość każe odpowiedzieć. Czai się, przemyka... o, to dobre słowo. Przemyka. Jak ten lokaj w serialu...
- *Rodzina Addamsów* - podpowiedział Milo. - Lurch.
-
- Może i Lurch. Chodzi mi o to, że on zawsze przemyka ze spuszczoną głową, gapi się w ziemię, jakby szukał skarbów. - Stadlbraun wysunęła głowę do przodu jak żółw, zgięła mocno szyję i wbiła wzrok w dywan. - O tak. Nie mam pojęcia, jakim cudem on widzi, dokąd idzie.
-
- Robi coś jeszcze, co panią niepokoi?
- Pana pytania mnie niepokoją.
- Cóż, rutyna... Czy on...?
-
- - Nic takiego nie robi. Po prostu jest dziwny.
-
- Dlaczego wynajęła mu pani mieszkanie?
- To nie ja. Już tu mieszkał, kiedy się wprowadziłam.
- Kiedy to było?
-
- Przyjechałam tu niedługo po śmierci męża, cztery lata temu. Miałam własny dom w Crenshaw, w ładnej okolicy, potem zrobiło się tam gorzej, teraz znów jest ładnie. Kiedy Walter zmarł, pomyślałam: po co mi tyle miejsca, wielkie podwórko, o które trzeba dbać. Wygadany pośrednik dał cenę, która wydawała się dobra, więc sprzedałam. Duży błąd. Przynajmniej

zainwestowałam pieniądze, myślałam o kupnie nowego domu. Może w Riverside, gdzie mieszka moja córka, tam jest taniej. - Przyklepała włosy. - Na razie tkwię tutaj, a to, co mi płacą, wystarcza na wydatki. I jeszcze trochę zostaje.

- Kim są „oni”?
- Właściciele. Dwaj bracia, bogate dzieciaki, odziedziczyli budynek po rodzicach, całe mnóstwo innych też.
- Pan Peaty płaci czynsz w terminie?
- To jedyna rzecz, jaką robi - mruknęła Stadlbraun. - Pierwszego każdego miesiąca, przekazem pocztowym.
- Do pracy chodzi codziennie? Kobieta przytaknęła.
- Dokąd?
- Nie mam pojęcia.
- Przyjmuje czasami gości?
- On? - Zaśmiała się. - A niby gdzie miałby przyjmować? Gdybym mogła pokazać panu jego mieszkanie... to klitka. Kiedyś była tam pralnia, potem właściciele przerobili ją na kawalerkę. W środku ledwie mieści się łóżko, elektryczna maszynka do gotowania, mały telewizor i szafka.
- Kiedy ostatnio tam pani była?
- Chyba ze dwa lata temu. Zapchała mu się toaleta, więc wezwałam hydraulika. Już miałam zwalić winę na lokatora... wie pan, ludzie czasem zapychają sedes. - Opuściła z żalem oczy. - Okazało się, że to filc.
-
- Kiedy przerabiali pralnię na mieszkanie, nikomu nie przyszło do głowy, żeby przeczyścić kratki. Filc się pozbijał, przemieścił i narobił okropnego bałaganu. Pomyślałam wtedy, że to straszna klita. Jak można w ogóle tak mieszkać?
- - Prawie jak cela - zauważył Milo.
- - A żeby pan wiedział. - Stadlbraun zmrużyła oczy. Wyprostowała się. Skrzyżowała ręce na piersi. - Powinien pan mi od razu powiedzieć, młody człowieku.

- O czym?
- To były skazaniec, tak? Za co trafił za kratki? Co takiego zrobił teraz, że o niego pytacie?
- - Nic, proszę pani. Musimy po prostu zadać kilka pytań.
- - Da pan spokój - burknęła Ertha Stadlbraun. - Bez mydlenia oczu.- Na tym etapie...
- - Młody człowieku, nie zadaje mi pan tych pytań, bo Peaty chce kandydować na prezydenta. Co zrobił?
- Nic, o czym byśmy wiedzieli. Taka jest prawda, pani Stadlbraun. - Ale o coś go podejrzewacie.
- Naprawdę nie mogę powiedzieć ani słowa, pani Stadlbraun.
- To nie w porządku. Pan musi chronić obywateli, więc powinnam wiedzieć, o co chodzi. To wariat i były skazaniec, a mieszka w jednym budynku z porządnymi ludźmi.
- Proszę pani, on nic nie zrobił. Prowadzimy wstępne dochodzenie. Rozmawiamy z kilkoma osobami.
- Skrzyżowała ramiona na piersi.
- Jest niebezpieczny? Proszę odpowiedzieć: tak albo nie.
- Nie ma powodu przypuszczać, że...
- Tak mówią prawnicy. A jeśli on jest bombą zegarową? Najpierw cichy i spokojny, potem wybucha. Niektórzy Meksykanie mają dzieci. A jeśli to zboczeniec...
- Dlaczego tak pani sądzi?
- Zboczeniec? A więc o to chodzi?
- Nie, proszę pani, i...
- Co chwila mówią w wiadomościach o zboczeńcach. Za moich czasów tak nie było. Skąd oni wszyscy się wzięli?
- Milo nie odpowiedział. Ertha Stadlbraun pokręciła głową.
- - Jak go widzę, przechodzą mnie ciarki. A teraz pan mówi, że to skazany pedofil.

- Milo się nachylił.
 - - Z całą pewnością nic takiego nie powiedziałem. Byłoby bardzo źle, gdyby zaczęła pani rozsiewać takie plotki.
 - - A co? Mógłby mnie pozwać?
 - - Pan Peaty nie jest o nic podejrzany. Może być świadkiem, a nawet tego nie wiemy na pewno. Przeprowadzamy wywiad środowiskowy. Jak zawsze, żeby niczego nie przeoczyć. Najczęściej do niczego to nie prowadzi.
 - Ertha Stadlbraun zastanowiła się nad tym przez chwilę.
-
- Ależ ma pan robotę - mruknęła w końcu. Milo stłumił uśmiech.
 - Gdyby coś pani groziło, na pewno bym panią ostrzegł. Przysięgam. Znow przyklepała włosy.
-
- - Cóż, nie mam panu nic więcej do powiedzenia. Nie chciałabym rozsiewać plotek.
 - Wstała.
-
- Mogę zadać jeszcze kilka pytań?
 - Jakich?
-
- - Czy po powrocie z pracy Peaty znów gdzieś wychodzi? Stadlbraun westchnęła.- To niewinny baranek, ale chcecie znać jego rozkład dnia... Och, nie ważne... widzę, że nie powie mi pan prawdy.
 - Odwróciła się do nas plecami.
-
- Wychodzi? - powtórzył pytanie Milo.
 - Nie widziałam, nie podglądam.
-
- - A wczoraj wieczorem? Spojrzała na nas z niesmakiem.
-
- Byłam zajęta gotowaniem. Trzy całe kurczaki, fasola z cebulką, słodkie ziemniaki, sałatka z boczkiem, cztery ciasta. Zamrażam sobie jedzenie na początku tygodnia, żeby mogła odpocząć, kiedy przyjeżdżają dzieci. W niedzielę rano przed kościołem wyjmuję z lodówki, potem podgrzewam i mam porządny obiad, a nie tłustą mrożonkę.
 - A więc nie zaobserwowała pani, o której wrócił pan Peaty.

- Nigdy nie obserwuję - odparła. - Nigdy?
- Czasami widuję go przypadkiem.
- O której zazwyczaj wraca z pracy?
- O szóstej, siódmej.
- A w weekendy?
-

- -Z tego co wiem, w weekendy siedzi w domu. Ale nie przysięgnę, że nigdy nie wychodzi. Nie wpadłby powiedzieć „dzień dobry”. Chodzi z oczami wbitymi w ziemię, jakby liczył mrówki. Z całą pewnością nie mogę stwierdzić, co się z nim działo wczoraj wieczorem. Kiedy gotowałam, miałam włączoną muzykę. Potem obejrzałam wiadomości, potem *Essence Awards*, rozwiązałam krzyżówkę i poszłam spać. Jeśli więc szukacie u mnie alibi dla tego czubka, możecie dać sobie spokój.

10

- Bardzo wiele zrobiono w dziedzinie profilowania geograficznego - przestępcy zazwyczaj trzymają się blisko domu. Jak każda teoria, tak i ta czasami się sprawdza, a czasami nie i zdarza się, że mordercy grasują na międzystanówkach albo wyjeżdżają daleko, żeby ustanowić swoją strefę z dala od oczu ciekawskich.
- Biorąc pod uwagę rzekome zasady ludzkiego zachowania, trzeba mieć szczęście, żeby dostrzec przypadkowe działania. Ale odległości czterech minut jazdy z mieszkania Peaty'ego do Michaeli Brand na Holt nie można było zignorować. Przed jej kamienicą jasnozielonym paskudztwem z lat pięćdziesiątych, za poplamionym olejem betonowym placem stała wiata parkingowa. Sześć miejsc, tylko jedno zajęte przez zakurzonego, brązowego dodge'a minivana. Fasadę zdobiły dwa oliwkowozielone „brylanty”. Drobiniki w stiuku odbijały popołudniowe promienie słońca. Straszny kicz. Na szeregu skrzynek pocztowych wmurowanych w ścianę na południe od parkingu nie było nazwisk, tylko numery mieszkań. Bez oznaczenia, gdzie mieszka gospodarz. Milo zajrzał przez szparę w zamkniętą przegródkę Michaeli.- Sporo tam rzeczy. Mieszkanie dziewczyny znajdowało się z tyłu. Żaluzjowe okna, równie stare, jak budynek, kusily włamywaczy. Szklane panele były zamknięte, ale zielone zasłony zostawiono lekko rozchylone. W mrokach wnętrza wyraźnie rysowały się kształty mebli. Milo zaczął pukać do kolejnych drzwi.

- Jedynym obecnym lokatorem była dwudziestokilkuletnia kobieta w peruce koloru brandy i dżinsowym bezrękawniku do pół łydki, włożonym na biały sweter z długim rękawem. Na widok peruki pomyślałem o chemioterapii, ale kobieta miała spore piersi, a szare oczy czyste. Jej lekko piegowata cera przypominała karnację Michaeli Brand. Otwartą twarz teraz ściągnęło zaskoczenie. Zwróciłem uwagę na pejsy i jarmułkę na głowie wierzącego się, jasnowłosego chłopczyka, którego trzymała na rękach, i zrozumiałem: ortodoksyjnym żydówkom skromność nakazuje ukrywać naturalne włosy. Na widok odznaki przycisnęła chłopca mocniej do piersi.- Tak? Ręce i nogi chłopca wystrzeliły jednocześnie na boki; prawie go upuściła. Wyglądał na

trzylatka. Przysadzisty i krępy, wykręcał się i obracał, cicho powarkując.

- - Uspokój się, Gerszi Joelu! Chłopiec pomachał pięścią.- Bohaterski bohater Jehuda! Padaj, słoni! - Znów zaczął się wiercić. Kobieta w końcu się poddała i postawiła go na podłodze. Chłopiec podskoczył, zawarczał i spojrzał na nas.
- - Padaj!

- Gerszi Joelu, idź do kuchni i weź sobie ciastko, ale tylko jedno. I nie obudź dzieci!
- Bohaterski bohater! Jehuda HaMakabi nadzieje cię na włócznię, zły Greku!

- - Idź już, bądź grzeczny, bo nie dostaniesz ciastka!- Grr!
- Gerszi Joel odbiegł wzdłuż ścian zastawionych półkami. Książki leżały na wszystkich stołach i na kanapie. Całą pozostałą przestrzeń zajmowały kojce, zabawki i paczki jednorazowych pieluch. Krzyki chłopca ucichły.

- Ciągle jeszcze świętuje - wyjaśniła młoda kobieta.
- Chanukę? - spytał Milo. Uśmiechnęła się.

- Tak. Wydaje mu się, że jest Jehuda... Juda Machabeuszem. To główny bohater historii Chanuki. Słóń pochodzi z opowieści o jednym z jego braci... - Przerwała, zaczerwieniła się. - W czym mogę panom pomóc?
- Chodzi nam o jednego z sąsiadów, pani...
- Winograd. Szandla Winograd.

- Milo poprosił, żeby przeliterowała, i zapisał.

- Potrzebuję pan moich danych? - spytała.
- To formalność.
- O których sąsiadów, punkrockowców?
- Którzy to punkrockowcy?

- Szandla wskazała mieszkanie na piętrze dwoje drzwi dalej.

- Tam, pod czwórką. Jest ich trzech, wydaje im się, że są muzykami. Mąż mówi, że to punkrockowcy, ja się na tym nie znam. - Zatkaną uszy.
 - Problemy z hałasem? - spytał Milo.
 - Kiedyś były - odparła. - Wszyscy poskarżyli się właścicielowi i już jest w porządku... przepraszam na chwilę, muszę zajrzeć do dzieci, proszę wejść.
-
- Zdjęliśmy z brązowej, sztruksowej kanapy oprawione w imitację skóry książki ze złotymi tytułami po hebrajsku. Szandla Winograd wróciła.
-
- Śpią, *boruch*. Dzięki Bogu.
 - Ile ich jest? - spytał Milo.
 - Bliźniaki - odparła. - Siedem miesięcy.
 - *Mazel tov* - powiedział. - Trójka to sporo roboty. Szandla Winograd się uśmiechnęła.
-
- - Z trójką byłoby łatwo. Mam sześcioro, cztery są w wieku szkolnym. Gerszi Joel powinien być w szkole, ale rano kaszlał. Pomyślałam, że się przeziębził. A potem, kto by się spodziewał, cudownie mu się polepszyło.
 - - Nieodgadnione są ścieżki Pana - skwitował Milo. Uśmiech Szandli stał się szerszy.
-
- Może powinnam poprosić, żeby porozmawiał pan z nim o uczciwości... A więc są problemy z tymi punkrockowcami?
-
- Chodzi o pannę Brand, lokatorkę spod numeru trzy.
 - Modelkę? - spytała Szandla Winograd.
 - Pozowała?
-
- - Tak na nią mówię, bo wyglądała jak modelka. Ładna, bardzo chuda. W czym problem?
 - - Niestety, zeszłej nocy została zamordowana. Dłoń Szandli Winograd skoczyła do ust.
 - - O mój Boże... O nie. - Sięgnęła za siebie, zdjęła zabawkową ciężarówkę z fotela, usiadła.
 - - Kto to zrobił?
-
- Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć, pani Winograd.
 - Może jej chłopak?
 - Kto to?

- Też taki chudy.
- Milo wyjął z nesesera zdjęcie Dy lana Meserve'a, zrobione po pozorowanym porwaniu.
- Winograd zerknęła na nie.
- To on. Został aresztowany? To przestępca?
- On i panna Brand popełnił pewne wykroczenie... Pisały o tym gazety.
- Nie czytujemy gazet. Jakie wykroczenie? Milo streścił historię o pozorowanym porwaniu.
- Po co mieliby to robić? - spytała.
-
- Chcieli chyba zdobyć rozgłos - powiedział Milo. Spojrzała na niego pustym wzrokiem, więc dodał: - Żeby zrobić karierę aktorską.
- Nie rozumiem.
- To trudno zrozumieć, proszę pani. Myśleli, że dzięki temu zostaną zauważeni w Hollywood. Dlaczego uważa pani, że Meserve mógł skrzywdzić pannę Brand?
- Czasami na siebie wrzeszczeli.
- Słyszała to pani tu, na piętrze?
- Głośno wrzeszczeli.
- O co im chodziło?
- Szandla Winograd pokręciła głową.
- Nie słyszałam słów, tylko krzyki.

- Często się kłócili?
- Czy on jest złym człowiekiem? Niebezpiecznym?
- Nic pani nie grozi. Jak często się kłócili?
- Nie wiem... On tu nie mieszkał, tylko przyjeżdżał.
- Jak często?
- Raz na jakiś czas.

•

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni? Zamyśliła się.
- Kilka tygodni temu.
- Kiedy ostatni raz doszło do awantury?

- - Jeszcze dawniej... Miesiąc, może dłużej. - Wzruszyła ramionami. - Przykro mi. Staram się nie zwracać uwagi na takie rzeczy.

- Nie chce pani być wścibska - powiedział Milo.
- Nie chcę w moim życiu *nahrish*... głupot.
- A więc Meserve'a nie było tu od kilku tygodni.
- Co najmniej - potwierdziła Szandla Winograd.
- A kiedy po raz ostatni widziała pani Michaelę Brand?

- - Niech pomyślę... jakiś czas temu. Ale zazwyczaj wracała do domu późnym wieczorem. Zauważałam ją tylko wtedy, kiedy wychodziłam gdzieś z mężem, a to nieczęsto.

- Dzieci.
- Tak, wcześniej wstają i ciągle czegoś potrzebują.
-

- Nie wiem, jak pani sobie daje radę.
- Skupiam się na tym, co ważne. Milo pokiwał głową.

- - A więc nie widziała pani ostatnio panny Brand. A może przypomina sobie pani coś szczególnego?
- Młoda kobieta odgarnęła z twarzy kosmyk sztucznych włosów sztywnych od lakieru.- Naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej. Nie chcę składać fałszywych zeznań. Milo stłumił uśmiech. Młoda kobieta pokręciła głową.
- Wychodzę w dzień. Do pracy. Po prostu nie zauważam rzeczy, które nie są ważne.
- Z szóstką dzieci ma pani czas na pracę?
- - W przedszkolu, zostaję pół dnia. Straszne, co ją spotkało... Czy to przez to, jak żyła?
- - Co pani ma na myśli?
- - Nie chcę jej obrażać, ale my żyjemy tak, a oni inaczej.- Oni?
- Świat na zewnątrz. - Szandla Winograd poczerwieniała. - Przepraszam. Mój mąż mówi, że każdy powinien zajmować się swoimi sprawami, a nie tym, co robią inni.
- Pani mąż jest rabinem?
- - Tak, ale nie pracuje jako rabin. Przez pół dnia zajmuje się księgowością, przez drugie pół się uczy.
- - Czego?
- Szandla Winograd znów się uśmiechnęła.
- Tory, judaizmu. Chodzi do *kollel*, to coś jak studium podyplomowe.
- Zdobywa stopień naukowy - sprecyzował Milo.
- Robi to dla samej nauki.
- - Aha... W każdym razie macie państwo sporo na głowie... Proszę mi opowiedzieć o trybie życia Michaeli Brand.
- Cóż... normalny tryb życia. Tak się teraz żyje w Ameryce.
- To znaczy?

- - Obcisłe ubrania, krótkie spódniczki, bez przerwy wychodziła.- Z kim?
- - Widziałam tylko tego ze zdjęcia. Czasami wychodziła sama. - Spandla Winograd zamrugęła. - Kilka razy mówiłyśmy sobie „dzień dobry”. Powiedziała, że mam uroczę dzieci. Raz dała Chaimowi Szolomowi, mojemu sześciolatkowi, batonika. Wzięłam go, bo nie chciałam jej urazić, ale nie
- był koszerny, więc oddałam Meksykance, która pracuje w żłobku... Zawsze uśmiechała się do dzieci. Robiła wrażenie miłej dziewczyny. - Głębokie westchnienie. - Co za tragedia dla jej rodziny.
- Mówiła o swojej rodzinie?
- Nie. Nigdy nie rozmawiałyśmy. Tylko „dzień dobry” i uśmiech. Milo schował notes. Nic nie zapisał.
- Może mi pani powiedzieć coś jeszcze?
- Na przykład co?
- Co pani przychodzi do głowy.
-
- Nie, to wszystko. - Szandla Winograd znów mocno się zaczerwieniła. - Piękna dziewczyna, ale było mi jej żal. Pokazywała bardzo dużo... siebie. Wydawała się miła. Uśmiechała się do dzieci. Raz dałam jej jedno do potrzymania, bo wsiadałam do samochodu i miałam dużo pakunków.
- A więc nie było z nią żadnych problemów.
- Nie, nie, ani trochę. Miła dziewczyna. Po prostu było mi jej żal, to wszystko.
- Dlaczego?

- Mieszkała sama. Ciągle wychodziła. Ludzie myślą, że mogą robić, co chcą, ale świat jest niebezpieczny. Mamy dowód, prawda?
- Z sypialni dobiegł płacz.- Oho.Poszliśmy za kobietą do pokoju trzy na trzy metry, zajętego przez dwa łóżeczka. Ich mieszkańcami były bliźnięta, czerwone z oburzenia i, sądząc po zapachu, wymagające zmiany pieluch. Gerszi Joel skakał jak piłka i próbował staranować matkę, kiedy przewijała maluchy.
- Przestań! Ci panowie są z policji i jeśli nie będziesz grzeczny, zabiorą cię do Beis Hasohar jak Josefa Awinu. - Chłopiec zawarczał, więc znów dała mu burę: - Beis Hasohar, nie żartuję, ty urwisie. - Do nas: - To więzienie. Josef... biblijny Józef trafił tam na siedem lat, zanim faraon go uwolnił.
- Co zrobił? - spytał Milo.
- Nic - odparła Szandla. - Ale został oskarżony. Przez kobietę. - Zwinęła brudną pieluchę, wytarła ręce. - Zło. Nawet wtedy było zło.
- *
- Milo zostawił swoją wizytówkę w innych mieszkaniach. Kiedy zeszliśmy na parter, listonosz rozdzielał właśnie pocztę.
- - Dzień dobry - odezwał się Milo.
- Listonosz był siwowłosym Filipińczykiem, niskim i szczupłym. Jego furgonetka z logo poczty stała przy krawężniku. W prawej dłoni trzymał jeden
- z kilku kluczy przymocowanych do łańcucha przy pasie, a lewą przyciskał do piersi związane gumkami pliki listów.
- Dobry - odpowiedział. Milo się przedstawił.
- Jak wygląda sytuacja pod numerem trzecim?
- To znaczy?
- Kiedy ostatni raz skrzynka była opróżniana? Listonosz otworzył skrzynkę Michaeli.

- - Wygląda na to, że dawno. - Puścił łańcuch z kluczami i zaczął rozdzielać pliki listów. - Dzisiaj mam dla niej dwa. To nie jest moja regularna trasa... Na szczęście nic więcej, bo nie zostało tam dużo miejsca.
- Milo wskazał koperty.
- Mogę zerknąć?
- Wie pan, że mi nie wolno. - Listonosz pokręcił głową.
- - Nie będę otwierać - zapewnił Milo. - Wczoraj dziewczyna została zamordowana. Chcę zobaczyć, kto napisał.
- Zamordowana? - Tak.
- To nie jest moja regularna trasa.
- Już pan mówił.
- Listonosz zawahał się, podał koperty. Reklama kredytów budowlanych na niski procent i kupon O_{STATNIA SZANSA!} na subskrypcję pisma „InStyle”. Milo oddał listy.
- A to w środku? - wskazał skrzynkę.
- To własność prywatna - odparł listonosz.
- Co się stanie, jeśli za kilka dni nie będzie już miejsca?
- Zostawimy awizo.
- Dokąd trafia poczta?
- Zostaje w urzędzie.
- Mogę dostać nakaz, przyjść i wszystko pootwierać.
- Skoro pan tak twierdzi.
- - Chcę tylko zerknąć na koperty, które tam już są. Skoro skrzynka jest otwarta...
- - Prywatność...
- - Kiedy zabili tę dziewczynę, straciła swoją prywatność.
- Listonosz bardzo ostentacyjnie ignorował nas, dostarczając pocztę pozostałym lokatorom. Milo sięgnął do skrzynki numer trzy, wyjął gruby plik listów, tak upchniętych, że nie chciały wyjść, i zaczął je przeglądać.

- Głównie śmieci... kilka rachunków... wezwanie do zapłaty z gazowni, czyli zalegała... tak samo z telefonem. - Przyjrzał się stemplom pocztowym. - Sprzed dziesięciu dni. Wygląda na to, że nie pokazywała się tu już długo, zanim zginęła.
- Mało prawdopodobne, że wyjechała na wakacje - wtrąciłem. - Była splukana.

- Milo popatrzył na mnie. Obaj pomyśleliśmy o tym samym. Może ktoś ją przez jakiś czas więził.

11

- Siedzieliśmy w samochodzie przed blokiem Michaeli. - Dylan Meserve wyniósł się ze swojego mieszkania kilka tygodni temu - powiedziałem. - Sąsiadka słyszała, jak kłócił się z Michaelą, a mnie Michaela powiedziała, że go nienawidziła.

- Może przyjechał i ją porwał - zasugerował Milo.
- Zabrał na następną przygodę. - Przestępca seksualny Peaty? Może to on zwinął ich oboje.

- Jeśli Peaty kogokolwiek porwał, nie zabrał ofiary do swojego mieszkania - stwierdziłem. - Nie ukryłby tego przed panią Stadlbraun i innymi lokatorami.

- Za małe, żeby przyjmować gości.
- Jednak to właśnie on był karany.

- I jest dziwny. Mamy więc dwie przegródki na priorytety.

- Kawa otworzyłaby mi oczy - mruknął Milo, kiedy ruszyliśmy.

Zatrzymałem się przy lokalu Bundy na Santa Monica. Na serwetce nagryzmołem wszystkie ewentualności, jakie widziałem, i podsunąłem ją Milowi.

7. Dylan Meserve porywa i morduje Michaelę, a potem ucieka.

1. *Reynold Peaty porywa i morduje Michaelę i Dylana.*
2. *Reynold Peaty porywa i morduje Michaelę, a zniknięcie Dylana to zbieg okoliczności.*
- 3.

4. Nic z powyższych.

- Najbardziej podoba mi się to ostatnie.

Milo pomachał na kelnerkę, zamówił placek z orzechami pekana a la modę. Pożarł większość porcji w trzech kęsach, resztę zaczął skubać w skupieniu, jakby to dowodziło, że umie się pohamować.

- Zadzwońm wczoraj jeszcze raz do matki Michaeli. Mówiła tylko o sobie, jaka to ona biedna. Jest chora, nie da rady przyjechać po zwłoki. Może to i prawda, strasznie charczała.

Streściłem mu opowieść Michaeli o jej dzieciństwie.

- Brzydkie kaczątko? - spytał. - Każda piękna dziewczyna tak mówi... Może tamta żydówka miała rację, mówiąc o trybie życia swojej sąsiadki.
- Michaela zachorowała na Hollywood.
- Wiesz, czym taka choroba się kończy dla dziewięćdziesięciu dziewięciu koma dziewięć procent tych, którzy dostają kopa w dupę. Pytanie tylko, czy właśnie to załatwiło Michaelę, czy miała po prostu pecha.
- Na przykład wpadła na Peaty'ego.
- Milo zjadł ostatni kawałek ciasta, otarł usta, położył na stole o wiele za dużą sumę i wygramolił się z budki.
- - Muszę wracać do kopalni soli. Mam dużo nudnych spraw do załatwienia. „Nudne” to jego słowo klucz, oznaczające „chcę być sam”. Odwiozłem Mila na komisariat i pojechałem do domu.
- Tego wieczoru morderstwo Michaeli było głównym tematem wszystkich lokalnych wiadomości; prezenterzy prawie z uśmiechem opowiadali o „wstrząsającej zbrodni” i kpiąco odgrzebywali poważne wspomnienia o „wybryku” Michaeli i Dylana. Meserve'a określano jako „osobę poszukiwaną, ale nie podejrzanego”. Implikacje tego były jasne, jak zawsze, kiedy policja używa takiego zwrotu. Wiedziałem, że Milo im tego nie powiedział. Pewnie jakiś oficer od kontaktów z mediami wydał kolejne oświadczenie spod sztancy. Następnego dnia poranna gazeta opisała morderstwo na trzeciej stronie, poświęcając na to pięć razy więcej farby drukarskiej niż na pozorowane porwanie i ozdabiając tekst dwoma zdjęciami Michaeli: niewyraźnym zbliżeniem zrobionym przez fotografa, który dziesiątkami tłukł podobizny młodych

nadziei Hollywood, i policyjnym portretem z aktów po jej zatrzymaniu. Zastanawiałem się, czy zdjęcia pojawią się w tabloidach lub Internecie. Jednym ze sposobów zdobycia sławy jest umrzeć nie tak, jak trzeba. Milo tego dnia już się nie odzywał do mnie; doszedłem do wniosku, że zaczną dzwonić ludzie i albo dowie się dużo, albo nic. Zająłem się szlifowaniem swoich raportów, pomyślałem o kupnie psa, wziąłem sprawę poleconą mi przez adwokatkę Erice Weiss. Weiss założyła sprawę przeciwko psychologowi z Santa Monica, Patrickowi Hauserowi, o molestowanie trzech pacjentek, które przychodziły na jego terapie grupowe. Istniała szansa, że sprawa skończy się ugodą i nie będzie trzeba stawiać się w sądzie. Wynegocjowałem wysoką stawkę godzinową i ogólnie byłem zadowolony z siebie. Sprawdziłem adres gabinetu Hausera. Róg Santa Monica i Siódmej. Allison również miała praktykę w Santa Monica, kilka kilometrów dalej przy Montana. Zastanawiałem się, czy znała Hausera. Przyszło mi do głowy, żeby do niej zadzwonić. Uznałem, że może to potraktować jako pretekst do spotkania, więc się rozmyśliłem. Za piętnaście szósta, kiedy akurat powinna mieć przerwę między pacjentami, zmieniłem zdanie. Jej prywatną linię wciąż miałem w szybkim wybieraniu.

- Cześć, to ja.
- Cześć - odparła. - Co tam?
- W porządku. A u ciebie?
- Też... Już chciałam powiedzieć: „Jak się masz, przystojniaku”. Muszę uważać...
- Wszystkie komplementy zostaną przyjęte z wdzięcznością, o Piękna.
- Mamy własne towarzystwo wzajemnej adoracji.

- - Niech mnie kule, jeśli kłamię. Cisza.
- - Właściwie dzwonię w sprawach zawodowych, Ali. Znasz może szanownego kolegę po fachu, Patrycka Hausera?
- - Widziałam go na kilku spotkaniach. Czemu pytasz? Odpowiedziałem.
- - Nie jestem zaskoczona - stwierdziła. - Chodzą plotki, że pije. Terapie grupowe? Dziwne.

- Dlaczego?
- Robi wrażenie typa korporacyjnego. O ilu pacjentkach tu mówimy?
- Trzech.
- Poważny zarzut. Hauser twierdzi, że to zbiorowe omamy. Nie ma dowodów rzeczowych, więc sprawa sprowadza się do słowa przeciwko słowu. Komisja stanowa zajmuje się tym od miesiąca, wciąż nie wydała oświadczenia. Kobiety się zniecierpliwiły i skontaktowały z prawnikiem.

- Wszystkie trzy są reprezentowane przez jednego prawnika?
-

- Robią z tego sprawę grupową, mają nadzieję, że dołączą inne ofiary.
- Jak się dowiedziały, że mają podobne doświadczenia z Hauserem?
- Spotkały się po sesji, poszły na drinka, sprawa wyszła na jaw. - Niezbyt to mądre ze strony Hausera, że prowadził je w jednej grupie.
- Samo dobieranie się do pacjentów nie świadczy o bystrości umysłu.
- A więc uważasz, że to zrobił.

-

- Na razie badam sprawę, ale wszystkie chodziły do Hausera z łagodną depresją, a nie z omamami.
- Jak mówiłam, jest znany z tego, że zagląda do kieliszka. Nic więcej nie mogę powiedzieć.
- Dzięki... A tak w ogóle, jak tam?
- Ogólnie, życie? - spytała. - W porządku.
- Zjemy razem kolację? - Skąd mi się to wzięło? Cisza. - Przepraszam - powiedziałem. - Cofnij taśmę.

- - Nie. Rozważam twoją propozycję. Kiedy chciałeś iść?

- Wszystko jedno. Nawet dzisiaj.
- Hm... Będę wolna za godzinę, i tak muszę coś zjeść. Gdzie?
- Wybierz.
- Może restauracja, w której spotkaliśmy się po raz pierwszy? - zaproponowała.

- *

- Poprosiłem o boks z dala od mahoniowego baru, przyciszonych alkoholowych rozmów i wiadomości sportowych. Kiedy Allison przyszła dziesięć minut później, skończyłem chivasa i piłem drugą szklankę wody. W restauracji panował półmrok i Allison zatrzymała się na kilka sekund, zanim jej oczy przystosowały się do ciemności. Długie, czarne włosy miała rozpuszczone, a białą jak kość słoniowa twarz poważną. Zdawało mi się, że w ułożeniu jej ramion widzę napięcie. Ruszyła przed siebie, ukazały się kolory. Pomarańczowy kostium otulał szczupłe, drobne ciało. Mandarynkowy pomarańcz. Z jej cerą i włosami przebranie na Halloween mogło być problemem, ale Allison udało się wyglądać dobrze. Zauważyła mnie, podeszła na wysokich obcasach. W jej uszach, na rękach i szyi iskrzyły się ozdoby. Złoto i szafiry; kamienie podkreślały ciemny błękit oczu i ładnie współgrały z pomarańczem. Makijaż

miała doskonały, manikiur francuski, uśmiech tajemniczy. To bardzo dzielna kobieta, ale potrzebuje dużo czasu, żeby się pozbierać. Cmoknięcie w policzek było szybkie i chłodne. Wśliznęła się do boksu. Usiadła na tyle blisko, żeby wygodnie się nam rozmawiało, ale za daleko, żeby łatwo się dotykać. Zanim zdążyliśmy zamienić słowo, stanął przed nami kelner. Eduardo, ten natrętny. Osiemdziesięcioletni imigrant z Argentyny, który twierdził, że owoce morza potrafi przyrządzać lepiej niż szef kuchni. Ukłonił się Allison.

- Dobry wieczór, doktor Gwynn. To co zwykle?
- Nie, dziękuję - odparła. - Na dworze jest trochę chłodno, więc poproszę chyba kawę po irlandzku. Bezkofeinową, Eduardo, inaczej obudzę pana o trzeciej w nocy, żeby pograć w karty.
- Jego uśmiech zdradził, że nie bał się takiej ewentualności.
- - Bardzo dobrze, pani doktor. Jeszcze raz chivas, proszę pana?- Tak.
- Odmaszerował.
- Często przychodzisz do tej restauracji? - spytałem.
- Nie. Czemu?
- Zwrócił się do ciebie po nazwisku.
- Bywam tu mniej więcej co trzy tygodnie.
- Sama czy z innym facetem? - dopytywałem w myślach.
- - Stek zrobił na mnie trwałe wrażenie - wyjaśniła z uśmiechem. Eduardo wrócił z drinkami i menu. Do kawy Allison dodał jeszcze porcję bitej śmietany. Ukłonił się znów i odszedł.
- Stuknęliśmy się szklankami i napiliśmy. Allison oblizwała pianę z górnej wargi. Ma trzydzieści dziewięć lat, ale kiedy przystopuje z biżuterią, może uchodzić za dziesięć lat młodszą. Odsunęła drinka. - Cou Robin? Postarałem się swobodnie wzruszyć ramionami.
- Chyba w porządku.
- Nie widywaliście się za często?
- Nie za często.
- Spałeś z nią? Odstawiłem szkocką.
- To znaczy, że tak - powiedziała Allison.
- W chwilach krytycznych uciekaj się do taktyki psychologa. Milcz.

- Przepraszam, to było nie na miejscu. - Przygładziła włosy, ogarniając je z twarzy. Nachyliła się nad kawą i zaciągnęła parą. - Masz prawo sypiać, z kim chcesz. Po prostu pozwoliłam sobie na złośliwość. Czasami sama nie miałabym nic przeciwko temu, żeby się z tobą przespać.
- Czasami jest lepsze niż nigdy.
-
- -Właściwie czemu by nie? - powiedziała. - Dwoje zdrowych ludzi z potrzebami. Świetnie nam wychodziło. - Słaby uśmiech. - Oprócz tych chwil, kiedy nie wychodziło wcale...Piliśmy w ciszy. Po drugim chivasie poczułem ciepły dreszczyk. Może właśnie dlatego powiedziałem to, co powiedziałem.
- A więc co, do cholery, się stało?
- Ty mi powiedz.
- To ja pytam.
- - Aja odpowiadam pytaniem. Pokręciłem głową. Napiała się, zaśmiała.
- - Oczywiście nie ma w tym nic śmiesznego.
- Eduardo przyszedł przyjąć zamówienie, zobaczył nasze twarze i zawrócił na pięcie.
- Może nic nie poszło źle, może to była zwykła ewolucja - powiedziała Allison.
- Dewolucja.
- Alex, kiedy zaczęliśmy się spotykać, za każdym razem, kiedy cię widziałam, czułam falę uczuć. Wystarczyło, że słyszałam twój głos, i włączał mi się układ współczulny. Po prostu powódź emocji. Czasami, kiedy dzwonił dzwonek i wiedziałam, że to ty, oblewał mnie żar. Zaczęłam się martwić, że to wczesna menopauza. - Zajrzała do swojej kawy po irlandzku. - Czasami robiłam się mokra. To było coś.
- Dotknąłem jej dłoni. Poczulem chłód.- Może to była tylko kwestia hormonów - zastanawiała się na głos.
- Może za wszystko tak naprawdę są odpowiedzialne te cholerne hormony, a my pracujemy w niewłaściwym fachu. - Odwróciła się. Wyciągnęła z torebki chusteczkę, otarła oczy. - Jeden drink i mój filtr idzie w diabły.

- Zacisnęła usta. - Pewnie pożałuję, że to powiem - podjęła po chwili - ale najbardziej mnie martwiło, że z Grantem było inaczej.
- Jej zmarły mąż. Absolwent Wharton, bogaty z domu, typ finansisty z sukcesami. Umarł młodo na przeraźliwie rzadki nowotwór. Nawet kiedy Allison mnie kochała, opowiadała o nim z czułością.
- Łączyła was wspinała więź - wtrąciłem.
- Nie byłeś zastępstwem, Alex. Przysięgam.
- Mogło być gorzej.
- - Nie bądź szlachetny - powiedziała. - Czuję się przez to jeszcze bardziej podle. Milczałem.
- -Właśnie skłamałam - wyznała niespodziewanie Allison. - Z Grantem też wyblakło. Kiedy go pochowałam, przestał być dla mnie bytem cielesnym i zamieniłam go w... w... upióra. Czuję się... wciąż mam wyrzuty sumienia.
- Szukałem odpowiedzi. Każda, którą wymyśliłem, brzmiała jak psychologiczny banał. To spotkanie było błędem. Nagle poczułem dotyk biodra Allison; ujęła moją twarz w dłonie i mocno mnie pocałowała. Wycofała się, jeszcze dalej niż przedtem. Siedzieliśmy w milczeniu.
- - Alex, na początku moje uczucia do ciebie były tak samo mocne, jak do Granta. Fizycznie pociągałeś mnie nawet bardziej. I przez to też miałam poczucie winy. Zaczęłam myśleć o nas w dalszej perspektywie. Zastana wiać się, jak by to było. A potem pojawił się problem w sprawie Malleyów i wszystko zaczęło się zmieniać. Pewnie samo to by nie zaważyło, musiało być... och, posłuchaj, jak gadatliwe babsko z magła... nie wiem, co myśleć. To, co robiłeś, też mnie kręciło, a potem nagle zaczęło odrzucać.
- Sprawa Malleyów dotyczyła morderstwa ośmioletniej dziewczynki. Jedna z pacjentek Allison, krucha, młoda kobieta, została w to wciągnięta. Oszukałem ją. Wszystko w imię prawdy, sprawiedliwości...Robin nigdy nie chciała słyszeć o „sprawach z pracy”. Allison wyciągała ze mnie makabryczne szczegóły.
- Wszystko się zmienia - powiedziałem.
- Tak. Niech to szlag. - Odwróciła wzrok. - Gdybym spytała: u mnie czy u ciebie, poczułbyś się manipulowany?
- Może przez nanosekundę.

- - Nie spytam. Nie dzisiaj. Czuję się zupełnie nieatrakcyjna.
- - To złudzenie.

- Nieatrakcyjna w środku - dodała. - Nie byłoby fajnie, uwierz mi. Uniosłem szklanę.
- Za brutalną szczerość.
- Przepraszam. Chcesz odpuścić sobie kolację?
- Kolacja nie była pretekstem, żeby zaciągnąć cię do łóżka. Uśmiechnęła się. Odpowiedziałem uśmiechem.

- Eduardo stanął po drugiej stronie sali. Podglądał nas i udawał, że jest ponad to wszystko.

- Zjadłbym coś. - Zmieniłem w końcu temat.
- Ja też. - Przywołała kelnera machnięciem ręki. - Kolacja z byłym kochankiem. Jakie to kulturalne, jak we francuskim filmie. - Podniosła moją lewą dłoń i przesunęła palcem po krawędzi paznokcia kciuka. - Wciąż tu jest.
-

- Co takiego?
- Wgłębienie na paznokciu. Zawsze uważałam, że to urocze. Część mojego ciała. Nigdy jej nie zauważyłem.
- To ty. Ten sam - powiedziała.

12

- Następnego dnia rozmawiałem z trzema kobietami, które złożyły skargę przeciwko doktorowi Patrickowi Hauserowi. Każda była delikatna. Jako grupa prezentowały się spokojnie i wiarygodnie. Firma ubezpieczeniowa Hausera może już liczyć pieniądze. Następnego ranka zacząłem pracować nad raportem. Byłem wciąż na etapie rozmyślenia, kiedy zadzwonił Milo.
- - Jak leci, twardzielu?

- Leci donikąd z prędkością nadświetlną. Wciąż nie dostałem się do mieszkania Michaeli, właściciel nie lubi opuszczać La Jolla. Jeśli szybko tu nie przyjedzie, wywalę zamek. Rozmawiałem z detektywem z Reno, który przyłapał Reynolda Peaty'ego na podglądaniu. To było tak: Peaty siedział w zaułku za blokiem, napruty jak norka, i zaglądał przez zasłony do mieszkania na parterze, z tyłu domu. Interesowały go trzy studentki. Jakiś facet z psem na spacerze zobaczył, jak Peaty targa swoją parówkę, i wrzasnął. Peaty zaczął uciekać, facet za

nim pogonił, przewrócił go na ziemię i wezwał policję.

- Dzielny obywatel.
- Obrońca futbolowy w drużynie Uniwersytetu Stanu Nevada - sprecyzował Milo. - To było studenckie osiedle.
- Mieszkanie na parterze, z tyłu domu?
- Tak jak Michaeli. Dziewczyny były od niej trochę młodsze, ale w sądzie można by się powoływać na podobieństwo ofiar. Peaty wykpił się tanim kosztem, bo te trzy panie bywały w przeszłości niedbałe w kwestii zasłaniania okien. Poza tym oskarżenie nie dowiedziało się o skazaniu Peaty'ego za włamanie, kilka lat wcześniej. To był napad w biały dzień, gotówka i damskie majteczki.
- Podglądacz spotyka się z ekshibicjonistkami i wszyscy rozchodzą się do domów?
-
- Bo ekshibicjonistki nie chciały zeznawać. W swoim entuzjazmie doszły do zabaw z kamerą. Martwiły się głównie o to, żeby rodzice się nie dowiedzieli. Peaty to ewidentna łajza i właśnie nagrodziłem go awansem na sam szczyt listy z podejrzanymi.
- Pora na drugą rozmowę.
- Próbowałem. Rano w Domu Gry nie było śladu ani jego, ani nikogo; tak samo w jego mieszkaniu. Pani Stadlbrown znów poczęstowała mnie herbatą. Wypiłem tyle, że nosorożec dostałby zaparcia, a ona mówiła o swoich wnukach, chrześniakach i upadku moralności. Powiedziała, że zaczęła obserwować Peaty'ego uważniej, ale przez większość dnia go nie ma. Każę Binchy'emu śledzić drania.
- Jakież podpowiedzi telefoniczne?
- Jak zwykle, głównie kosmici, wariaci i debile, ale jeden zamierzam sprawdzić. Dlatego zadzwoniłem. Dystrybucja komunikatów prasowych podchwyciła historię z „Timesa” i zadzwonił do mnie wczoraj facet z Nowego Jorku. Dwa lata temu zaginęła tu jego córka. Ona też chodziła do szkoły aktorstwa.
- Do Domu Gry?
- Jej ojciec nie miał pojęcia. Wydaje się, że o wielu sprawach nie wie. Zgłoszono zaginięcie Tori Giacomo, ale chyba nikt nie zorganizował poszukiwań. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę jej wiek i brak śladów nieczystej gry. Facet upierał się, że przyleci, więc poświęcę mu trochę czasu. Umówiliśmy się na trzecią, oby lubił indyjską kuchnię. Jeśli masz czas, przydałaby mi się pomocnicza intuicja.
- - Wjakiej sprawie?
- Wykluczenia jego córki. Posłuchaj faceta, ale nie mów mi tego, co chciałbym usłyszeć.
- A kiedykolwiek mówię?
- Nie - powiedział Milo. - Dlatego jesteś moim kumplem.

- *
- Różowe zasłony z madrasu oddzielają wnętrze Cafe Moghul od hałasu i świateł Santa Monica Boulevard. Zacieniona witryna znajduje się w odległości krótkiego spaceru od komisariatu i kiedy Milo czuje, że musi uciec z czterech ścian swojego gabinetu, korzysta z Cafe Moghul jako z alternatywnego miejsca pracy. Właściciele są przekonani, że obecność wielkiego, groźnie wyglądającego detektywa daje identyczny efekt, z posiadaniem wyszkolonego rottweilera. Raz na jakiś czas Milo zaskarbia sobie ich wdzięczność, wyrzucając jakiegoś bezdomnego schizofrenika, próbującego skubnąć coś z bufetu.

- Bufet to nowość w Cafe Moghul. Nie jestem pewien, czy nie zainstalowano go właśnie dla Mila. Kiedy tam przyjechałem, o trzeciej, Milo siedział nad trzema talerzami z ryżem, warzywami, homarem z curry i mięsem tandoori. Koszyk chleba naan z cebulą był do połowy pusty. Po prawej stał dzbanek herbaty z goździkami. Na szyi Milo miał zawiązaną serwetkę. Tylko kilka drobin sosu. Był jedynym gościem, bo pora nieobiadowa.
- - Tam jest. - Uśmiechnięta kobieta w okularach zaprowadziła mnie do stolika w głębi, tego co zwykle Milo pogryzł coś i połknął.

- Spróbuj jagnięciny.
- Trochę dla mnie za wcześnie.
- Herbaty chai? - spytała kobieta. Wskazałem dzbanek.
- Tylko filiżankę.
- Oczywiście.

- Kiedy ostatni raz ją widziałem, wypróbowywała soczewki kontaktowe.
- - Jestem uczulona na roztwór czyszczący - wyjaśniła. - Mój siostrzeniec okulista namawia mnie na operację laserem. Podobno bezpieczna.
- Milo bezskutecznie próbował ukryć grymas. Żyje z chirurgiem, ale błędnie na myśl o wizycie u lekarza.
- - Powodzenia - powiedziałem.
- - Wciąż nie jestem przekonana - odparła kobieta i poszła po filiżankę. Milo wytarł usta i wyciągnął z nesesera niebieską teczkę.
- - To kopia zgłoszenia zaginięcia Tori Giacomo. Czytaj, jeśli chcesz, ale mogę ci streścić w minutę.
- - Nie krępuj się.

- Mieszkała sama w North Hollywood, w kawalerce. Pracowała jako kelnerka w restauracji z owocami morza w Burbank. Mówiła rodzicom, że zostanie gwiazdą ale nikt nie słyszał o

żadnych jej rolach, nie miała też agenta. Kiedy zniknęła, właściciel trzymał jej graty przez trzydzieści dni, a potem wszystko wyrzucił.

- Nie powiadomiono rodziców, że zniknęła?
- Miała dwadzieścia siedem lat, nie zostawiła ich numeru w umowie najmu.
- Czyje podała referencje?
- W papierach tego nie ma. To było dwa lata temu. - Spojrzał na swojego timeksa. - Jej ojciec dzwonił z lotniska przed godziną. Jeśli na autostradzie nie zdarzyła się żadna katastrofa, powinien już tu być. - Zmrużył oczy, odczytując numer zapisany na teczce, wystukał go na komórce. - Pan Gia-come? Porucznik Sturgis. Czekam na pana... gdzie? Jaka to przecznica? Nie, to Mała Santa Monica, krótka ulica, która zaczyna się w Beverly Hills, i tam pan właśnie jest... pięć kilometrów na wschód... tak, są dwie. Mała i Duża... Zgadza się, bez sensu... tak, L.A. to dziwne miasto... niech pan zawróci i jedzie na północ do Dużej Santa Monica!.. są tam roboty drogowe, ale da się przejechać... do zobaczenia. - Rozłączył się. - Biedak już myśli, że jest zagubiony.

• *

- Dwadzieścia minut później w drzwiach restauracji stanął przysadzisty, ciemnowłosy mężczyzna po pięćdziesiątce. Pociągnął nosem i ruszył prosto w naszą stronę, jakby miał z nami rachunki do wyrównania. Krótkie nogi, ale duże kroki. Do czego tak się spieszył? Miał na sobie brązową tweedową marynarkę, dopasowaną na ramionach, ale za dużą w klatce i w pasie, spraną niebieską koszulę w kratę, granatowe spodnie i robocze buty z dużymi nosami. Na jego matowoczarnych włosach przebłyskiwał rudy kolor - efekt farbowania. Włosy gęste po bokach, były rzadkie u góry - lśniąca czaszkę na czubku pokrywało zaledwie kilka kosmyków. Podbródek miał wielki, z dołkiem; nos mięsisty i płaski. Podchodząc, przyglądał się nam zamyślonym wzrokiem. Mierzył co najwyżej metr siedemdziesiąt pięć, ale jego olbrzymie dłonie przypominały bochny chleba, a palce - porośnięte z wierzchu czarnymi włosami - pęta kiełbasy. W jednej ręce trzymał tanią, czerwoną walizkę. Druga wystrzeliła w naszą stronę.
- - Lou Giacomo.
- Mnie wybrał pierwszego. Przedstawiłem się, nie wspominając o doktoracie, a on szybko zwrócił się do Mila. - Poruczniku... Stopniem. Doświadczenie wojskowe czy zwykła logika?
- - Miło mi pana poznać, panie Giacomo. Głodny? Giacomo zmarszczył nos.
- - Majątu piwo?
- - Wszelkie rodzaje. - Milo przywołał kobietę w okularach.
- - Bud. Zwykły, nie light - powiedział do niej Lou Giacomo. Powiesił marynarkę na oparciu krzesła, poprawił rękawy i klapy. Koszula w kratę miała krótkie rękawy. Muskularne przedramiona Giacomina wyglądały jak włochate sztaby. Wyjął z etui jasnoniebieską wizytówkę i podał ją Milowi.

- Milo podał ją mnie.
- Louis A. GIACOMO, J.R. NAPRAWA AGDCO ZEPSUJESZ, ZREPERUJĘ
- Na środku małe logo z kluczem. Adres i telefon w Bayside, Queens. Przyszło jego piwo, w wysokiej, zimnej szklance. Popatrzył na nie, ale się nie napił. Kiedy kobieta w okularach

odeszła, wytarł krawędź szklanki serwetką, zmrużył oczy, wytarł jeszcze dokładniej.

- Dziękuję, że się pan ze mną spotkał, poruczniku. Dowiedział się pan czegoś o Tori?
- Jeszcze nie. Niech mi pan opowie, jak to było.

- Giacomo zacisnął pięści. Obnażył zęby zbyt równe i białe, by mogły być naturalne.

- Pierwsze, co musicie panowie wiedzieć: nikt Tori nie szukał. Dzwoniłem do was milion razy, rozmawiałem z różnymi ludźmi, w końcu dotarłem do detektywa Mortensena. Nic mi nie powiedział, ale dalej dzwoniłem. W końcu miał dość moich telefonów, dał mi do zrozumienia, że Tori nie jest dla niego priorytetem, bo on zajmuje się zaginionymi dziećmi. Potem przestał odbierać, więc przyleciałem tu, ale Mortensen już przeszedł na emeryturę i przeniósł się do Oregonu. Straciłem cierpliwość. Detektywowi, do którego mnie skierowali, wrzasnąłem: „Co z wami? Bardziej obchodzą was mandaty za złe parkowanie niż ludzie?” Nie miał mi nic do powiedzenia. - Giacomo zmarszczył czoło, wpatrzony w piwo. - Czasami tracę cierpliwość. Generalnie potrafię być najbardziej uprzejmym facetem pod słońcem, ale nikt nie zamierzał zrobić nic, żeby znaleźć Tori. Musiałem więc wracać z pustymi rękami. Żona załamała się nerwowo. - Pstryknął paznokciem w szklankę.
- Przykro mi - powiedział Milo.
- Doszła do siebie - odparł Giacomo. - Lekarze dali jej antydepresanty, skierowali do specjalistów. Poza tym ma jeszcze piątkę dzieci na głowie; najmłodsze skończyło dopiero trzynaście lat, wciąż mieszka z nami. To pomaga jej nie myśleć o Tori.

- Milo skinął głową i napił się herbaty. Giacomo w końcu podniósł swoją szklankę do ust.

- Smakuje jak bud - stwierdził. - Co to za lokal, pakistański?
- Indyjski.
- Mamy tam takich u siebie.
- Hindusów?

- -1 ich restauracje. Nigdy w żadnej nie byłem.

- Bayside - powiedział Milo.
- Tam dorastałem, tam zostałem. Nie jest tak źle, tyle że oprócz Włochów i Żydów

wprowadzili się jeszcze Chińczycy, Hindusi i inni z Orientu. Naprawiłem im kilka pralek. Był pan kiedyś w Bayside?

- Milo pokręcił głową. Giacomo spojrzał na mnie.
- Ja, tylko na Manhattanie - odparłem.
- To centrum. Ono jest dla obrzydliwie bogatych i biednych bezdomnych, nie ma tam miejsca dla normalnych ludzi, pośrodku. - Wypił spory łyk piwa. Przetoczył pięścią po stole, napiął mięśnie. Znow wyszczerzył duże, białe zęby. - Tori chciała być zauważana. Od małego słyszała od matki, że jest wyjątkowa. Żona zabierała ją na konkursy piękności dla dzieci. Czasami Tori wygrywała jakąś wstążkę, żona się cieszyła. Lekcje tańca i śpiewu, szkolne przedstawienia. Ale nauka nie szła Tori najlepiej. W końcu zagrozili jej, że zostanie wyrzucona z kółka teatralnego, jeśli nie zda matematyki. Zaliczyła na trójkę, ale trzeba było groźby.
- Skupiała się na aktorstwie - skomentowałem.
- Matka zawsze jej wmawiała, że może zostać gwiazdą filmową. Podnosiła jej... no... samoocenę. Niby nic złego, ale Tori zaczęły się lęgnąć w głowie różne pomysły.
- - Ambicje - mruknąłem. Giacomo odsunął szklankę.
- Tori w ogóle nie powinna tu przyjeżdżać. Co ona wiedziała o samodzielności? Pierwszy raz w życiu leciała samolotem. To wariackie miasto, prawda? Powiedźcie mi, jeśli się mylę.
- Bywa ciężko - przyznał Milo.
- Wariackie miasto - powtórzył Giacomo. - Tori przed przyjazdem do L.A. nie przepracowała ani jednego dnia w życiu. Dopóki nie urodziło się nam najmłodsze, była jedyną dziewczynką, przecież nie tyrałaby ze mną. Prawda?
- Mieszkała z państwem, zanim tu przyjechała?
- Zawsze, a matka wszystko za nią robiła. Tori nigdy nie posłała swojego łóżka. Jej wyjazd to głupota. Pomysł nie wiadomo skąd.
- - To była nagle decyzja? - spytałem. Giacomo zmarszczył czoło.
- Matka szykowała do tego grunt latami. Ale tak, Tori zaskoczyła nas. Była wtedy dziewięć lat po szkole, ale jedyne co osiągnęła, to małżeństwo. Zresztą, ono też się posypało.
- Kiedy wyszła za mąż? - spytał Milo.
-

- -Kiedy miała dziewiętnaście lat. Za chłopaka, z którym chodziła w liceum. Porządny, ale niezbyt bystry. - Giacomo postukał się w czoło. - Na początku Mikey pracował u mnie, chciałem mu pomóc. Nie radził sobie z cholernym kluczem francuskim. Więc poszedł do pracy do swojego wuja.
- - Co robił?
- Oczyszczał miasto, jak reszta jego rodziny. Dobra płaca i socjal, można się zapisać do związku, trzeba tylko znać odpowiednich ludzi. Sam tam kiedyś pracowałem, ale wracałem do domu śmierzący i w końcu miałem dość. Tori mówiła, że Mikey cuchnął i nie dało się tego zmyć. Może dlatego unieważniła małżeństwo.
- Ile trwało? - spytał Milo.
- Trzy lata. Potem wróciła do domu, siedziała na tyłku i nic nie robiła przez pięć lat, chodziła tylko na castingi do reklam, do zdjęć...
- Dostała się gdzieś?
- Giacomo pokręcił głową. Schylił się i wyjął z kieszeni czerwonej walizki dwa zdjęcia. Twarz Tori Giacomo była o kilka milimetrów dłuższa od idealnego owalu. Dziewczyna miała wielkie, ciemne oczy, ocienione długimi, sztucznymi rzęsami. Za ciemny cień do powiek, z poprzedniej epoki. Taki sam dołek na brodzie jak u ojca. Ładna. Może nawet piękna. Dojście do tego wniosku zabrało mi kilka sekund, za długo w świetle błyskawicznych wrażeń. Na jednym zdjęciu włosy miała długie i faliste. Na drugim skrócone do ramion, strzępiaste i platynowe.
- Zawsze była ślicznym dzieckiem - odezwał się po chwili Giacomo. - Ale to nie wystarczy, prawda? Trzeba się zeszmacić, żeby iść w górę. Tori to porządna dziewczyna, nigdy nie opuściła mszy w niedzielę, i to nie dlatego, że ją zmuszaliśmy. Moja najstarsza siostra została zakonnicą, a Tori zawsze była z nią blisko. Mary Agnes załatwiła u wielebnego unieważnienie małżeństwa.
- Tori przykładała wagę do spraw duchowych - powiedziałem.
- Ogromną. Kiedy jej szukałem, dowiedziałem się, jakie są w okolicy kościoły, i do wszystkich poszedłem. - Giacomo zmrużył oczy. - Nikt jej nie znał, ani księża, ani zakonnice, nikt. No i od razu się zorientowałem, że coś jest nie tak.
- - Tori przestała chodzić do kościoła - wywnioskowałem. Giacomo się wyprostował.
- - Niektóre z tych kościołów to nic specjalnego. Nie tak, jak kościół Świętego Roberta Bellarmine'a, gdzie chodzi moja żona. To dopiero kościół. Pomyślałem, że może Tori chciała chodzić do ładnej świątyni, takiej, do jakiej była przyzwyczajona. Poszedłem do największego,

jaki tu macie, w śródmieściu. Rozmawiałem z asystentem asystenta kardynała. Sądziłem, że mają spisy wiernych. Niestety, tam też nikt nic nie wiedział. - Opadł na oparcie. - To wszystko. Co jeszcze chcecie wiedzieć. Milo zaczął od pytań o byłego męża Tori, niezbyt bystrego, cuchnącego Mikeya.

- - Mortensen szedł tym samym torem - powiedział Giacomo. - Ale nic z tego. Po pierwsze, znam rodzinę Mikeya i to porządni ludzie. Po drugie, chłopak jest miękki, rozumie pan? Po trzecie, zostali z Tori przyjaciółmi, nie było żadnych problemów. Po czwarte, nigdy nie wyjeżdżał z Nowego Jorku.
- - Westchnął, obejrzał się przez ramię. - Mały tu ruch. Jedzenie jakieś lewe?
- Jak często Tori dzwoniła do domu?
- Kilka razy w tygodniu rozmawiała z matką. Wiedziała, że nie jestem zadowolony z jej wyjazdu. Uważała, że nic nie rozumiem.
- Co mówiła matce?
- Że zarabia na życie napiwkami i uczy się aktorstwa.
- - Gdzie się uczy? Giacomo zmarszczył brew.
- Nie mówiła. Spytałem o to żonę przed rozmową z panem. Może pan do niej zadzwonić i sam pogadać, ale ona tylko się popłacze.
- Niech pan poda nazwisko Mikeya - poprosił Milo. - To formalność.
- Caravanza. Pracuje w oddziale Forest Hills. On i Tori wyglądali na szczęśliwszych po rozstaniu niż na ślubie. Jakby oboje byli wreszcie wolni. - Prychnął. - Jakby człowiek mógł być wolny. Proszę bardzo, niech pan pyta dalej.
- Dziesięć minut przesłuchania ujawniło smutną prawdę: Louis Giacomo junior wiedział bardzo niewiele o życiu swojej córki, odkąd przyjechała do L.A.
- Artykuł o Michaeli Brand zwrócił pana uwagę - zagadnął znów Milo.
- Wie pan, to aktorstwo. - Giacomo się zgarbił. - Przeczytałem komunikat, zemdliło mnie. Nie chcę myśleć o najgorszym, ale minęły prawie dwa lata. Nieważne, co mówi matka, Tori by zadzwoniła.

- Co mówi matka?
- - Arlene roi sobie szalone teorie. Że Tori poznała miliardera i opala się teraz na jachcie. Takie tam głupoty. - Giacomo przewrócił oczyma. Przyływ emocji zdławił warknięciem. - I co pan o tym sądzi? - spytał Milo.
- - Ta zabita dziewczyna ma coś wspólnego z Tori?
- - Za mało wiem, żeby cokolwiek sądzić.- Ale uważa pan, że Tori nie żyje, tak?
- Tego też nie mogę powiedzieć, panie Giacomo.
- Nie może pan powiedzieć, ale pan to wie i ja to wiem. Dwa lata. Na pewno zadzwoniłaby do matki.
- Milo nie odpowiedział.
- Kto zabił tę drugą? - spytał Giacomo.
- Śledztwo dopiero się zaczęło.
- Dużo macie takich? Dziewczyn, które chcą być gwiazdami i pakują się w duże kłopoty?
- - Zdarza się...
- - Założę się, że często. Jak się nazywa szkoła aktorska, do której tamta chodziła?
- Milo potarł twarz.
- Nie powinien pan tam jechać...
- Dlaczego nie?
- Jak już mówiłem, to nowe śledztwo...
- Chcę tylko zapytać, czy znają Tori.
- - Ja zapytam. Jeśli czegoś się dowiem, zadzwonię do pana. Obiecuję.- Obiecanki cacanki - burknął Giacomo. - To wolny kraj. Prawo nie zabrania mi tam pojechać. - Ale zabrania utrudniać śledztwo. Niech pan sobie nie komplikuje życia.
- - To groźba?
- - Prośba, żeby pan nie przeszkadzał. Jeśli dowiem się czegoś o Tori, na pewno przekażę.
- Milo położył pieniądze na stole i wstał.Lou Giacomo też się podniósł. Wziął czerwoną walizkę i sięgnął do tylnej kieszeni spodni.

- Zapłacę za piwo.
- Niech się pan o to nie martwi.
- Nie martwię się, to strata czasu. Zapłacę za siebie. - Wyciągnął portfel tak wypchany, że prawie okrągły. Wyjął piątkę, dorzucił ją do pieniędzy Milo. - Jeśli zadzwonię do waszego koronera, zapytam o nieodebrane zwłoki, co mi powiedzą?
- Dlaczego pan myśli, że to właśnie spotkało Tori, panie Giacomo?
- Oglądałem taki program na kablówce. O detektywach. Mówili tam, że jeśli nikt nie odbierze zwłok, czasami pobiera się próbkę DNA, do jakichś starych spraw. A więc co mi powiedzą, jeśli spytam?
- Jeśli zmarły jest zidentyfikowany i ktoś może udowodnić pokrewieństwo, dostaje formularze do wypełnienia i wydaje mu się ciało.
- To jedna z tych długich, upierdliwych procedur?
-
-
- Zazwyczaj trwa to jeden, dwa dni.
- Jak długo trzymają nieodebrane zwłoki? - spytał Giacomo. Milo nie odpowiedział.
- Jak długo, poruczniku?
- Prawo ustala granicę roku, ale zazwyczaj przechowują krócej. - Ile?
- Trzydzieści do pięćdziesięciu dni.
-
- - Aha. Przyszło, poszło, co? - wycedził z sarkazmem Giacomo. - Zakorkowała się wam kostnica?
- Milo pozostał niewzruszony.
- Nawet jeśli to morderstwo? - ciągnął Giacomo. - W przypadku morderstwa muszą trzymać dłużej, prawda?
- Nie, proszę pana.
- Nie trzeba zachować dowodów?
- Dowody są zbierane i archiwizowane. Reszta... nie jest przechowywana.
- Jakiś związkowy pajac dostaje dolę, żeby pozbywać się ciał?
- To kwestia miejsca.
-
- -1 tak samo jest nawet przy morderstwie?
-
- Tak samo - przyznał Milo.

- Dobrze, więc co potem? Co się dzieje ze zwłokami, których nikt nie odbierze?
- - Proszę pana...
- Niech mi pan powie. - Giacomo zapiął marynarkę. - Ja nie uciekam od trudnych spraw. Nie walczyłem na żadnej wojnie, ale w marines nauczyli mnie radzić sobie z gównem. Co dalej?
- Krematorium hrabstwa.
- Palą je... Dobrze, a co z popiołami?
- Są umieszczane w urnie i trzymane przez dwa lata. Jeśli zweryfikowany krewny zgłosi się i zapłaci pięćset czterdzieści jeden dolarów za koszty transportu, dostaje urnę. Jeśli nikt jej nie odbierze, popioły są rozsypywane w masowym grobie na cmentarzu Evergreen Memorial w Boyle Heights, to w East L.A., niedaleko koronera. Groby są oznaczane numerami. Nie ma możliwości identyfikacji zwłok. Nie wszystkie nieodebrane ciała trzyma się w głównej krypcie. Niektóre jadą do Sylmar, to przedmieście na północ od L.A.; innejeszcze dalej, do Lancaster, miasta w Antelope Valley, na pustyni, ze sto kilometrów na wschód.
- Prezentował fakty cichym, pozbawionym emocji głosem przyznającego się niechętnie do winy.
- Giacomo przyjął to bez zmrużenia oka. Wydawał się wręcz zadowolony, słysząc szczegóły. Pomyślałem o tanich, plastikowych urnach, stosowanych przez władze hrabstwa. O pakunkach leżących jeden obok drugiego w chłodniach na Mission Road, zawiązanych grubym, białym sznurem. O nieuniknionej zgniliznie, która się wdaje, bo chłodzenie spowalnia rozkład, ale go nie zatrzymuje. Podczas pierwszej wizyty w krypcie nie pomyślałem o tym i wyraziłem zaskoczenie, widząc zielonkawe plamy na zwłokach leżących na wózku. Mężczyzna w średnim wieku, oznaczony jako N.N., czekał na przewiezienie do krematorium. Na rozkładającym się torsie leżały dokumenty zawierające nieliczne informacje na temat zmarłego. Odpowiedź Milo była boleśnie bezobcesowa.
- - Co się dzieje ze stkiem, kiedy za długo leży w lodówce, Alex? Teraz zwrócił się do Lou Giacomu.
- Bardzo panu współczuję. Jeśli może nam pan powiedzieć o Tori coś jeszcze, chciałbym to usłyszeć.
- Na przykład co?
- Wszystko, co mogłoby nam pomóc ją znaleźć.
- Restauracja, w której pracowała, miała w nazwie coś z homarem.
- Garnek Homarów - podpowiedział Milo. - Riverside Drive w Burbank. Splajtowała

półtora roku temu.

- Sprawdził pan? - zdziwił się Giacomo. - Szuka pan Tori, bo uważa pan, że jej zniknięcie ma związek z tamtą dziewczyną.
- Sprawdzam wszystkie możliwości. Giacomo popatrzył na niego.
- Pan mi o czymś nie mówi.
- Nie. Kiedy pan wraca do domu?
- Nie wiem.
- Gdzie się pan zatrzymał?
- Też nie wiem - powiedział Giacomo. - Coś sobie znajdę.
- Na Pico za Sepulveda jest Holiday Inn - poradził Milo. - Niedaleko stąd.
- Dlaczego miałbym zamieszkać niedaleko stąd? - spytał Giacomo.
- Bez powodu.
- Co, chce mnie pan mieć na oku?
- Nie. Muszę wracać do pracy. - Dał mi znak. Ruszyliśmy do drzwi.
- Wszystko smakowało, poruczniku? - zagadnęła kobieta w okularach.
- Było doskonale - odparł Milo.
- Tak - wtrącił Giacomo. - Wszystko jest fantastyczne.
-

13

- Wynajęty escort Giacomina stał pod zakazem parkowania dziesięć metrów od Cafe Moghul, oczywiście z mandatem za wycieraczką. Milo i ja patrzyliśmy, jak Lou wyciąga upomnienie i drze na strzępy. Papierowy śnieg opadł na chodnik.
- Giacomo rzucił Milowi wyzywające spojrzenie. Milo udał, że tego nie widzi. Giacomo schylił się, pozbierał strzępki i schował do kieszeni. Wzruszył ramionami, wsiadł do samochodu i odjechał.
- Za każdym razem, kiedy zaczynam taką rozmowę - powiedział Milo - powtarzam sobie, że mam być delikatny. I za każdym razem nic z tego nie wychodzi.
- Poradziłeś sobie bardzo dobrze. - Mój komentarz wzbudził śmiech, więc dodałem: - Przy takim ładunku żalu i frustracji nie mogło być inaczej.
- To właśnie miałeś powiedzieć.
- Przynajmniej jedna rzecz w życiu jest przewidywalna.
- Poszliśmy na wschód Santa Monica, minęliśmy sklep z artykułami z Azji, przy którym Milo przystanął i udał, że interesują go bambusy.

- Myślisz, że Giacomo słusznie przypuszcza, że Tori nie żyje? - spytałem, kiedy ruszyliśmy dalej.
- Możliwe, ale być może jej matka ma rację i dziewczyna baluje na Ca-pri albo w Dubaju. Co sądzisz o wątku szkoły aktorskiej?
- W L.A. ich nie brakuje - powiedziałem.
- Byłoby interesujące, gdyby Tori pobierała nauki w Domu Gry... ale czy poza tym widzisz jakieś podobieństwa?
- Kilka, więcej różnic. Ciało Michaeli leżało na widoku. Jeśli Tori została zamordowana, morderca z całą pewnością nie chciał, żeby ją znaleźiono.

- Skręciliśmy w prawo i poszliśmy na południe Butler.- A jeśli mamy tu do czynienia z eskalacją przemocy, Alex? Nasz „kolega” zaczyna od ukrywania swoich dzieł, ale nabiera pewności siebie i postanowiła się reklamować?

- Ktoś jak Peaty... przechodzi od podglądania do napaści - zasugerowałem. - Coraz bardziej okrutny i bezczelny.
- Przeszło mi to przez myśl.
- Seksualny aspekt morderstwa Michaeli poparłby taką teorię. Ale porzucono ją w pełni ubraną. Chyba że ktoś zabawiał się z nią na miejscu
-

- zabójstwa i posprzątał po sobie przed transportem. Wyniki autopsji mają być już niedługo, prawda?

- Właśnie przesunęli mnie o następny dzień albo dwa. Albo cztery.
- W krypcie praca wre.
- Jak zwykle.
- Naprawdę tak szybko pozbywają się zwłok?
- Byłoby wspaniale, gdyby autostrady miały taką przepustowość.
- Ciekawe, ile przechowują N.N.-ów - powiedziałem.
- Jeśli Tori w ogóle tam trafiła, dawno jej nie ma. O czym pan Giacomo dowie się już niedługo. O ile zakład, że właśnie do nich dzwoni?
- Gdyby chodziło o moją córkę, to właśnie bym to robił. Milo pociągnął nosem i odchrząknął.
- Przeziębilesz się? - spytałem.

- - Nie, kręci mnie w nosie, pewnie jakieś śmieci z Santa Susannas... Tak, ja też bym ich

nękał. *

- Po powrocie do gabinetu Milo znów zadzwonił do biura koronera i poprosił o listę młodych, niezidentyfikowanych kobiet przechowywanych w krypcie. Tamtejszy pracownik poinformował, że wysiadł im komputer, mają braki kadrowe, a ręczne przeszukanie archiwów może potrwać.- Dzwonił do was Louis Giacomo? Ojciec zaginionej dziewczyny... Tak, pewnie zadzwoni. Nie jest mu lekko, bądźcie wyrozumiali... Tak, dzięki, Turo. Aha, jeszcze jedno, ile teraz trzymacie przed przewiezieniem do krematorium? Mniej więcej... nie, nie powołam się na to w sądzie. Tak właśnie myślałam... Kiedy będziesz sprawdzał listę, zajrzyj trochę wstecz, dobrze? Dwadzieścia kilka lat, typ kaukaski, metr sześćdziesiąt, sześćdziesiąt kilo. Giacomo, na imię Tori. - Przeliterował. - Kolor włosów? Nie wiem. Dzięki, stary. - Odłożył słuchawkę, obrócił się na krześle. - Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt dni i do pieca. - Znów odwrócił się do telefonu. Zadzwonił do Domu Gry. Przez kilka sekund słuchał, trzasnął słuchawką. - Poprzednim razem tylko dzwoniło. Teraz usłyszałem chropawy kobiecy głos z taśmy. Następne zajęcia, coś o nazwie „zbiór spontaniczny”, odbędą się jutro o dwudziestej pierwszej.
- - Nocny rozkład pracy, tak jak się domyślaliśmy - powiedziałem. - Chropawy?
- - Wyobraź sobie Lauren Bacall z grypą. Może to panna Dowd. Jeśli sama jest aktorką, przydałby się jej aksamitny głos.
- - Postsynchrony to ostoja bezrobotnych aktorów - powiedziałem. - Tak samo jak korepetycje.

- Uczą ci, którzy sami nic nie umieją?
- Całe uczelnie działają na takiej zasadzie. Milo się zaśmiał.

- - Dobra, zobaczmy, co wydział komunikacji ma do powiedzenia o złotogłosej panie Dowd. *Według danych z prawa jazdy Nora Dowd miała trzydzieści sześć lat, metr pięćdziesiąt siedem wzrostu, pięćdziesiąt pięć kilo wagi, ciemne włosy i piwne oczy. Był na nią zarejestrowany jeden pojazd, półroczny srebrny rangę rover MK III. Adres domowy przy McCadden Place w Hancock Park.
- - Ładna okolica - zauważył Milo.

- Kawalek drogi do szkoły. Hollywood jest tuż za Melrose, można by pomyśleć, że adres właśnie tam przyciągnąłby młode nadzieje ekranu.
- Może Dowd wytargowała niski czynsz. Albo jest właścicielką posesji. McCadden i bryka świadczą, że babka jest przy forsie.

- Bogata dyletantka, która prowadzi szkołę dla zabawy - skwitowałem.

- Nie można powiedzieć, że to rzadki okaz ptaka - odparł Milo. - Sprawdźmy, czy śpiewa.
- *
- Na Wilshire Boulevard przy Museum Mile kręcili film. Pół tuzina ciężarówek z naczepami blokowało cały kwartał, flotylla beztrasko zaparkowanych mniejszych pojazdów tarasowała pas jazdy na wschód. Szwadron kamerzystów, dźwiękowców, oświetleniowców, chłopców na posyłki, emerytowanych gliniarzy i związkowców śmiał się, włóczył i okupował bufet z cateringiem. Minęło nas dwóch potężnych mężczyzn, niosących po niedużym, składanym krześle reżysera. Na płóciennych oparciach widniały wykaligrafowane nazwiska, których w ogóle nie kojarzyłem. Ze zwyczajną beztraską zawładnęli przestrzenią publiczną. Widownia na Wilshire nie była tym zachwycona i na pojedynczym otwartym pasie ruchu co rusz dochodziło do starć. Udało mi się uciec na Detroit Street, skręciłem w prawo w Szóstą, przejechałem przez La Brea. Kilka przecznic dalej - Highland, zachodnia granica Hancock Park. Następna była McCadden, szeroka, spokojna i słoneczna. Z podjazdu leniwie wytoczył się stary mercedes. Opiekunka spacerowała z dzieckiem w granatowym, chromowanym wózku. Ptaki krążyły po niebie, siadały i ćwierkaniem oznajmiały swoją wdzięczność dla natury. Zimne wiatry chłostały od kilku dni całe miasto, ale teraz wyszło słońce. Według adresu, Nora Dowd mieszkała pół kwartału na południe od Beverly. Większość okolicznych rezydencji stanowiły pięknie utrzymane
- domy w stylu tudor i hiszpańskim kolonialnym, oddzielone od ulicy szmaragdowymi trawnikami. Do Dowd należał piętrowy craftsman, kremowy z ciemnozieloną obwódką. Odwrotny układ kolorów niż w jej szkole aktorstwa; podobnie jak Dom Gry budynek miał zadaszony ganek i szerokie okapy. Niski, kamienny murek wzdłuż chodnika na środku przerwany był otwartą furtką ze starego, kutego żelaza. Trawnik dzieliła na pół ścieżka wyłożona szerokimi, kamiennymi płytami. Podobny, staromodny wystrój podwórza: rajskie ptaki, kamelie, azalie, pięciometrowej wysokości żywopłoty po obu stronach posesji, monumentalne himalajskie cedry przy podwójnym garażu. Ten garaż też miał wstawione drzwi od stodoły. Dom Nory Dowd był dwa razy większy od szkoły, ale każdy dostrzegłby podobieństwa.
- Konsekwencja w stylu - zauważyłem. - Oaza stabilności w oszalałym mieście.
- Pan Hollywood - odparł Milo. - Powinieneś pisać do „Variety”.
- Gdybym chciał zarabiać na życie kłamstwami, zostałbym politykiem.

- *
- Ganek był pięknie polakierowany, ozdobiony zielonymi wiklinowymi meblami i paprociami w meksykańskich donicach, ręcznie malowanych i wyglądających na stare. Podwójne drzwi zrobiono z bejcowanego na ciemno dębu. W okienko w drzwiach wstawiono mleczne szyby w ołowianych ramkach. Milo uderzył kłykciami w dąb. Drzwi były grube i z

mocnego pukania wyszedł cichy terkot. Nacisnął przycisk dzwonka. Cisza.

- - Nic nowego - mruknął do siebie i wsunął wizytówkę w szparę drzwi.
- Kiedy wracaliśmy do seville'a, wyrwał z kieszeni komórkę, jakby go uwierała. Wciąż nie było nic wiadomo o hondzie Michaeli ani o toyocie Dylana Meserve'a.
- Doszliśmy do samochodu. Otwierałem właśnie drzwi kierowcy, kiedy usłyszeliśmy głos od strony domu - damski, niski, afektowany. Kobieta mówiła do czegoś białego i puchatego, trzymanego przy piersi. Wyszła na ganek, zobaczyła nas, postawiła obiekt swojego uczucia na podłodze. Przyjrzała się nam i ruszyła w stronę chodnika. Wzrost i waga pasowały do danych Nory Dowd, ale włosy miała błękitnosiwe, z przedziałką na środku i grzywką, z boków dłuższe, z tyłu przycięte wysoko nad karkiem. Była ubrana w luźny, śliwkowy sweter, szare legginsy i białe adidas. Szła sprężystym krokiem, ale kilka razy się potknęła.

- Obeszła nas szerokim łukiem, ruszyła na południe.
- - Panna Dowd? - spytał Milo. Zatrzymała się.
- - Tak? Po jednej sylabie trudno było się zorientować, czy głos jest chropowaty, ale brzmiał nisko i gardłowo. Milo wyjął kolejną wizytówkę. Nora Dowd przeczytała ją, oddała.

- Chodzi o tę biedaczkę Michaelę?
- Tak, proszę pani.

- Spod lśniącej grzywki wyglądała okrągła i rumiana twarz. Nora Dowd spojrzenie miała lekko rozmyte, oczy duże, przekrwione; nie zaróżowione, jak Lou Giacomo, ale prawie szkarłatne. Spomiędzy siwych, delikatnych kosmyków wystawały wąskie, trochę spiczaste uszy. Nos przypominał zadarty guzik. Kobieta w średnim wieku, udająca nastolatkę. Wyglądała, jakby trzydzieste szóste urodziny miała już dawno za sobą. Kiedy odwróciła głowę, w świetle słońca ukazał się brzoskwiniowy meszek, zmiękczający jej podbródek. Kurze łapki przy oczach, zmarszczki wokół ust. Ostateczny dowód - pierścień wokół szyi. Wiek na jej prawie jazdy był wymysłem. To standardowa procedura operacyjna w mieście, którego głównym towarem eksportowym są fałszywe obietnice. Białe coś siedziało nieruchomo, zbyt nieruchomo, by mogło być znanym mi stworzeniem. Może to futrzana czapka? Ale w takim razie dlaczego Dowd do niej mówiła?

- - Możemy porozmawiać z panią o Michaeli? - spytał Milo. Nora Dowd zamrugwała.

- Mówi pan jak Joe Friday. Ale on był sierżantem, jest pan wyższy stopniem. - Wysunęła krągłe biodro. - Spotkałam kiedyś Jacka Weba. Nawet kiedy nie pracował, lubił wąskie, czarne krawaty.
- Jack był świetnym facetem, sponsorował akademię policyjną. Co do Michae...
- Przejdźmy się. Potrzebuję ruchu.

- Wysforowała się przed nas, energicznie wymachując ramionami.
- Michaela dawała sobie radę, jeśli miała odpowiedni nastrój. Jej umiejętności improwizacji pozostawiały trochę do życzenia. Sfrustrowana, wiecznie sfrustrowana.
 - Dlaczego?
 - Bo nie była gwiazdą.
 - Miała talent?
 -
- Nora Dowd uśmiechnęła się tajemniczo.
- Największa z jej improwizacji nie wyszła najlepiej - powiedział Milo.
 - Słucham?
 - Mówię o oszustwie, które zorganizowała z Meserve'em.
 - Ach, to. - Głos bez wyrazu.
 - Co pani o tym sądzi?
- Dowd przyspieszyła. Promienie słońca drażniły jej przekrwione oczy i kilka razy zamruła. Przez moment jakby traciła równowagę, opanowała się.
- Oszustwo... - przypomniał Milo.
 - Co ja o tym sądzę? Nędza. - Jak to?
 - Nędza w sensie teatralnym. - Wciąż nie...
-
- Brak wyobraźni - wyjaśniła. - Celem każdego performance'u jest otwartość. Ukazanie siebie. To, co zrobiła Michaela, było obrazą tych zasad.
 - Michaela i Dylan. - Nora Dowd znów przyspieszyła. Kilka kroków dalej kiwnęła głową.

- Michaela uważała, że doceni pani jej kreatywność - wtrąciłem się.
 - Kto panu to powiedział?
 - Psycholog, z którym rozmawiała.
 - Michaela chodziła na terapię?
 - Zaskakujące?
-
- Nie jestem zwolenniczką terapii - odparła Dowd. - Zamyka tyle samo kanałów, ile otwiera.
-
- Psycholog sporządził jej ocenę w ramach postępowania sądowego.
 - Głupota.
 - A Meserve? - spytał Milo. - On pani nie zawiódł?
-
- Nikt mnie nie zawiódł. Michaela zawiódła samą siebie. Tak, Dylan powinien być mądrzejszy, ale dał się namówić. Poza tym z nim jest inaczej.
-
- Jak to?
 - Utalentowani zasługują na większą pobłażliwość.
-
- - Oszustwo było pomysłem jego czy Michaeli? Pięć kroków.
 - - Nie ma sensu źle mówić o zmarłych. - Sekunda przerwy. - Biedactwo.
 - Dowd wykrzywiła w dół usta. Jeśli próbowała udawać współczucie, powinna jeszcze poćwiczyć.
-
- Jak długo Michaela chodziła do pani na lekcje? - spytał Milo.
 - Nie prowadzę lekcji. - A co?
 - Doświadczenia performance'owe.
 - Jak długo Michaela brała udział w tych doświadczeniach?
 - Nie jestem pewna... Rok...? Mniej więcej.
 - Mogłaby pani dokładniej? - Dokładniej. Hm... Nie, raczej nie.
 - A gdyby zajrzała pani do rachunków?
 - Nie prowadzę rachunków.
 - W ogóle?
-
- - W ogóle - zaśpiewała Dowd. Zakręciła ramionami, głęboko odetchnęła. - Ach, wspaniałe

mamy dzisiaj powietrze.

- Jak prowadzi pani firmę bez rachunków? Nora Dowd się uśmiechnęła.
- To nie firma. Nie biorę pieniędzy.
- Uczy pani... przekazuje doświadczenia za darmo?
-
- Udostępniam siebie, zapewniam warunki i wybiórczo krytyczną atmosferę dla osób z odwagą.
- Jaką odwagą?
- Taką, która pozwala człowiekowi przyjąć wybiórczą krytykę. Trzeba mieć jaja, żeby zagłębić się tutaj... - Prawą ręką ujęła lewą pierś. - Chodzi o samoobjawienie.
- Aktorstwo.
- - Performance. Aktorstwo to sztuczne słowo. Jakby życie było tu... - przekrzywiła głowę w lewo - ...a performance tam, w innej galaktyce. Wszystko to część tego samego *Gestalt*. To niemieckie słowo, opisujące coś, co jest większe niż suma swoich składowych. Ja otrzymałam błogosławieństwo.
- Nauczania... Udostępniania talentu? - spytał Milo.
- Niezmałonej świadomości i wolności od trosk.
- Wolność od rachunkowości to też fajna sprawa. Dowd się uśmiechnęła.
- Owszem.
- Czy niepobieranie opłat oznacza wolność od trosk finansowych?

- - Wszystko zależy od podejścia do pieniędzy - odparła pogodnie Nora Dowd.
 - Milo wyciągnął zdjęcie Tori Giacomo i podsunął kobiecie pod nos. Dowd nie zwolniła, więc musiał przyspieszyć, żeby dotrzymać jej kroku.
-
- Ładna, w stylu *Gorączki sobotniej nocy*. Dowd odsunęła zdjęcie i Milo opuścił rękę. - Nie zna jej pani?
 - Raczej nie. Kto to?
-
- - Tori Giacomo. Przyjechała do L.A., żeby zostać aktorką, brała lekcje, potem zniknęła.
-
- Zniknęła? - powtórzyła Nora Dowd. - Ot tak, puf?
 - „Udostępniła się” kiedyś w Domu Gry?
-
- Giacomo... To nazwisko nic mi nie mówi, ale nie powiem panu „tak” ani „nie”, bo nie prowadzimy list obecności.
 - Nie rozpoznaje jej pani, ale nie może powiedzieć „nie”?
 - Przychodzi do nas mnóstwo osób, zwłaszcza wieczorami, kiedy prowadzimy zajęcia grupowe. W sali jest ciemno; trudno oczekiwać, że będę pamiętała każdą twarz. Oni wszyscy są do siebie trochę podobni, rozumie pan?
 - Młodzi i chętni?
 - Młodzi i bardzo głodni.
 - Mogłaby pani zerknąć jeszcze raz?
-
- Dowd westchnęła, wyrwała mu zdjęcie, patrzyła na nie przez chwilę.
-
- Po prostu ani „tak”, ani „nie”.
 - Przychodzą do pani tłumy... - podjął Milo - ale Michaelę pani znała.
 - Pojawiała się regularnie. Nie omieszkała mi się przedstawić.
 - Ambitna?
 - Wysoki poziom głodu, to muszę przyznać. Trzeba mocno chcieć, żeby dotrzeć do dna lejka.
 - Jakiego lejka?
-
- Dowd zatrzymała się, znów potknęła, odzyskała równowagę i ułożyła stożek z dłoni.- Na górze są wszyscy ci, co próbują. Większość z nich od razu się poddaje, to pozwala pozostałym

opaść trochę niżej. - Opuściła ręce. - Ale jest ich wciąż o wiele za dużo i zderzają się ze sobą, odbijają, wszyscy łaknący ujścia lejka. Niektórzy się wydostają, inni zostają zmiażdżeni.

- - W lejku jest więcej miejsca dla tych z jajami - powiedział Milo. Dowd spojrzała na niego, zadzierając głowę.
- - Ma pan w sobie coś z Charlesa Laughtona. Myślał pan kiedyś o występowaniu?
- Milo się uśmiechnął.

- A więc kto dociera na dno lejka?
- Ci, którzy są karmicznie przeznaczeni.
-

- Do sławy.
- To nie choroba, poruczniku. Mam panu mówić Charles?
- Co nie jest chorobą?
- Sława - powiedziała Dowd. - Każdy, kto ją zyska, jest zwycięzcą z talentem. Nawet jeśli to nie trwa długo. Lejek jest w ciągłym ruchu. Kręci się jak gwiazda wokół własnej osi.

- Gwiazdy nie mają osi. Zachowałem tę perełkę dla siebie.

- Czy w Michaeli tkwił potencjał, żeby dotrzeć do wyjścia? - spytał Milo.
- Jak powiedziałam, nie chcę źle mówić o zmarłych.
- Lubiliście się?

- Dowd zmrużyła oczy wyglądające, jakby je zatarła.

- Dziwne pytanie.
- Może coś mi umyka, ale nie wydaje się pani zbyt wstrząśnięta morderstwem Michaeli.

- Dowd westchnęła.

- Oczywiście, że jestem smutna. Nie widzę powodu, dla którego miałabym się przed panami otwierać. Teraz, jeśli pozwolicie mi panowie dokończyć moje...

- Za sekundkę. Kiedy po raz ostatni widziała pani Dylana Meserve'a?
- Kiedy go widziałam?
- W Domu Gry - odpowiedział Milo. - Albo gdzieś indziej.
- Hm - zamyśliła się Dowd. - Hm, ostatni raz... tydzień temu? Dziesięć dni? Od czasu do czasu mi pomaga.
- W czym?
- Ustawia krzesła, takie rzeczy. Teraz muszę dokończyć swoje ćwiczenia oczyszczające, Charlesie. Cała ta rozmowa trochę zatręła zdrowe powietrze.

- Odbiegła od nas nierównym krokiem. Im szybciej się poruszała, tym wyraźniejsza była jej niezgrabność. Przy kolejnej przecznicy zaczęła boksować się z cieniem. Machała głową z boku na bok. Niezdarna, ale wyluzowana. Nieświadoma jakiegokolwiek niedoskonałości.

14

- I bez ciebie postawię diagnozę - powiedział Milo. - To wariatka. Nawet bez trawki.
- - Jakiej trawki?
- - Nie wyczułeś? Śmierdzi diabelskim ziołem, bracie. Widziałeś jej oczy? Czerwone oczy, brak koordynacji, odpowiedzi z lekkim opóźnieniem.
- Chyba się opuszczam.
- Nie podchodziłeś na tyle blisko, żeby wyczuć. Kiedy podawałem jej wizytówkę, śmierdziała. Musiała dopiero co skończyć skręta.
- Pewnie dlatego nie otwierała drzwi.
- Milo popatrzył wzdłuż ulicy. Nora Dowd zniknęła.
- Wariatka, napalona, nie prowadzi rachunkowości. Ciekawe, czy pieniądze ma po mężu, czy po rodzinie. A może dopchała się do ujścia lejka i dobrze zainwestowała.
- Nigdy o niej nie słyszałem.
- Jak powiedziała: gwiazda kręci się wokół własnej osi.
- Planety mają osie, gwiazdy nie.
- Wszystko jedno. Nie współczuła Michaeli, co?
- - Nawet nie udawała. Kiedy doszliśmy do Dylana Meserve'a, prysnęła. Może dlatego, że Meserve udostępnia się na różne sposoby.

- - Konsultant kreatywny - mruknął Milo. - Tak, brzydko się bawią.- W takiej sytuacji piękna młoda kobieta mogła być zagrożeniem dla kogoś w wieku Nory Dowd.
- - Dwoje ładnych dzieciaków, w górach, nago... Dowd musi mieć ze czterdzieści, czterdzieści pięć.
- - Też tak myślę.- Bogaczka spełnia się, udając guru dla smukłych, głodnych i ładnych... Wybiera z trzódki Dylana, on zabawia się z Michaelą. Tak, to dobry motyw, co? Może powiedziała Dy łanowi, żeby wyprostował sytuację. I teraz chłopak siedzi zaszyty w jej domiszczu, a brykę ukrył w garażu.
- Obejrzałem się na wielki, kremowy budynek.
- Mogli tam też trzymać Michaelę, dopóki nie zdecydowali, co z nią zrobić.
- Załadowali dziewczynę do rangę rovera i wyrzucili niedaleko jej mieszkania. - Milo wepchnął ręce do kieszeni. - To by dopiero było wstrętne.
-
- Dobrze, dowiedzmy się, co sąsiedzi mają do powiedzenia o pani Palacze. *Trzy kolejne dzwonki do drzwi wywołały trzy sprzątaczkę, z których każda powtarzała *Sehora no esta en la casa*. W zadbanym tudorze trzy numery na północ od domu Nory Dowd starszy mężczyzna w jasnozielonym pulowerze, czerwonej wełnianej koszuli, szarych kraciastych spodniach i kapciach koloru burgunda przyjrzał się nam znad oprawek staromodnych okularów. Na czubkach kapci miał wyhaftowane czarne wilcze łby. Z ciemnego, marmurowego przedsionka za nim dolatywał słaby zapach *eau de piernik*. Starzec długo przyglądał się wizytówce Mila.- A o co chodzi? - mruknął, kiedy Milo zapytał go o Norę Dowd. Głos mężczyzny przypominał chrzęst żwiru pod stopami.
- To rutynowe pytania.
- Niech mi pan nie opowiada takich banialuków.
- Wysoki, ale przygarbiony, miał skórę o odcieniu pożółkłej gazety, szorstkie siwe włosy i mętne niebieskie oczy. Sztynnymi palcami zgiął wizytówkę na pół i ukrył w dłoni. Mięśisty, porowaty nos opadał na przekrzywioną górną wargę.- Albert Beamish, dawniej z Martin, Crutch i Melvyn, i dziewięćdziesięciu trzech innych partnerów, dopóki nie wszedł w życie przepis o obowiązkowej zielonej trawce i nie skazali mnie na „emeritusa”. To było osiemnaście lat temu, więc policzcie sobie panowie i oszczędnie dobierajcie słowa. Mogę paść trupem w pół zdania i będziecie musieli kłamać komuś innemu.
- Stu dwudziestu, proszę pana.

- Do rzeczy, chłopcze - powiedział Albert Beamish. - Co ona zrobiła?
 - Jedna z jej studentek została zamordowana i robimy wywiad środowiskowy wśród osób, którzy znali ofiarę.
- -1 rozmawialiście z nią, i przekonaliście się, jaka to wariatka. Milo parsknął śmiechem.
- Studentek? - zakpił Albert Beamish. - Pozwalają jej uczyć? Od kiedy?
 - Prowadzi własną szkołę aktorską.
- Śmiech Beamisha był urywany. Chwilę trwało, zanim koktajl sięgnął jego ust. - Aktorską. To pasuje.
- Do czego?
 - Do niej: zawsze była rozpuszczonym leniwym bachorem.
 -
- Zna ją pan od dawna - powiedział Milo.
 - Wychowała się w tej przerośniętej traperskiej chacie. Jej dziadek postawił tę budę w latach dwudziestych; skaza całej okolicy, i wtedy i teraz. Powinna stać w Pasadenie albo gdzieś indziej, gdzie lubią takie rzeczy.
- - Beamish wycelował zamglone tęczęwki w przeciwną stronę ulicy. - Widzicie tu więcej takich?
 - - Nie.- Nie bez powodu, synku. Nie pasuje tu. Ale niech pan by tylko spróbował powiedzieć to Billowi Dowdowi seniorowi, jej dziadkowi. Przyjechał z Oklahomy, dorobił się na artykułach spożywczych albo pasmanterii. Jego żona pochodziła z pospólstwa, nie miała żadnego wykształcenia, myślała, że może się wkupić. Tak samo ich synowa, matka tej tutaj. Blond powsinoga, bez przerwy urządziła huczne przyjęcia. - Beamish znów się napił. - Przeklęty słoń.
- Słucham? - Milo zrobił zdziwioną minę.
 - Pewnego razu sprowadzili tu słonia. Na któreś urodziny, nie pamiętam. Zapaskudzili całą ulicę, śmierdziało przez kilka dni. - Jego nozdrza zadrżały. - Bill junior nie przepracował ani jednego dnia w życiu, zabawiał się za pieniądze ojca, późno się ożenił. Z kobietą taką samą jak

jego matka, bez klasy. A teraz mi mówicie, że ta tutaj uczy aktorstwa. Ciekawe gdzie?

- W West L.A. - odpowiedział Milo. - W Domu Gry.

- - Nigdy nie oddalam się aż tak od cywilizacji - stwierdził Beamish.
- - Dom gry? Brzmi cholernie frywolnie.

- To craftsman, tak samo jak ten dom - powiedziałem.
- Pasuje tam?
- Okolice jest dość jednorodno...
- Kłoda na kłodzie. Takie ponure dechy i witraże pasują do kościoła, gdzie mają i imponować, i przygnębiać. Bill Dowd senior zrobił fortunę na groszku w puszczy, potem ułożył ten stos bierwion. Pewnie przyszło mu to do głowy, kiedy kupował nieruchomości w Pasadenie, południowej Pasadenie, Altadenie i Bóg wie w jakiej jeszcze denie. Z tego żyli. Ona i jej bracia. Żadne z nich nie przepracowało w życiu ani dnia.
- Ilu jest braci? - spytałem.
- Dwóch. Bill trzeci i Bradley. Jeden to dureń, drugi cwaniak. Ten cwany zakradł mi się do ogrodu i pozrywał persymony. - Iskierki gniewu ożywiły mlecznobłękitne oczy. - Obrął drzewo do gołego. Wyparł się, ale wszyscy wiedzieli, że to on.
- Kiedy to było? - spytał Milo.
- W Święto Dziękczynienia siedemdziesiątego drugiego roku. Nigdy się nie przyznał, ale ja i moja żona nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że to on.
-

- Dlaczego?
- Bo robił to już wcześniej.
- Okradał pana?

- - Innych. Niech mnie pan nie pyta, co i komu ukradł, nie słyszałem szczegółów, tylko takie babskie gadanie. Oni też musieli się wkurzyć, bo go wyrzucili. Do akademii wojskowej.

- Z powodu persymon?
- Nie. - Beamish się zniecierpliwiał. - Nie powiedzieliśmy im o persy-monach. Po co być natrętnym.
- A co z Norą Dowd? - spytał Milo. - Były z nią problemy?

- - Jest najmłodsza i najbardziej rozpuszczona. Ciągle ma swoje pomysły.- Jakże?
- Chce być aktorką. - Beamish ściągnął usta. - Biega i próbuje załapać się do filmu. Zawsze uważałem, że za tym wszystkim stoi jej matka.
- Dostała kiedyś rolę?
- Nic mi o tym nie wiadomo. Czy ci durnie naprawdę płacą za to, co ona ma do powiedzenia?
-
- Na to wygląda - mruknął Milo. - Wyszła kiedyś za mąż? - Nie.
- Mieszka z kimś?
- Ma tę stertę badyli całą dla siebie.
-
- Milo pokazał mu zdjęcie Dylana Meserve'a.
-
- Kto to? - spytał Beamish.
- Jeden z jej studentów.
- Też wygląda na niezłe ziółko. Sypiają ze sobą?
- A jacyś goście? - spytał Milo. Beamish wyrwał zdjęcie z jego palców.
- Chłopak ma na szyi tablicę z numerem. Kryminalista?
- Aresztowany za wykroczenie.
- W dzisiejszych czasach to może oznaczać zabójstwo.
- Nie lubi pan sąsiadki.
-
- W ogóle za nimi nie przepadam - odparł Beamish. - Te persymony. Japońska odmiana,

cierpkie, twarde, nie jak te galaretowate ohydztwa, które można kupić na targu. Kiedy żona jeszcze żyła, uwielbiała robić z nich kompot na Święto Dziękczynienia. Nie mogła się go doczekać. Ten łobuz zasunął wszystkie co do jednego. - Oddał zdjęcie. - Mieście na tego chłopaka oko.

- Oczywiście, dziękuję.
- A widzieliście jej pupila?
-

- -Jakiego pupila?
- Albert Beamish roześmiał się tak, że dostał ataku kaszlu.
- - Wszystko w porządku? - spytał Milo. Beamish trzasnął drzwiami.
-

15

- Białe, puszyste coś, które Nora Dowd zostawiła na ganku, było pluszowym psem. Bichon albo maltańczyk. Matowe, ciemne ślepia. Milo go podniósł, przyjrzał się z bliska.
- - O bracie - mruknął i podał mi pupila Nory Dowd.
- To nie była pluszowa zabawka, tylko prawdziwy pies, wypchany i zakonserwowany. Na szyi miał różową wstążkę, a na niej srebrny wisiołek w kształcie serca. S_{TAN} Daty urodzenia i śmierci. Stan żył trzynaście lat. Biały, puchaty pyszczek bez wyrazu. Może to przez szklane oczy. Albo ograniczenia sztuki wypychania.
- - To mógł być Stan od Stanisławskiego - rozważałem głośno. - Pewnie rozmawia z nim i zabiera na spacer. Zobaczyła nas i się rozmyśliła.
- -1 co z tego wynika?
-
- Osobowość raczej ekscentryczna niż psychotyczna.
- Jestem pod wrażeniem. - Milo wziął ode mnie psa i postawił go z powrotem na podłodze. - Stanisławski, dobre sobie. Zabierajmy się stąd do diabła.
-

- Kiedy przejeżdżaliśmy obok tudora Alberta Beamisha, zakołysały się zasłony w oknie salonu.
-

- Uwielbiam sąsiedzkie waśnie - powiedział Milo. - Szkoda, że nie rozpoznał Meserve'a. Ale przy jego wzroku to nic nie znaczy. Za to nienawidzi Dowdów.
- Nora ma dwóch braci, którzy posiadają dużo nieruchomości - powiedziałem. - Ertha Stadlbraun mówiła, że właściciele mieszkania Peaty'ego to dwaj bracia.
- Rzeczywiście, mówiła.
-

- Kiedy dojechaliśmy do Szóstej i La Cienega, uzyskaliśmy potwierdzenie. William Dowd III, Nora Dowd i Bradley Dowd, działający jako BNB Nieruchomości, byli właścicielami domu przy Guthrie. Po kilku następnych telefonach zdołaliśmy wyrobić sobie pojęcie o ich stanie posiadania. W hrabstwie L.A. mieli zarejestrowane przynajmniej czterdzieści trzy nieruchomości. Liczne budynki mieszkalne i biurowe oraz przerobiony dom na Westside, gdzie Nora „udostępniała się” niedoszłym gwiazdom.
 - - Szkoła jest prawdopodobnie ustępstwem na rzecz siostry wariatki - powiedział Milo. - Dzięki temu mają ją z głowy.
 - -1 znajduje się z dala od innych nieruchomości - dodałem. - Coś jeszcze: tyle budynków oznacza dużo pracy dla stróżów.
 - - Reynold Peaty zagląda w najróżniejsze okna... jeśli przeszedł od podglądania do przemocy, zyskał dużo potencjalnych ofiar. Tak, sprawdźmy to. *
 - Siedziba BNB Nieruchomości znajdowała się przy Ocean Park Boulevard, niedaleko lotniska Santa Monica. Nie była to jedna z nieruchomości Dow-dów, należała do państwowego syndykatu, posiadającego pół śródmieścia.
-
- Ciekawe dlaczego - zastanawiał się na głos Milo.
 - Może to jakiś manewr podatkowy - odparłem. - A może zatrzymali to, co zostawił im ojciec, nic więcej nie dodali.
 - Bogate, leniwe dzieciaki? Tak, brzmi sensownie.
-
- Była za piętnaście piąta, a jazda o tej godzinie nie należała do przyjemności. Milo zadzwonił pod numer z książki i szybko odłożył słuchawkę.-”Dodzwoniliście się państwo do biura, bla, bla, bla. Jeśli to awaria kanalizacji, wybierz jeden. Elektryczności, wybierz dwa”. Bogate, leniwe dzieciaki pewnie piją w country clubie. Masz ochotę mimo to spróbować?
 - - Jasne - powiedziałem. *
 - Olympic Boulevard wydawał się optymalną trasą. Światła są tam dobrze wyliczone, a dzięki zakazom parkowania wszystkich sześć pasów jest przejezdnych podczas coraz dłuższych w L.A. godzin szczytu. Bulwar zaprojektowano jeszcze w latach czterdziestych, jako szybką drogę ze śródmieścia na plażę. Ludziom dość starym, by pamiętać, kiedy tej obietnicy dotrzymano, wilgotnieją oczy. Tego popołudnia jechało się tamtędy trzydzieści na godzinę.
-
- Pomysł z miłosnym trójkątem pasuje - powiedział Milo, kiedy zatrzymałem się przy Doheny - biorąc pod uwagę narcyzm i świra Nory. Ta kobieta uważa, że jej pies jest dość cenny, by zamienić go w mumię.
 - Michaela upierała się, że ona i Dylan nie byli kochankami.
 -
 - Chciała ukryć to przed Norą. Może przed tobą też.

- Jeśli tak, ich wybryk był bardzo głupi.
- - Dwójka nagich dzieciaków... Rozgłos nie mógł zachwycić Dowd - analizował Milo.- Zwłaszcza jeśli w rzeczywistości wcale nie czuje się aż tak pobłogosławiona - dodałem.- Nie dopchała się do ujścia lejka.
- Poza tym mieszka sama w wielkim domu, nie ma stałego partnera i musi sobie zapalić, zanim stawi czoło światu. Może trzymanie wypchanego psa to po prostu skutek gigantycznie niskiej samooceny.
- Gra rolę - przypomniał Milo. - Udostępnia się. W porządku, zobaczmy, czy uda się nam spotkać z resztą tej wspaniałej rodziny.
- *
- Trafiliśmy do piętrowego pawilonu na północno-wschodnim rogu Ocean Park i Dwudziestej Ósmej, dokładnie na wprost tętniących życiem terenów przemysłowych wokół prywatnego lotniska Santa Monica. BNB Nieruchomości zajmowała jedno pomieszczenie na piętrze. Pawilon był tandetny, z natryskiwanym, cytrynowożółtym stiukiem poplamionym rdzą przy rynnach, z brązowymi żelaznymi poręczami na otwartym balkonie i plastikowymi dachówkami, nędznie imitującymi styl kolonialnej Hiszpanii. Na parterze znajdowały się pizzeria na wynos, tajska knajpka i jej meksykański odpowiednik oraz automatyczna pralnia. BNB sąsiadowała na piętrze z kręgarzem oferującym leczenie „urazów zawodowych”, Pomocą Techniczną Zip i biurem podróży Sunny Sky, którego okna oklejono jaskrawymi plakatami. Kiedy wchodziliśmy na schody z grubego, żwirowego betonu, w niebo wystrzelił smukły, biały odrzutowiec.- Aspen, Vail albo Telluride - ocenił Milo. - Ktoś się dobrze bawi.
- Może to podróż w interesach i lecą do Podunk.
- W tym progu podatkowym każda podróż to zabawa. Ciekawe, czy bracia Dowd mieszczą się w pierwszej lidze. Jeśli tak, oszczędzają na klimacie.
- Wskazał proste, brązowe drzwi BNB. Obite, wypaczone i pękające na dole. Napis na nich składał się z sześciu srebrnych, samoprzylepnych, niedbale przyklejonych liter. BNB_{INC}. Pojedyncze okno w aluminiowej framudze zasłaniały tanie, białe wertikalne. Przechylone w lewo, zostawiały mały trójkąt, przez który można było zajrzeć do środka. Milo to wykorzystał.

- - Chyba jedno pomieszczenie... i łazienka, z włączonym światłem. - Wyprostował się. - Ktoś tam sika, dajmy mu czas na zapięcie spodni. Wystartował następny samolot.
- Ten na pewno do Aspen - stwierdził Milo.
- Po czym wnioskujesz?
- Po wesołym ryku silników. Zapukał i otworzył drzwi.
- Przy tanim, drewnianym biurku stał mężczyzna i patrzył na nas. Zapomniał zapiąć rozporek spodni w kolorze khaki i z otworu wystawał skrawek niebieskiej koszuli - jedwabnej, luźnej i workowatej, fabrycznie spranej w stylu modnym przed dziesięcioma laty. Spodnie wisiały luźno na chudych nogach. Bez paska. Wytarte, brązowe mokasyny, białe skarpetki. Był niski - metr sześćdziesiąt pięć, najwyżej siedemdziesiąt - i wyglądał na pięćdziesiątkę. Miał ukośne w dół, piwne oczy i kędzierzawe siwe włosy, krótko obcięte. Biały meszek na karku zdradzał, że przyszła pora na fryzjera. Tak samo dwudniowy zarost koloru soli z pieprzem. Zapadnięte policzki, kanciaste rysy, oprócz nosa. Świecący, mały guzik nadawał twarzy mężczyzny chochlikowatego wyrazu. Albo facet korzystał z usług chirurga plastycznego swojej siostry, albo zadarty nos był cechą charakterystyczną wszystkich Dowdów.
- Pan Dowd? - spytał Milo. Nieśmiały uśmiech.
- Jestem Billy.
- Na widok odznaki zamrugął. Przypadkiem jego dłoń musnęła róg koszuli, i zeszywniał. Zapiął rozporek. - O rany... - Chuchnął w dłoń. - Muszę zjeść miętówkę... Gdzie je położyłem? - Wywrócił cztery kieszenie na lewą stronę, ale były tam tylko sfilcowane strzępki, które opadły na cienką, szarą wykładzinę. W końcu znalazł miętówki w kieszeni koszuli. Wrzucił jedną do ust, zaczął żuć i wyciągnął pudełko w naszą stronę. - Może cukierka?
- - Nie, dziękujemy.
- Billy Dowd przysiadł na krawędzi biurka. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowało się drugie, pokazniejsze miejsce pracy: replika sekretarza z rzeźbionego dębu, płaski monitor, komputer schowany. Brązowe ściany. Wisiał na nich tylko kalendarz Towarzystwa Humanitarnego. Trzy puchate kocięta - słodycz doskonała. Billy zgryzł następną miętówkę.
- A więc... o co chodzi?
- Nie wydaje się pan zaskoczony, że tu jesteśmy, panie Dowd.
-

- Billy zamrugał.

- Nie pierwszy raz.
- Kiedy rozmawia pan z policją? - Aha.

- - A wcześniej? Billy zmarszczył czoło.
- - Prawdę mówiąc... Ostatnio zeszłym roku? Jeden z najemców, mamy dużo najemców, mój brat i siostra, i ja, więc w zeszłym roku jeden kradł sprzęt komputerowy. Przyszedł do nas porozmawiać policjant z Pasadeny. Powiedzieliśmy: „W porządku, aresztujcie go, i tak nie płaci w terminie”.
- - I aresztowali?

- Eee tam. Uciekł. Zabrał żarówki, narobił bałaganu, Brad się wkurzył. Ale potem szybko znaleźliśmy następnego najemcę i już było w porządku. Mili ludzie, agenci ubezpieczeniowi, państwo Rose, płacą w terminie.
- Jak się nazywał ten nieuczciwy najemca?

- - Prawdę mówiąc... - Jego usta rozciągnęły się w wolnym uśmiechu. - Prawdę mówiąc, nie wiem. Możecie panowie zapytać mojego brata, niedługo tu przyjedzie.

- Kiedy pierwszy raz odwiedzała pana policja? - spytał Milo.
- Słucham?
- Powiedział pan, że ostatnio byli w zeszłym roku. A jeszcze wcześniej?

- - Och. Racja. Dawno temu, prawdę mówiąc, z pięć lat, może nawet sześć? Zaczekał na potwierdzenie.

- Co się stało dawno temu? - spytałem.
- Wtedy chodziło o coś innego - odparł. - Ktoś uderzył kogoś na korytarzu, więc wezwali policję. Nie najemcy, dwaj goście, wdali się w bójkę... czy coś takiego. A więc co się stało tym razem?
- Studentka pana siostry została zamordowana i rozmawiamy z osobami, które ją znały.

- Na słowo „zamordowana” Billy Dowd zakrył dłonią usta, więc palce stłumiły jego słowa.- To okropne! - Dłoń opadła na brodę, ogryzione do skóry paznokcie wpiły się w szczeciniastą skórę. - Mojej siostrze nic się nie stało?
- Jest cała i zdrowa - zapewnił Milo.
- Na pewno?
- Tak, proszę pana. Morderstwa nie dokonano w Domu Gry.
-
- Uff. - Billy otarł dłonią czoło. - Wystraszył mnie pan. Mało brakowało, a posikałbym się w spodnie. - Zaśmiał się nerwowo i spojrzał na krocze, czy jednak utrzymał moczu.
- Co się dzieje? - spytał głos od strony drzwi.
- Cześć, Brad - zawołał Billy Dowd. - Znów policja.
-
- Mężczyzna, który wszedł, był o trzydzieści centymetrów wyższy od Billy’ego i mocno zbudowany. Miał na sobie dobrze skrojony, granatowy garnitur i żółtą koszulę ze sztywnym, dużym kołnierzem, do tego miękkie, brązowe mokasyny z cielejącej skóry. Czterdzieści kilka lat, ale włosy białe jak śnieg. Gęste, proste i krótko przycięte. Błyszczące, ciemne oczy, pełne usta, kwadratowy podbródek, haczykowany nos. Nora i Billy Dowd zostali ulepieni z miękkiej gliny. Ich brata wyciosano z kamienia. Bradley Dowd stanął obok Billy’ego i zapiął marynarkę.
- Znów?
- Pamiętasz - powiedział Billy. - Ten facet... ten, co kradł komputery i zabrał wszystkie żarówki, jak on się nazywał? To był Włoch?
- Polak - odparł Brad Dowd. Popatrzył na nas. - Edgar Grabowski znów jest w mieście?
- Nie chodzi o niego - wyjaśnił szybko Billy. - Tłumaczyłem tylko, dlaczego byłem zaskoczony, ale nie totalnie zaskoczony, kiedy tu przyszli, bo już wcześniej...
- Jasne - przerwał mu Brad, klepiąc go po ramieniu. - Co się stało, panowie?
- - Popełniono morderstwo... - powiedział Milo - Zginęła jedna ze studentek panów siostry...
- Mój Boże, to straszne... Z Norą wszystko w porządku? Ten sam odruch obronny jak u Billy’ego.
- Już pytałem, Brad. Nora jest cała.

- Brad pewnie oparł się mocniej na ramieniu Billy'ego, bo mniejszy mężczyzna się zgarbił.
- Gdzie to się stało i kto został zamordowany?
- W West L.A. Ofiarą jest młoda kobieta, Michaela Brand.
- Ta, która upozorowała własne porwanie? - spytał Brad. Bill spojrzał na niego.
- Nie mówiłeś mi o tym, Bra...
- - Słyszałem w telewizji. - Do nas: - Morderstwo miało z tym coś wspólnego?
- -A byłby ku temu jakiś powód? - spytał Milo.- Skąd mogę wiedzieć? Tylko pytam... - odparł Brad Dowd. - Takie akcje wabią czubków.
- - Nora mówiła o oszustwie?Brad pokręcił głową.
- - Zamordowana... okropność. - Zmarszczył czoło. - To musiało Norą Wstrząsnąć, lepiej do niej zadzwonię. - Nic jej nie jest - powtórzył Milo. - Dopiero co z nią rozmawialiśmy.
- - Jest pan pewien?
- - Pana siostra czuje się świetnie. Przyjechaliśmy tu, bo musimy porozmawiać ze wszystkimi, którzy mogli mieć kontakt z panną Brand.
- - Oczywiście - powiedział Brad Dowd. Uśmiechnął się do brata. - Billy, zrób mi przysługę, leć na dół i kup kanapkę u DiGiorgia, wiesz, jakie lubię.
- Billy Dowd wstał i spojrzał na brata.
- Papryka, jajka, bakłażan i pomidor. Dużo pesto czy tylko trochę?
- Dużo, braciszku.
- - Nie ma sprawy, braciszku. Miło było panów poznać.Billy szybko wyszedł.
- - Nie musi słuchać o takich rzeczach - wyjaśnił Brad, kiedy drzwi zniknęły się za Billym.
- - Jak jeszcze mogę pomóc?
- Interesuje nas pana stróż, Reynold Peaty. Co pan o nim wie?
- Pyta pan z powodu jego aresztowań? Milo pokiwał głową.
- Cóż... - zaczął Brad - nie ukrywał swojej przeszłości, kiedy się do nas zgłosił. Doceniłem

szczerłość i okazał się dobrym pracownikiem. A co?

- Nic. Rutynowy wywiad. Jak go pan znalazł?
- Przez agencję. Oni nie byli tak szczerzy w sprawie jego przeszłości, więc zrezygnowaliśmy z ich usług.
- Od jak dawna dla pana pracuje?
- Od pięciu lat.
- Niezbyt długo po jego aresztowaniu w Nevadzie.
- Powiedział, że miał problem z piciem, ale jest już czysty i trzeźwy. Nie prowadzi, więc nie będzie miał problemów z jazdą po pijanemu.

- - Wie pan o jego aresztowaniu za podglądanie przez okno? - spytał Milo.
- - Opowiedział mi o wszystkim - odparł Brad. - Twierdził, że to też przez picie. I że tylko ten jeden raz zrobił coś takiego. - Rozprostował ramiona. - Wielu naszych najemców to kobiety i rodziny z dziećmi, nie

- jestem naiwny, mam oko na wszystkich pracowników. Teraz, kiedy baza danych ustawy Megan działa, sprawdzam ją regularnie. Zakładam, że wy też, więc wiecie, że Reynolda w niej nie ma. Czy jest jeszcze jakiś powód, dla którego pan o niego pyta, poza rutyną?- Nie. Brad Dowd przyjrzał się swoim paznokciom, doskonale zadbanym.

- Niech pan będzie szczerzy, detektywie. Macie choćby najmniejsze dowody obciążające Reynolda? Facet krąży między wieloma naszymi budynkami i chociaż chciałbym mu ufać, nie zamierzam być pociągany do odpowiedzialności. Nie wspominając już o ludzkiej krzywdzie.

- Nie ma żadnych dowodów - odparł Milo.
- Jest pan pewien.
- Wszystko na to wskazuje, jak dotąd.
- Jak dotąd - powtórzył Brad Dowd. - Nie brzmi to zbyt krzepiąco.

- - Na razie o nic go nie podejrzewamy. Jeśli coś się zmieni, dam znać. Dowd skubnął ręką sztytę marynarki.

- Nie ma tu żadnego podtekstu, prawda, detektywie? Nie sugeruje pan, że bym go zwolnił?

- Nawet wolałbym, żeby pan tego nie robił.
 - Dlaczego?
- Po co nam dodatkowe zamieszanie, panie Dowd. Jeśli Peaty wyszedł na prostą, można mu tylko pogratulować.
- Też tak uważam... A ta biedna dziewczyna... jak zginęła?
 - Została uduszona i zadżgana. Dowd się skrzywił.
 - Domyślcie się, przez kogo?
- - Nie. Mam następne rutynowe pytanie: czy zna pan Dylana Meserve'a?
 - - Wiem, kto to jest. A dlaczego właśnie o niego pan rutynowo pyta?- Nie widziano go od jakiegoś czasu, a kiedy próbowaliśmy rozmawiać o nim z pana siostrą, zakończyła rozmowę.
 - - Nora... - mruknął Brad ze znużeniem. Spojrzał na drzwi. - Hej, braciszku. Nieźle pachnie, dzięki. Billy Dowd niósł otwarte kartonowe pudełko w obu dłoniach, jakby zawartość opakowania była bardzo cenna. W środku znajdowała się wielka kanapka, zawinięta w pomarańczowy papier. Biuro wypełnił zapach pasty pomidorowej, oregano i bazylii. Brad odwrócił się tak, żeby jego brat tego nie zobaczył, i podał Milowi żółtą wizytówkę. Idealnie pasującą do koszuli.
- Chciałbym pomóc, detektywie. Proszę śmiało dzwonić, jeśli będzie pan miał jeszcze pytania... Fantastycznie pachnie, Billy. Niezły z ciebie gość.
 - To z ciebie niezły gość - odparł poważnie Billy.
 - Z ciebie też, Bill.
- Usta Billy'ego Dowda wygięły się w górę.
 - - Hej, obaj możemy być nieczułymi gośćmi - zaproponował Brad. Wziął kanapkę i lekko szturchnął brata w ramię. - Prawda?
 - Billy to rozważył.
 - - W porządku.
- 16**
- Kiedy doszliśmy do drzwi, Brad zdążył już rozpakować swoją przekąskę.
- Trafieś w dziesiątkę, Bill - powiedział. Ruszyliśmy schodami na parter.
 - Ładnie pachniała ta kanapka - stwierdził Milo.

- Zaparkowaliśmy niedaleko zachodniego krańca lotniska. Kawa z Cafe DiGiorgio była czarna i mocna. Milo odsunął fotel daleko w tył i zabrał się do kanapki z pulpetami i papryką.
- Po czterech wściekłych kęsach przerwał, żeby zaczerpnąć tchu.
- Wygląda na to, że Bradley opiekuje się rodzeństwem.
- Wygląda na to, że oboje potrzebują opieki.
- Jak brzmi twoja diagnoza Billy'ego?
- Najlepszym określeniem byłoby chyba „prosty”.
- A Nora to szurnięta ćpunka.
- Możesz już kandydować do stanowej komisji - zażartowałem.
- Milo popatrzył na błękitne niebo. Nie było tam żadnych smukłych, białych odrzutowców, którymi karmiły się jego fantazje. Podał mi żółtą wizytówkę Brada Dowda. Szttywny, gruby papier. Imię i nazwisko wytłoczone czekoladowymi italikami, pod spodem numer telefonu z kierunkowym 825.
- - Wizytówka dżentelmena - powiedziałem. - Nieczęsto się takie widuje.
- -Kto się urodził bogatym dzieciakiem, zawsze nim zostanie. Zadzwoń do niego wieczorem, dowiem się, o czym nie chciał rozmawiać przy swoim bracie.
- Wróciłem do domu na szóstą, skasowałem śmieci z sekretarki, wysłuchałem nagrania Robin sprzed dziesięciu minut.
- - Mogłabym powiedzieć, że chodzi o nasz wspólny żal po świętej pamięci psie, ale tak naprawdę... dzwonię, żeby cię zaciągnąć do łóżka. Chyba. Mam nadzieję, że tylko ty tego słuchasz. Skasuj to, proszę. Pa.
- **Zadzwoń do niej.**
- Skasowałem.
- Jestem samotna - powiedziała.
- Ja też.
- Zrobimy coś z tym?
- Chyba tak.
- Nie nazwałabym tego szalejącą żądzą, ale nie będę grymasić.
- *
- Pod jej dom w Venice przyjechałem o siódmej. Następną godzinę spędziliśmy w łóżku,

przez resztę wieczoru czytaliśmy gazety i oglądaliśmy końcówkę *Humoreski*. Kiedy film się skończył, Robin bez słowa wstała i poszła do pracowni. Próbowałem spać, ale tylko kręciłem się z boku na bok, dopóki nie wróciła. Obudziłem się po siódmej, kiedy nie można było już dłużej lekceważyć promieni słońca przeświecających przez zasłony. Robin stała naga przy oknie, z kubkiem herbaty. Zawsze wołała kawę. Wychrypiałem coś, co z grubsza przypominało „dzień dobry”.

- Coś ci się śniło.
- Krzyczałem?
- Wierciłeś się. Przyniosę ci kawę.
- Wracaj do łóżka, ja pójdę.
- Nie, spokojnie. - Wyszła i wróciła z kubkiem, stanęła przy łóżku. Napilem się i odchrząknąłem.
- Dzięki. Teraz wolisz herbatę?
- Czasami.
- Długo już nie śpisz?
- Dwie godziny.
- Przeze mnie?
- Nie, zrobił się ze mnie ranny ptaszek.
-
- Trzeba wydoić krowy, zebrać jajka. Uśmiechnęła się, włożyła szlafrok, usiadła na łóżku.
- Połóż się - powiedziałem.
- Nie, jak już wstałam, to wstałam.
-
- Zmusiła się do uśmiechu. Poczulem zapach jej wysiłku.
- - Chcesz, żebym sobie poszedł?
-
- Oczywiście, że nie - odparła za szybko. - Zostań, ile chcesz. Nie mam za wiele na śniadanie.
- Nie jestem głodny - powiedziałem. - Dużo roboty.
- W końcu będę musiała się do niej zabrać.
-
- Pocałowała mnie w czoło, wstała i zaczęła się ubierać. Ja poszedłem wziąć prysznic. Kiedy wróciłem, wysuszony i ubrany, jej piła już śpiewała. *Zjadłem śniadanie u Johna O'Groatsa na Pico. Zboczyłem z drogi, ale naszło mnie na irlandzkie płatki owsiane, a towarzystwo nieznanym bardzo mi odpowiadało. Siadłem przy barze i wziąłem gazetę. Nic

na temat Michaeli. Bo i skąd. Po powrocie do domu odwaliłem trochę papierkowej roboty, zastanawiając się nad odpowiedziami Nory Dowd na pytania Mila. Nie próbowała udawać współczucia ani zainteresowania morderstwem Michaeli. Tak samo zniknięciem Tori Giacomo. Ale nazwisko Meserve'a wzbudziło w niej jakieś emocje, a Brad nie chciał mówić o Dylanie przy najbardziej wrażliwym z rodzeństwa Dowdów. Siadłem do komputera. Imię i nazwisko Nory wyskoczyło tylko raz: na liście warsztatów aktorskich na stronie StarHopefuls.com. Nowe Nadzieje. Wydrukowałem tę listę, zadzwoniłem do wszystkich ośrodków organizujących kursy na Zachodnim Wybrzeżu. Wymyśliłem sobie historię o reżyserze i castingu i pytałem, czy kiedykolwiek uczęszczała do nich Tori Giacomo. Najczęściej reagowano niezrozumieniem. Kilka razy ktoś się rozłączył, co oznaczało, że sam powinienem wziąć kilka lekcji aktorstwa. Przyszło południe, a ja nic nie miałem. Lepiej trzymać się tego, za co mi płacili. Dokończyłem raport na temat doktora Patricka Hausera i pobiegłem do najbliższej skrzynki pocztowej. Siedziałem z powrotem za biurkiem i sprzątałem papiery, kiedy do drzwi zadzwonił Milo.

- - Wcześniej dzwoniłem - powiedział.
- Byłem pobiegać.
- Zazdroszczę ci kolan.
- Naprawdę nie ma czego. Co tam?
- Gospodarz Michaeli obiecuje, że będzie w jej mieszkaniu jutro rano. Dostałem zezwolenie na sprawdzenie billingów dziewczyny, ale mój kontakt u operatora telefonicznego mówi, że marnuję czas. Telefon wyłączono za niepłacenie kilka tygodni przed śmiercią Michaeli. Jeśli miała komórkę, nie mogę jej znaleźć. Z plusów, niech Bóg błogosławi anioły od koronera. - Wszedł do środka. - Naprawdę bolą cię kolana?
- Czasami.
- - Gdybyś nie był moim kumplem, dobiłbym cię złośliwą radością.
- Poszedłem za nim do kuchni. Zamiast splądrować mi lodówkę, usiadł i rozluźnił krawat. - Autopsja Michaeli została potraktowana priorytetowo? - spytałem.
- Nie, coś lepszego. Moi kumple z krypty przejrzeni archiwa nieznanych, znaleźli kilka kandydatek i wytypowali jedną z nich u badaczki kości pracującej nad identyfikacją zwłok. To antropolog na stypendium, zbiera próbki z różnych spraw i próbuje je klasyfikować etnicznie. W swoich zbiorach miała nietkniętą czaszkę z większością zębów. Młoda kobieta, typ kaukaski, ofiara zabójstwa znaleziona dziewiętnaście miesięcy temu, resztę ciała spalono sześć miesięcy

po znalezieniu. Odontolog sądowy powiedział, że to bardzo charakterystyczne uzębienie. Dużo kosmetyki, niespotykanej u osoby w tak młodym wieku.

- Ktoś próbował wyglądać jak najlepiej. Na przykład aktorka z aspiracjami.
- Zdobyłem nazwisko dentysty Tori Giacomo z Bayside i dzięki magii fotografii cyfrowej oraz poczty elektronicznej mieliśmy pozytywną identyfikację po godzinie.
- Jak jej ojciec to przyjął?
- Nie wiem - odparł Milo. - Nie dał kontaktu do siebie w L.A., więc zadzwoniłem do jego żony. Wbrew temu, co powiedział, kobieta robi wrażenie osoby rozsądnej i opanowanej. Spodziewała się najgorszego już od jakiegoś czasu. - Oklapł. - Taki ze mnie fajny facet, nie mogłem jej rozczarować. - Wstał, nalał sobie szklankę kranówki. - Masz cytrynę?

- Ukroiłem plasterk, wrzuciłem mu do szklanki.
- - Rick mówi, że powinienem nawadniać nerki, ale woda smakuje jak woda... W każdym razie Tori nie jest już N.N. 342-003. Żałuję, że nie mam reszty zwłok, ale zapisano ją jako niewyjaśnione morderstwo z Hollywood, a raport detektywa raczej jasno przedstawia sprawę. - Napił się, odstawił szklankę do zlewu. - Znaleziono ją cztery miesiące po zniknięciu, porzuconą w krzakach w Griffith Park, od strony L.A. Zostały z niej tylko kości. Koroner przypuszcza, że było uszkodzenie kręgów szyjnych. Poza tym stwierdzono stosunkowo powierzchowne cięcia od noża na mostku i żebrach. Ostrożnie zakładana przyczyna zgonu: uduszenie lub zadżganie.

- Dwie młode studentki aktorstwa, podobne rany, a Nora Dowd nie wykluczyła, że Tori mogła chodzić do niej na zajęcia - podsumowałem.
- U Nory w domu ani w szkole nikt nie odbiera telefonu. Będę wieczorem w Domu Gry, wmieszam się między pięknych ludzi. Po spotkaniu z Bradem Dowdem. Zadzwonił, przeprosił za przerwanie rozmowy, zaprosił mnie do siebie.
- Chce porozmawiać o Dylanie - powiedziałem. - Gdzie mieszka?
- W Santa Monica Canyon. Pojedziesz ze mną? Ja prowadzę.

- *
- Bradley Dowd mieszkał na Gumtree Lane, półtora kilometra na północ od Channel Road, na wschód od miejsca, gdzie Channel opada stromo do autostrady Pacific Coast. Niebo szybko ciemniało. Gęste korony drzew przyspieszyły nadejście nocy. Powietrze było nieruchome i niezwykle ciepłe jak na tę porę roku, od oceanu nie dochodził najmniejszy powiew. Zazwyczaj jest tu kilka stopni chłodniej niż na wybrzeżu. Coraz częściej mam wrażenie, że kolejne reguły przestają obowiązywać. Dom był parterowym pudłem z drewna sekwojowego i szkła, stojącym w zagłębieniu przy zarośniętej drodze, z dala od ulicy. Obfitość roślinności utrudniała zorientowanie się, gdzie zaczyna się teren posiadłości. Jeśli pudłem, to luksusowym, z wykończeniami z polerowanej miedzi i gankiem wspierającym się na rzeźbionych belkach. Starannie rozmieszczone reflektory oświetlały klomby kwiatów i bujnych paproci. Drewniana tabliczka z adresem, umocowana na kamiennym słupku, była ręcznie malowana. Na żwirowym

podjeżdżie stało szare albo beżowe porsche. Wiszące sukulenty zdobiły ganek z dwoma bujanymi fotelami. Brad Dowd stał obok jednego z nich. Miał na sobie T-shirt i obcięte spodnie, w rękę trzymał butelkę z długą szyjką.

- - Niech pan zaparkuje za moim, detektywie.
- Kiedy weszliśmy na ganek, uniósł butelkę. Corona. Na jego koszulce widniał napis H_{OBIE}-C_{AT}. Miał bose stopy; muskularne nogi, guzowate, zniekształcone kolana.

- Dla panów?
- Nie, dzięki.
-

- Dowd usiadł, znów machnął ręką. Przystawiliśmy dwa fotele i siedliśmy naprzeciwko niego.

- Mieliście panowie problemy ze znalezieniem adresu?
- Żadnych - odparł Milo. - Dziękuję za telefon.

- Dowd kiwnął głową i się napił. Cykały świerszcze. Lekki powiew przyniósł zapach gardenii.

- Ładnie tu.
- Uwielbiam to miejsce - odparł Brad. - Nie ma to jak cisza i spokój po całym dniu zajmowania się ciekącymi rurami, krótkimi spięciami i innymi drobnymi katastrofami.
- O tak, trudy bycia gospodarzem.

- - Pan też nim jest, detektywie?- Boże uchwaj.
- Brad się zaśmiał.
- - Bije na głowę uczciwą pracę. Kluczem do sukcesu jest dobra organizacja.
- Zostawił lekko uchylone frontowe drzwi. Na krzesłach meksykańskie narzutki, otomana, dużo skóry. W kącie stała biała deska surfingowa. Długa, jakich się już teraz często nie widuje. Pochodzenie guzów na kolanach Dowda stało się jasne. Węzły surfera.

- Miał nam pan coś powiedzieć o Dylanie Meservie - zaczął Milo.
- Dziękuję, że panowie zaczekali. Nie chciałem, żeby Billy usłyszał.

- Chroni go pan - zagadnąłem. Dowd odwrócił się do mnie.
 - Billy potrzebuje ochrony. Czasami ciężko mu ocenić rzeczywistość.
 - Meserve mógł go zaniepokoić? - spytał Milo. Brad Dowd zmarszczył czoło.
 - Nie. Po prostu lubię trzymać brata z dala od rzeczy, o których nie musi wiedzieć... Na pewno nie napijecie się panowie piwa?
 - Na pewno - odparł Milo. - Troszczy się pan o Billy'ego.
 - Nie potrzebuje specjalnej opieki, nie jest niedorozwinięty. Był tylko lekko niedotleniony, kiedy się rodził. Mieszkaliśmy razem, potem, dwa lata temu, uświadomiłem sobie, że potrzebuje niezależności, więc kupiłem mu własny kąt. Piętro wyżej mieszka miła kobieta. Billy myśli, że są tylko sąsiadami, ale płacę jej, żeby na niego uważała. W każdym razie, co do Meserve'a, to nic wielkiego. Moja siostra coś do niego czuła i uważam go za drania pierwszej klasy.
 - Czy Meserve odwzajemniał uczucie?
- Dowd rozprostował nogi, rozmasował kolano. Skrzywił się.
- Nora potrafi być czasami niedojrzała. To, że spędza tyle czasu z młodymi ludźmi, też nie wychodzi jej na zdrowie.
- Dylan nie był pierwszy? - spytałem.
- - Tego nie powiedziałem. Uśmiechnąłem się. Brad Dowd łyknął piwa.
 - - Co tam będę chrzanić. Wie pan, jak to jest, kiedy kobieta osiąga pewien wiek... Nora ma prawo się bawić. Ale związek z Meserve'em zaczął się trochę wymykać spod kontroli, więc porozmawiałem z nią i zrozumiała, że mam rację.
 - - Nie chciał pan, żeby Billy to słyszał, ponieważ... Brad Dowd zacisnął usta.
- Nie było łatwo. Przekonać Norę. Zdenerwowałaby się o wiele bardziej, gdyby wmieszał się w to Billy. Gdyby na przykład próbował ją pocieszać czy coś takiego.
 - Dlaczego? - spytał Milo.
 - Nora i Billy nie są ze sobą blisko... Kiedy byliśmy mali, Nora wstydziła się Billy'ego. Ale jemu się zdaje, że są blisko... - Przerwał. - To sprawy rodzinne, nie musicie panowie tego wiedzieć.
- - A więc Nora zerwała z Meserve'em? - spytał Milo. - Nie wymagało to oficjalnej

deklaracji, ponieważ nigdy nie... - Dowd się uśmiechnął. - Już chciałem powiedzieć „nie myśleli o stałym związku”.

- Jak Nora zerwała z Meserve’em?
- Trzymając go na dystans. Ignorując. W końcu zrozumiał aluzję.
- Co to znaczy, że ich związek wymykał się spod kontroli? - spytałem. Brad zmarszczył czoło.

- To naprawdę ważne z punktu widzenia śledztwa w sprawie morderstwa tej biedaczki?
- Prawdopodobnie nie. Zadajemy najróżniejsze pytania i mamy nadzieję, że do czegoś nas to doprowadzi.
- Meserve jest podejrzany?

- - Nie, ale bliskim i przyjaciółom ofiary zawsze należy się przyjrzeć, a nie udało nam się znaleźć pana Meserve’a, żeby z nim porozmawiać.

- Rozumiem. Ale ciągle nie rozumiem, dlaczego trzeba rozgrzebywać prywatne życie mojej siostry.
- Czy Meserve niepokoił pana bardziej niż inne „przypadki”? - spytałem.

- Dowd westchnął.

- Przedtem związki Nory były krótkie. Głównie dlatego, że mężczyźni, którymi Nora się interesuje, nie mają dalekosiężnych planów. Meserve wydał mi się inny. Manipulator, jakby coś planował. To jego oszustwo jest dobrym dowodem, prawda?
- Planował co? - spytał Milo.
- Czy to nie oczywiste?
- Podejrzewał pan, że chodzi mu o pieniądze Nory.
- Zacząłem się martwić, kiedy siostra dała mu płatną posadę w Domu Gry. Konsultant kreatywny. - Dowd prychnął. - Nora nie bierze za swoje lekcje ani grosza. To bardzo ważne z punktu widzenia podatkowego, bo Dom Gry, czyli budynek, utrzymanie go, zaopatrzenie, jest finansowany przez fundację, którą założyliśmy.
- Pan i pana rodzeństwo.

- - Zasadniczo zrobiłem to dla Nory, bo kocha aktorstwo. Nie chodzi zresztą o olbrzymie finansowe przedsięwzięcie, przeznaczamy na to zaledwie tyle pieniędzy, żeby mogły się odbywać zajęcia. Budynek jest jednym z wielu, które odziedziczyliśmy po rodzicach, i czynsz, z którego rezygnujemy, ładnie pomniejsza zyski z innych wynajmów. Ja szefuję fundacji, więc zatwierdzam wydatki. Dlatego kiedy Nora przyszła do mnie po pensję dla Meserve'a, zrozumiałem, że czas porozmawiać. W budżecie nie było po prostu pieniędzy na wypłaty dla „konsultanta kreatywnego”. Poza tym potwierdziło to moje podejrzenia, że Meserve czegoś chce.

- Ile zamierzała mu płacić?
- Osiemset tygodniowo.
- Bardzo kreatywny konsultant - skomentował Milo.
- Bez żartów - odparł Dowd. - Właśnie o tym mówię. Nora nie ma pojęcia o finansach. Jak wielu artystów.
- Kiedy poprosiła o pieniądze?
- Kiedy zaproponowała mu pracę. Tydzień przed tym, jak Meserve i ta dziewczyna wycięli numer z porwaniem. Może dlatego właśnie to zrobił.
- To znaczy?
- Próbował zdobyć uczucie Nory twórczym popisem. Jeśli tak, obróciło się to przeciwko niemu.
- Nora nie była zadowolona.
- Raczej nie.

- - Zdenerwowało ją oszustwo czy coś innego?

- Na przykład?
- To, że Meserve był z inną kobietą.
- Zazdrość? Wątpię. Nora już z nim skończyła.
-

- -Szybko zapomina o swoich „przypadkach”.
- - Nie było o czym zapominać - stwierdził Brad Dowd. - Posłuchała mnie i nie zwracała na niego uwagi, a on przestał się wokół niej kręcić.

- Co nie podobało się Norze w oszustwie?
- Rozgłos.
- Większość aktorek lubi reklamę. Brad postawił piwo na deskach podłogi.

- Detektywie, aktorska kariera Nory ogranicza się do jednej roli niemej w sitcomie trzydzieści pięć lat temu, kiedy miała dziesięć lat. Wystąpiła tam, ponieważ przyjaciółka naszej matki miała dojszcia. Potem Nora chodziła na przesłuchania, jedno za drugim. Dobrze zrobiła, że w końcu zajęła się nauczaniem.
- Przystosowanie - powiedział Milo.
- - Właśnie, detektywie. Moja siostra ma talent... jak sto tysięcy innych ludzi.
- A więc woli nie rzucać się w oczy - powiedziałem.
- Cenimy sobie prywatność. - Dowd pociągnął długi łyk, dokończając piwo. - Coś jeszcze?
- Czy Nora wspomniała kiedykolwiek o Michaeli Brand?
- Nie. Nie mogła być zazdrosna. W jej świecie bez przerwy pojawiają się piękni, młodzi ludzie. Naprawdę myślę, że nie powinienem mówić więcej o życiu osobistym siostry.
- Dobrze - powiedział Milo. - Skupmy się na panu Meservie.
- Poszukiwacz złota i tyle - odparł Dowd. - Wtrąciłem się, ale czasem tak trzeba. Ostatecznie siostra była mi wdzięczna, że nie związała się z tym draniem. Może to jego powinniście szukać w związku z morderstwem tej dziewczyny.
- Dlaczego?
- Raz, podejście do kobiet; dwa, związek z ofiarą, trzy, zniknięcie. Czy ucieczka nie sugeruje winy?
- O jakim podejściu do kobiet pan mówi? - spytał Milo.
- - To typ amanta. Jedzie na uroku osobistym. Bezwstydnie flirtował z moją siostrą. Podlizywał się, a Nora to kupowała, bo jest...
- Łatwowierna.
- Niestety. Za każdym razem, kiedy wpadałem do Domu Gry, on tam był, sam na sam z Norą. Łaził za nią, sypał pochlebstwami, siedział u jej stóp, rzucał spojrzenia pełne uwielbienia. Potem zaczął dawać Norze tandetne prezenciki, kiczowate badziewie dla turystów. Śniegową kulę, uwierzyłby pan? Na litość boską, kiedy w Hollywood ostatnio padał śnieg? - Dowd się
-
- zaśmiał. - Chciałbym myśleć, że przyciągało go wewnętrzne piękno Nory, ale bądźmy poważni. Jest naiwna, przekwitająca i finansowo niezależna.

- Jak ją pan przekonał, że Meserve nie ma czystych zamiarów? - spytałem.
- Spokojem i uporem. - Wstał. - Mam nadzieję, że złapiecie mordercę, ale proszę, nie mieszajcie do tego mojego brata i siostry. Nie znaleźlibyście dwójki bardziej nieszkodliwych ludzi na całym świecie. Pytałem lokatorów o Reynolda Peaty'ego. Jedyne, na co się skarżono, to że nie opróżnia na czas pojemników na śmieci. Przychodzi do pracy, wypełnia obowiązki, do tej pory świetny pracownik. Ale będę miał oczy otwarte.
- Ruchem głowy wskazał otwarte drzwi.
- Kawy albo czegoś do picia na drogę?
- Nie trzeba. - Milo wstał.
- W takim razie uderzam w kimę. *Buenas noches.*
- Tak wcześnie do łóżka?
- Czeka mnie długi dzień.

- - To lepsze niż ucziwa praca - powiedział Milo. Brad Dowd się zaśmiał.

17

- Milo pojechał Channel Road w stronę wybrzeża.- Mamy jeszcze czas do zajęć w Domu Gry. Może wpadlibyśmy na piwko?
- Corona?
- Dobre piwo.
- O ile to nie Brad Dowd częstuje.
- Nie wolno się bratać z obywatelami. Co myślisz o naszym podstarzałym surferze?
- Też zauważyłeś guzy. -1 deskę.
- To strażnik rodziny, daje sobie radę z tym zadaniem.

- Milo dojechał do PCH, zatrzymał się na czerwonym świetle, na którym stoi się tu czasami, zdałoby się, całymi godzinami. Ocean bez przerwy się zmienia. Tego wieczoru woda była płaska, szara i bezkresna. Powolny, spokojny przybój, równy i metaliczny jak automat

perkusyjny.

- Może wyolbrzymiam, Alex, ale to, co Brad powiedział na pożegnanie, wydało mi się dziwne: poprosił, żebym nie mieszał Nory i Billy'ego do śledztwa. Skupialiśmy się na Norze, skąd Billy?
- Może to kwestia przyzwyczajenia - zasugerowałem. - Kojarzy ich ze sobą, bo oboje potrzebują opieki.
- Może tak.
- Billy cię interesuje?
- Dorosły mężczyzna niedojrzały społecznie, którego trzeba potajemnie pilnować? - Zanim światło się zmieniło, Milo sprawdził Williama Dowda III w wydziale komunikacji. - Zgadnij, ile pojazdów jest zarejestrowanych na Billy'ego?

- - Ani jeden.- I tak samo jak Peaty nigdy nie miał prawa jazdy.

- Jeździ z braciszkiem Bradem - zgadłem. - Kiedy Brad wpada do Domu Gry, Billy jest razem z nim. I widzi tyle ładnych niedoszłych gwiazdek.
- Patrzenie na dziewczyny typu Michaeli i Tori Giacomo może być nadmiernie stymulujące.
- Billy wydawał się łagodny - powiedziałem. - Ale podkreśmy id i kto wie, co się może stać?

- - A jeśli Brad nie chciał rozmawiać z nami w firmie, bo się bał, że Billy coś zdradzi? I jeszcze jedno: Billy mieszka w Beverly Hills. Reeves Drive, tuż przy Olympic.

- Kilka kilometrów od mieszkania Michaeli.
- Facet bez auta mógłby przejść na piechotę.

- - Ten sam problem, co z Peatym - przypomniałem. - Jak przewieźć zwłoki. Poza tym nie wyobrażam sobie, żeby Billy mógł się ukrywać z nie-zarejestrowanym wozem. Brad jest za bardzo opiekuńczy. To uciszyło Mila, dopóki nie dotarliśmy do złotego wybrzeża Santa Monica. Rezydencje przy plaży, kiedyś enklawy prywatności, teraz były odsłonięte na gwar i publiczne połączenie piasku. Potwór z desek, który William Hearst postawił dla Marion Davies, był gotów się zawalić po latach wahania rady miejskiej Santa Monica. Chwilę później w naszym polu widzenia pojawił się egzozkielet nabrzeża, oświetlony jak choinka. Diabelski młyn obracał się powoli jak tryby biurokracji. Milo dostał się na Ocean Front, pojechał do Pacific Avenue, do

Venice.

- - A więc teraz mamy dwóch dziwnych facetów z dostępem do Domu Gry.
- Zastanowiłem się nad tym.
- - Billy wyniósł się od brata dwa lata temu, tuż przed zniknięciem Tori.

- Dlaczego Brad miałby pozbywać się Billy'ego z domu właśnie wtedy? Obaj są w średnim wieku, a tu nagle zmiany?
- Brad chciał zdystansować się od Billy'ego? Ale gdyby coś podejrzewał, skróciłby raczej smycz.
- A więc jak brzmi odpowiedź?
- Nie wiem.
- Równie dobrze Brad mógł próbować nad nim zapanować, a Billy okazał się o wiele trudniejszy, niż się wydaje - teoretyzował Milo. - Do diabła, a może to Billy nalegał, żeby się wyrwać. Brad płaci miłej pani za „opiekę”, bo wie, że Billy tego potrzebuje. A gdyby coś się stało, on sam jest po drugiej stronie miasta, w Santa Monica Canyon.
- Mniejsza odpowiedzialność - stwierdziłem.

- - On myśli w takich kategoriach: fundacje, uniki podatkowe, wszystko zorganizowane. Na tym szczeblu drabiny społecznej to zupełnie inny świat. - Spojrzał na zegarek. - Zobaczmy, jak zareaguje Nora, kiedy trochę ją przycisnę. Ile będzie trzeba, żeby zawołała na pomoc braciszka Brada. *Przez lata naszej współpracy towarzyszyłem Milowi w wielu knajpach, piwiarniach i kawiarniach. W kilku klubach gejowskich też. Obserwowanie, jak funkcjonuje w tej sferze, to wzbogacające doświadczenie. To był nowy lokal, wąski, ciemny tunel pod nazwą U Jody Z, na południowym krańcu Pacific, tuż przy Marina. Stare rockowe przeboje z szafy grającej, w telewizji powtórki meczów bez fonii, zmęczeni mężczyźni przy uretanowym barze, gruba boazeria, sieci rybackie i szklane kule. Plastikowe trociny na podłodze. Po co? Niedaleko domu Robin przy Rennie. W innym czasie i miejscu Milo by o tym wspomniał. Ale teraz siedział z wysuniętą szczęką, co znaczyło, że w tej chwili ma w głowie tylko dwie młode zamordowane kobiety. Kiedy już wypiliśmy dwa piwa i podsumowaliśmy ustalenia, skończyły się nam tematy i Milo zaczął się upodabniać do reszty zniechęconej klienteli. Zadzwoił do gospodarza Michaeli w La Jolla, potwierdził umówione spotkanie następnego ranka. Zgrzytnął zębami.
- - Bydlak robi mi wielką przysługę.
- Spojrzał na tablicę z menu. Trzy specjalności, w tym obietnica świeżych ostryg. Zaryzykował.

- Nie najgorsze - wybełkotał z pełnymi ustami.
- „Nie najgorsze” i „owoce morza” nie powinny występować w jednym zdaniu - odparłem.
-

- Jeśli umrę, będziesz mógł wygłosić pierwszą mowę. Ciekawe, czy Nora rzeczywiście posłuchała Brada, kiedy poprosił ją, żeby dała sobie spokój z Meserve'em. Facet poruszył jedną ważną kwestię: Meserve'a nigdzie nie ma.
 - Bardzo mu zależało, żeby nakierować cię na Meserve'a jako podejrzanego - zauważyłem. - To w jego najlepszym interesie, jeśli kryje Billy'ego, ale nie oznacza od razu, że nie ma racji. Michaela powiedziała mi, że nienawidzi Meserve'a, a pani Winograd słyszała więcej niż raz, jak się kłócili.
 - Masz jakąś teorię na temat motywu Dylana? Dla Michaeli i Tori, pamiętaj.
 - Może to po prostu drań, który wybiera sobie dziewczyny na lekcjach aktorstwa. Udawał śmierć z Michaelą w Latigo i prawdopodobnie zaplanował oszustwo. Dodaj do tego podejrzenia Brada o wyłudzenie pieniędzy. Wszystko razem daje nam niezbyt ciekawy obraz.
 - Michaela wyjaśniła ci, dlaczego najpierw siedziała z nim nago w górach, a potem uznała go za wroga?
-
- Zakładałem, że zwała winę na niego w ramach strategii procesowej.
 - Prawnicze gierki.
 - Zgadnij, kto był jej obrońcą. Lauritz Montez.
 - Ten facet od sprawy Malleyów? Myślałem, że się poprzytykaliście.
-
- Bo się poprzytykaliśmy, ale jestem największym, najcwańszym, najby-strzejszym psychologiem na całym świecie. A niech mnie.
-
- Wcisnął ci taki kit, a ty to kupiłeś?
 - Zainteresowała mnie ta sprawa.
 - Dobry powód.
 - Najlepszy.
-
- Miałbyś coś przeciwko, żeby jeszcze raz porozmawiać z Montezem, sprawdzić, czy Michaela coś jeszcze mówiła o swoim wspólniku?
 - Nie miałbym nic przeciwko - odparłem. - Sam się nad tym zastanawiałem.
-
- Milo odsunął do połowy opróżnioną miskę ostryg. Zawołał kelnerkę, zamówił piwo, potem zamienił je na colę. Sześćdziesięciopięciolatka się zaśmiała.
-
- Od kiedy to tak się kontrolujesz?

- Nie bądź okrutna - odparł Milo, a ona ze śmiechem odeszła. Uświadomiłem sobie, że wszyscy klienci w tym lokalu są mężczyznami.
- Zastanawiałem się nad tym, kiedy Milo zaczął odliczać na palcach.
- - Meserve, Peaty, braciszek Billy. Podstawową zasadą każdego śledztwa jest zawężanie kręgu podejrzanych. Ja robię coś wręcz przeciwnego.
- -W poszukiwaniu prawdy - zauważyłem.- Ach, jaki to ból **18**
- O dwudziestej pięćdziesiąt trzy zaparkowaliśmy cztery przecznice na zachód od Domu Gry. Kiedy szliśmy na piechotę w stronę szkoły, Milo nachylał się, jakby stawiał czoło wichurze.
- Przepatrywał ulice, podjazdy i zaułki w nadziei, że znajdzie małą czarną hondę Michaeli Brand. Poszukiwania rozszerzono na cały stan. Milo i ja przemierzaliśmy te same ulice kilka dni wcześniej, nie było sensu znów się rozglądać. Umiejętność odkładania logiki na bok bywa cechą najlepszych detektywów. Dotarliśmy na miejsce pięć po dziewiątej, zastaliśmy kręcących się ludzi. Słaba lampa na ganku pozwoliła mi ich policzyć, kiedy zbliżaliśmy się do schodów. Osiem kobiet, pięciu mężczyzn. Wszyscy szczupli, młodzi, piękni.
- - Mutanty - mruknął Milo, wbiegając po schodach.
- Trzyście par oczu obróciło się w naszą stronę. Kilka kobiet się cofnęło. Mężczyźni mieścili się w wąskim zakresie wzrostu: metr osiemdziesiąt dwa do metra osiemdziesiąt siedem. Szerokie, prostokątne barki, wąskie biodra, kanciaste twarze, dziwnie nieruchome. Kobiety bardziej różniły się posturą, ale sylwetki miały jednakowe: długie nogi, płaskie brzuchy, wcięte talie, jędrne pośladki, wypięte piersi. Wymanikiurowane dłonie ścisnęły plastikowe butelki z wodą i telefony komórkowe. Szeroko otwarte oczy wyrażały głód. Milo stanął na środku ganku. Studenci aktorstwa się rozstąpili. Światło podkreślało każdą zmarszczkę, krostę, bliznę. Wyglądał na starszego i cięższego niż w rzeczywistości.
- - Dobry wieczór państwu.
- Podejrzliwe spojrzenia, ogólne zmieszanie, uśmieški i zerkanie z ukosa, jak na stołówce w szkole średniej.
- -O co chodzi? - spytał jeden z mężczyzn wyćwiczonym głosem. Brando w *Na nabrzeżach*. - O zbrodnię, przyjacielu. - Milo poruszył odznaką, tak że odbiła światło.
- O rany - powiedział ktoś. Chichoty umilkły. Milo spojrzął na swojego timeksa.
- Zajęcia powinny chyba zacząć się dziesięć minut temu?
- Nie ma prowadzącej - wyjaśnił inny adonis. Zakręcił gałką drzwi.
- Czekacie na Norę - stwierdził Milo.
- Lepiej niż na Godota.

- - Mijmy nadzieję, że w przeciwieństwie do niego, ona przyjdzie.
- Wilczy uśmiech Milo sprawił, że młody mężczyzna odruchowo wyszczerzył zęby. Facet zarzucił głowę i grzywa czarnych włosów uniosła się, potem opadła na miejsce.
- - Nora często się spóźnia? Wzruszenie ramion.
- - Czasami - wyszczebiotała młoda kobieta z kręconymi, jasnymi włosami i ustami tak wydatnymi, że przypominały małe poślądki. To i okrągłe jak spodki niebieskie oczy nadawały jej twarzy wyraz trwałego oszołomienia. Wyglądała jak nadmuchiwana lalka, ledwie ożywiona. - W takim razie mamy chwilę, żeby pogadać - stwierdził Milo. Pociągnięcia z butelek wody. Pstryknięcia kłapek telefonów komórkowych i seria elektronicznych mysich pisków. - Zakładam - ciągnął Milo - że słyszeliście o Michaeli Brand. - Cisza. Skinienie głowy, potem dwa. Potem dziesięć. - Jeśli ktoś z was ma coś do powiedzenia, będziemy bardzo wdzięczni.
- Na zachód przejechał samochód. Kilkoro studentów spojrzało za jego tylnymi światłami, wdzięczni za możliwość odwrócenia uwagi.
- - Cokolwiek, proszę państwa? - Powolne kręcenie głowami. - Zupełnie nic?
- - Wszystkich to przeraziło - odezwała się ciemnowłosa dziewczyna z ostrym podbródkiem i kojocimi oczami. Głębokie westchnienie. Jej piersi uniosły się i opadły.
- Widziałem ją kilka razy, ale nie znałem - dodał mężczyzna z ogoloną głową i tak wyraźnymi rysami twarzy, że wyglądał jak wyciosany z kości słoniowej.
- To dlatego, że dopiero zacząłeś, Joaquín - rzuciła ta z ustami jak poduszki i kędzierzawymi włosami.
- Właśnie mówię, Brandy.
-
- Briana.
- Wszystko jedno.
- Pani ją znała, Briano? - podchwycił Milo.
- Tylko stąd. Nie utrzymywałyśmy bliższych kontaktów.
- Ktokolwiek z państwa znał Michaelę spoza zajęć? - spytał Milo. Kręcenie głowami.
- Była, tak jakby, małowówna - wtrąciła ruda dziewczyna.
- A Dylan Meserve? Cisza. Wyraźne napięcie.
- Nikt z państwa nie znał Dylana?
- Przyjaźnili się - powiedziała ruda. - Ona i on.
- Ktoś z państwa widział go ostatnio?
- Rudowłosa wyjęła z torebki zegarek i spojrzała na tarczę, mrużąc oczy.
- Dziewięta szesnaście - powiedział Milo. - Nora często się tak spóźnia?

- Czasami - odparła Kędzierzawa Blond.
 - Nora to Nora - dodał ktoś inny. Cisza.
 - Jaki był plan zajęć na dzisiaj? - spytał Milo.
-
- Nie ma planu - powiedział zarzucający głową. Miał kraciastą, flanelową koszulę, skrojoną na miarę jego sylwetki w kształcie litery V, sprane dżinsy i czyste, nowe buty turystyczne, które nigdy nie zetknęły się z błotem.
 - Nic nie planujecie? - zdziwił się Milo.
 - To wolny układ.
 - Improwizacja?
-
- Kpiarski uśmiech Kraciastego.
 - - Coś w tym rodzaju, panie władzo.
-
- Jak często tu przychodzicie? Cisza.
 - Ja raz w tygodniu - odparła Briana Wydatnousta. - Inni częściej.
 - Ja tak samo - odezwał się Kraciasty.
 - Raz w tygodniu.
 - Częściej, kiedy mam czas. Jak mówiłem, to wolny układ. Wolny i darmowy.
 - Nie ma zasad - skwitowałem.
 - Ani ograniczeń.
 - Pomaganie w pracy policji też nie ma ograniczeń - dorzucił Milo.
-
- - Nikt nic nie wie - oznajmił mężczyzna z oliwkową karnacją i twarzą jednocześnie gadzią i przystojną.
-
- Milo rozdał swoje wizytówki. Mało kto z pięknych ludzi zadał sobie trud, żeby je przeczytać. *Zostawiliśmy ich na ganku, przeszliśmy pół przecznicy dalej, aż ukryła nas ciemność, i zaczęliśmy obserwować budynek.
 - - Jak spod sztancy - ocenił Milo.
 - Czekaliśmy w milczeniu. O dziewiętej dwadzieścia trzy Nory Dowd wciąż nie było i studenci zaczęli się wykruszać.
-
- Karma - powiedział Milo, kiedy Briana ruszyła w naszą stronę. Wyszliśmy z cienia dość

wcześnie, żeby mogła nas zauważyć Mimo to podskoczyła. Ścisnęła torebkę, z trudem złapała równowagę.

- Przestraszyliście mnie!
- Przepraszamy. Ma pani chwilkę?

- Nadmuchane usta się rozchyliły. Ile trzeba było zużyć kolagenu, żeby tak wyglądały? Nie miała jeszcze trzydziestki, ale zmarszczki za uszami zdradzały, że nie ufała swojej młodości.
- - Nie mam nic do powiedzenia, a panowie mnie bardzo przestraszyli. Minęła nas i podeszła do poobijanego białego nissana, szukając kluczyków. Milo ruszył za dziewczyną.

- Naprawdę nam przykro, po prostu nie dowiedzieliśmy się wiele o morderstwie Michaeli, a wydaje się, że pani zna ją najlepiej.
- Powiedziałam tylko, że wiem, kto to.
- Pani koledzy i koleżanki nie wiedzieli nawet tego.
- Bo są tu nowi.
- Pierwszorocznicy? Leki się zatrzęsły.
- To nie uniwersytet...

- - Tak, wolny układ - przypomniał Milo. - Dlaczego pomaganie nam to problem?

- Nie ma żadnego problemu, po prostu nic nie wiem. Otworzyła drzwi.
- Jest jakiś powód, dla którego nie chce nam pani pomóc? Spojrzała na niego.

- - Niby jaki?

- Ktoś pani zabronił?
- Oczywiście, że nie. Kto miałby zabronić? Milo wzruszył ramionami.

- - Nic z tego - powiedziała. - Nic nie wiem i nie chcę żadnych kłopotów.

- - Nie będzie żadnych kłopotów. Próbuję tylko rozwikłać sprawę morderstwa. I to dość paskudnego.

- Wielkie usta zadrżały.- Bardzo mi przykro. Nie utrzymywałyśmy kontaktów. Już mówiłam, była zamknięta w sobie.- Ona i Dylan...?- Tak.- A teraz ona nie żyje, a on zniknął. Domyśla się pani, gdzie może być Meserve?
- Zdecydowanie nie.
- Zdecydowanie nie?
- Zdecydowanie nie wiem. Może być gdziekolwiek. Milo przysunął się bliżej i oparł o zawiasy drzwi kierowcy.
- - Zaskakuje mnie ten brak ciekawości. U was wszystkich. Ktoś, kogo znacie, zostaje zabity... można by pomyśleć, że wzbudzi to trochę zainteresowania. - Machnął ręką. - Zero, nikt się nie przejmuje. Wszyscy aktorzy są tacy?
- Briana zmarszczyła czoło.
- Wręcz przeciwnie. Trzeba być ciekawym.
- Żeby grać.
- Żeby poznawać własne uczucia.
- Nora wam to powiedziała.
- Powie to każdy, kto chociaż trochę zna się na rzeczy.
- Czyja dobrze rozumiem... - zaczął z namysłem Milo. - Jesteście ciekawi odgrywania ról, ale nie ciekawi was prawdziwe życie?
- Niech pan posłucha. - Dziewczyna się zniecierpliwiła. - Jasne, chciałabym wiedzieć. Przeraza mnie to. Morderstwo. Sama rozmowa o nim. No, wie pan. Jeśli przydarzyło się Michaeli, może się przydarzyć każdemu.
- Postrzega to pani jako losowy akt przemocy? - spytałem. Odwróciła się do mnie.
- Co pan ma na myśli?
- Uważa pani, że tu nie chodziło konkretnie o Michaelę.
- Ja... ona była... nie wiem, może.
- Czy Michaela miała w sobie coś, co sprawiało, że mogła stać się ofiarą? - spytał Milo.
- To, co ona... co oni zrobili. Ona i Dylan. To kłamstwo.
- Dlaczego miałyby przez to znaleźć się w niebezpieczeństwie?
- Może kogoś wkurzyli.
- Zna pani kogoś, kto aż tak się denerwuje?
-

- Nie. - Za szybko.
 - Nikogo?
 - Nikogo. Muszę jechać.
 - Chwilkę - powiedział Milo. - Pani nazwisko? Wyglądała, jakby miała się rozplakać.
 - Muszę mówić?
-
- Milo spróbował łagodnie się uśmiechnąć.
-
- To rutyna. Adres i numer telefonu też.
 - Briana Szemencic. - Przeliterowała. - Czy to może być nieoficjalnie?
 - Proszę się nie martwić. Mieszka pani w tej okolicy, Briano?
 - W Reseda.
 - Kawałek drogi.
 - Pracuję w Santa Monica. Są korki, łatwiej zostać w mieście i wrócić później.
 - Czym się pani zajmuje, Briano?
 - Gównianą pracą. - Smutny uśmiech. - Jestem asystentką w agencji ubezpieczeniowej.
- Wypełniam papiery, robię kawę, biegam na posyłki. Kupa zabawy.
- Na życie wystarczy - mruknął Milo.
 - Ledwie. - Dotknęła ust.
-
- - A więc kogo wkurzyło to oszustwo, Briano? Długa chwila milczenia.
-
- Nikogo aż tak bardzo. - Ale...
 - Nora była trochę zła.
 - Skąd pani wie?
-
- Kiedy ktoś ją o to pytał, sztywniała i zmieniała temat. Zresztą trudno się dziwić. To draństwo, tak wykorzystać Dom Gry. Nora ceni swoją prywatność. Kiedy Michaela więcej się nie pojawiła, uznałam, że Nora ją wykopała.
 - Dylan wrócił.
 - Tak - potwierdziła. - Ciekawe. Nie gniewała się na Dylana, dalej była dla niego miła.
 - Chociaż to on zaplanował oszustwo - podsunął Milo.
 - On mówił coś innego.
 - Obwinił Michaelę?
 - Totalnie. Twierdził, że go namówiła. Nora musiała mu uwierzyć, bo... wrócił.

- Czy Nora lubi Dylana bardziej niż innych?
-
- Szczupłe ramiona uniosły się i opadły. Briana Szemencic spojrzała wzdłuż ulicy.
-
- Chyba nie powinnam o tym mówić.
- Delikatna sprawa?
- Nie moja sprawa - uściśliła Briana. - W każdym razie Nora nikogo by nie skrzywdziła. Jeśli o tym pan myśli, myli się pan całkowicie.
- Dlaczego miałbym tak myśleć?
- Pyta pan, czy się złościła. Owszem, ale nie z...
- Z zazdrości? - dokończył, ale Briana nie potwierdziła jego słów. - Nora i Dylan, Dylan i Michaela - podsumował Milo. - Ale zazdrość nie wchodziła w grę.
- Dobra, Nora była napalona na Dylana. To nie zbrodnia, w końcu jest kobietą.
- Była czy jest napalona?
- Nie wiem.
- Była czy jest, Briano?
- O rany, jest.
-
- - Co Nora myślała o tym, że Dylan zadaje się z Michaelą? Briana pokręciła głową.
-
- Nigdy nic nie mówiła. Zresztą się nie przyjaźniłyśmy. Mogę już jechać? Proszę.
- Norze nie podobało się, że Dylan i Michaela się ze sobą zadają, ale nie była na to bardzo wkurzona.
-
- - Nigdy nie skrzywdziłaby Michaeli. Przenigdy. Musi pan zrozumieć, Nora... ona jest, tak jakby, rozumie pan, jest... - Postukała w swoje ładne czoło.
- - Intelktualistką?
- Nabrzmięte usta z trudem formowały słowa.
-
- Nie o to mi chodziło - powiedziała w końcu. - Raczej jakby, no wie pan, prawopołkulowa. Intuicyjna. Na zajęciach pokazuje nam, jak sięgnąć w głąb siebie, uwolnić wewnętrzne... - Poduszko watę wargi zadrżały, gdy zmagła się z opornym słownictwem. - Dla Nory liczą się tylko sceny. Zawsze nam powtarza, żebyśmy rozbijali wszystko na sceny, wtedy całość nie jest taka olbrzymia, można sobie z nią poradzić, aż ogarnie się *Gestalt*, to znaczy pełny obraz.

Myślę, że sama żyje w ten sposób.

- Scenami - podsumował Milo.
- Nie zwraca uwagi na to, co ma tu. - Wskazała asfalt.
- Rzeczywistość.

- Brianę Szemencic zaniepokoiło to słowo.

- - Wszystkie bzdury poniżej prawej półkuli, jakkolwiek je nazwać. Nora nigdy by nikogo nie skrzywdziła.
- - Lubi ją pani.

- Pomogła mi. I to bardzo.
- Jako aktorce.
- Jako człowiekowi. - Ostre dolne ząbki przytrzymały nabrzmiałą wargę?

- - Nora udziela wsparcia - stwierdziłem.
- - Nie... to nie tak. Byłam bardzo nieśmiała, rozumie pan? Pomogła mi wyjść z siebie samej. Czasami nie było przyjemnie. Ale poskutkowało... Mogę już iść? Milo pokiwał głową.

- Reseda, co? Dziewczyna z dolin?
- Z Nebraski.
- Równiny.
- Zna pan Nebraskę?
- Byłem w Omaha.
- Ja jestem z Lincoln, ale to bez różnicy - powiedziała Briana Szemencic. - Człowiek patrzy przed siebie i nie widzi końca. Mogę już jechać? Jestem bardzo zmęczona.

- Milo się cofnął.
- - Dziękuję, że przerwała pani milczenie. Nie tak, jak pani przyjaciele.

- To nie są moi przyjaciele. - Nie?
- Tam nikt nie jest niczym przyjacielem.

- Obejrzała się na Dom Gry. Pusty ganek wyglądał ponuro. Jak plan filmowy przygotowany na ponure ujęcia - Atmosfera jest tam mało przyjacielska? - spytał Milo.
- - Mamy się skupiać na pracy.
- - A więc kiedy Dylan i Michaela zaczęli się ze sobą zadawać, złamali zasady.
- Nie ma żadnych zasad. Michaela była głupia. - Jak to?
- Że zaczęła chodzić z Dylanem.
- Bo Nora go lubiła?
- Bo jest totalnie płytki.
- Nie podziela pani entuzjazmu Nory. Króciutka pauza.
- Raczej nie.
-
- Dlaczego?
- Chodzi z Michaelą, ale zadaje się też z Norą? Da pan spokój.
- Ale Nora nie była zazdrosna.
- Blond loki się zatrzęśły. Dziewczyna sięgnęła do klamki nissana.
- A Reynold Peaty? - spytał Milo. - Kto?
- Stróż.
- Ten gruby? - Jej ręka opadła. - Co z nim?
- Niepokoił kiedyś panią?
- W sensie, czy to zboczenie? Nie. Ale się wpatruje, aż ciarki przechodzą. Zamiata, wyciera podłogę, ale kątem oka widać, że się gapi. Jeśli się na niego spojrzy, od razu się odwraca, jakby wiedział, że nie powinien tego robić. - Zadrzała. - To drań? Jak w *Najbardziej poszukiwanych przestępcach Ameryki*
- Tak bym nie powiedział.
- Smukła sylwetka Briany Szemencic zeszywniała. - Ale nie powiedziałby pan, że nie?
- Nie mam dowodów, że kiedykolwiek dopuścił się przemocy.
- Jeśli to nie zbok, dlaczego o niego pytacie?

- Moja praca polega na zadawaniu pytań. Większość z nich okazuje się nieprzydatna, ale nie mogę ryzykować. To chyba trochę jak aktorstwo.
- - W jakim sensie?- Trochę improwizacji, mnóstwo ciężkiej pracy. Czy Peaty często bywa w Domu Gry?
- Kiedy sprząta.
- W dzień tak samo jak wieczorami?
- Ja jestem tam tylko wieczorami.
- Wpada ktoś jeszcze?
- - Tylko ludzie zapisujący się na zajęcia. Nora zwykle odmawia, ale mimo to bywa tłok.
- - Brak talentu.
- Znów przygryzła wargę. - Aha.
- Dlaczego jeszcze ich odrzuca?
- Musiałby pan zapytać ją samą.
- Cóż, jeszcze raz dzięki - rzucił Milo. - Fajnie, że Nora udostępnia swoje umiejętności za darmo.
- Bardzo fajnie.
- Pewnie dlatego, że jej bracia finansują Dom Gry.
-
- Jej bracia i ona - uściśliła Briana Szemencic. - To firma rodzinna. Są obrzydliwie bogaci, ale artystycznie usposobieni i hojni.
- Bracia zaglądają czasem, żeby sprawdzić, na co idą pieniądze?
- Widziałam ich kilka razy.
- Siedzieli i słuchali?
- Raczej chodzili. Wpadali odwiedzić Norę. - Ścisnęła torebkę obiema rękami. - Niech mi pan powie prawdę o tym grubym.
- Już powiedziałem.
- To nie zbok? Może mi pan zagwarantować?
- Wystraszył panią.
- Mówiłam już, bez przerwy się gapi.
- Powiedziałem pani prawdę, Briano.

- - Ale z tymi innymi rzeczami wciskał mi pan kit.
- Jakimi innymi rzeczami?
- Że być policjantem to jak grać. To bujda, prawda?
- Zna pani Tori Giacomo? - spytał Milo.
- Kto to?
- Może dawna studentka.
- Jestem tu dopiero rok. Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Żartował pan, co?
- Nie, mówiłem poważnie - zapewnił Milo. - Między pracą policjanta a aktorstwem jest mnóstwo podobieństw. Na przykład frustracja. - Wielkie niebieskie oczy zaszyły mgłą niezrozumienia, więc dodał: - Kiedy zaczynam nową sprawę, mogę tylko zadawać pytania i sprawdzać, czy coś nabierze kształtu. To jak czytanie nowego scenariusza.
- Wszystko jedno. - Otworzyła drzwi samochodu.
- Oboje wiemy jedno. Najważniejsza jest praca. Człowiek stara się, próbuje dotrzeć do ujścia lejka, ale nie ma żadnych gwarancji.
- Chyba tak.
- Milo się uśmiechnął.
- Dziękuję, że pani z nami porozmawiała. Proszę jechać ostrożnie. Ruszyliśmy w swoją stronę.
- Co to jest lejek? - zapytał cienki, ściśnięty głos z nissana.
- Narzędzie kuchenne.
- *
- Odjechała. Milo wyjął notes i zaczął pisać.
- - Nieoficjalnie, co? - powiedziałem.
- - Musiała mnie pomylić z reporterem... Najwyraźniej Nora nie podzieliła się teorią lejkową ze swoją trzódką.
- Jest za bardzo deprymująca - powiedziałem. - Za to wcale nie ukrywała swojego pociągu do Meserve'a. Dawniej i teraz. Wygląda na to, że Brad przecenił swój wpływ. Kiedy Dylan zwalił winę na Michaelę, Nora mu uwierzyła. Pytanie brzmi: czy ma to cokolwiek wspólnego z faktem, że Michaela skończyła w krzakach.
- Nieważne, co właśnie powiedziała nasza mała geniuszka, warto przyjrzeć się kwestii zazdrości.
- Zgadza się, ale przychodzą mi do głowy inne scenariusze. Jeśli Nora nie lubiła Michaeli,

Dylan mógł wziąć na siebie uszcześliwienie dziewczyny. A może Michaela stała się dla niego niebezpieczna, groziła, że pójdzie do Brada i naopowiada mu różnych rzeczy. Albo do Nory, i wymyśli erotyczne szczegóły nocy spędzonych z Dylanem w Latigo Canyon.

- Wymyśli? Oboje siedzieli tam na golasa przez dwie noce.
- Michaela mówiła mi, że nie doszło do pełnego zbliżenia.

- Strasznie jesteś ufny. Tak czy inaczej, dlaczego Michaela miałaby grozić Dylanowi?
- Może to też strategia procesowa - powiedziałem. - Wywierała na niego nacisk, żeby wziął na siebie całą winę za oszustwo. W końcu sprawa zakończyła się ugodą. Ale jeśli gniew mu nie przeszedł, mógł się odegrać.

- Załatwił też Tori, bo to po prostu wredny typ?
- Albo między nim a Tori też coś było i poszło nie tak.

- - Zabija ją a za drugim razem idzie mu już łatwiej... Rzeczywiście, cholera, zniknął. A Nora wie, gdzie on jest, albo sama go ukrywa. To by wyjaśniało, dlaczego tak prysnęła, kiedy zaczęliśmy o nim mówić. Dobra, wystarczy teoretyzowania jak na jeden wieczór. Poszliśmy do samochodu.

- Jest jeszcze Peaty - odezwał się po chwili Milo.
- Gapi się na dziewczyny, a one przez niego płaczą.

- Już raz miał przez to kłopoty. Zobaczmy, czy obserwacje Seana coś dały.

- *
- Prowadził jedną ręką drugą zadzwonił do Binchy'ego. Młody detektyw wciąż stał pod mieszkaniem Reynolda Peaty'ego. Stróż wrócił do domu o siódmej i więcej nie wychodził.- Trzy godziny obserwacji budynku - powiedział Milo, rozłączając się. - Ja już bym oszalał. Sean jest szczęśliwy, jakby grał na swoim basie. Sean Binchy to były punk, który odkrył religię i wymiar sprawiedliwości.

- Jak mu idzie? - spytałem.
- Jest świetny w rutynowych rzeczach, ale trudno go skłonić, żeby myślał niezależnie.
- Poślij go do Nory. Niech uruchomi swoją prawą półkulę.
- Jasne - mruknął Milo. - Skoro o tym mowa, mnie już głowa boli. Odsłucham wiadomości i na dzisiaj koniec.

- Dwie wiadomości, nie ma zmiłuj. Spodziewany telefon od Lou Giacoma i prośba o kontakt z panem Albertem Beamishem.
- - Może chce dostać odszkodowanie za swoje persymony. - Milo wystukał numer, zaczekał, rozłączył się. - Nie odbiera. - Westchnął. - Dobra, obowiązek był, teraz przyjemności.
- Lou Giacomo mieszkał w hotelu Holiday Inn poleconym przez Mila. Mieliśmy nadzieję na krótkie kondolencje, ale Giacomo chciał się spotkać, a Milo nie potrafił mu odmówić. Giacomo stał pod hotelem, w tym samym ubraniu co wczoraj.

- Możemy gdzieś iść, się napić? - spytał, kiedy podjechaliśmy. - Dostaję tu już kota.
- W hotelu? - spytał Milo.
- W waszym zasranym mieście.

19

- Nasza druga spelunka tego dnia, tym razem zatęchła imitacja irlandzkiej tawerny na Pico. Lou Giacomo rozejrzał się po wnętrzu.
- - Jak na Queensie.
- Usiedliśmy w boksie z winylową tapicerką. Milo poprosił o dietetyczną colę, ja o kawę.
- Bud, nie light, zwykły - powiedział Giacomo. Kelnerka była młoda, z kolczykiem w wardze.
- Nie wygląda pan na faceta, który pije light.
- Giacomo ją zignorował. Rzuciła mu ostre spojrzenie i poszła.
- -Jesteście na odwyku, czy co? - spytał.
- Milo rozprostował ramiona i w boksie zrobiło się ciasniej. Giacomo rozmasował gruby nadgarstek.

- Bez obrazy, nie jestem w najlepszej formie.
 - Przykro nam z powodu Tori - powiedział Milo. - Naprawdę.
 - Tak jak mówiłem za pierwszym razem, już wiedziałem. Teraz żona twierdzi, że ona też.
 - Jak się czuje?
-
- - Chce, żebym natychmiast wracał do domu. Pewnie przywita mnie kolejnym załamaniem nerwowym. Nie wyjdę stąd, dopóki nie dopilnuję, żeby Tori miała porządny pogrzeb. - Oczy mu zwilgotniały. - Co za głupota. Została tylko czaszka. Jak mam ją, cholera, porządnie pochować? Pojechałem do koronera. Nie chcieli mi nic pokazać, wciskali pierdoły, że to nie film, że nie trzeba oglądać zwłok. Zmusiłem ich, żeby mi ją pokazali.
 - - Dłonie jak łopaty nakreśliły w powietrzu rozchwiany owal. - Pieprzone coś. Mieli to tylko dlatego, że jakaś kobieta prowadziła badania naukowe, wierciła w tym dziury, wyciągała...
 - Jego utrata panowania nad sobą była nagła jak udar mózgu. Błady i spocony przywarł do oparcia, sapiąc, jakby ktoś właśnie uderzył go w splot słoneczny.
 - - Panie Giacomo? - zaniepokoił się Milo. Mężczyzna zacisnął oczy i machnął ręką.
 - Kiedy młoda kelnerka przyniosła napoje, wciąż łkał, a ona była dość dojrzała, żeby odwrócić wzrok. *
-
- Przepraszam za to pedałstwo.
 - Nie musi pan - powiedział Milo.
-
- - Ale, cholera, przepraszam. - Giacomo potarł oczy, wytarł powieki rękawem marynarki. Tweed zostawił czerwone ślady na jego policzkach.
 - - Powiedzieli mi, że mam wypełnić jakieś papiery, żebym mógł ją zabrać. Potem stąd spadam. - Spojrzał na swoje piwo, jakby to była próbka moczu. A jednak się napił. - Muszę to wam powiedzieć: tych kilka razy, kiedy Tori dzwoniła, matka ją nagabywała, czy ma jakieś role, czy się wysypia, czy się z kimś spotyka. Próbowałem mówić: Arlene, nie męcz dziewczyny. Ona na to: „Mężę, bo się o nią troszczę”. Znaczy, że ja nie. - Przełknął więcej piwa. - Nagle teraz mi gada, że Tori może się z kimś spotykała. Skąd wie? Tori nie powiedziała, ale i nie zaprzeczyła.
 - - Jakies szczegóły? Giacomo ściągnął usta.
-
- Matczyna intuicja. - Obrócił szklankę. - Śmierdzi tam. U koronera. Starymi śmieciami, gnijącymi od miesiąca. Przyda się to, co powiedziałem?
 - Bez dowodów nie.
 - Jasne... Ale nie wiem, czy wam pomogę. Po powrocie do domu i tak czeka mnie niezła jazda. Kto wie, co papież mówi o chowaniu... Moja siostra porozmawia z wielebnym, zobaczymy.

- Milo napił się dietetycznej coli.
- Ciągle sobie powtarzam, że Tori jest już w lepszym miejscu - powiedział Lou Giacomo. - Jeśli sam siebie o tym nie przekonam, to na pewno nie...
- A jeśli ja zadzwonię do pana żony... - przerwał mu Milo. - Powie mi coś więcej?
- Giacomo pokręcił głową.- Ale proszę bardzo. Zawsze męczyła Tori, czy dobrze je, czy ćwiczy, czy dba o zęby. Nigdy nie zrozumiała, że Tori chciała w końcu dorosnąć. Jak pan sądzi, czy śmierć Tori ma związek z morderstwem tamtej drugiej dziewczyny?
- Nie mogę tego powiedzieć, panie Giacomo - skłamał gładko Milo.
- Ale nie zaprzecza pan.
- Na tym etapie wszystko jest kwestią otwartą.
- Czyli gównieście.
- To dość trafna ocena. Giacomo uśmiechnął się krzywo.
- Pewnie się pan wścieknie, ale coś zrobiłem. - Co?
- Pojechałem tam. Do mieszkania córki. Pukałem do wszystkich drzwi i pytałem, czy pamiętają Tori albo czy widzieli kręcącego się tam jakiegoś faceta. Co za nora. Prawie sami Meksykanie, tylko gapili się na mnie, „nie mówić angielski”. Moglibyście przycisnąć właścicieli. Niech pokazują rachunki wynajmu.
- Rozumiem, że pan już próbował i odmówili?
- O rany...
- - Niech się pan nie przejmuj - uspokoił Milo. - Co powiedzieli?
- - Nic. - Giacomo podał mu kartkę. Papeteria Holiday Inn. Nazwisko i numer 323.
- - Home-Rite Management - przeczytał Milo.
- - Gromada Chińczyków - odparł Giacomo. - Rozmawiałem z jakąś kobietą z akcentem. Twierdziła, że dwa lata temu budynek do nich nie należał. Próbowałem wyjaśnić, że to ważne, ale nic nie wskórałem. - Przesunął dłońmi po bokach głowy. - Głupia dziwka. Czuję się, jakby mózg miał mi zaraz eksplodować. Zabieram Tori do domu w zasranym bagażu podręcznym.
- *Odwieźliśmy go do Holiday Inn, zostawiliśmy samochód z włączonym silnikiem i odprowadziliśmy Giacomę do szklanych drzwi hotelu.
- - Przepraszam za ten tekst o odwyku. Poprzednim razem, w indyjskiej restauracji, piliście

herbatę, ja tylko... - Wzruszył ramionami. - To nie moja sprawa.

- Milo położył mu rękę na ramieniu.
 - - Nie musi pan przeproszać. Nie mogę nawet mieć nadziei, że zrozumie, co pan przeszedł.
 - Giacomo nie odtrącił jego dłoni.
-
- Niech pan będzie ze mną szczery: to dla pana poważna sprawa? W porównaniu z tymi, które najczęściej się trafiają?
 - Wszystkie są poważne.
 - Jasne, oczywiście. Dla pana to obca osoba, dla mnie moje dziecko. Sądzi pan, że kiedyś przestanę o niej myśleć?
 - Ludzie mi mówią, że z czasem jest łatwiej - odparł Milo.
 - Mam nadzieję. Da mi pan znać, jeśli się czegoś dowie?
 - Oczywiście.
-
- Giacomo kiwnął głową i uściśnął jego dłoń.
 - - Jesteście w porządku.
 - Patrzyliśmy, jak wchodzi do hotelu, bez słowa mija recepcję, zatrzymuje się przed windą i stoi, nie naciskając guzika. Trzydzieści sekund później palnął się w czoło i nacisnął. Odwrócił się, zobaczył nas i bezgłośnie wymówił słowo „dureń”. Milo się uśmiechnął. Wróciliśmy do samochodu i odjechaliśmy.
-
- „Ludzie mi mówią, że z czasem jest łatwiej” - powtórzył Milo. - Niezły terapeutyczny tekst, co? A skoro o kłamstwach mowa, muszę wrócić do biura i przepisać wszystko, co mała Brie mówiła mi nieoficjalnie.
 - Chcesz, żebym przyjechał jutro rano do mieszkania Michaeli?
 - Wolałbym, żebyś zadzwonił do matki Tori. Zobacz, czy przyda ci się twój doktorat. Do byłego męża też. Tu masz numery.
-
- Oba telefony wykonałem następnego ranka. Arlene Giacomo była rozsądną, opanowaną kobietą.
 - - Lou doprowadził panów do szału? - spytała.
-
- - Nie.
 - - Potrzebuję mnie. Chcę, żeby już wrócił.
 - Pozwoliłem jej przez chwilę mówić. Wychwalała Tori, ale nie powiedziała nic nowego.
 - - Matka wie takie rzeczy, proszę mi wierzyć - oznajmiła, kiedy poruszyłem kwestię spotykania się z kimś. - Ale nie znam żadnych szczegółów, Tori bardzo ceniła swoją wolność,

nie chciała już zwierzać się mamie. Tego właśnie jej ojciec nie potrafił zrozumieć, wiecznie ją nagabywał.

- Podziękowałem za rozmowę i wystukałem numer Michaela Caravanzy. Odebrała kobieta.
- - Sekundę... Miikeee!
- Niedługo potem usłyszałem w słuchawce niewyraźne „Tak?” Wyjaśniłem, dlaczego dzwonię.
- - Moment... jedną sekundę, kochanie - powiedział. - Chodzi o Tori? Znaleźliście ją?
- - Wczoraj zidentyfikowano jej szczątki.

- Szczątki... O cholera, nie chcę mówić Sandy, znała Tori.
- Dobrze ją znała?
- Nie - powiedział Caravanza. - Tylko z kościoła. Co się stało?

- - To właśnie próbujemy ustalić. Miał pan kontakt z Tori, kiedy wyprowadziła się do L.A.?

- Byliśmy rozwiedzeni, ale tworzyliśmy, jak to się mówi, przyjazny układ. Dzwoniła do mnie kilka razy, chyba w pierwszym miesiącu. Potem już nie.
- Koniec samotności.
- Doszedłem do wniosku, że kogoś poznała.
- Tak mówiła?
- Nie, ale znam... znałem Tori. Słyszałem, że jest czymś podekscytowana. A na pewno nie karierą aktorską, gównem jej z tego wychodziło. Tak powiedziała.
- Nie domyśla się pan, z kim się mogła spotykać?
- A to jakiś koleś ją zabił?
- Każdy trop się przyda.
- Cóż... - Michael Caravanza westchnął. - Jeśli zrobiła to, co zapowiadała, poznała jakiegoś gwiazdora filmowego. Taki miała plan. Chodzić w Hollywood do klubów, poznać gwiazdora i pokazać mu, że ona też może być gwiazdą.

- - Ambicja.

- To przez ambicję się rozstaliśmy. Ja jestem facetem pracującym, Tori myślała, że może... że będzie drugą Angeliną Jolie... co to... zaczekaj, kochanie, sekundkę... przepraszam, Sandy to moja narzeczona.
- Gratulacje - powiedziałem.
- Tak, znowu zamierzam spróbować małżeństwa. Sandy jest fajna i chce mieć dzieci. Tym razem bez szopki w kościele. Załatwimy sprawę w urzędzie, a potem jedziemy na Arubę.

- Świetnie.
 - Też się cieszę. Niech mnie pan źle nie zrozumie, Tori była fajną dziewczyną. Myślała tylko, że może być kimś innym.
 - Czy przypomina pan sobie coś, co mówiła, a co mogłoby nam pomóc?
 - Niech pomyślę - odparł Caravanza. - Dzwoniła tylko trzy, cztery razy, jakoś tak... mówiła... głównie, że jest samotna. W sumie tylko to, że jest samotna. W jakimś nędznym mieszkanku. Nie tęskniła za mną ani nie zamierzała wrócić, nic z tych rzeczy. Chciała mi tylko powiedzieć, że się gównianie czuje.
 - A pan co mówił?
 - Nic. Słuchałem. Kiedy byliśmy małżeństwem, też tak było. Ona mówiła, ja słuchałem.
- Dodzwoniłem się do Mila na komórkę i streściłem obie rozmowy.
- Podryw jakiegoś gwiazdora?
 - Może wystarczył jej ktoś, kto wyglądał jak gwiazdor.
 - Meserve albo inny adonis z Domu Gry.
 - Przy jej poziomie naiwności każdy, kto był tu trochę dłużej, mógł dziewczynie zaimponować.
 - Ciekawe, jak długo Meserve czerpał mądrości od Nory Dowd.
 - Ponad dwa lata - powiedziałem. - Był tu, zanim przyjechała Michaela.
- - A potem pojawiła się Tori. A więc gdzie on jest, do cholery... Dobra, dzięki, przemyślę to, czekając na gospodarza Michaeli. Dzień płynął jak korek w oceanie. Rozważałem telefon do Allison, potem do Robin, potem znów do Allison. W końcu nie zdecydowałem się na żadną z nich i sobotę wypełniłem bieganiem, spaniem, a potem sprzątaniem wokół domu. Niedzielne ciepło i wspaniały błękit nieba tylko wszystko pogorszyły; to był dzień, który należało spędzić we dwoje.
- Pojechałem na plażę. Słońce przyciągnęło na wybrzeże ludzi i samochody. Złotowłose dziewczyny paradowały w bikini, surferzy zakładali i zdejmowali pianki, turyści gapili się na cuda natury. Na PCH podejrzliwie sunący patrolowiec spowolnił ruch do prędkości szybkiego marszu na odcinku z Carbon Beach do Malibu Road. Południowy wjazd do Latigo Canyon był bliżej, ale oznaczał dłuższą jazdę krętymi drogami. Pojechałem na Kanan Durne i skręciłem. Sam. Piąłem się pod górę, z obiema rękami na kierownicy, a serpentyny testowały stare zawieszenie seville'a. Chociaż byłem tu już wiele lat temu, ostrość zakrętów i głębia przepaści znów mnie zaskoczyły. Nie było to miejsce na swobodną przejażdżkę, a po zapadnięciu zmroku trasa stawała się zdradliwa, o ile dobrze się jej nie znało. Dylan Meserve chadzał tędy na wycieczki i tu wrócił, żeby odegrać fałszywe porwanie. Całkowite odludzie. Wciąż nie spotkałem drugiego samochodu, który rzucałby wyzwanie górcom. Przejechałem

jeszcze kilka kilometrów, udało mi się zawrócić na wąskiej wstążce asfaltu, skręciłem w prawo w Kanan i wjechałem do Valley. Ostatni znany adres zamieszkania Tori Giacomo - obskurny, biały blok. Na ulicy stały stare samochody osobowe i ciężarówki. Zgodnie z opisem Lou niemal wszyscy napotykanymi przeze mnie ludźmi mieli brązową skórę. Niektórzy byli wystrojeni do kościoła. Inni wyglądali, jakby wiara w ogóle nie zaprzętała ich myśli. Laurel Canyon wyprowadziła mnie z powrotem do miasta, a Beverly Boulevard zawiódł do Hancock Park. Na podjeździe Nory Dowd nie było rangę rovera, a kiedy zapukałem do drzwi, nikt mi nie otworzył. Jedź na zachód, człowieku bez celu. *Chwasty, w których porzucono Michaelę, odrosły, maskując brutalną przeszłość tego miejsca. Popatrzyłem na rośliny i piach, wróciłem do samochodu. Na Holt Avenue zauważyłem Szandlę Winograd i młodego mężczyznę z rzadką brodą, w czarnym garniturze i kapeluszu z szerokim rondem. Prowadzili czwórkę małych dzieci i podwójny wózek spacerowy na północ, w stronę Pico. Niedomagający rzekomo Gerszi Joel był okazem zdrowia i próbował wspiąć się po spodniach ojca. Rebe Winograd opędył się od niego, w końcu podniósł chłopca i przerzucił sobie przez ramię jak worek mąki. Dzieciak nie posiadał się z radości.

- Kawalek dalej, na odcinku Guthrie, na którym mieszkał Reynold Peaty, rozejrzałem się za Seanem Binchym, ale go nie wypatrzyłem. Był aż tak dobry? Czy może w niedzielę przeważały zobowiązania nawróconego chrześcijanina? Kiedy przejeżdżałem obok budynku Peaty'ego, młoda rodzina Latynosów zeszła po schodach i ruszyła w stronę poobijanego, niebieskiego vana. Wszyscy ubrani do kościoła, włącznie z trójką puciołowatych dzieci w wieku poniżej pięciu lat. Rodzice wyglądali na jeszcze młodszych niż Winogradowie - byli prawie nastolatkami. Ogolona głowa ojca i jego kamienna twarz kontrastowały ze sztywnym, szarym garniturem. Oboje, on i jego żona, otyli. Kobieta miała zmęczone oczy i ciemne włosy z pasemkami. Za czasów mojego stażu personel psychologiczny z wyższością powtarzał powiedzonko: „Dzieci mają dzieci”. Z pełnym dezaprobaty cmokaniem w domyśle. Jeździłem po mieście, całkiem sam. Kto ma kogo oceniać? Zatrzymałem się bez celu przed budynkiem Peaty'ego. Jeden z maluchów pomachał do mnie, ja też pomachałem i oboje rodzice się odwrócili. Tata z ogoloną głową popatrzył złowrogo. Czym prędzej odjechałem. W Domu Gry nic się nie działo, tak samo w wielkim kompleksie koloru dyni na Overland, który Dylan Meserve opuścił bez uprzedzenia. Obskurne bloczysko. Pod rynnami rdzawe zacieki, których nie zauważyłem za pierwszym razem. Siatka małych okienek, bez śladu kogokolwiek, kto by za nimi mieszkał. Widok ten ekshumował moje wspomnienia ze studenckich czasów, kiedy mieszkałem na tej samej ulicy, sam, nikomu nieznanym i tak przepęlnym wątpliwościami, że całe tygodnie uciekały mi w narkotykowym widmie. Wyobraziłem sobie Tori Giacomo - zbiera się na odwagę przed przeprowadzką na drugi koniec kraju i trafia do małego, smutnego pokoiku na ulicy pełnej obcych ludzi. Gnana ambicją - albo złudzeniami. Jaka to różnica? Samotni, wszyscy samotni. Przypomniałem sobie tekst, na który podrywałem wtedy dziewczyny. „Nie, nie biorę prochów, wolę naturalnego doła”. Pan Sardoniczny. Raz na jakiś czas tekst działał. *
- W poniedziałek o jedenastej Milo zadzwonił ze swojego samochodu. - Cholerny właściciel wystawił mnie w sobotę, za duże korki na drodze z La Jolla. W końcu powiedział mi, że mogę wziąć klucze od jego siostry, która mieszka w Westwood. Dupek. Zaczekałem na techników, właśnie skończyłem swoją działkę.

- Dowiedziałeś się czegoś?
 - Nie żyła zbyt wystawnie. Pusta lodówka, w spiżarni musli i dietetyczne koktajle w puszcze. Mydło, advil, motril, pepto-bismol, tumsy, trochę marihuany w szafce nocnej. Żadnej antykoncepcji. Nie czytała za wiele, cała biblioteczka to stare numery „Us”, „People” i „Glamour”. Telewizor, ale bez kablówki, telefon wyłączony. Mój nakaz sądowy wydostanie billingi za kilka dni, ale jak mówiłem, linię stacjonarną odłączyli za niepłacenie, a nie mogę znaleźć numeru komórki. Jedno, co miała, to ładne ciuchy. Nie za wiele, ale gustowne. Pewnie wydawała na nie wszystkie pieniądze. Szef restauracji, gdzie pracowała, powiedział, że nie sprawiała kłopotów, nie zwracała na siebie uwagi. Nie pamięta, żeby widział z nią facetów. Kierownik sklepu z butami warczał na Meserve’a; chłopak był nieodpowiedzialny i potrafił pyskować klientom. Tak czy inaczej zobaczymy, czy znajdziemy jakieś odciski palców. Nie ma śladów przemocy ani walki, wygląda na to, że została zabita gdzie indziej. Jak ci minął weekend?
 - Spokojnie.
 - To dobrze.
-
- Opowiedziałem mu o wycieczce do Latigo, przemilczałem resztę trasy i wspomnienia, które obudziła.
 - - No co ty? - zdziwił się. - Ja też tam byłem, wcześniej rano. Ładnie tam, co?
 - - I odludnie.
-
- Rozmawiałem z kilkoma sąsiadami, w tym ze staruszką, którego Michaela przestraszyła, kiedy wyskoczyła goła. Nikt przedtem nie widział tam ani jej, ani Meserve’a. Dodzwoniłem się też dziś rano do Alberta Beamisha. Soboty i niedziele spędza w swoim domu w Palm Desert. Słońce nie podziałało kojąco na jego usposobienie. Chciał mi powiedzieć, że w piątek około dziewiętej widział rangę rovera Nory wyjeżdżającego z jej garażu.
 - Tuż po naszym spotkaniu u Brada.
 - Może poradził siostrze, żeby wzięła sobie urlop. A może miała ochotę na chwilę oddechu i nie poinformowała o tym studentów, bo jest niedojrzałą, bogatą dziewczynką. Poprosiłem Beamisha, żeby miał oczy otwarte, podziękowałem mu za spostrzegawczość. A on mi warknął: „Niech pan okaże wdzięczność, wykonując swoją pracę z minimum kompetencji”.
-
- Zaśmiałem się.
 - - Czy był na tyle bystry, żeby sprawdzić, kto jechał tym roverem?
-
- - Niestety. Samochód Meserve’a wciąż się nie znalazł, ale jeśli chłopak jest z Norą, mogą korzystać z jej wozu, a jego ukrywać. Na przykład w garażu Nory albo w Domu Gry. Spróbuję

podważyć drzwi i zajrzeć. Z zupełnie innej beczki, Reynold Peaty pozostaje wierny swoim zasadom samotnika i dziwaka. Cały weekend siedział w mieszkaniu. Dałem Seanowi wolne na niedzielę, bo jest wierzący, więc może coś przeoczył. Ale sam obserwowałem mieszkanie Peaty'ego po południu, koło czwartej. Rozmiliśmy się o dwie godziny. Znów.

- Ostatnia i być może najmniej ważna sprawa - ciągnął Milo. - Budynek Tori Giacomo zmienił właściciela dwukrotnie, odkąd tam mieszkała. Pierwotnymi właścicielami były dwie dziewięćdziesięcioletnie siostry, które zmarły ze starości. Nieruchomość poszła na licytację, kupił ją tanio licytujący z Vegas, a potem odsprzedał konsorcjum biznesmenów z Korea-town. Nie ma danych o dawnych lokatorach, w powietrzu unosi się aromat próżnego trudu.
- Kiedy jedziesz do Nory?
- Właśnie podjechałem... - Trzasnęły drzwi samochodu. - Idę do drzwi. Puk puk... - Uniósł głos do bezpłciowego altu. - Kto tam? Porucznik Sturgis. Jaki porucznik Sturgis?... Słyszysz, Alex?
- Co słyszę?
- Właśnie. Dobra, teraz jestem przy garażu... nie da rady, zamknięty na klucz... gdzie taran? To wszystko, mili państwo, wysłuchaliście prezentacji kanału *Podróże bez sensu*.

20

- We wtorek rano zadzwoniłem do Robin, włączyła się sekretarka, odłożyłem słuchawkę. Z gabinetu wzywał mnie zakurzony stos pism psychologicznych. Dwudziestostronicowy artykuł o odruchu mrugania u szczurów kapturowych ze schizofrenią sprawił, że mnie samemu zaczęły zamykać się powieki.
- Zszedłem nad oczko wodne nakarmić koi. Jak na ryby są inteligentne, nauczyły się roić na mój widok. Miło czuć się potrzebnym. Ciepłe powietrze i chlupot wody znów mnie uspiły. Następną rzeczą, jaką zobaczyłem, była wielka twarz Mila, zasłaniająca mi pole widzenia.
- Uśmiechał się od ucha do ucha. Najbardziej przerażający klaun na świecie. Wymamrotałem powitanie.
- - Co z tobą? - spytał. - Drzemiesz w środku dnia jak stary piernik? - Która jest?
- Przespałem bitą godzinę.
- Co dalej? Białe buty i obiad o czwartej?
- Robin drzemie.
- Robin ma prawdziwą pracę.
- Wstałem i ziewnąłem. Ryby popędziły w moją stronę. Milo zanucił melodię ze *Szczęk*. W

ręku trzymał teczkę. W charakterystycznym błękitnym odcieniu, nie do pomylenia z niczym innym.

- - Nowe? - spytałem.
- Zamiast odpowiedzieć, wszedł po schodach do domu. Potrząsnąłem głową i poszedłem za nim. Siadł przy kuchennym stole, z serwetką za kołnierzem, ze sztućcami i nakryciem dla jednej osoby. Sześć tostów, ociekający Wezuwiusz jajek sadzonych, wielka szklanka soku pomarańczowego, w połowie pusta. Otarł usta.

- Uwielbiam ten lokal. Podają śniadanie o każdej porze.
- Długo już tu jesteś?

- Wystarczająco, żeby cię doszczętnie okraść, gdybym miał taki zamiar. Dlaczego nie mogę cię przekonać do zamykania drzwi na klucz?
- Nikt do mnie nie wpada oprócz ciebie.
- Nie przyszedłem towarzysko, tylko służbowo. - Dziabnął stos jajek, przesunął po stole niebieską teczkę. Od pierwszej oddzieliła się druga. - Czytaj i się obudź.

- Dwa przypadki osób zaginionych. Gaidelas, A. Gaidelas, C. Kolejne numery spraw.
- - Następne dwie dziewczyny? - spytałem. - Siostry?- Czytaj.
- Andrew i Catherine Gaidelasowie, lat odpowiednio czterdzieści osiem i czterdzieści pięć, zniknęli dwa miesiące po Tori Giacomo. Małżeństwo z dwudziestoletnim stażem, bezdzietne; właściciele salonu piękności Loki Szczęścia w Toledo w stanie Ohio. Do L.A. przyjechali na wakacje, zatrzymali się w Sherman Oaks u siostry i szwagra Cathy, doktorostwa Palmerów. W rzeński, pogodny wtorek w kwietniu Palmerowie poszli do pracy, a Gaidelasowie udali się na pieszą wycieczkę w góry Malibu. Od tamtej pory ich nie widziano.

- Identyczny raport w obu teczkach. Przeczytałem wersję Catherine.

- Nie napisali tu, gdzie konkretnie w Malibu.
- Wielu rzeczy nie napisali. Czytaj dalej.

- Fakty były pobieżne, pozornie bez związku z Michaelą i Tori. Coś mi umykało? Wtedy doszedłem do ostatniego akapitu. Siostra zaginionej C. Gaidelas, Susan Palmer, zeznała, że Cathy i Andy wybrali się do Kalifornii na wakacje, ale kiedy przyjechali, postanowili zostać na dłużej, żeby „wejść w aktorstwo”. S. Palmer zeznaje, że jej siostra pracowała „na wybiegu i w

teatrze” po szkole średniej i wspominała, że chce zostać aktorką. A. Gaidelas nie miał doświadczenia scenicznego, ale wszyscy w domu uważali, że jest przystojnym facetem, który „wyglądał jak Dennis Quaid”. S. Palmer zeznała, że Andy i Cathy mieli już dość prowadzenia salonu piękności i nie lubili zima w Ohio. Cathy uznała, że mogliby grać w reklamach, bo wyglądają „jak prawdziwi Amerykanie”. Mówiła też, że zamierza „wziąć się do tego na poważnie i zapisać na kurs aktorstwa”; S. Palmer uważa, że Cathy kontaktowała się ze szkołami aktorskimi, ale nie wie, którymi. Na końcu były dwa kolorowe zdjęcia. Cathy i Andy Gaidelasowie - oboje jasnowłosi i niebieskoocy, z rozbrajającymi uśmiechami. Cathy pozowała w czarnej sukience bez rękawów, obrzeżonej cekinami, i w odpowiednio dobranych kolczykach. Miała pełną twarz, pulchne ramiona, zmierzwione platynowe włosy, mocno zarysowany podbródek i cienki, prosty nos. Jej mąż był mysim blondynem, z pociągłą i kanciastą twarzą. Spod rozpiętej białej koszuli wystawały włosy na bladej piersi. Krzywo uśmiechnięty rzeczywiście mógł się kojarzyć z Dennisem Quaidem. Innych podobieństw do znanego aktora nie dostrzegłem. Typowe amerykańskie małżeństwo w zaawansowanym średnim wieku. Mogli się nadawać do ról mamy i taty w reklamach. W spotach karmy dla psów, mrozonek, worków na śmieci... Zamknąłem teczkę.

- Niedoszłe gwiazdki zniknęły - powiedział znacząco Milo. - Przesadzam?
- Jak ich znalazłeś?
- Sprawdziłem inne przypadki osób zaginionych, powiązanych z aktorstwem albo Malibu. Jak zwykle komputer nic nie wyszukał, ale detektyw z biura szeryfa zapamiętał Gaidelasów jako niedoszłych aktorów. Według niego, to nie było zabójstwo, dwoje dorosłych dało nogę. Dotarłem do tego szwagra, chirurga plastycznego. Gaidelasowie wciąż się nie znaleźli.
-
- Rodzina miała dość szeryfa, wynajmowali prywatnych detektywów, kolejno trzech. Pierwsi dwaj nie wniesli nic nowego, trzeci odkrył fakt, że wynajęty samochód Gaidelasów znalazł się pięć tygodni po ich zniknięciu, przysłał duży rachunek i zakończył współpracę.
- Ludziom szeryfa nie przyszło do głowy, żeby poinformować rodzinę o samochodzie?
- Znalazła go policja z Ventury, biuro szeryfa nawet o tym nie wiedziało.
- Gdzie znaleziono auto?
- W Camarillo. Na parkingu jednego z centrów dyskontowych.
- Olbrzymi sklep - powiedziałem.
- Robisz tam zakupy?
- Dwa razy. Z Allison. Czekałem, kiedy mierzyła kostiumy Ralphi Lauren i Versace.

- Pięć tygodni i nikt nie zwrócił uwagi na samochód?
- Może ktoś go schował, a potem przestawił - zasugerował Milo. - Gaidelasowie wynajęli auto na dwa tygodnie, a kiedy nie zwrócili w terminie, agencja zaczęła dzwonić pod numery podane na formularzu wynajmu. Nikt nie odbierał. Próbowali obciążyć Gaidelasów za zwłokę, ale karty kredytowe i numery komórek skasowano następnego dnia po ich zniknięciu. Agencja dalej naliczała odsetki. Rachunek urósł i po trzydziestu dniach dług przekazano firmie windykacyjnej. Oni z kolei znaleźli drugi numer Gaidelasów w Ohio, też odłączony. Co ci to mówi?
- Prysnęli.
- - Dziesięć punktów. Tak czy inaczej, aktywa Gaidelasów zajął komornik, posypała się ich zdolność kredytowa. Prywatny detektyw numer trzy zdobył rachunki z karty i zaczął je sprawdzać. Palmerowie mówią, że Gaidelasowie nie mogli uciec, mieli hyzia na punkcie kariery aktorskiej, uwielbiali Kalifornię.
- - Czy ich samochód przeszukano? Milo pokręcił głową.
- Nie było powodu sprawdzać wynajętego auta. Teraz nikt nie wie, gdzie ono jest. Pewnie trafiło na aukcję i pojechało do Meksyku.
- Dyskont w Camarillo jest kilka kilometrów w górę wybrzeża od Malibu - powiedziałem. - Gaidelasowie mogli pojechać na wycieczkę, a potem do sklepu, kupić ciuchy na przesłuchania. Albo nigdy nie zeszli ze wzgórz.
- Zakupy są mało prawdopodobne, Alex. Ich ostatni zakup kartą kredytową, zanim ją zablokowano, to obiad we włoskiej restauracji dzień przed zniknięciem. Ja bym stawiał na spacer po łonie natury, który źle się skończył. Dwoje turystów podziwiał widoki i nie zauważa drapieznika. - Prze-
-
- sunął jajka na talerzu. - Nigdy nie lubiłem przyrody. Myślisz, że warto pójść dalej tym tropem?
- - Malibu i szkoła aktorstwa oznaczają, że trzeba.
- - Doktor Palmer powiedział, że spyta żonę, czy chciałaby porozmawiać. Dwie minuty później dzwoni do mnie sekretarka doktor Susan Palmer i mówi, że im szybciej, tym lepiej. Susan ma gabinet stomatologiczny w Brentwood. Spotkanie na kawie za czterdzieści minut. Daj mi dokończyć śniadanie. Pozmywać po sobie? Doktor Susan Palmer była chudsza, pospolitszą wersją swojej siostry. Krótkie matowe blond włosy, ciemnoniebieskie oczy, sylwetka za mała do szerokiej twarzy. Miała na sobie biały, jedwabny golf, granatowe spodnie i niebieskie zamszowe pantofle ze złotymi klamerkami. Wokół oczu i ust zmarszczki od trosk. Siedzieliśmy w Mocha Merchant na San Vicente, w samym sercu Brentwood. Szczupli ludzie zamawiali wyrafinowane kawy za sześć dolarów i ciastka wielkości głowy noworodka. Na wysokich, wyłożonych cedrową boazerią ścianach wisiły reprodukcje zabytkowych młynków do kawy.

Łagodny jazz z taśmy mieszał się z peruwiańskimi fletniami. Powietrze było gorzkie od zapachu przypalonej fasoli. Susan Palmer zamówiła „półkofeinowąsumatrzańską mieszankę waniliową z lodem; pół na pół sojowe i tłuste mleko; tylko ma być tłuste, nie chude”. Moja prośba o średnią kawę wprawiła chłopaka za ladą w zakłopotanie. Spojrzałem na tablicę z menu.

- Specjał dnia, ekstragorący, średni.
- Dla mnie to samo - powiedział Milo. Chłopak wyglądał, jakby właśnie został wykiwany.

- Zanieśliśmy napoje do sosnowego stolika, który wybrała Susan Palmer, blisko wejścia.
- - Dziękuję, że zechciała się pani z nami spotkać - zaczął Milo. Palmer spojrzała na swoją kawę z lodem, zamieszała ją.
- - To ja powinnam podziękować panom. Wreszcie ktoś wykazał zainteresowanie.
- Jej uśmiech był nagły i obowiązkowy. Miała dłonie wyglądające na silne. Wyszorowane do czysta, paznokcie krótkie i gładkie. Ręce dentysty.

- Z przyjemnością pani wysłucham.
- Poruczniku, pogodziłam się już z tym, że Cathy i Andy nie żyją. Może to brzmi strasznie, ale po tak długim czasie nie ma innego logicznego wytłumaczenia. Wiem o zablokowanej karcie kredytowej i wyłączonych
-

- mediach w Toledo, ale musicie mi uwierzyć: Cathy i Andy nie uciekli, żeby rozpocząć nowe życie. Nie mogli tego zrobić; to nie leżało w ich charakterze. - Westchnęła. - Cathy nie miałyby nawet pojęcia, dokąd uciekać.

- Dlaczego, pani doktor?
- Moja siostra była przeurocza. Ale dość prosta.
- Ucieczka nie zawsze jest skomplikowana.

- - Ale przekraczałyby możliwości Cathy. I Andy'ego. - Znów zamieszała kawę. Beżowy płyn zapienił się nieprzyjemnie. - Opowiem panom trochę o rodzinie. Nasi rodzice to emerytowani profesorowie. Tata uczył anatomii w Medical College w Ohio, a mama angielskiego na Uniwersytecie Toledo. Mój brat Erie, doktor medycyny, prowadzi badania w zakresie bioinżynierii na Rockefellerze, a ja jestem ortodontą. - Kolejne westchnienie. - Cathy z trudem skończyła liceum.

- Nie lubiła się uczyć - powiedziałem.
 - Teraz wiem, że miała problemy z nauką, a te z kolei skutkowały niską samoocena. Wtedy myśleliśmy po prostu, że jest... nie tak bystra, jak my wszyscy. Nie dokuczaliśmy jej, wręcz przeciwnie, rozpieszczaliśmy Cathy. Świetnie się rozumiałyśmy, nigdy o nic nie kłóciłyśmy. Była ode mnie dwa lata starsza, ale to ja zawsze czułam się jak starsza siostra. Cała rodzina była kochająca i miła, ale... Cathy musiała coś wyczuć. Za dużo współczucia. Kiedy oznajmiła, że chce się wyuczyć na kosmetyczkę, rodzice zrobili z tego taką aferę, jakby się dostała na Harvard. - Spróbowała kawy, odsunęła kubek od siebie. - Mama i tata nie są wylewni. Kiedy mój brat rzeczywiście dostał się na Harvard, przyjęli to powściągliwie. Cathy na pewno się zorientowała, że jest traktowana wyjątkowo.
 - Razem z mężem prowadziła firmę - zauważył Milo. - Jeśli chodzi o jej zdolności planowania...
-
- Susan Palmer gwałtownie poruszyła głową; bardziej nią zatrzęsała, niż pokręciła.
-
- W każdej innej rodzinie Cathy mogłaby się uważać za spełnioną. Ale w naszej... Ruszyła z tą firmą po długim... jak to powiedzieć... Borykała się z trudnościami. Kiedy była młodsza.
 - Kłopoty nastolatków? - spytał Milo.
 - Cathy miała przedłużony okres dojrzewania. Narkotyki, picie, zadawanie się z niewłaściwymi ludźmi. Osiem lat po skończeniu szkoły wciąż mieszkała z rodzicami i nie robiła nic, tylko spała do późna i balowała. Dwa razy trafiła na ostry dyżur. To dlatego moi rodzice wpadli w zachwyty, kiedy poszła do szkoły kosmetycznej. Tam poznała Andy'ego. Idealnie do siebie pasowali.
 -
-
- Też nie był typem studenta? - spytał Milo.
 - Z trudem skończył liceum - powiedziała Susan Palmer. - Miły człowiek. Dobry dla Cathy, to najważniejsze. Oboje dostali pracę jako styliści w miejscowych salonach. Ale ich dochody się nie zwiększały i po dziesięciu latach wciąż się gnięli w małym mieszkanku. Dlatego im pomogliśmy, Barry i ja, mój brat i jego żona, mama i tata. Znaleźliśmy stary budynek usługowy, wyremontowaliśmy go, kupiliśmy wyposażenie. Oficjalnie to była pożyczka, ale nikt nigdy nie mówił o zwrocie.
 - Loki Szczęścia - powiedziałem.
 - Ciekawe, co? To pomysł Andy'ego.
 - Zarobili na tym? - spytał Milo.
 - Przez ostatnich kilka lat wyciągali niewielkie zyski. Mama i tata wciąż im pomagali.
 - Rodzice są w Toledo?
 - Geograficznie w Toledo. Psychicznie w Nibylandii.

- Myśla, że Cathy i Andy żyją.
- Jestem pewna, że czasem nawet w to wierzą - powiedziała Susan Palmer. - A czasem... cóż, było ciężko. Mama podupadła na zdrowiu, a tata okropnie się postarzał. Gdyby udało się panom czegoś dowiedzieć, pomoglibyście dwojgu bardzo fajnych ludzi.
- Ma pani jakieś teorie na temat tego, co się mogło stać? - spytał Milo.
- Jedyna rozsądna, to że Cathy i Andy poszli na wycieczkę i spotkali psychopatę. - Susan Palmer zamknęła i otworzyła oczy. - Mogę to sobie tylko wyobrazić. A nie chcę.
- Czy tego ranka, kiedy wyruszyli na wycieczkę, zdarzyło się coś niezwykłego?
- Nie, to był zwykły poranek. Barry i ja mieliśmy przed sobą dzień pełen pacjentów, bardzo się nam spieszyło. Cathy i Andy dopiero się budzili, kiedy z mężem już wychodziliśmy. Byli bardzo podekscytowani wyprawą na łono natury. My, w dużym biegu, ledwie zwróciliśmy na to uwagę. - Jej oczy zasły mgłą. - Skąd miałam wiedzieć, że widzę siostrę po raz ostatni? - Spróbowała kawy. - Prosiłam tłuste mleko, a to jest chude. Co za durnie.
- Przyniosę pani następną - zaproponował Milo.
- Nie chcę - warknęła. Na skraju łez. Jej twarz zmiękła. - Nie, dziękuję, poruczniku. Co jeszcze mogę dodać?
- Czy Cathy i Andy wspominali, dokąd w Malibu się wybierają?
- Myśleliśmy z Barrym, że będą chcieli obejrzeć ocean, ale oni mieli przewodnik turystyczny i chcieli pójść nad Kanan Durne Road.
-
- Gdzie dokładnie?
- Nie wiem. - Susan Palmer pokręciła głową. - Pamiętam tylko, że pokazywali nam mapkę. Droga wyglądała na bardzo krętą, ale na tym właśnie im zależało. Przekazaliśmy to wszystko ludziom szeryfa, a oni zapewnili, że sprawdzili teren. Szczerze mówiąc, nie wierzę, nigdy nie traktowali nas poważnie. Barry i ja całymi godzinami jeździliśmy po lądowej stronie Malibu. - Westchnęła. - Tyle kilometrów.
- Ich samochód znaleziono czterdzieści kilometrów na północ od Kanan Durne.
- Dlatego zaczęłam przypuszczać, że jeśli coś im się stało, to na wzgórzach. Musiało tak być, prawda? Po co ktoś miałby kasować karty kredytowe Cathy i Andy'ego, jeśli nie po to, żeby ukryć coś strasznego? To samo z porzuconym samochodem. Chcieli nas zmylić.
- Czy Cathy i Andy wiedzieli o dyskontach?
- My im nie mówiliśmy, ale może dowiedzieli się z przewodnika. - Palmer oparła łokcie na stole. - Moja siostra i szwagier byli prostymi, bezpośrednimi ludźmi. Jeśli powiedzieli, że idą pochodzić po Malibu, poszli chodzić po Malibu. Nie ma takiej możliwości, żeby po prostu zniknęli i pojechali na szaloną przygodę.

- Mieli jedno marzenie - przypominałem.
 - O czym pan mówi?
 - O aktorstwie.
-
- - Ach, o tym. Przez osiem lat po skończeniu szkoły Cathy wmawiała sobie, że zostanie aktorką. Albo modelką, zależnie od dnia. Chociaż nie zrobiła nic, żeby to urzeczywistnić. No, czytała kolorowe pisma. Matka знаła właściciela sklepu Dillman's i załatwiła tam Cathy pracę na wybiegu, przy prezentowaniu wiosennej kolekcji. W młodości Cathy była piękna. Ale już wtedy miała problem z utrzymaniem szczupłej sylwetki. - Palmer pociągnęła nosem i wstrzymała oddech na kilka sekund. - Poleciałam na jej występ. Siedziałyśmy z mamą w pierwszym rzędzie i obie nakupowałyśmy sobie niepotrzebnych ubrań. Następnej wiosny Dillman's nie chciał już Cathy.
 - - Jak na to zareagowała? - spytałem.
 - - Wcale. Cała Cathy. Każde upokorzenie przyjmowała, jakby zasługiwała na rozczarowanie. Nie znosiliśmy, kiedy Cathy była rozczarowana. To dlatego mama zachęciła ją do wzięcia udziału w zajęciach aktorskich. Kursy dla dorosłych, kółka muzyczne... Mama chciała, żeby Cathy czymś się zainteresowała, no i w końcu tak się stało. Wydawało się, że Cathy się dobrze bawi. Potem przestała i oznajmiła, że zostanie kosmetyczką. Dlatego właśnie Barry i ja mocno się zdziwiliśmy, kiedy przyjechali tu z Andym i poinformowali, że zamierzają się zająć aktorstwem.
-
- Czy to było również marzenie Andy'ego? - spytałem.
 - Nie, Cathy, ale Andy robił, co ona chciała, jak zawsze.
 - To dobry układ w małżeństwie - ocenił Milo.
-
- - Andy i Cathy byli najlepszymi przyjaciółmi. Prawie jakby... Nie chcę powiedzieć, że łączyła ich miłość platoniczna, ale zawsze się zastanawiałam, tak samo mój mąż i brat, i każdy, kto poznał Andy'ego...
-
- Nad czym?
 - Czy nie jest gejem.
 - Bo jest fryzjerem? - zastanowił się głośno Milo.
 - Nie tylko dlatego. Andy był bardzo kobiecy. Świetnie znał się na ubraniach, dekoratorstwie i gotowaniu; to zakrawa na uprzedzenia, ale gdybyście go panowie poznali, zrozumielibyście. - Zamrugnęła. - Może był po prostu zniewieściały. To nie ma znaczenia, prawda? Kochał moją siostrę. Uwielbiali się nawzajem.

- W aktach osób zaginionych znaleźliśmy informację o kursach aktorskich - powiedział Milo.
- - Tak?
- Jest pani zaskoczona?
- Powiedziałam o tym szeryfowi, ale nie sądziłam, że to zapisał. To ważne?
- Wszystko, co może nam przybliżyć działania Cathy i Andy'ego podczas ich wyprawy do L.A., jest ważne. Wspominali o konkretnych szkołach?
- Nie, mówili tylko o turystce. Disneylandzie, trasie spacerowej Universal City, Hollywood i Vine; byli w muzeum Hollywood na Vine, w starym gmachu Maksa Factora. Podobały im się tam ekspozycje fryzur i makijażu. Andy opowiadał o Sali Brunetek, Sali Blondynek... - Rozchmurzyła się. - Może znaleźli szkołę aktorską w Hollywood. Muszą tam jakieś być, prawda?
- Niejedna.
- Sprawdziłabym to, poruczniku. Zadzwoń do wszystkich.
- Ja to zrobię, doktor Palmer. - Przyjrzała się mu podejrzliwie, więc dodał: - Przysięgam.
- Przepraszam, ja tylko... Muszę komuś zaufać. Robi pan wrażenie dobrego człowieka.
- Milo się zaczerwienił.
- - Mam nadzieję, że się nie mylę - dorzuciła Susan Palmer.

21

- Milo rozmawiał z nią jeszcze przez dziesięć minut, przechodząc do pytań otwartych i robiąc strategiczne plany. To dobra technika, ale nic nie dała. Palmer mówiła o tym, jak bardzo tęskni za siostrą. Kiedy zerwała się na nogi, wyglądała, jakby ktoś jej podbił oczy.
- - Mam gabinet pełen krzywych zgryzów. Proszę się odzywać.
- Patrzyliśmy, jak przechodzi przez parking i wsiada do srebrnego bmw 740. Na tablicy rejestracyjnej widniał napis P_{RO1}OO_{JE}.
- Gabinet ma dwie przecznice dalej, ale przyjechała samochodem - zauważył Milo.
- Dziewczyna z Kalifornii - odparłem. - Kimś takim chciała być jej siostra.
- Lekcje aktorstwa i wycieczka nad Kanan Durne. To nie zbieg okoliczności. Pytanie brzmi, jak Gaidelasowie mają się do dwóch ładnych zabitych dziewczyn?
- Briana mówiła, że Nora odrzucała chętnych z powodów innych niż brak talentu.
- Chciała, żeby byli młodzi i ładni - wywnioskował Milo. - Gaidelasowie nie odpowiadali wiekiem, a na dodatek Cathy miała za dużo ciała. Czyli co, zostali odrzuceni z Domu Gry i zabici? To się nazywa zawalić przesłuchanie.

- Może ich nadwrażliwość zwabiła drapieżnika.
- Ktoś ze szkoły zauważył tę parę i zaczął śledzić? - Milo spojrział za okno, potem na mnie.
- Niewykluczone że w ten sam sposób wypatrył Tori Giacomo - powiedziałem.
- Przystojny drapieżnik. Jak Meserve. Ale co, zaproponował trójką Gaidelasom i zabawa źle się skończyła?
- A może zaproponował tylko pomoc w karierze.
- Tak - powiedział Milo. - Tak mogło być.
- Z drugiej strony Reynold Peaty miał pod dostatkiem okazji, żeby przyjrzeć się trzódce w Domu Gry.
- - On... Sprawdźmy, czy Sean coś widział. - Milo zadzwonił do Binchy'ego, rozłączył się. - Nie ma sygnału. Może fale nie przebijają się przez ekologiczne kawowe opary.
- Pociąg Nory do młodości jest interesujący - zauważyłem.
- Dlaczego? To cecha całej branży.
- - Ale u Nory brak motywu zysku. Szkoła nie zarabia, więc po co grymasić? Chyba że tak naprawdę panna Dowd chciała stworzyć sobie harem.
- - Próbkę samców - powiedział Milo.
- - A kiedy za bardzo się zbliżają, braciszek Brad ich splota. Albo tak mu się wydaje.
- Dobrze, więc to lubieżna babka w średnim wieku. Jak się do tego mają Gaidelasowie?
- Nie wiem, ale kiedy Susan Palmer opisywała swoją rodzinę, uderzyło mnie podobieństwo Cathy do Nory. Obie długo nie dojrzewały. Matka załatwiła Cathy pracę na wybiegu, której dziewczyna nie umiała utrzymać. Nora miała jedną rolę w sitcomie i też nic nie wyszło. Cathy brała narkotyki. Nora pali trawkę, żeby poradzić sobie z codziennością. W końcu obu im ktoś załatwił zajęcie i pracę. Salon Cathy od niedawna przynosił zyski. To znaczy, że latami jechał na stratach. Rodzinny majątek Dowdów uwolnił Norę od trosk finansowych, ale generalnie mamy tu do czynienia z dwiema córkami marnotrawnymi. Może pojawienie się Cathy w Domu

Gry uświadomiło Norze coś, czego nie chciała wiedzieć.

- Cathy jest do niej za bardzo podobna, więc musi paść ofiarą? To trochę abstrakcyjne, Alex. Skąd Nora znalazłaby losy Cathy, jeśli ją odrzuciła?
- - A jeśli Cathy miała szansę podejść do przesłuchania? - spytałem. - Nora wierzy w otwartość duszy.
- Cathy się otworzyła, a Norę to zabolalo? W porządku, ale niespodziewane objawienie to nie motyw morderstwa. Wystarczyłoby, żeby Nora odesłała ją i Andy'ego i zajęła się kolejnym ogierem. A jeśli mamy tu do czynienia z niewygodnymi wspomnieniami, jak się do tego ma Michaela? Albo Tori Giacomo, która zniknęła przed Gaidelasami? To mi wygląda bardziej na podtekst seksualny, Alex. Tak jak powiedziałeś: jakiś psychopata obserwuje stado i wybiera słabe sztuki. Cathy, owszem, nie grzeszyła młodością, ale nie była brzydka. Komuś takiemu jak Peaty mogła się wydawać całkiem ponętna.
- Peaty został przyłapany na podglądaniu studentek. Michaela i Tori by pasowały, ale...
- Cathy nie. A więc może nie jest aż tak ograniczony, jak sugerowałyby jego wołowata powierzchowność. A może Cathy coś w nim poruszyła, wspomnienia o barowym wycieruchu, który odrzucił jego zaloty w Reno. Do diabła, może nawet przypomniiała mu matkę i pękł. Cały czas wierzycie w Edypa?
-
- -Ciesz się szacunkiem.
- - Nie wiadomo, co się dzieje pod kopułką, prawda? - Wstał i zaczął się przechadzać. - Jeśli to sprawa seksualna, ofiar może być więcej. Ale skupmy się na tych, o których wiemy. Łączy je kurs aktorski i wzgórze Malibu.
- Jediną osobą powiązaną i z jednym, i z drugim jest Meserve - powiedziałem. - Wybrał Latigo jako miejsce rzekomego porwania niby dlatego, że tam bywał. Nora się wkurzyła, ale zamiast wykopać, awansowała chłopaka. Może nie była zupełnie niczego nieświadoma.
- Dylan i Nora zaplanowali oszustwo razem? Po co?
- To prawdziwy performance. Dwoje niespełnionych aktorów pisze scenariusz. Pozbycie się aktorów drugoplanowych to prawdziwe Hollywood.
- Nora choreografem, Meserve wykonawcą.
- Nora reżyserem. Do tego dąży cała branża.
- W kawiarni zrobiło się cieplej i głośniejsze, wszystkie stoliki były już zajęte. Smukli ludzie zaczęli się kłębić przy wejściu. Coraz częściej rzucono nam wkurzone spojrzenia. Milo zgiął

palec i wyszliśmy.

- - Wreszcie - mruknęła jakaś kobieta.
- Pojechaliśmy na posterunek i wpadliśmy na Seana Binchy'ego, który akurat wychodził z gabinetu Mila. Miał martensy lśniące tak samo jak jego nażelowane, rude włosy.

- Cześć, poruczniku. Właśnie odebrałem telefon do pana.
- Próbowałem dodzwonić się do ciebie - mruknął Milo. - Coś nowego u Peaty'ego?

- Binchy się rozpromienił.

- Możemy go aresztować, jeśli pan chce. Jeździ bez prawa jazdy.
- Ma samochód?
- Czerwonego datsuna minivana, starego i poobijanego. Parkuje złoma na ulicy, trzy przecznice od mieszkania. A więc chce go ukryć, prawda? Tablice są lewe, należały do chryslera sedana, który został zezłomowany dziesięć lat temu. Właścicielką była staruszka z Pasadeny. I wie pan co, właśnie tam Peaty pojechał dzisiaj rano. Dziesiątą Wschodnią do Sto Dziesiątej Północnej, potem Arroyo Parkway, a dalej zwykłymi ulicami.
- Dokąd?
- Do bloku mieszkalnego po wschodniej stronie miasta. Wyciągnął z samochodu mopy i środki czyszczące i wszedł do domu. Próbowałem się do pana dodzwonić, ale nic z tego.

-

- Autorska kawa zepsuła eter.
- Słucham?

- Wróc wieczorem do Peaty'ego, Sean. Spróbuj odczytać numery nadwozia, a potem je sprawdź.
- Jasne - zameldował Binchy. - Źle zrobiłem, że przerwałem obserwację, poruczniku? Musiałem tu załatwić kilka rzeczy.

- Jakich? - spytał Milo.

- Sean przestąpił z nogi na nogę.

- Wczoraj wezwał mnie kapitan... zamierzałem panu powiedzieć. Chce, żebym zajął się nową sprawą z Halem Prinskim, napadem na sklep monopolowy i strzelaniną na Sepulveda. Napady to nie moja działka, ale kapitan stwierdził, że muszę poszerzać swoje horyzonty. Nie wiem, czego detektyw Prinski będzie ode mnie oczekiwał. Ale zrobię wszystko, żeby wrócić do Peaty'ego.
- Jestem wdzięczny, Sean.
- Bardzo mi przykro, poruczniku, gdyby to ode mnie zależało, zajmowałbym się tylko pana sprawami. Robi pan ciekawe rzeczy. - Wzruszył ramionami. - Nielegalne posiadanie samochodu... to wspiera teorię, że z Peaty'ego nieźła szumowina.
- Wspiera - przyznał Milo.
- Piegi Binchy'ego poczerwieniały, kiedy skóra nabrała głębszego odcienia.
- Nowe słówko dnia, pomysł Tashy. Wyczytała gdzieś, że mózg zaczyna się degenerować po zakończeniu dojrzewania płciowego, jakbyśmy wszyscy gnili. Tasha rozwiązuje krzyżówki, zagadki, żeby ćwiczyć umysł. Jak dla mnie wystarczającym ćwiczeniem umysłu jest czytanie Biblii.
- Jasne, Sean - powiedział Milo. - Jeśli nie możesz poświęcić więcej czasu na Peaty'ego, nie przejmuj się, ale w wolnej chwili daj mi znać.
- - Tak jest. A, właśnie dzwonił szef Peaty'ego, Bradley Dowd. Jego nazwisko występuje w aktach Michaeli Brand.
- Czego chciał?
- Nie mówił. Stwierdził tylko, że to ważne. Chyba się spieszył, nie chciał rozmawiać ze mną, tylko z panem. Zostawił numer na komórkę.

- - Gdzie jest?
- - Obok pana komputera. Który, zauważyłem, jest wyłączony.- I co z tego?
- - No... - Binchy się zawahał. - Nie chciałbym pana pouczać, ale czasami lepiej, żeby cały czas chodził, zwłaszcza jeśli to stary typ. Bo samo uruchomienie może powodować skoki napięcia i...
- Milo przepchnął się obok chłopaka. Trzasnął drzwiami.
- ...pożerać mnóstwo energii. - Binchy uśmiechnął się do mnie.
- Miał pracowity dzień - wyjaśniłem.
- Jak zwykle, doktorze Delaware. - Binchy podwinął mankiet i spojrzał na jaskrawopomarańczowego swatcha. - O rany, już południe. Nagle złapała mnie chęćka na burito. Witaj, automacie z przekąskami. Miłego dnia, doktorze.
- Otworzyłem drzwi Mila, prawie się z nim zderzyłem, kiedy wypadł na korytarz. Nie zatrzymał się, więc przyspieszyłem, żeby go dogonić.
- Dokąd?
- Do Domu Gry. Właśnie dostałem telefon od Brada Dowda. Chce nam coś pokazać. Mówił szybko, ale jak dla mnie nie był zapędzony. Raczej przestraszony.
- O co chodzi?
- Coś z Norą. Spytałem, czy jest ranna, rzucił „nie”, a potem się rozłączył. Uznałem, że poczekam, aż spotkamy się twarzą w twarz, i dopiero wtedy użyję swoich detektywistycznych mocy.

22

- Brama wjazdowa na teren Domu Gry była otwarta. Niebo brzemienne mgłą znad morza brązowiło trawę i zmieniało zieleń sidingu budynku w kolor musztardowy.
- Bradley Dowd stał przed garażem. Jedno skrzydło było otwarte. Dowd miał na sobie czarny, kaszmirowy sweter z dekoltem w serek, płowe spodnie i czarne sandały. Mgła osiadała na jego białych włosach. Na ulicy nie było widać porsche Brada. Czerwona corvette'a z lat sześćdziesiątych, z dzielonymi oknami, stała kawałek dalej. Wszystkie pozostałe samochody w zasięgu wzroku niczym się nie wyróżniały, pospolite jak miska owsianki. Dowd pomachał, kiedy podjechaliśmy do krawężnika. W jego ręku zalśniło coś metalicznego. Kiedy podeszliśmy do garażu, szeroko otworzył drzwi. Postarzana zewnętrzna strona budynku była myląca. W środku

znajdowały się czarne betonowe podłogi, wypolerowane do połysku, i ściany z cedrowych desek, oklejone plakatami z wyścigów. Na krokwiach sufitu wisiały halogeny.

- Potrójny garaż, wszystkie miejsca zajęte. Po lewej stał wspaniale wyremontowany zielony austin healy, nisko zawieszony, agresywny jak osa. Obok niego druga corvette'a, biała, chromowana. Sylwetkę miała bardziej miękką niż ta na ulicy. Tylne światła z soczewką. Jeden z moich profesorów jeździł takim samochodem. Chwalił się, że to rocznik pięćdziesiąty trzeci. Między dwoma samochodami szumiał filtr kurzu. Nie pomógł wiele poobijanej brązowej toyocie corolli, stojącej po prawej.
- - Przyjechałem tu godzinę temu - zaczął Brad Dowd. - Przywiozłem swojego sting raya sześćdziesiąt trzy z regulacji zaworów. - W ręku trzymał lśniąca kłódkę szyfrową. - Ten badziew stał na miejscu stingera. Drzwi były otwarte, więc sprawdziłem rejestrację. To wóz Meserve'a. Na przednim siedzeniu jest coś, co mnie trochę przestraszyło.
- Milo wyminął Brada, okrążył corollę, zajrzał do środka, wrócił.

- Widział pan? - spytał Dowd.
- Śnieżna kula.
- Ta, o której panu opowiadałem. Kiedy Nora z nim zerwała, musiała mu ją oddać. Dziwne, że trzymał tę „cenną pamiątkę” w takim złomie. I zaparkował go na moim miejscu! - Szczeka Dowda zadrzała. - Dzwoniłem wczoraj do Nory, nie odbierała. Dzisiaj to samo. Nie musi mnie informować o wyjazdach i przyjazdach, ale zazwyczaj oddzwania. Jadę do niej do domu, ale najpierw chciałem, żebyście panowie to zobaczyli.

- Albert Beamish namierzył Norę, kiedy wyjeżdżała cztery dni temu. Milo o tym nie wspomniał.

- Meserve zostawiał tu już kiedyś swój samochód, panie Dowd?
- Nie, skąd. Nora używa głównego budynku na szkołę, ale garaż jest mój. Zawsze mam krucho z miejscem.
- Dużo samochodów?
- Kilka. Czasami zostawiam sobie miejsca parkingowe w swoich budynkach, ale nie zawsze wystarcza. Kiedyś wynajmowałem hangar na lotnisku, było super, bo mam biuro zaraz obok. Ale potem popyt ze strony właścicieli odrzutowców wywindował czynsze. - Potrząsnął kłódką. - Niepokoi mnie to wszystko, bo tylko ja i Nora znamy szyfr. Chciałem, żeby go miała na wypadek pożaru albo innej katastrofy. Nie dałaby go Meserve'owi.
- Jest pan pewien? - spytał Milo.
- O co panu chodzi?

- - Nora jest dorosła. Może postanowiła nie stosować się do pana rad.- W sprawie Meserve'a? Niemożliwe. Zgodziła się ze mną co do tej łajzy.
 - - Brad opuścił rękę i machnął kłódką. - A jeśli ją zmusił, żeby otworzyła?
-
- Po co miałby to robić?
 - Żeby ukryć grata. - Dowd spojrział na toyotę. - Zostawił tę głupią kulę... bardzo mi się to nie podoba. Co zamierzacie zrobić?
 - Domyśla się pan, jak długo toyota tu stoi?
 - Nie dłużej niż dwa tygodnie, bo wtedy zabrałem stingera na regulację zaworów.
-
- Milo znów okrążył samochód.
 - - Poza kulą za wiele tam nie ma.
 - - Nie ma - przyznał Dowd i wykonał szybko ruch dłońmi. Kłódka szczęknęła. Powiesił ją na drzwiach i wrócił, kręcąc głową. - Ostrzegałem Norę przed tym typem.
-
- Mamy tylko jego samochód - stwierdził Milo.
 - Wiem, wiem... Myśli pan, że przesadzam?
 - To normalne, że martwi się pan o siostrę, ale nie wyciągajmy pochopnych wniosków.
 - Co mam zrobić z tym złomem?
-
- Odholujemy go na policyjny parking. - Kiedy?
 - Już dzwonię.
-
- Dzięki. - Brad Dowd tupał stopą, kiedy Milo rozmawiał przez telefon.
 - W ciągu pół godziny, panie Dowd.
 - Świetnie, dobrze... Wie pan, co jeszcze mnie niepokoi? Tamta dziewczyna, ta Brand. Zadawała się z Meserve'em i proszę, co się stało. Nora jest, cholera, za bardzo ufna. A jeśli drań tu przyszedł, ona go wpuściła, a potem zrobił się brutalny?
 - Poszukamy w samochodzie śladów przemocy. Na pewno tylko pan i pana siostra znacie szyfr?
 - Na sto procent.
-
- - Nie ma takiej możliwości, żeby Nora dała go Meserve'owi? Kiedy była nim jeszcze zainteresowana?

- Nigdy się nim poważnie nie interesowała, to był tylko krótki flirt. - Dowd przygryzł wargę.
- Nie zdradziła mu szyfru. Wyraźnie zabroniłem jej podawać go komukolwiek. Zresztą nie ma w tym logiki. Gdyby chciała otworzyć garaż, mogła to zrobić sama. A nie zrobiłaby tego, bo wiedziała, że stinger tu wraca.
- Czy wiedziała kiedy?
- W tej właśnie sprawie wczoraj do niej dzwoniłem. Żeby powiedzieć, że przyprowadzę auto. Nie odebrała.
-
- A więc nie wiedziała - wywnioskował Milo.
- Jeszcze raz spróbuję. - Dowd wyjął lśniący czarny telefon, wcisnął dwa przyciski szybkiego wybierania. - Nie odbiera.
-
- Czy Reynold Peaty mógł poznać szyfr? Dowd szeroko otworzył oczy.
- Reynold? A po co mu ona? Czegoś mi o nim nie powiedzieliście?
-
- Okazało się, że jednak jeździ samochodem. Ma niezarejestrowany pojazd.
- Co? Po co, do diabła? Opłacam vany, żeby go woziły i zabierały z pracy.
- Dzisiaj sam pojechał do pracy w Pasadenie. - Milo przeczytał adres z notesu.
- Tak, to jeden z moich bloków. O Jezu, jest pan pewien? Oczywiście, że tak, przecież go śledziliście. - Dowd przecesał palcami siwe włosy. Drugą rękę zwinął w pięść. - Za pierwszym razem zapytałem pana, czy powinienem się martwić Peatym. Teraz mi pan mówi, że powinienem. - Brad osłonił oczy drżącą ręką. - Był sam na sam z moją siostrą. To jakiś koszmar... Nie mogę o tym powiedzieć Billy'emu.
-
- - Gdzie jest Billy?
- - Czeka na mnie w biurze... Najważniejsze to znaleźć Norę. Co, do diabła, pan zamierza w tej sprawie zrobić, poruczniku?
- Milo obejrzał się na Dom Gry.
-
- Zaglądał pan tam?
- Tam? Nie... o rany!
-
- Brad Dowd ruszył pędem do budynku. Ominął poręczę ganku długimi, posuwistymi

krokami, szybko wszedł po schodach i zaczął grzebać w kieszeniach. Pobiegliśmy za nim i kiedy Dowd przekręcił klucz w zamku, Milo przytrzymał jego dłoń.

- - Ja pierwszy.
- Dowd zeszywniał, potem się cofnął.
- - Dobrze. Niech pan idzie. Szybko. *
- Stał na wschodnim skraju ganku, oparł się o poręcz i zapatrzył na garaż. Spod warstwy mgły wyjrzało słońce. Roślinność znów była zielona. Czerwona corvette'a Dowda nabrała pomarańczowego odcienia. Minęło sześć minut milczenia, zanim drzwi się otworzyły.- Nie wygląda to na miejsce zbrodni - stwierdził Milo. - Ale wezwę techników i każę im się rozejrzeć, jeśli pan chce.
- - To znaczy, rozebraliby cały dom na kawałki?

- Zostałby pył do zdejmowania odcisków palców, ale nie byłoby żadnych większych uszkodzeń, o ile niczego byśmy nie znaleźli.
- Na przykład czego?
- Śladów przemocy.

- Ale pan żadnych nie widzi? - Nie.
- Potrzebuje pan mojego pozwolenia, żeby sprowadzić swoich ludzi?
- Bez podejrzenia popełnienia przestępstwa, tak.

- - W takim razie nie widzę sensu. Niech mi pan da wejść, od razu powiem, czy coś jest nie tak. Wszędzie polerowany dąb. Boazeria na ścianach, podłogi z szerokich desek, krokwie na sufitach, drewniane parapety i framugi okien. Upstrzone słojami drewno, cięte w tartaku sto lat temu, wyblakłe do koloru starego burbona i mocowane na wpusty i kliny. Kołki zrobiono z ciemniejszego materiału, czarnego orzecha. Część okien zakrywały aksamitne brązowe zasłony z frędzlami. Inne zostawiono odsłonięte, co dawało widok na witrażowe wstawki. Kwiaty, owoce i zieleń, wysokiej klasy robota, może Tiffany. Do środka wpadało niewiele naturalnego światła. Dom był ciemny, cichy, mniejszy niż wydawało się z ulicy, ze skromnym przedpokojem, z którego wychodziło się do dwóch większych pomieszczeń. Dawną jadalnię zastawiono starymi fotelami, winylowymi poduchami, kocami, zrolowanymi materacami do ćwiczeń. Przez otwarte drzwi widać było białą kuchnię. W głębi dawnego salonu wzniesiono scenę. Popękana sklejka i niewyglądzone krawędzie sprawiały, że całość wydawała się jeszcze prymitywniejsza na tle precyzyjnego wykończenia i lśniących powierzchni wszędzie indziej. Pod sceną stały trzy rzędy składanych krzeseł dla publiczności. Zewnętrzna ścianę pokrywały zdjęcia, wiele z nich czarno-białych. Wyglądały jak kadry ze starych filmów.
- - Wszystko wygląda zwyczajnie - stwierdził Brad Dowd. Spojrzał na otwarte drzwi na prawo od sceny. - Sprawdzał pan z tyłu?
- Milo kiwnął głową.
- - Tak, ale niech się pan nie krępuje.

- Dowd poszedł tam, a ja za nim. Krótki, ciemny korytarz prowadził do dwóch małych pokojów. Kiedyś były to sypialnie, do wysokości oparcia krzesła wyłożone dębiną, wyżej pomalowane na kolor zielonego groszku. Jedna stała pusta, w drugiej trzymano dodatkowe składane krzesła i jeszcze więcej kadrów z filmów. W szafach nic nie było.
- Brad Dowd szybko wyszedł. Luz podstarzałego surfera, który prezentował u siebie w domu, ustąpił miejsca koguciej nerwowości. Nic człowiekiem tak nie telepie, jak rodzina. Popatrzyłem na zdjęcia. Mae West, Harold Lloyd, John Barrymore. Doris Day i James Cagney w *Kochaj albo odejdz*. Veronica Lake i Alan Ladd w *Błękitnej dalii*. Voight i Hoffman w *Nocnym kowboju*. Czarno-białe twarze, których nie znałem. Cały dział poświęcony młodzieży. Siostry Lennon. Banda Bradych. Rodzina Partridge'ów. Cowsillowie. Czwórka wyszczerzonych dzieciaków w dzwonach, podpisana Kolorowa Załoga. Wróciłem do dużego pokoju. Milo i Brad siedzieli na skraju sceny. Dowd miał zwieszoną głowę.
- Może pan sobie przypomni, dokąd siostra zwykle wyjeżdża.
- Ona ot, tak nie wyjechała.
- Wolę się upewnić, panie Dowd.
- Podróżuje... co roku lata do Paryża. Później, w połowie kwietnia. Zatrzymuje się w Crillonie, wydaje na to majątek. Czasami jeździ na południe, wynajmuje nieduży *chateau*. Najdłużej wyjechała tam na miesiąc.
- Dokąd jeszcze?
- Kiedyś jeździła wszędzie, do Anglii, Włoch, Niemiec, ale tylko Francję naprawdę lubi. Dobrze mówi po francusku.
- A tutaj, bliżej?
- Była kilka razy w uzdrowisku w Meksyku - powiedział Dowd. - W Tecate. Jeździ też chyba do Ojai. Albo Santa Barbara, gdzieś w te okolice. Lubi kąpiele zdrowotne. Myśli pan, że chciała się tylko wymoczyć, a ja się zamartwiam? Cholera, może Meserve podpatrzył szyfr i schował tu rzęcha, a Nora nic o tym nie wie i bierze właśnie kąpiel błotną. - Zabębnił palcami o kolana. - Siądę do telefonu, obdzwońię wszystkie ośrodki w stanie.
- My się tym zajmiemy.
- Chcę coś zrobić.
- Niech mi pan pomoże, wyęzając pamięć - poprosił Milo. - Czy Nora ostatnio wspominała o podróży?
- Zdecydowanie nie. - Brad się zerwał. - Jadę do Billy'ego, a potem do domu Nory, poruczniku. Nie lubi, kiedy używam zapasowego klucza... Ale jeśli upadła i potrzebuje pomocy?
- Kiedy po raz ostatni widział ją pan z Meserve'em? - spytał Milo.
- Po tym, jak Meserve wyciął numer z porwaniem, a ona zapewniła mnie, że to już koniec.
- Milo milczał. Śmiech Dowda zabrzmiał gorzko..

- - A więc co tu robi ten cholerny samochód, tak? Myśli pan, że jestem frajerem.
- Pana siostra jest dorosła.
- W pewnym sensie - wymamrotał Brad.
- Niełatwo być szefem - wtrącił.
- Tak, ciężki kawałek chleba.
- A więc ma pan klucze do domu Nory - podjął Milo.
- W sejfie w biurze, ale nigdy ich nie używałem. Dała mi wiele lat temu, z tego samego powodu, dla którego ja dałem jej szyfr do garażu. Jeśli nie ma Nory w domu, po prostu trochę się rozejrzę. Może znajdę paszport. Nie wiem, gdzie go trzyma, ale poszperam. Chociaż pewnie pan sprawdziłby to szybciej, jednym telefonem do linii lotniczych.
- Po jedenastym września to nie takie proste - wyjaśnił Milo.
- Biurokratyczne bzdury?
- - Tak. Nie mogę nawet wejść do domu Nory, o ile wyraźnie nie dała panu pozwolenia na przyprowadzanie gości.
- - Gości - powtórzył Brad Dowd. - Cholera, jakbyśmy urządzali przyjęcie... A zresztą, sam też nigdy tam bez niej nie wchodziłem. Nie sądziłem, że kiedyś będę musiał. - Strzepnął niewidzialny pyłek ze swetra. - Zwał niam Reynolda.
- - Proszę tego nie robić - sprzeciwił się Milo.- Ale...
- Nie ma przeciwko niemu żadnych dowodów, panie Dowd, a ja nie chcę go spłoszyć.
- To pieprzony zboczeniec - warknął Brad Dowd. - A jeśli popełnił przestępstwo w pracy? Kto zostanie pozwany? Co pan ukrywa?
- Naprawdę nic.
- Dowd zmierzył Mila wzrokiem.
- Poruczniku, przykro mi, jeśli to panu komplikuje sprawy, ale jednak go zwalniam. Rozmówię się z prawnikiem i księgowym. Dopilnuję, żeby wszystko odbyło się jak trzeba. Mam prawo prowadzić interesy według własnego...
- Obserwujemy Peaty'ego - przerwał mu Milo - więc prawdopodobieństwo, że się wychyli, jest prawie zerowe. Naprawdę wolałbym, żeby się pan wstrzymał.
- Wolałby pan... - prychnął Dowd. - A ja wolałbym nie brać na siebie cudzych problemów.

- Zostawił nas, minął rzędy składanych krzesel. Zawadził o metalową nogę. Zaklął pod nosem.
- Milo został na scenie, z brodą wspartą na dłoni. Monodram *Smutny detektyw*. Brad Dowd doszedł do przedpokoju i się obejrzał.- Zamierzacie tu panowie nocować? Chodźcie, muszę zamknąć. 23Milo kopnął krawężnik, patrząc, jak corvette'a odjeżdża, - Chciałeś, żeby Brad zaczął traktować Peaty'ego poważniej - powiedziałem. Milo klepnął się w tyłek.
- Odsiadka w poprawczaku. Jeśli się okaże, że Norę spotkało coś złego, będzie szukał winnego.
- Nie powiedziałaś mu, że Nora wyjechała w piątek wieczorem.
- Moja szczerłość ma swoje granice. Po pierwsze, Beamish nie widział, kto siedział w samochodzie. Po drugie, panna Dowd nie podlega aresztowi domowemu. Mogła jechać na drinka. Albo miała plan podróży. Albo uprowadzili ją kosmici.
- Jeśli porwał ją Meserve, po co zostawiałby swój wóz w garażu Domu Gry? A jeśli kula śniegowa to jakieś trofeum, zabrałby cacko ze sobą.
- Jeśli? - spytał Milo. - A co to może być innego?
- Może wiadomość dla Brada od Dylana i Nory: „Wciąż jesteśmy razem”. To by tłumaczyło podrzucenie toyoty do jednego ze skarbców Brada. Nie ufasz Dowdowi z jakiegoś konkretnego powodu?
- Bo nie powiedziałem mu wszystkiego? Nie, po prostu za mało wiem, żeby się tym dzielić. A co, niepokoi cię?
- - Nie, ale myślę, że jego wartość jako źródło informacji jest ograniczona. Wyraźnie przecenia swój wpływ na Norę.
- Nie jest aż taki ważny.
- Przyjął rolę opiekuna, bo Billy i Nora nie są samodzielni. To pozwoliło im pozostać dorosłymi dziećmi. Nora to wieczna nastolatka, samolubna, utrzymuje niezobowiązujące kontakty seksualne, pali. A co robią buntownicze nastolatki, kiedy je zapędzić do kąta? Stawiają bierny opór albo się odgryzają. Kiedy Brad kazał jej zerwać z Meserve'em, Nora wybrała bierny opór.
-
- Prysnęli rangę roverem i zostawili rzęcha kochasia, żeby mogli podróżować z klasą? Tak,

to możliwe. A więc co my tu mamy, zwykłą wycieczkę? Bonnie i Clyde w niezłej bryce uciekają z miasta, bo brzydko się bawili.

- Sam nie wiem - mruknąłem. - Ludzie, którzy chodzą na kurs Nory, znikają, ale teraz, kiedy wiemy, że Peaty ma wóz, musi pozostać w centrum naszej uwagi.
- - Furgonetka. Najpopularniejszy wóz psychopatów. Do tego niedługo Peaty będzie bezrobotny. Jeśli Sean przerwał obserwację i ten drań pryśnie, zostanę z niczym. - Skrzyżował ramiona na piersi. - Dałem ciała, mówiąc Bradowi o furgonetce Peaty'ego.
- Peaty sprząta w wielu budynkach - odparłem. - Z moralnego punktu widzenia postąpiłeś słusznie.
- Nie słuchałeś mnie? Kryłem własny tyłek.
- Przepraszam, nie dostyszę.
- Kiedy czekaliśmy na przyjazd policyjnej lawety, Milo zadzwonił do Binchy'ego. Znowu brak sygnału. Burknął coś o „technologicznej wielkiej bujdzie” i zaczął chodzić w tę i z powrotem wzdłuż ulicy. Pojawiła się laweta; kierowca zwolnił, szukając adresu. Nie zauważył machania Mila. W końcu samochód się zatrzymał i ze środka wysiadł zaspany kierowca, na oko dziewiętnastolatek.
- - W środku, toyota - poinformował Milo. - Potraktuj to jako miejsce przestępstwa i zabierz ją prosto do garażu techników.
- Kierowca potarł oczy i zaszeleścił papierami.
- Nie takie miałem zlecenie.
- Teraz masz takie. - Milo podał mu rękawiczki. - Na siedzeniu jest śnieżna kula - powiedział Milo, kiedy kierowca człapał w stronę toyoty. - To dowód rzeczowy.
- - Co?
- - Taka zabawka. Sypie śniegiem, jak ją odwrócisz do góry nogami.
- Kierowca zrobił zdziwioną minę. Otworzył drzwi i wyjął kulę. Odwrócił ją, popatrzył, jak spadają plastikowe płatki. Spojrzał na napis na podstawce i zmarszczył brew.
- Milo włożył rękawiczki, odebrał chłopakowi kulę i wrzucił do torby na dowody. Był czerwony na twarzy.
- Mam to zabrać? - spytał kierowca.

- Nie, profesorze, ja się tym zajmę.
- - Śnieg... - mruknął chłopak. - Hollywood i Vine? Nie widziałem tam nigdy śniegu.
- Zrób mi przysługę - poprosił Milo, kiedy wracaliśmy na posterunek. - Zadzwoń do tego prawnika, Monteza. Dowiedz się, czy Michaela mówiła mu coś o Meservie i Norze, czego nie powiedziała tobie. Wiesz, kto był obrońcą Meserve'a?
- Marjani Coolidge.
- Nie znam.
- Ja też nie, ale spróbuję poznać.
- Próbowanie to fajna sprawa. - Znów wystukał numer Binchy'ego. Tym razem się połączył. - Sprawdź swój telefon, Sean - warknął Milo. - Śledzisz go? Nie, nie przejmuj się, pewnie pracuje. Wymyślę coś na wieczory. Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, podzwoń po ośrodkach kąpielowych i zdrowotnych od hrabstwa Santa Barbara do połowy Baja i popytaj o Norę Dowd albo Dylana Meserve'a... Spa, masaże i zdrowa żywność. Co?... Nie, nie ma sprawy, Sean. - Wcisnął telefon z powrotem do kieszeni.
- Ugrzązł w szczegółach napadu? - spytałem.
- Na to wygląda. - Milo wystukał na desce rozdzielczej szybki rytm cza-czy, aż poczułem wibracje przez kierownicę - Lepiej dzisiaj wieczorem sam pojedę pod dom Peaty'ego. Niezarejestrowany samochód to powód do aresztowania. Może uda mi się pogadać z Peatym w jego mieszkaniu, przy okazji rozejrzałbym się po norze. Zacznę też dzwonić do spa...
- Tym ja mogę się zająć. A tobie zostawię robotę dla wielkiego, silnego detektywa.
- Czyli?
- Sprawdzenie, czy Nora korzystała ze swojego paszportu. Naprawdę jest trudniej po jedenastym wrześniu? Można by pomyśleć, że agencje zaczęły bardziej ze sobą współpracować.
- Jaki mądrała - fuknął Milo. - Tak, wcisnąłem kit Bradleyowi. Uznałem, że będzie miał motywację, żeby wejść do domu Nory i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zasadniczo nic się nie zmieniło, nadal trzeba mieć nakaz, żeby dostać się do listy pasażerów. A linie lotnicze, zajęte wymyślaniem sposobów utrudniania życia pasażerom, wciąż się nie spieszą z dostarczaniem tych list. Ale pojawiło się więcej kolesiostwa. Pamiętasz tę zastrzeloną babcię, którą zajmowałem się w zeszłym roku?
- - Uroczą staruszką; zastępowała swojego syna w sklepie monopolowym.
- - Alma Napier. Osiemdziesiąt dwa lata, doskonałe zdrowie. Naszprycowany amfą gnój wywalił do niej ze strzelby. Podczas przeszukania meliny sukinsyna znaleziono karton kamer z Indonezji, z pustymi przegródkami w kształcie pistoletów. Pomyślałem, że Federalna Policja Lotnicza
- chciałaby to wiedzieć, poznałem jednego z ich kierowników. - Wyjął telefon, poprosił o

połączenie z komandorem Budowskim. - Bud? Milo Sturgis... Dobrze. A ty? Świetnie. Słuchaj, musisz mi wyświadczyć przysługę. *Piętnaście minut później, kiedy wróciliśmy do gabinetu Mila, cywilny urzędnik przyniósł faks. Podzieliliśmy się dzwonieniem do ośrodków odnowy biologicznej, bez efektu. Milo przeczytał raport Budowskiego, podał mi go, wrócił do telefonu. Nora Dowd nie korzystała z paszportu do podróży zagranicznych od ubiegłego kwietnia. Trzytygodniowa wycieczka do Francji, tak jak mówił Brad. Dylan Meserve nigdy nie złożył wniosku o paszport. Nazwiska Nory ani Dy lana nie występowały na listach wylotów krajowych z LAX, Long Beach, Burbank, Johna Wayne'a, Lindbergh ani Santa Barbara. Budowski zostawił na dole odręczną notatkę. Jeśli Nora poleciała prywatnym odrzutowcem, ta podróż mogła nigdy nie wyjść na jaw. Niektóre firmy czarterowe nie były skrupulatne w sprawdzaniu tożsamości pasażerów.

- - Wszyscy są równi, ale bogatszy może więcej - skwitował Milo. Wykonał jeszcze kilka telefonów, o drugiej zrobił przerwę na kawę. Zamiast wrócić do pracy, przejrzał swój notes, znalazł numer i zadzwonił. - Pani Stadlbraun? Detektyw Sturgis, byłem u pani w zeszłym tygodniu porozmawiać o... Naprawdę? Jak to? Rozumiem. Nie, to nieładnie... Tak, zgadza się. Czy oprócz tego... Nie, nie mam nic nowego, ale chciałem wpaść i zamienić z nim kilka słów. Gdyby mogła pani do mnie zadzwonić, kiedy wróci, byłbym wdzięczny. Ma pani jeszcze moją wizytówkę? Zaczekam... Tak, zgadza się, którykolwiek z tych numerów. Dziękuję... Nie, proszę pani, nie ma się czym przejmować, to tylko rutynowe postępowanie.
- - Rozłączył się, obrócił słuchawkę; sznur skręcił się i rozwinął. - Ertha uważa, że Peaty zachowywał się Jeszcze dziwniej”. Kiedyś chodził ze spuszczoną głową, udawał, że nie słyszy, kiedy się do niego mówiło. Teraz patrzy jej w oczy, jak to określiła, „wrednie”. Co o tym sądzisz?
- Może namierzył Seana i zrobił się nerwowy - zasugerowałem.
- Wątpię, Sean jest mistrzem kamuflażu. - Milo odsunął się z krzesłem o te kilka centymetrów, na które pozwalała mu ciasnota pomieszczenia.
- - Czy nerwowy Peaty byłby bardziej niebezpieczny?
- Niewykluczone.
- Powiniennem ostrzec Stadlbraun?
-
- Nie wiem, co mógłbyś powiedzieć, żeby nie wywołać paniki. Bez wątplenia Brad eksmituje Peaty'ego, oprócz zwolnienia go z pracy.
- A więc mamy bezdomnego, bezrobotnego, wściekłego faceta z nielegalnym wozem. Pora rozpląszczyć się przed kapitanem i poprosić o pomoc w obserwacji. - Zniknął, wrócił, kręcąc

głową. - Jest na spotkaniu w śródmieściu.

- Rozmawiałem właśnie z Wellness Inn Big Sura, cierpliwie znosząc nagrany reklamę kąpieli w wodorostach i masażu wodnego i czekając na jakiś ludzki głos. O wpół do czwartej obaj skończyliśmy. Nora Dowd nie zameldowała się w żadnym modnym uzdrowisku pod nazwiskiem swoim ani Meserve'a. Zadzwoiłem do Lauritza Monteza w biurze obrońców publicznych w Beverly Hills. Był w sądzie, miał wrócić za pół godziny. Za dużo tego siedzenia. Wstałem i powiedziałem Milowi, dokąd idę. W odpowiedzi pomachał mi palcem. Nie chciało mi się odpowiadać. *Dotarłem do sądu w Beverly Hills za pięć czwarta. O tej porze kończyła się większość rozpraw. Korytarze były pełne adwokatów, policjantów, oskarżonych i świadków. Montez przeciskał się przez tłum, pchając czarną skórzaną walizkę na kółkach. Chudy jak zwykle, siwe włosy związał w kucyk. Olbrzymie, obwisłe wąsy i cienka bródka posiwiały mu na brzegach. Soczewki okularów miał sześciokątne i kobaltowo niebieskie. Obok niego szła blada młoda kobieta w cienkiej, staromodnej różowej sukience. Długie czarne włosy, piękna twarz, przygarbiona sylwetka jak u staruszki. Kobieta mówiła coś do Monteza. Jeśli obchodziło go, co miała mu do powiedzenia, nie okazywał tego. Wmieszałem się w tłum, udało mi się zejść ich od tyłu. Za każdym razem, kiedy widywałem Monteza, ubierał się jak dandys. Dzisiaj miał na sobie dopasowany, czarny aksamitny garnitur o edwardiańskim kroju, z szerokimi, spiczastymi kłapami, obszytymi satyną. Różowa koszula boleśnie przywoływała wspomnienia oparzeń słonecznych z lat dziecięcych. Opalizujący niebieski krawat lśnił. Blada dziewczyna powiedziała coś i Montez się zatrzymał. Oboje zeszli na prawo i schowali się za otwartymi drzwiami do sali rozpraw. Przysunąłem się bliżej, udając, że czytam ogłoszenia w gablocie na ścianie. Tłum się przerzedził i słyszałem, o czym mówią.
- -Odroczenie, Jessico, oznacza, że załatwiłem ci trochę czasu, żebyś przestała brać i więcej tego nie robiła. Możesz też znaleźć sobie pracę i spróbować oszukać sędziego, że staniesz się porządnym obywatelem.- Jaką pracę?- Wszystko jedno, Jessico. Przerzucanie kotletów w McDonald'sie.
- A Johnny Rockets? W sumie to coś podobnego.
- Jeśli zatrudnią cię w Johnny Rockets, świetnie.
- Nigdy nie przerzucalam kotletów.
- A co robiłaś?
- Tańczyłam.
- Balet?
- Topless.
- Jestem pewien, że przy rurze byłaś świetna, ale to ci się nie przyda. Ruszył dalej. Sam.
- Wyszedłem zza drzwi.

- - Dzień dobry.
 - Montez się odwrócił. Dziewczyna stała oparta o ścianę, jakby przyciśnięta niewidzialną ręką.
 - - Idź szukać pracy, Jessico. Wzdrygnęła się i poszła.
-
- Czy Michaela mówiła coś o związku Dylana z Norą Dowd? - spytałem bez ogródek.
-
- Siedzi mnie pan, doktorze? Czy to szczęśliwy zbieg okoliczności?
 - Musimy porozmawiać...
-
- - Ja muszę wracać do domu i zapomnieć o pracy. - Złapał rączkę bagażu.
 - - Meserve zaginął - powiedziałem. - Biorąc pod uwagę, że pańska klientka została w zeszłym tygodniu zamordowana, mógłby pan przestać zgrywać wyszczerzanego cwaniaka. Zacisnął zęby.
 - - To kiepsko, wystarczy? Teraz niech mi pan da spokój.
 - - Meserve może być w niebezpieczeństwie albo sam stwarzać zagrożenie. Czy Michaela mówiła panu coś, co wyjaśniałoby sytuację?
-
- Obwiniła go o oszustwo. Zaczekałem.
 - Tak, pieprzył się z Dowd. Wystarczy?
 - Co na to Michaela?
-
- Uważała, że przegiął - odburknął Montez. - Z zabieraniem się do starszej kobiety. Jeśli dobrze pamiętam, użyła określenia „przechodzone mięso”.
 - Zazdrość?
 -
-
- Nie, nic nie czuła do Meserve’a, uważała tylko, że to obrzydliwe.
 - Czy coś wskazywało na to, że Nora brała udział w oszustwie?
 - Michaela nigdy nic takiego nie powiedziała, ale przyszło mi to do głowy. Bo przecież spała z Meserve’em i nie wywaliła go ze swojej szkoły. Myśli pan, że to on zabił Michaelę?
 - Nie wiem.
 - Coś podobnego - parsknął Montez. - W końcu psycholog udziela mi konkretnej odpowiedzi.
 - Czy Marjani Coolidge wróciła z wycieczki do Afryki? - spytałem.

- Jest tam. - Wskazał niską, szczupłą czarnoskórą kobietę w gołębioszarym kostiumie, stojącą w głębi korytarza. Dwóch wysokich, siwych mężczyzn słuchało, co mówiła.
- - Dzięki. Ruszyłem w jej stronę.
- Żeby pokazać, że nie jestem dupkiem, za jakiego mnie pan uważa, zdradzę jeszcze jedno - dodał Montez. - Dowd dzwoniła do mnie tuż po tym, jak dostałem tę sprawę. Zaproponowała, że zapłaci wszystkie rachunki, których nie pokrywa hrabstwo. Odpowiedziałem, że hrabstwo da sobie radę, i spytałem, skąd ta hojność. Usłyszałem, że Meserve jest utalentowanym artystą, że chciała mu pomóc, i jeśli to oznaczało oczyszczenie z zarzutów Michaeli, może to zrobić. Czulem hormony przez telefon. Ładna jest?
 - Niezła.
 - Jak na swój wiek?
 - Coś w tym rodzaju.
- Zaśmiał się i odjechał z walizką, a ja podszedłem do Marjani Coolidge. Dwaj mężczyźni już się ulotnili, a ona szperała w swoim prawniczym bagażu, dużej torebce z wytartej brązowej skóry, tak wypchanej, że zaczynały się rozłazić szwy. Przedstawiłem się, opowiedziałem o morderstwie Michaeli.
- Słyszałam o tym, biedaczka - odparła, a potem wypytała mnie o powiązania z policją. Oceniała moje słowa i mowę ciała wielkimi, ciemnymi oczami. Włosy miała misternie uplecione w warkoczyki, skórę gładką i jędrną.
 - Czy Meserve przekazała pani informację, która mogłaby rzucić światło na to morderstwo?
 - Pan nie żartuje.
- - Coś nieobciążającego - powiedziałem. - Cokolwiek, co ułatwiłoby nam poszukiwania chłopaka.
- Jest podejrzany?
 - Możliwe, że padł ofiarą.
 -
- Tego samego człowieka, który zabił Brand?

- Może. Wygładziła spódnice.
 - Coś nie obciążającego... Myślałam, że to już wymarłe zwierzę.
-
- Więc inaczej, bez konkretów - zaproponowałem. - Czy według pani Meserve był człowiekiem groźnym?
 - Czyja się go bałam? Ani trochę. Nie był najjaśniejszą gwiazdą z konstelacji, ale robił, co kazałam. Ale ta jego dziewczyna...
 - Która?
 - Nauczycielka aktorstwa, Dowd.
 - Stwarzała problemy?
 - Wredne babsko - wycodziła Coolidge. - Zadzwoiła do mnie na samym początku i powiedziała, że jeśli nie poświęcę Panu Ładnemu odpowiednio dużo uwagi, wynajmie prywatnego obrońcę. Miałam ochotę spytać. „To groźba czy obietnica?”
-
- -1 co dalej?
-
- Odpowiedziałam w końcu: „Może pani robić, co zechce, madame”, i odłożyłam słuchawkę. Więcej się nie odezwała. Reprezentowałam Meserve’a tak samo, jak każdego innego klienta. I wyszło całkiem nieźle, prawda?
 - Współoskarżona Meserve’a nie żyje, a on zaginął.
 - To bez znaczenia - odparła Coolidge. - Sprawa zakończona, moje zobowiązania wygasły.
 - Tak po prostu.
 - W tym zawodzie człowiek uczy się trzymać własnej orbity.
 - Orbita, konstelacja. Interesuje się pani astronomią?
 - Skończyłam astronomię w Cornell. Potem przyjechałam do L.A. studiować prawo i odkryłam, że nie widać tu gwiazd przez skażenie światłem. - Uśmiechnęła się. - Wy chyba nazywacie to cywilizacją.

24

- Wyjechałem z sądowego parkingu i pojechałem Rexford Drive przez kompleks miejski Beverly Hills. Czerwone światło na Santa Monica trzymało mnie na tyle długo, że zdążyłem zostawić wiadomość na komórce Mila.
- Jadąc do domu, rozmyślałem o flircie Meserve’a i Nory. Wspólnicy w najgorszej ze zbrodni czy po prostu romans mają z grudniem? Jakby to było miło, gdyby Reynold Peaty został przyłapany na jakimś występku, przyznał się do wielokrotnego morderstwa i wszyscy moglibyśmy zająć się czymś innym. Zorientowałem się, że jadę za szybko. Zwolniłem.

Włączyłem płytę i usłyszałem czysty, słodki sopran Mindy Smith. Czekala na swojego mężczyznę, który miał przyjechać następnym pociągiem. Na mnie czekały tylko poczta i nieprzeczytana gazeta. Może pora sprawić sobie drugiego psa? Kiedy skręciłem z Sunset, brązowe audi quattro zaparkowane po wschodniej stronie Beverly Glen odbiło od krawężnika i ruszyło za mną. Przyspieszyłem, audi też; jechało tak blisko, że widziałem w lusterku zapaskudzoną przez ptaki maskownicę z czterema kółkami. Przyciemnione szyby nie pozwalały dojrzeć kierowcy. Zjechałem na prawy pas. Zamiast mnie minąć, audi zwolniło, sunęło przez chwilę równo ze mną, potem przyspieszyło z nosowym rykiem silnika. Dostrzegłem sylwetkę kierowcy. Jechał sam. Na tylnym zderzaku samochód miał białą naklejkę z czerwonymi literami. Oddalił się tak szybko, że nie zdążyłem jej przeczytać, ale chyba widziałem tam słowo „leczyć”. Kiedy dotarłem do drogi prowadzącej do mojej ulicy, rozejrzałem się za audi. Nigdzie nie było go widać. Po prostu kolejny dzień przyjaznej jazdy na ulicach L.A. Byłem dla niego przeszkodą i uznał, że musi mi o tym powiedzieć. Kiedy wszedłem do domu, zadzwonił telefon.

- - Przepraszam, że nie odebrałam - powiedziała Robin.
- Byłem zaskoczony. Potem przypomniałem sobie, że dzwoniłem do niej rano, się nie nagrałem. Zrozumiała moje milczenie.

- Identyfikacja dzwoniącego - mruknęła. - Co słyhać?
- Chciałem tylko powiedzieć „cześć”.
- Chcesz się spotkać? Żeby pogadać?
- Jasne.

- - Apogadać i zjeść? - spytała. - Nic wystawnego, wybierz lokal. Bardzo dawno już nie była w domu, który sama zaprojektowała.

- Mógłbym przygotować coś tutaj - zaproponowałem.
- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym spotkać się na mieście.
- O której po ciebie przyjechać?
- Może o siódmej, siódmej trzydzieści? Poczekam na zewnątrz.
-

- W znaczeniu „nie wchodź do środka”? Czy potrzebowała dużo świeżego powietrza po godzinach spędzonych w pyłe drewna i lakierze? Czy to ważne? *Na Rosę Avenue było sporo butików i uroczych kafejek, wciśniętych między pralnie automatyczne i budki z fast foodem. Przez okna wpadało morskie powietrze, kwaśne, ale mimo to przyjemne. Na nocnym niebie splatały się szarość i indygo, jak farby zmieszane niedbale na palecie. Już wkrótce urocze kafejki miały się zappełnić, a piękni ludzie, pokrzepieni margaritami, wylać się na chodniki. Robin mieszkała kilka minut drogi dalej. Czy czasem się tu zjawiała? Czy to ważne? *Przecznica przy Rennie była cicha i nierównomiernie oświetlona; stały przy niej schludne i

zadbane domy. Zauważyłem klomby kwiatów, które Robin zasiała, a potem ją samą, jak wychodziła z cienia. Jej włosy falowały, kiedy szła do samochodu. Noc nadała oberżynie barwę róż. Liki Robin jak zwykle skojarzyły mi się z kiściami winogron. Miała na sobie obcisły ciemny top, dopasowane jasne džinsy, buty z groźnie wyglądającymi, stukającymi obcasami. Kiedy otworzyła drzwi, światło na suficie ukazało całą prawdę: czekoladowy top z teksturowanego jedwabiu, o ton jaśniejszy niż jej oczy w kształcie migdałów. Dżinsy kremowe, buty kawowe. Na ustach lśniła srebrmorózowa pomadka. Róż na policzkach nadawał twarzy koci wyraz. Co za kształty. Uśmiechnęła się szeroko, dwuznacznie i zapięła pasy. Wciąęły się ukośnie między jej piersi.

- - Dokąd? - spytała.
- Sugestię, żeby to nie było „nic wystawnego”, potraktowałem dosłownie. Wyjście do wytwornego lokalu wiązało się z różnymi rytuałami, a nam na tym nie zależało. Chociaż Allison lubiła elegancję. Uwielbiała przetaczać nóżkę kieliszka z winem między palcami, rozprawiając o wykwinnym menu z zarozumiałymi kelnerami i przesuwając stopą w górę moich spodni... Wybrałem bar z owocami morza w Marina, do którego Robin i ja chadzaliśmy jeszcze przed epoką lodowcową. Przestronny, nabrzeżny, bez kłopotów z parkowaniem i z ładnym widokiem na port pełen dużych białych łodzi, które - wydawało się - nigdy nigdzie nie wypływają.
- - Tam - powiedziała.

- Dostaliśmy stół na zewnątrz, pod szklaną ścianą, chroniącą przed wiatrem. Zrobiło się chłodno i zapalono gazowe grzejniki. Bar tętnił życiem, ale wciąż było za wcześnie na wieczorne tłumy i ponad połowa stolików stała pusta. Rozszczebiotana kelnerka, wyglądająca na dwanaście lat, przyjęła od nas zamówienie i przyniosła wino Robin, mnie chivasa, zanim zdążyliśmy poczuć się niezręcznie. Piliśmy i patrzyliśmy na jachty. Robin odstawiła kieliszek.
- - Wyglądasz zdrowo.- A ty cudownie.
- Spojrzała na wodę. Czarną, gładką i nieruchomą pod niebem usianym ametystami.
- - Zachód słońca musiał być wspaniały.
- - Kilka takich widzieliśmy - przypomniałem. - Latem, kiedy mieszkaliśmy na plaży.
- Rok, w którym przebudowaliśmy dom. Robin była projektantem. Czy za nim tęskniła?- Kilka widowiskowych obejrzeliliśmy w Big Sur. W tym szalonym ośrodku zen, który miał być luksusowy, a okazało się, że są tam przenośne toalety i okropnie śmierdzi.

- Uroki mieszkania na wsi. - Ciekaw byłem, czy ośrodek ten znajdował się na liście miejsc, które dopiero co obdzwanialiśmy z Milem. - Jak on się nazywał?
- Wielka Mandala. Zamknęli go w zeszłym roku. - Odwróciła wzrok, a ja zrozumiałem, dlaczego. Wróciła tam. Z nim.

- Napła się wina.
- - Nawet z tym smrodem, komarami i drzazgą z szyszki w moim palcu było fajnie. Kto by

powiedział, że sosnowa szyszka może być śmiertelnie niebezpieczna?

- - Zapominasz o moich drzazgach - powiedziałem. Błysnęły duże siekacze.
- - Nie zapomniałam, specjalnie o nich nie wspomniałam. - Dłońmi zakreśliła w powietrzu koła. - Jak wcierałam maść w twój słodki tyłeczek... Skąd mogliśmy wiedzieć, że druga para patrzy? Co jeszcze widzieli ze swojego domku...

- Powinniśmy ich podsumować za instruktaż - stwierdziłem. - Weekendowy kurs seksu dla nowożeńców.
- Wyglądali, jakby im nie szło. Byli spięci przy śniadaniu. Myślisz, że to małżeństwo przetrwało?
-

- Wzruszyłem ramionami. Oczy Robin trochę przygasty. - I dobrze, że ten ośrodek zbankrutował. Liczyli sobie słone pieniądze, a śmierdziało szambem. Oboje dostaliśmy pełne kieliszki.

- Miło cię widzieć - powiedziałem.
- Akurat tuż przed tym, jak rano dzwoniłeś, rozmyślałam sobie. - Lekki uśmiech. - To zawsze ryzykowne, prawda?
- O czym rozmyślałaś?

- - O trudnościach związków. Nie mojego z tobą. Mojego z nim.
- Żołądek mi się skurczył. Wypiłem szkocką, rozejrzałem się za kelnerką z twarzą dziecka.

- Ja i on... Co ja sobie wyobrażałam? - powiedziała Robin.
- Takie rozważania rzadko coś dają.
- Nie praktykujesz niewiary w siebie?
- Oczywiście, że tak.

- Uważam, że dobrze robi na duszę - stwierdziła. - Wychodzi ze mnie katolickie wychowanie. Co wymyśliłam? Że on zdołał sobie wmówić, że mnie kocha, i jego zapal prawie mnie przekonał. To ja z nim zerwałam. Było mu bardzo ciężko... ale to nie twój problem. Przepraszam, że zaczęłam.
- To nie jest zły facet.
- Nigdy go nie lubiłeś. - Nie znosiłem. Gdzie on jest?

- Obchodzi cię to?
 - Chciałbym, żeby był daleko.
-
- - Jak pan sobie życzy. Jest w Londynie, uczy śpiewu w Królewskiej Akademii Dramatycznej. Mieszka z nim dwunastoletnia córka; chciała odmiany po mieszkaniu z matką. - Robin skubnęła swoje loki. - Nieładnie, że o nim wspomniałam.
-
- Palant - powiedziałem. - Ale problemem nie byłeś ty i on, tylko ty i nie ja.
 - Nie wiem, co się stało - odparła. - Tyle czasu, a ja wciąż tego nie rozumiem. Tak samo jak za pierwszym razem.
-
- Rozstanie numer jeden, wiele lat temu. Żadne z nas nie traciło ani chwili, szukając nowych partnerów do łóżka.
-
- Może tak to już z nami musi być - wymamrotałem. - Czyli jak?
 - Eony razem, wieki osobno.
-
- Gdzieś na otwartych wodach zawyła syrena okrętowa.
 - - To nie była tylko moja decyzja, ale czuję, że powinnam poprosić cię o wybaczenie.
-
- Nie powinnaś. - Cou Allison?
 - W porządku. Ściszyła głos.
 - Między wami już skończone?
 - Wszystko na to wskazuje.
 - Mówisz, jakbyś nie miał nad tym żadnej kontroli.
-
- - Z mojego ograniczonego doświadczenia wynika, że rzadko potrzebne jest oficjalne oświadczenie.- Przepraszam. Napiałem się.
 - - Naprawdę uważasz, Alex, że oboje byliśmy winni, nie tylko ja?
 - - Mhm. I nie rozumiem tego tak jak ty.
 - To samo dotyczyło zerwania z Allison. Może z jakąś inną kobietą znalazłbym...

- Wiesz, nigdy cię nie zdradziłam. Nawet go nie tknęłam, dopóki się nie wyprowadziłam.
 - Nie musisz się tłumaczyć.
 - Tyle razem przeszliśmy - powiedziała. - Sama już nie wiem, co muszę, a czego nie.
- Odgłos zbliżających się do stolika kroków uratował mnie od konieczności odpowiedzi. Podniosłem wzrok, spodziewając się panny Szczebiotki. Nie mogłem się doczekać kolejnego drinka. Nad nami stał mężczyzna. Brzuchaty, czerwony na twarzy, łysiejący, około pięćdziesiątki. Miał lekko przekrzywione okulary w czarnych oprawkach i spocone czoło. Ubrany był w bordowy pulower i białą koszulkę polo, szare spodnie i brązowe mokasyny. Zarumienione policzki zwisały na miękkim kołnierzyku. Chwiał się; oparł wielką, bezwłosą dłoń na naszym stoliku. Palce miał jak parówki, na lewym wskazującym sygnet z herbem jakiejś uczelni. Nachylił się, stolik zadygotał pod jego ciężarem. Zza okularów spojrzały na nas mętne oczy. Cuchnęło od niego piwem. Żartowniś, który przybłąkał się tu z baru. Bądź przyjacielski. Uśmiechnąłem się ostrożnie. Mężczyzna spróbował się wyprostować, stracił równowagę i znów huknął dłonią w stolik, aż rozchlapał wodę ze szklanek. Dłoń Robin wystrzeliła do przodu, zanim przewróciło się jej wino.
- Pijak spojrzał na nią i prychnął.
 - Hej, przyjacielu... - zacząłem.
 - Nie... jestem... twoim przyjacielem.
- Ochrypli głos. Rozejrzałem się za panną Szczebiotką. Za kimkolwiek. Pomocnik kelnera wycierał stoły. Uniosłem brwi. Dalej wycierał. Najbliższa para, dwa stoliki dalej, była zajęta patrzeniem sobie w oczy.
- Bar jest tam - zwróciłem się do pijaka. Nachylił się.
 - Nie... wiesz... kim... jestem? Pokręciłem głową.
- Robin się cofnęła. Dałem jej znak, żeby uciekała. Zaczęła wstawać.
 - - Siadaj, szmato! - ryknął facet. Mój mózg zapłonął.
 - Z obszaru przedczołowego nadpłynęły sprzeczne instrukcje. Krzepy młodzieńcy wołali: „Jesteśmy napakowani, stary! Słucz go na miazgę!” Piskliwy głos starca podpowiadał: „Ostrożnie. Konsekwencje”. Robin się skuliła. Próbowałem sobie przypomnieć, ile pamiętam z lekcji karate.

- - Kim... jestem? - spytał napastliwie pijak.
- Nie wiem. - Mój ton świadczył, że starzec przegrywał z przedczołowymi rozrabiakami. Robin niemal niedostrzegalnie pokręciła głową.
- Coś... ty... powiedział?
- Nie wiem, kim pan jest, i byłbym wdzięczny...
- Jestem... doktor... Hauser. Doktor Hauser. A... ty... jesteś... pieprzony... kłamca.
- „Samokontrola”, szepnął starzec. Hauser zamachnął się pięścią. „Chrzanić to”, prychnął starzec. Złapałem pijaka za nadgarstek, wykręciłem mu mocno rękę i uderzyłem nasadą dłoni pod nos. Na tyle mocno, żeby oszołomić faceta, nie wbijając mu kości w mózg. Kiedy leciał w tył, zerwałem się i złapałem go za koszulę, żeby miękko wylądował. W nagrodę bryznął mi w twarz piwem i śliną. Puściłem go, tuż zanim uderzył tyłkiem w podłogę. Kość ogonowa miała go jutro boleć jak cholera.
- Siedział tak przez chwilę, tocząc pianę z ust i pocierając nos. Miejsce, gdzie go trafiłem, było zaróżowione i trochę spuchnięte. Poruszył ustami, zbierając ślinę, zamknął oczy, padł na plecy, przetoczył się i zaczął chrapać.
- Rany - powiedział szczebiotliwy głos. - Co się stało?
- Ten facet próbował uderzyć tamtego gościa - odparł drugi, nosowy. - A tamten gość bronił kobiety.
- To pomocnik kelnera. Spojrzałem mu w oczy, a on uśmiechnął się nieswojo. Wszystko widział.
- - Dobrze pan zrobił. Tak powiem glinom.
- Policja zjawiała się jedenaście długich minut później.
-
- **25**
- Funkcjonariusz J. Hendricks, przysadzisty, krótko ostrzyżony, czarny jak polerowany mahoń.
- Funkcjonariusz M. Minette, ładna sylwetka, sympatyczna z twarzy, jasne włosy spięte w kucyk. Hendricks popatrzył tam, gdzie upadł Patrick Hauser. - A więc obaj panowie jesteście lekarzami? Stał na wyciągnięcie ręki, z notesem w dłoni. Ja miałem za sobą szklaną ścianę. Goście, którzy zostali w restauracji, udawali, że się nie gapią. Po Hausera przyjechała karetka. Sanitariuszy przywitał bluzgami i pluciem, więc przypięli go do noszy. Z kieszeni wyleciały mu drobne. Dwie dwudziestopięciocentówki i jeden cent leżały na podłodze.
- Obaj jesteście psychologami - uściśliłem. - Ale nigdy przedtem go nie widziałem.

- Napadł na pana nieznajomy?
- Był pijany. Dzisiaj po południu jechało za mną do domu brązowe audi quattro. Jeśli znajdziecie takie na parkingu, to mnie też śledził.
- A wszystko z powodu tego... - Hendricks zajrzał do notatek - ...raportu, który napisał pan na jego temat?
- Opowiedziałem całą historię jeszcze raz, krótkimi i jasnymi zdaniami. Wtrąciłem nazwisko Mila. Znów.- A więc... - Hendricks westchnął - ...uderzył go pan raz pięścią pod nos.
- - Nasadą dłoni.
- -To już sztuka walki.
- - Wydawało mi się, że to najlepszy sposób załatwienia sprawy bez poważnego zranienia.
- Taki cios może zranić bardzo poważnie.
- Byłem ostrożny.
- Jest pan karateką? - A skądże!
- Dłonie karateki to zabójcza broń, doktorze.
- Jestem psychologiem.
- No, poszło panu całkiem dobrze.
- Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Skrob, skrob.
- Spojrzałem na funkcjonariusz Minette - słuchała pomocnika kelnera i również robiła notatki. Najpierw przesłuchała Robin, potem kelnerkę. Ja przypadłem w udziale Hendricksowi. Nie skuli mnie, to dobry znak. Minette wypuściła chłopaka i podeszła do nas.
- - Wszyscy mówią to samo - zakomunikowała.
- Historia, którą streściła, zgadzała się z tym, co powiedziałem Hendricksowi. Rozluźnił się.
- - W porządku, doktorze. Zadzwoń i sprawdź pana adres w wydziale komunikacji. Jeśli będzie się zgadzał, puszczę pana.
- Może pan od razu zapytać, czy Hauser ma audi quattro. Hendricks popatrzył na mnie.
- Mogę. Rozejrzałem się za Robin.

- Pana przyjaciółka poszła do toalety - poinformowała Minette. - Powiedziała, że poszkodowany nazwał ją szmatą.
 - Nazwał.
 - To irytujące.
 - Był pijany - powiedziałem. - Nie potraktowałem go poważnie.
 - Mimo wszystko... można się zdenerwować.
 - Dopiero kiedy próbował mnie uderzyć, zareagowałem.
-
- - Jakaś łajza obraża pana przyjaciółkę... Niektórzy zrobiliby większy dym.
-
- Lubię dyskrecję. Uśmiechnęła się. Jej partner nie.
 - To chyba wszystko, John - powiedziała.
 -
-
- -To on - szepnął ktoś, kiedy szliśmy przez restaurację.
 - Na zewnątrz odetchnąłem. Czulem ból w żebrach. Hauser mnie nie tknął; długo wstrzymywałem oddech.
 - - Udany wypad, nie ma co. Robin objęła mnie w pasie.
-
- Tu chodziło o sprawę cywilną; nie miało to nic wspólnego z pracą policyjną - wyjaśniłem i opowiedziałem o zarzutach o molestowanie postawionych Hauserowi, o moich rozmowach z jego ofiarami, o raporcie, który napisałem.
 - Dlaczego mi to mówisz? - spytała.
 - Żebyś za bardzo się nie przejmowała.
-
- Ruszyliśmy do seville'a. Rozglądałem się po parkingu za brązowym audi. Stał sześć miejsc dalej. Czerwony napis na zderzaku: **IDŹ SIĘ LECZYĆ**. Chciałem się zaśmiać, ale nie mogłem. Nie byłem zaskoczony, kiedy zobaczyłem, że w obu tylnych oponach seville'a nie ma powietrza. Odkręcono wentyle.
-
- Żałosne - powiedziała Robin.
 - Mam pompkę w bagażniku.
-
- Pompka pochodziła z przybornika awaryjnego, który Rick i Milo kupili mi na ostatnie Boże

Narodzenie. Zestaw do zmiany opon, flary, pomarańczowe fluorescencyjne znaczniki, koce, woda w butelkach. Rick wziął mnie wtedy na stronę.

- Ja bym wybrał ładny sweter - zwierzył się. - Ale... ehem... przeważał rozsądek.
- Fikuśne stroje się nie przydają - zahuczał z kąta ich salonu Milo. - Kiedy utkniesz na odludnej drodze bez światła, a wilki i inne zębate drapieżniki wlepiają paciorkowate, małe ślepia w twoje ciało, czekając tylko, żeby...
- Czemu więc nie kupiliśmy mu strzelby, Milo?
- W przyszłym roku. Któregoś dnia mi podziękujesz, Alex. Z góry nie ma za co.

• *

- Podłączyłem pompkę i zabrałem się do roboty.- Ładnie sobie poradziłeś - powiedziała Robin, kiedy skończyłem. - Rozładowałeś sytuację, ale nikomu nic się nie stało. Klasa.Ujęła moją twarz w dłonie i mocno mnie pocałowała.W delikatesach przy Washington Boulevard kupiliśmy więcej jedzenia na wynos, niż potrzebowaliśmy, i pojechaliśmy z powrotem na Beverly Glen.

- Robin weszła do domu, jakby w nim mieszkała. W kuchni nakryła do stołu. Wytrzymałszy do połowy kolacji. *Obudził mnie ruch, kiedy wychodziła z łóżka. Zasnąłem spocony, ale oczy miałem suche.Spod półprzymkniętych powiek patrzyłem, jak wkłada mój wytarty, żółty szlafrok i chodzi po sypialni. Dotykała wierzchów krzeseł i stołów. Zatrzymała się przy komodzie. Poprawiła obrazek w ramce.Przy oknie odsunęła jedną stronę zasłon, które sama projektowała. Przyłożyła twarz do szyby, wyjrzała na wzgórza.
- - Ładna noc - powiedziałem.
- - I widok - odparła, nie odwracając się. - Wciąż nic go nie zasłoniło. -1 chyba tak zostanie. Bob sprowadził geodetów na niższą część swojej działki i okazało się, że teren zdecydowanie nie nadaje się pod zabudowę.

- Sąsiad Bob. Co u niego?
- Kiedy jest w mieście, wygląda w porządku.
- Drugi dom na Haiti - powiedziała.
- Pierwszy dom na Haiti. Nie ma to, jak odziedziczyć majątek.
- To dobra wiadomość, że nic nie przesłoni widoku. Taką miałam nadzieję, kiedy projektowałam ten pokój. - Puściła zasłonę, wygładziła fałdy. - Odwaliłam kawał dobrej roboty. Dobrze ci się tu mieszka?
- Nie tak dobrze, jak kiedyś.

- Mocniej ściągnęła szlafrok, stanęła bokiem do mnie. Włosy miała rozczochrane, usta lekko spuchnięte. Nieobecne spojrzenie.
- - Myślałam, że będzie dziwnie - wyznała. - Wrócić tu. Nie jest aż tak dziwnie, jak przewidywałam.

- To też twój dom. Nie odpowiedziała.
- Mówię poważnie.

- Podeszła do łóżka, skubnęła skraj kołdry.

- Nie przemyślałeś tego. Nie przemyślałem.
- Oczywiście, że przemyślałem. Myślałem o tym całymi nocami. Wzruszyła ramionami.
- Straszne tu są echa, Robin.
- Zawsze były. Chcieliśmy mieć dobrą akustykę.
- Czasem to nieprzyjemne.

- Pociągnęła kołdrę, ułożyła ją szwem równoległe do krawędzi łóżka.
- - Świetnie sobie radzisz sam.

- Kto tak powiedział?
- Zawsze byłeś samodzielny.
- Jak cholera. - Głos miałem ochrypły. Spojrzała na mnie.

- - Wróć - powiedziałem. - Zachowaj studio, jeśli zależy ci na prywatności, ale zamieszkać tutaj.
- Znow pociągnęła kołdrę. Jej usta wygięły się w grymas, którego nie potrafiłem odczytać. Rozwiązała szlafrok i opuściła na podłogę. Zawahała się, podniosła go i ułożyła w kostkę na krześle. Zorganizowany umysł kogoś, kto pracuje z narzędziami elektrycznymi. Zmierzwiała włosy, weszła do łóżka.

- Nie naciskam, po prostu się nad tym zastanów - podjąłem.
- To poważna decyzja.
- Twarda z ciebie dziewczyna.
- Jak cholera.

- Przysunęła się do mnie, splotła palce z moimi i położyła sobie na brzuchu. Okryłem nas kołdrą.

- - Tak lepiej, dzięki - powiedziała. Żadne z nas się nie ruszyło.

26

- Kiedy już się obudzę, długo nie mogę zasnąć. Robin spała, a ja krążyłem po domu. W końcu trafiłem do gabinetu i tam sporządziłem sobie w głowie listę. Potem ją zapisałem.

- Z samego rana zamierzałem skontaktować się z Ericą Weiss i opowiedzieć jej o Hauserze. Miałyby więcej argumentów do pozwu. Jeśli Hauser aż tak nie panował nad sobą, nawarstwiające się problemy z prawem skłoniłyby go do dalszego nękania mnie. Albo do wejścia samemu na drogę sądową. Cały ten bałagan mógł mnie sporo kosztować. Spróbowałem sobie wmówić, że taka jest cena robienia interesów. Chyba przyjemnie być aż tak wyluzowanym człowiekiem.

- Odtwarzając sobie zajście w restauracji, zastanawiałem się, jakim cudem Hauser uchwycił się tak długo jako terapeuta. Może lepiej go pozwać, zanim on to zrobi. Hendricks i Minette raczej stali po mojej stronie, więc raport policyjny by mnie poparł. Ale nigdy nic nie wiadomo.

- Milo wiedziałby, co robić, ale miał inne sprawy na głowie. Ja też. A Robin? Gdyby się zgodziła na moją propozycję, czy to by oznaczało happy end? Tyle niewiadomych.

- Właśnie miałem do ciebie dzwonić - powiedział Milo.

- Kismet.

- Ten kismet ci się nie spodoba. - Wyjaśnił mi dlaczego.

- Zaraz tam będę - odparłem.

- W liście, który zostawiłem na szafce nocnej, napisałem: *Droga R, musiałem wrócić do paskudnych spraw. Zostań, jak długo chcesz. Jeśli wyjdiesz, proszę, porozmawiajmy jutro.* Ubrałem się po cichu, na palcach podszedłem do łóżka i pocałowałem ją w policzek. Poruszyła się, wyciągnęła rękę i opuściła bezwładnie, przewracając się na drugi bok. Dziewczęcy aromat zmieszany z zapachem seksu. Spojrzałem na nią jeszcze raz i wyszedłem. *Trup Reynolda Peaty'ego został zawinięty w przezroczystą folię, związany mocnym sznurkiem i załadowany na wózek po prawej stronie furgonetki koronera. Samochód stał przed budynkiem Peaty'ego, z otwartymi tylnymi drzwiami. Metalowe poręcze zabezpieczały zwłoki i pusty wózek po lewej. Nocą w L.A. koroner nie próżnował, podwójny transport to dobry pomysł. Obok furgonetki stały cztery radiowozy z migoczącymi kogutami. Noc rozbrzmiewała trzeszczącymi komunikatami dyżurnych, ale nikt ich nie słuchał. Dookoła stało mnóstwo mundurowych. Milo i Sean Binchy byli przy najdalszym radiowozie. Milo mówił, Sean słuchał. Po raz pierwszy, odkąd się znaleźliśmy, młody detektyw wyglądał na wzburzonego. Przez telefon Milo powiedział mi, że doszło do strzelaniny godzinę temu. Ale podejrzanego dopiero teraz sprowadzano po schodach budynku. Młody Latynos, potężnie zbudowany, z dużą głową, okrytą jak hełmem ciemną szczeciną. Eskortowało go dwóch olbrzymich, napakowanych funkcjonariuszy, przy których wydawał się drobny.

- Już go widziałem. Kiedy przejeżdżałem tędy w zeszłą niedzielę. Ojciec rodziny idącej do kościoła. Żona i trójka pucołowatych dzieci. Sztywny szary garnitur. Dzieci mają dzieci. Wtedy spojrział na mnie groźnie, kiedy zatrzymałem się pod domem. Teraz nie widziałem jego oczu. Ręce miał skute za plecami, a głowę spuszczoną. Bosy, ubrany w czarną koszulkę rozmiar XXXXL, sięgającą mu prawie do kolan, luźne szare spodnie od dresu, które wyglądały, jakby zaraz miały spaść; na szyi wielka złota pięść na łańcuchu kołysała się nad warczącym pitbullem na koszulce. Zapomniano mu to zdjąć. Milo naprawił błąd i napakowani policjanci się spieszyli. Podejrzany podniósł wzrok na Milo. Kiedy ten zdjął łańcuch, chłopak uśmiechnął się i coś powiedział. Milo odpowiedział uśmiechem, zajrzał Latynosowi za uszy. Machnął ręką na gliniarzy i podał naszyjnik technikowi, który zapakował dowód do torby. Kiedy mundurowi wsadzili zabójcę do radiowozu i pojechali, z mieszkania na parterze wyszła na ulicę pani Ertha Stadlbraun. Stała tuż przy taśmie, zadrżała i objęła się ramionami. Miała na sobie pikowany żółty szlafrok. A na stopach puchate kapcie. Jej głowa w żółtych lokówkach wyglądała jak łąka pokryta kwiatkami. Skóra lśniła od kremu. Ertha znów zadrżała i skuliła się jeszcze bardziej. Z okien wyglądali lokatorzy. Tak samo kilku mieszkańców rudery obok. Milo pomachał do mnie. Twarz miał spoconą. Sean Binchy trzymał się z tyłu.

- Witam - powiedział, kiedy podszedłem, i przygryzł wargę.
- Lato w mieście - mruknął Milo.
- W lutym.
- Dlatego tu mieszkamy.

- Opowiedziałem, że widziałem już wcześniej podejrzanego. Opisałem zachowanie chłopaka.
- - To by się zgadzało - odparł.
- Pomocnik koronera zatrzasnął tylne drzwi samochodu, wsiadł, odjechał.
- - Jak blisko mieszkał Peaty'ego? - spytałem.
- - Dwoje drzwi dalej. Nazywa się Armando Vasquez, jako nieletni był skazany za przynależność do gangu. Twierdzi, że od czterech lat żyje uczciwie, ma żonę i chodzi do kościoła. Pracuje w firmie zajmującej się architekturą krajobrazu, która działa w kilku największych posiadłościach

- w Beverly Hills na północ od Sunset. Kiedyś tylko kosił trawę, ale w tym roku nauczył się strzyc drzewa. Jest z tego bardzo dumny.

- Ile ma lat?
- Dwadzieścia jeden. Żona dziewiętnaście, troje dzieci poniżej pięciu. Kiedy próbowałem

rozmawiać z ich tatą, spały. Najstarsze się obudziło i przyszło. Pozwoliłem Vasquezowi je pocałować. Dzieciak się do mnie uśmiechnął. - Milo westchnął. - Vasquez nie jest notowany jako dorosły, więc może mówi prawdę, że odkrył Boga. Sąsiedzi, z którymi rozmawiałem do tej pory, mówią, że dzieci czasami hałasują, ale rodzina nie sprawia problemów. Nikt nie lubił Peaty'ego. Najwyraźniej cały dom o nim plotkował, odkąd spotkaliśmy się ze Stadlbraun.

- Zerknął na staruszkę. Wciąż się kulila, wpatrzona w ciemną ulicę. Wyglądała, jakby z trudem panowała nad sobą.
- - Rozpuściła plotkę, że Peaty może być niebezpieczny - domyśliłem się.
- Milo pokiwał głową.

- Magiel nigdy nie śpi. Zanim Vasquez się zamknął na dobre, powiedział mi, że Peaty zawsze go wkurzał.
- Mieli już starcia?
- Żadnych awantur, tylko dużo napięcia. Vasquezowi nie podobało się, że Peaty mieszka tak blisko. Użył określenia „ten popieprzeniec”. Potem zaczął kiwać głową w przód i w tył, i na boki. Spytałem: „Co pan robi, Armando?”, a on: „Żegnam się. Skuliście mi rękę, więc inaczej nie mogę”.
- Czy Peaty zaczepiał jego żonę?
- Gapił się na nią, co się zgadza z tym, co mówią wszyscy inni. „Gapił się jak porąbany”. Niestety, to nie usprawiedliwiałoby Vasqueza.

- Podszedł do nas Sean Binchy; wyglądał nieswojo.
- - Potrzebuje mnie pan jeszcze, poruczniku?- Nie, jedź do domu. Odpocznij.
- Binchy się wzdrygnął.

- Dzięki. Do widzenia, doktorze.
- Dobrze się spisałeś, Sean - powiedział Milo.
- Może.
- Co mu jest? - spytałem, kiedy odszedł.
- Chłopak ma przerost poczucia odpowiedzialności. Pracował cały dzień nad napadem, skończył o jedenastej, postanowił poobserwować Peaty'ego na własną rękę. Zaczął tutaj, nie zobaczył samochodu Peaty'ego, poszedł na hamburgera do całodobowego baru, wrócił tuż po północy i zauważył furgonetkę przecnicę stąd, w tamtą stronę. - Wskazał na wschód. - Szukał
-

- miejsca do obserwacji w zaułku, kiedy usłyszał trzy strzały. Peaty dostał prosto w twarz.

Trudno sobie wyobrazić, żeby taka morda była jeszcze brzydsza, ale...

- Sean czuje się winny, że odszedł na hamburgera.
- Ma do siebie pretensje nie wiadomo o co. W żaden sposób nie mógł zapobiec strzelaninie.
- To on aresztował Vasqueza?
- Wezwał wsparcie i wszedł na piętro. Trup Peaty'ego leżał na korytarzu. Sean czekał na patrol, potem zaczęli chodzić od drzwi do drzwi. Kiedy doszli do Vasquezów, facet siedział na kanapie i oglądał telewizję, obok siebie miał broń, żonę i najstarsze dziecko. Podniósł ręce i powiedział: „Rozwaliłem go, róbcie swoje”. Żona zaczęła zawodzić, dzieciak siedział cicho.
- Jak do tego doszło? - spytałem.
- Kiedy dotarliśmy do szczegółów, Vasquez stracił głos. Moim zdaniem szykował się na Peaty'ego od dłuższego czasu. Zaczął się gotować, kiedy Ertha opowiedziała mu o naszej wizycie. Z jakiegoś powodu dzisiaj zmęczyła go bezczynność. Zobaczył, że Peaty wraca do domu, i wyszedł mu powiedzieć, żeby trzymał się z dala od pani Vasquez. Jak to piszą w gazetach, doszło do konfrontacji. Vasquez twierdzi, że Peaty się na niego rzucił, więc się musiał bronić, bum, bum, bum.
- Vasquez wyszedł uzbrojony.
- No właśnie - mruknął Milo. - Może jakiś prawnik spróbuje wykorzystać to jako dowód, że Vasquez bał się Peaty'ego.
- Alkohol, prochy? - spytałem.
- Vasquez przyznaje się do czterech piw i to się zgadza z liczbą pustych puszek w koszu. Przy masie ciała chłopaka to może mieć znaczenie albo nie; zależy, co wykaże badanie krwi. Teraz zobaczymy, czy technicy skończyli z mieszkaniem Peaty'ego.

- Pokój i łazienka, ciasne i brudne. Cuchnący melanz starego sera, wypalonego tytoniu, gazów trawiennych, czosnku, oregano. Puste, poplamione tłuszczem pudełko po pizzy stało otwarte na podwójnym łóżku z żelazną ramą. Mnóstwo okruchów na pogniecionym prześcieradle koloru mokrej farby drukarskiej i zielonej pościeli w cylindry i meloniki, zabrudzonej kilkoma dużymi plamami. Większość podłogi zawałały stosy brudnych ubrań. Resztę zajmował sięgający do pasa stos sześciopaków old milwaukee i łóżko. Wszędzie proszek do zdejmowania

- odcisków palców. Pozornie niepotrzebnie - trup padł na zewnątrz - ale nigdy nie wiadomo, co wymyśli twórczy prawnik. Milo przekopał się przez bałagan i podszedł do drewnianej skrzyni, służącej za szafkę nocną. Zawałały ją zatłuszczone ulotki barów zjedzeniem na wynos, zmięte chusteczki, zgniecione puszki po piwie - naliczyłem czternaście - czterolitrowa butelka mocnego wina Tygrys, w dwóch trzecich pusta, duża flaszka pepto-bismolu. Jedyнным prawdziwym meblem poza łóżkiem była poobijana komoda z trzema szufladami, na której stały dziewiętnastocalowy telewizor i magnetowid, duży, przestarzały. Antena w kształcie króliczych uszu.
- - Nie ma dekodera kablówki. - Otworzyłem szufladę. - Nie potrzebował wyszukanej

rozrywki.

- W szufladzie były kasety wideo w pudełkach, ustawione jak książki na półce. Dużo pornosów. *Nielegalne kusicielki*, odcinki od pierwszego do jedenastego. *Nastolatki pod prysznicem*, *Przygody pod spódniczką*, *Podróż rentgenem*, *Wioska podglądaczy*. W dwóch dolnych szufladach znajdowały się ubrania, nie czystsze od tych na podłodze. Pod kłębowskiem koszulek Milo znalazł kopertę z sześciuset dolarami w gotówce i małe plastikowe pudełko z napisem P_{RZYBORY} DO SZYCIA, a w środku pięć ciasno zwiniętych skrętów. Łazienka znajdowała się w boksie w kącie pokoju. Mój nos przywykł już do smrodu, ale tu spotkało go nowe wyzwanie. Kabina prysznicowa z włókna szklanego była ciasna nawet dla kobiety, a co dopiero dla mężczyzny postury Peaty'ego. Kiedyś beżowa, teraz brązowa, z czarnozielonym nalotem w okolicach odpływu. Brudne lustro wisiało przyklejone do ściany nad umywalką. Nie było szafki na lekarstwa. Na podłodze obok popękanego, obrośniętego sedesu stała mała, wiklinowa skrzynka. W środku znajdowała się kolekcja środków na nadkwasotę i przeciwbólowych, szczotka do zębów, wyraźnie dawno nieużywana, bursztynowa fiolka z dwoma pastylkami vicodinu. Recepta wypisana przez lekarza w klinice w Las Vegas siedem lat temu, zrealizowana przez tamtejszą aptekę.

- Oszczędzał na ciężkie czasy - powiedziałem. - Albo na dobre.
- Okazjonalny odlot - stwierdził Milo. - Tak się robi w slumsach. Wrócił do sypialni, zajrzał pod łóżko, zakurzył się tylko i nic nie znalazł.

- Trzymając dłonie z dala od spodni, zerknął w stronę łazienki.- Wolałbym się nie myć w tej umywalce... poszukajmy na zewnątrz węża.

- Zanim zeszliśmy, pokazał mi miejsce zbrodni. Z Peaty'ego wylało się dużo krwi. Miejsce, gdzie upadł, otoczono czarną taśmą. Pod mieszkaniem Vasquezów stała policjantka w mundurze. Milo jej zasalutował. Wąż znaleźliśmy pod mieszkaniem pani Stadlbraun. Staruszka wróciła już do środka, szczelnie zaciągnęła zasłony.

- Jakies wnioski? - zapytał Milo, kiedy skończył się myć.

- Jeśli Peaty to poszukiwany przez nas zabójca, nie trzymał trofeów ani nic innego godnego zainteresowania.

- *

- Myliłem się. W bagażniku porzuczonego, czerwonego minivana Milo znalazł pudełko ze środkami czystości, płachty brezentu, miotły, ścierki, mopy. Pod brezentem była brązowa, dwukomorowa skrzynka na narzędzia. Przy zamku wisiała otwarta kłódka, ale nie zamknięta. Milo włożył rękawiczki i otworzył skrzynkę. Na górnej, odsuwanej półeczce leżały śrubokręty, młotki, klucze, kombinerki oraz małe plastikowe pojemniki ze śrubami i gwoździami. W przegródkach pod spodem znalazł zestaw wytrychów, taśmę klejącą, nóż tapicerski, cęgi do cięcia drutu, nóż sprężynowy, zwój grubej, białej nylonowej liny, cztery komplety damskich pończoch i błękitny automatyczny pistolet, zawinięty w brudną różową szmatę. Załadowany. W rogu skrzynki leżało wciśnięte pudełko, pełne pocisków kaliber.22. Obok pocisków coś jeszcze, zawinięte w kawałek materiału. Okrągłe, twarde. Milo to rozwinął. Pamiątkowa śniegowa kula. Na różowej, plastikowej podstawce napis M_{ALIBU}, K_{ALIFORNIA}. S_{URFUJ} Z NAMI! Odwrócił kulę do góry nogami. Białe płatki zawirowały nad błękitnym oceanem. Przyjrzał się podstawce od spodu.
- - Madę in USA, New Hampshire. Wszystko jasne. Sukinsyny chcieliby, żebyśmy mieli takie same mrozy, jak oni.
- Odłożył kulę do skrzynki, wezwał przez krótkofalówkę jednego z techników.
- - Lucio? Podjedź kawałek. Mamy tu jeszcze coś.
- Podczas gdy technicy robili swoje, Milo odszukał i sprawdził numer nadwozia.
- Furgonetkę skradziono cztery lata temu w Highland Park i nigdy jej nie odnaleziono. Oficjalnym właścicielem był Wendell A. Chong, zameldowany w południowej Pasadenie. Milo zapisał jego adres.
- Peaty sprzęta w wielu budynkach po wschodniej stronie miasta - powiedziałem. - Pewnie wypatrzył okazję rok po przyjeździe do Kalifornii i nie powiedział o tym szefowi. Brad Dowd płaci za utrzymanie floty furgonetek, Peaty często z niej korzystał. A przy tym miał własny transport.
- Wyposażony w zestaw włamywacza gwałciciela. - Milo zmarszczył brew. - Dobra, ruszamy w tango.
- *
- Była dwunasta trzydzieści cztery, kiedy pojechałem za nim do lokalu U Coco na rogu Pico i Wooster. Długo siedział w męskiej toalecie, wyszedł z rękami różowymi od szorowania i mokrymi włosami.
- Nie wiedziałem, że mają tu prysznic - mruknąłem.
- Modliłem się do umywalki. - Zamówił ciasto bostońskie i kawę dla nas obu.
- Nie jestem głodny - powiedziałem.
- To dobrze, dostanę dwa i nie wyjdę na świnię. A więc Peaty to bardzo zły człowiek. O co

chodzi z tą śniegową kulą?

- Kula, którą Dylan dał Norze, mogła być jedną z dwóch. Albo ze zbioru. Jedna została w samochodzie Dylana. Drugą Peaty zostawił sobie do wspominków przy masturbacji.
- Czyli jeśli prowadzisz agencję ubezpieczeniową, nie sprzedawaj polisy Norze i Meserve'owi. Gdzie mamy zacząć szukać zwłok?

- Pokręciłem głową.
- - Peaty miał furgonetkę i narzędzia. Mógł jeździć wszędzie. Domyślam się scenariusza tego, co spotkało Michaelę. Namierzył ją na kursie, pojechał za nią do domu i odkrył, że dziewczyna mieszka niedaleko niego. Potem bez problemu obserwował ją z furgonetki. Kiedy nadarzyła się sposobność, porwał Michaelę, zawiózł w odludne miejsce i udusił. Może nawet w samochodzie.
- Milo zmarszczył czoło.

- Porwanie i odosobnienie kojarzą się z powtórką numeru Dylana i Michaeli. Myślisz, że to właśnie pokierowało Peatym?
- Prawdopodobnie obserwował Michaelę dłuższy czas, ale ich oszustwo rozstrzygnęło sprawę. A to, że Michaelę wyrzucono z zajęć, oznaczało, że spędzała więcej wieczorów samotnie w domu.
- Gdziekolwiek załatwił dziewczynę, Alex, przywiózł ją z powrotem w tę okolicę. Co to ma znaczyć? Trzymał się swojego terenu?
-

- - Albo wręcz przeciwnie - odparłem. - Zabójca Tori Giacomo porzucił ją w Griffith Park i bardzo dobrze ukrył zwłoki. To kilka kilometrów od mieszkania Tori w Valley, a jeszcze dalej od Peaty'ego. To też niedaleko autostrady z Valley do Pasadeny: zjeżdżasz ze 101 na 5, robisz swoje, wracasz.
- - Wyrzucił zwłoki po drodze do pracy - powiedział Milo. - Tak samo jak ukradł samochód.
- - A skoro zabójstwo Tori uszło mu na sucho, z Michaelą mógł być mniej ostrożny. Wszyscy myśleli, że nie ma samochodu, więc nie martwił się, że ktoś powiąże zabójstwo z jego osobą. Dlatego zostawił zwłoki Michaeli na widoku.

- Kłamstwo, że nie miał samochodu, łatwo wykryć.
- Chęć popisania się przeważała nad ostrożnością - powiedziałem. - Nie był geniuszem zbrodni. Mało który z nich nim jest.

- Przyszły ciastka. Milo zjadł swoje, sięgnął po moje.

- Może przy Michaeli po prostu pozwolił sobie na lenistwo. Skoro mieszkała tak blisko niego, po co się włóczyć. Tori była z North Hollywood, nie miał powodu przywozić jej z powrotem. A co z Gaidelasami? Kolekcja filmów Peaty'ego wskazuje, że słusznie go aresztowali za podglądactwo. Ładne, młode kobiety.
 - Trudno dopasować do tego Gaidelasów. - Pokręciłem głową. - Ale mógł mieć różne upodobania. Ale co z samochodem znalezionym w Camarillo? Jeśli Peaty zostawił swoją furgonetkę niedaleko miejsca morderstwa i pojechał wypożyczonym wozem Gaidelasów do centrum handlowego, jak wrócił do Malibu?
 - Dla mnie to nie problem. Złapał stopa, ukradł inny samochód, wsiadł do autobusu... Albo w ogóle nie jechał wypożyczonym. Wystarczyło, żeby zostawił go na Kanan Durne, z otwartymi oknami i kluczykami w stacyjce. Zaproszenie dla dzieciaka, który lubi się przejechać.
 - Do centrum dyskontowego? - spytałem z powątpiewaniem. - Młodociani przestępcy szukają okazji?
 - Dlaczego nie? Mogliby buchnąć nowe nike albo hiphopowe dresy. Tak czy inaczej, trudno narzekać, że pan Peaty zszedł z tego padołu łez.
-
- To prawda. Minęło kilka kęsów.
 - Co cię gnębi?
-
- - Scenariusze, które stworzyliśmy, zakładają planowanie i cierpliwość. Peaty nie uciekał przed uzbrojonym mężczyzną, co wskazuje na brak opanowania.
-
- Był pijany. Albo Vasquez nie dał mu szansy ucieczki.
 - Wyszedł i po prostu go zastrzelił?
 - Bywa i tak.
 - Bywa - przyznałem. - Ale pomyśl: ciał Gaidelasów nigdy nie odnaleziono, a ich karty kredytowe nie były używane. Poza tym ktoś zadał sobie trud, żeby zadzwonić do Ohio i wyłączyć im prąd. To już wysoki poziom wyrachowania i dyskrecji. Peaty został nakryty przez przechodnia na podglądaniu studentek i masturbacji. A potem dalej gapił się otwarcie na kobiety i je straszyl. To dyskretne?
-
- - Nawet durnie się uczą, Alex. Ale zostawmy na chwilę Gaidelasów. Zgadzasz się, że Michaela i Tori to sprawka Peaty'ego?Kiwnąłem głową.- Dobrze, bo kradziony wóz, taśma klejąca, sznur, nóż i naładowana splota to materiał dowodowy, na którym mogę się oprzeć. Podstawowy zestaw ze sklepu dla „psychotycznych morderców”.Pomasował skroń. Zjadł ciastko, napił się kawy. Odsunął pusty talerzyk przede mną i zamówił dolewkę.
 - - Rany, ale byliście głodni, panowie - powiedziała kelnerka.

- Milo się wyszczerzył. Pomyślała, że zrobił to szczerze, i też się uśmiechnęła. Kiedy sobie poszła, spochmurniał.
- Między zabójstwem Tori i Michaeli minęły prawie dwa lata. Dochodzimy do tego samego pytania co zawsze.
- Ile innych było między nimi?
- Peaty namierzał je w Domu Gry. Nie ma listy obecności ani rachunków. Ludzie przychodzą i odchodzą. To marzenie drapieżnika. Myślałem, że Nora po prostu się wykręca. Teraz, kiedy sama coraz bardziej wygląda na ofiarę, wierzę, że mówiła prawdę.
- - Nie znaleźliśmy żadnych trofeów w mieszkaniu ani samochodzie Peaty'ego. A więc może nie było innych ofiar.
- Albo ma skrytkę.
- Możliwe. Zacząłbym od budynków, w których sprzątał.
- Darmowe magazyny - przypomniał sobie Milo. - Może to by wyjaśniało, dlaczego toyota Meserve'a trafiła do garażu Brada. A w jakiej sprawie dzwoniłeś do mnie, zanim powiedziałem ci o Peatym?
- Nic ważnego.
- Było na tyle ważne, że dzwoniłeś. Opowiedziałem o zajściu z Hauserem.
- Ty i Robin?
-
- -Aha. Ostentacyjnie się nie zdziwił.
- Facet jest psychologiem? Dla mnie to świr.
- Co najmniej wredny pijaczyna.
- Aresztowali go?
- Nie wiem - powiedziałem. - Został odwieziony karetką.
- Nieźle go skasowałeś?
- Byłem dyskretny.
- Zmrużył oczy, wyprostował sztywno dłonie, machnął nimi w powietrzu.

- Hii-ja! - zawył. - Myślałem, że dałeś sobie już spokój ze swoimi czarnymi pasami.
 - Utknąłem na brązowym - wyjaśniłem. - To jak jazda na rowerze.
 - Miejmy nadzieję, że dureń obudzi się z obolałym nosem i uświadomi sobie niewłaściwość swojego zachowania. Chcesz, żebym zajrzał do raportów?
 - Miałem taką nadzieję.
 - Przyjechali detektywi?
 - Tylko mundurowi. Hendricks i Minette. On i ona.
- Milo zadzwonił do Pacific Division, poprosił o dowódcę zmiany, wyjaśnił sytuację, wysłuchał, rozłączył się z uśmiechem.
- W raporcie policyjnym jesteś wymieniony jako ofiara. Hauser został spisany za zakłócanie porządku w miejscu publicznym i zwolniony. Jaki ma samochód?
 - Nie trać czasu najeżdzenie pod moim domem.
 - Psycholog, zastanówmy się... Stawiałbym na volvo; może volkswagen?
 - Audi quattro.
 - Zgadłem kontynent - powiedział. - Tak, przejadę pod twoim domem, nie ma za co.
- - Nie sądzę, żeby się naprzykrzał, Milo. Kiedy wytrzeźwieje, zrozumie, że jeszcze jedna awantura zaszkodzi mu w sądzie. Jeśli nie, dowie się o tym od swojego prawnika.
- Gdyby był mądry, Alex, w ogóle by cię nie zaczepiał.
 - Nie przejmuj się tym - poradziłem. - Nic mi nie jest, a ty masz pełny talerz.
 - Interesujące - odparł.
 - Co takiego?
- Popuścił pasek i stłumił beknięcie.
 - - Twoje gastronomiczne porównania.

- Kiedy przyjechałem do domu o drugiej nad ranem, nigdzie nie dostrzegłem ani śladu audi Hausera. Łóżko było posłane, Robin zniknęła. Zadzwoniłem do niej sześć godzin później.
- - Słyszałam, jak wychodzisz - powiedziała. - Wybiegłam za tobą, ale już odjechałeś. O jak paskudnych sprawach tu mowa?

- Nie chcesz wiedzieć. - Chcę. To nowa ja.
 - Dawna ty byłaś w porządku.
 - Struś wyciągnął głowę z piasku. Co się stało, Alex?
 - Kogoś zastrzelili. Bardzo złego człowieka. Mogłaś zostać.
 - Zrobiło mi się nieswojo - odparła. - To duży dom.
 - Wiem - westchnąłem.
 - To był miły wieczór, Alex.
 - Nie licząc interludium w gangsterskim stylu.
 - Martwisz się, że Hauser będzie jeszcze sprawiał kłopoty?
-
- Może na trzeźwo jest mądrzejszy. Policja spisała raport na moją korzyść. A co do mojej propozycji...
 - Rozmyśliłeś się?
 - Oczywiście, że nie.
-
- To nie był tylko impuls chwili, Alex? Może i był.
 - Nie był.
-
- Cisza, kilka uderzeń serca.- Zdenerwowałbyś się, gdybym potrzebowała trochę czasu do namysłu?
-
- To poważny krok - przyznałem.
 - Poważny. Co w sumie dziwne, biorąc pod uwagę, ile życia spędziliśmy razem. - Milczenie. - Nie będę się zastanawiać zbyt długo - obiecała.
-
- Zostawiłem wiadomość sekretarce Eriki Weiss, że chcę porozmawiać o Patricku Hauserze. Kiedy tylko odłożyłem słuchawkę, zadzwonił Milo. Po głosie sądząc, był wykończony. Pewnie całą noc zajmował się Peatym. Może dlatego darował sobie uprzejmości.
 - - Wendell A. Chong, facet, któremu Peaty buchnął furgonetkę, to programista, który wynajmował pomieszczenia biurowe w budynku należącym
-
- do Dowdów. Furgonetka zniknęła z zarezerwowanego miejsca parkingowego w nocy, kiedy pracował do późna. Odebrał pieniądze z ubezpieczenia, kupił sobie nowy samochód, nie

jest zainteresowany odbiorem tego.

- Peaty go obserwował i skorzystał z okazji - skwitowałem. - Chong ma na jego temat coś do powiedzenia?
- Nie widział faceta na oczy. Pamięta za to młodszego Dowda. Zawsze się zastanawiał, czy Billy miał coś wspólnego z kradzieżą.
- Czemu?
- Bo Billy kręcił się bez celu, kiedy Brad przyjeżdżał po czynsz. Raz wszedł do biura Chonga i stanął na środku, jakby był u siebie. Chong spytał, czego Billy chce, a ten popatrzył obłądnym wzrokiem i wyszedł bez słowa. Programista poszedł za nim; Billy chodził w tę i z powrotem po korytarzu, jakby patrolował teren. Z biura wyszły dwie kobiety. Billy skasował je spojrzeniem. Bardzo uważnie, według Chonga. Potem pokazał się Bradley i wyprowadził brata. Ale dalej go ze sobą przywoził, więc Chong zaczął zamykać drzwi na klucz. Ciekawe, co?
- Billy i Peaty? - spytałem.
- Popaprańcy znaleźli wspólny język. Tak bywa, prawda? Brad chroni Billy'ego, ale wszędzie być nie może. A jak sam zauważyłeś, przecenia swój wpływ. Może zabiera Billy'ego ze sobą, kiedy zagląda do garażu w Domu Gry. Albo do samego Domu Gry. Nie wyobrażam sobie, żeby Billy zaliczył jakąś dziewczynę na własną rękę.
- Wydawał się łagodny.
- Może taki jest - powiedział Milo. - Do czasu. Tak czy inaczej, właśnie dostałem od obrońcy Vasqueza pozwolenie na przesłuchanie jego klienta, jadę do więzienia. Stawiam na szybką ugodę, może nieumyślne spowodowanie śmierci. Miło mieć chociaż jedną sprawę, która sprawnie się kończy.
- Mógłbyś uznać Peaty'ego za sprawcę morderstwa Michaeli i tę sprawę też zamknąć - powiedziałem.
- Mimo to zastanawiam się nad Billym - odparł. - Dlaczego? Bo jestem głupcem dążącym do samozniszczenia, nie spałem od dwóch dni, balansuję na krawędzi, *amigo*. Każ mi zapomnieć o Billym, a tak zrobię.
- Dwóch sprawców... to by wyjaśniało, jak samochód Gaidelasów znalazł się czterdzieści kilometrów od Kanan Dumę. Billy nie jest bystrzakiem, ale Peaty mógł mu pomagać. Mimo to trudno sobie wyobrazić, żeby Dowd junior zniknął na dłuższy czas. W dzień pilnuje go brat, w nocy sąsiadka.
- „Miła pani”. Ciekawe, jak bardzo się przykłada do pilnowania. Miałem to sprawdzić, ale tyle się wydarzyło... Wszystkie złe rzeczy, o których
-
- wiemy, zaczęły się dziać, kiedy Billy dostał własne mieszkanie. Myślisz, że to ma znaczenie? Wzruszyłem ramionami.
- Jeśli popełniali przestępstwa w duecie, to teraz Billy już nic nie robi sam, bez Peaty'ego.

- Też mi pociecha.
- Mogę pogadać z tą sąsiadką.

- Świetnie, cały dzień muszę się zajmować Vasquezem. - Przeczytał mi adres Billy'ego na Reeves Drive. - Miałeś później problemy z tym dupkiem Hauserem?

- - Nie.

- To dobrze.
- Jeszcze jedna rzecz mnie zastanawia - powiedziałem.
- Na pewno chcę to usłyszeć?

- Dylan Meserve wybrał na miejsce swojego oszustwa Latigo, bo tam chodził. Co zaprowadziło Gaidelasów w tamte okolice?

- - Aha, już się nad tym zastanawiałem. - Milo pokiwał głową. - Może Peaty podsłuchiwał, jak Dylan opowiada, że tam był. Kiedy Gaidelasowie czekali na przesłuchanie, wspomnieli, że chcą iść w góry, a Peaty znów podsłuchiwał i im doradził.

- Dużo podsłuchiwania.
- To obserwator.
- W porządku - powiedziałem.
- Nie kupujesz.

- - Z tego, co wiemy, Meserve, nie miał sumienia. Niepokoi mnie to, co Michaela opowiadała o jego zachowaniu przez tamte dwie noce. Gry psychologiczne, opętanie śmiercią, ostry seks. Nie chciałbym dokładać ci problemów, ale...
- - Gaidelasowie nigdy nie byli moim problemem. Ktoś, kto by go słabiej znał, mógłby w to uwierzyć.
- - Peaty załatwił dziewczyny, Meserve'a Gaidelasów? - spytał. - A Dom Gry to magnes dla psychotycznych morderców? - Coś na pewno tam się działo. Zaśmiał się. Dziwnie nieprzyjemnie.

- Erica Weiss zatelefonowała, kiedy byłem pod prysznicem. Wytarłem się i oddzwoniłem do jej biura.
- - Co za wypadek, doktorze. Nic się panu nie stało?
- Tak jak często w przypadku zleceń o wydanie opinii, była dla mnie tylko głosem w słuchawce. Energicznym i wesołym jak cheerleaderka.
- Jestem cały. Jakież wieści o Hauserze?
- Jeszcze nie sprawdzałam. Co konkretnie się wydarzyło? Kiedy skończyłem opowiadać, była jeszcze weselsza.
-
- Jego ubezpieczyciela zachwyci wiadomość, że stawka właśnie poszła w górę. Ten dureń jest już ugotowany. Kiedy mogę pana przesłuchać?
- Wszystko jest w raporcie policji - powiedziałem.
- - Wolałabym porozmawiać osobiście. Kiedy panu pasuje?- Nigdy.
- - Może jutro?
- Myślałam o dniu dzisiejszym.
- Nie daje mi pani wiele czasu.
- - Te biedne kobiety czekają na wyrok, doktorze.
- - Niech pani do mnie zadzwoni późno po południu.
- Wielkie dzięki - odparła. - Przyjadę z reporterem sądowym. Niech pan powie, gdzie.
- Porozmawiamy później.
- Nie lubi pan zobowiązań? Dobrze, ale proszę nie odkładać spotkania.

*

- Billy Dowd mieszkał w południowej części Beverly Hills, niedaleko Roxbury Park. W zeszłym roku byłem w tym parku świadkiem strzelaniny, którą przemilczały wszystkie gazety. Całe Beverly Hills, ze swoją aurą bezpieczeństwa i przyjazdem policji do półtorej minuty od wezwania. Wzdłuż ulicy stało dużo hiszpańskich bliźniaków z lat dwudziestych. Billy mieszkał w różowym, z oknami z ołowianymi listwami, czerwoną dachówką i masą gipsowych ozdób. Przez bramę bez ogrodzenia wchodziło się do wyłożonej płytkami klatki schodowej. Skrzynka pocztowa z kutego żelaza na lewym słupku bramy nie miała żadnych oznaczeń. Wszedłem na piętro i zapukałem do ciężkich, rzeźbionych drzwi. Judasz był zasłonięty drewnianą deseczką, ale nikt jej nie odsunął, otwierając.
- Brunetka w białym nylonowym kostiumie popatrzyła na mnie, czesząc gęste krótkie włosy żwawymi pociągnięciami. Miała około czterdziestki, niebezpieczną opaleniznę, haczykowaty nos i wąsko rozstawione, czarne oczy. Na lewej piersi identyfikator szpitala Santa Monica: A. HOLZER, PIELEŃNIARKA. Nie wyglądała na zaniepokojoną na widok nieznanego, który pojawił się bez uprzedzenia.
- W czym mogę pomóc? - Mówiła z niemieckim akcentem.
- Billy Dowd mieszka na dole?
- Tak, ale teraz go nie ma.
- Pokazałem swoją legitymację policyjnego konsultanta. Straciła ważność pół roku temu. Bardzo mało ludzi zwraca uwagę na szczegóły. A. Holzer ledwie na nią zerknęła. - Policja? Do Billy'ego?
- Jeden z pracowników panów Dowd miał kłopoty.
- Och... Chce pan porozmawiać o tym z Billym?
- Właściwie przyszedłem do pani.
- Do mnie? Po co?
- Opiekuje się pani Billym?
- Opiekuję? - Zaśmiała się. - To dorosły człowiek.
- Fizycznie tak.
- Dłoń zaciśnięta na szczotce do włosów pobieliała. - Nie rozumiem, o co chodzi. Billy'emu nic się nie stało?

- Jest cały i zdrowy. To rutynowe pytania. Mam wrażenie, że go pani lubi.
 - Oczywiście, Billy jest bardzo miły - powiedziała. - Niech pan posłucha, padam ze zmęczenia, wcześniej rano wróciłam ze zmiany.
 - Zwykle pani pracuje od dwudziestej trzeciej do siódmej?
 - Tak. Dlatego chciałabym się położyć... - Nowy uśmiech. Lodowaty.
-
- - Na jakim oddziale pani pracuje?- Na kardiologii...
 - - Osiem godzin pracy na kardiologii, a potem jeszcze poświęca pani czas Billy'emu.
 - - To nie... Billy nie wymaga... czemu to istotne? - Położyła dłoń na kłance.
-
- Prawdopodobnie nie jest istotne - odparłem. - Ale kiedy dzieje się coś bardzo złego, trzeba zadać dużo pytań. Wszystkim, którzy znali ofiarę.
 - Co się stało?
 - Ktoś został zamordowany.
 -
-
- Gwałtownie zakryła usta dłonią.
-
- *Gott in Himmel...* Kto?
 - Reynold Peaty. Pokręciła głową.
 - Nie znam tego człowieka.
-
- Sprzątał w niektórych budynkach należących do Brada i Billy'ego. - Opisałem Peaty'ego.
-
- Och, to on - powiedziała, kiedy dotarłem do baków.
 - Poznała go pani.
 - Nie, tylko widziałam.
 - Przychodził tu - powiedziałem.
-
- Skubnęła swój identyfikator. Jeszcze kilka razy przeczesła włosy.
-
- Panno Holzer...

- Annalise Holzer. - Cichszym głosem, ostrożnym, czujnym. Prawie że oczekiwałem stopnia i numeru służbowego.
 - Reynold Peaty przychodził tu zobaczyć się z Billym - dodałem.
 - Nie, nie zobaczyć się, odnosił różne rzeczy.
 - Rzeczy?
 - Których Billy zapomina. Z biura. Czasami pan Dowd przywozi je sam, czasami przysyła swojego człowieka.
 - Reynolda Peaty'ego.
 - Billy go nie zabił, na pewno. On otwiera okna i wypuszcza muchy, żeby ich nie tłuc.
 - Jest łagodny.
 - Łagodny - przytaknęła Annalise Holzer. - Jak grzeczny, mały chłopiec.
 - Ale zapominalski.
 - Każdy czasem zapomina.
 - Czego Billy zapomina?
 - Zegarka, portfela. Często portfela.
 - Pan Peaty przychodził tu i przynosił pani portfel?
 - Mówił, że Billy zgubił portfel, a on go oddaje.
 - Ile razy to się zdarzyło?
-
- Kilka - odparła. - Nie liczyłam. Często zapominał portfela. Uniosłem brew.
 - Kilka razy, to wszystko - dodała jeszcze po chwili Annalise Holzer.
 - Czy pan Peaty wchodził wtedy do mieszkania Billy'ego?
 - Nie wiem.
 - Pilnuje go pani.
 -
-
- - *Nein* - powiedziała. - Nie pilnuję, nie opiekuję się. Pan Dowd prosi, żebym pomagała, gdyby Billy czegoś potrzebował.
-
- To chyba niezłe zajęcie. Wzruszyła ramionami.
 - Dobrze płaci?
 - Nie płaci, tylko zmniejsza czynsz.
 - Pan Dowd jest właścicielem tego budynku?
 - Bardzo miłym właścicielem, niektórzy są jak... węże.
-
- Milo nie wspominał o żadnych nieruchomościach w Beverly Hills należących do Dowdów.- A więc dostaje pani zniżkę czynszu w zamian za dogłądanie Billy'ego.

- Tak, właśnie tak.
- Co to oznacza?

- Mam tu być - wyjaśniła Annalise Holzer. - Gdyby czegoś potrzebował.
- Jak Billy się przemieszcza?
- Przemieszcza?
- Przedostaje z miejsca na miejsce. Nie jeździ samochodem.
- Rzadko wychodzi - powiedziała Annalise Holzer. - Czasami w niedzielę zabieram go do kina. Do Century City. Wysadzam go tam, potem zabieram. Najczęściej biorę dla niego filmy na DVD z wypożyczalni przy Olympic. Billy ma wielki telewizor z płaskim ekranem, to lepsze niż kino, nie?
- Ktoś jeszcze go podwozi?

- - Pan Dowd zabiera go rano i odwozi do domu. Codziennie pracują. Daleki kurs z Santa Monica Canyon do Beverly Hills i z powrotem na plażę. Niepłatna praca Brada.

- Ktoś jeszcze? - Nie.
- Taksówka, przewóz osób?
- Nie widziałam.

- - A więc Billy mało wychodzi.

- Nigdy sam - powiedziała Annalise Holzer. - Ja lubię spacerować, kiedy go pytam, czy chce się ze mną przejść, mówi: „Annalise, w szkole nienawidziłem wufu. Jestem kanapowym ziemniakiem”. - Uśmiechnęła się. - Żartuję, że leń z niego. On się wtedy śmieje.
- Ma przyjaciół?

- - Nie, ale jest bardzo przyjacielski.
- - Domator - powiedziałem.

- Nie zrozumiała tego słowa.

- Wraca do domu i już nie wychodzi.
- Tak, tak, właśnie. Ogląda telewizję, DVD, je, ja czasami gotuję. Lubi niektóre dania... *Sauerbraten*, to taka specjalna cielecina. *Spaetzle*, rodzaj klusek. Gotuję na dwie osoby, zanoszę na dół. - Obejrzała się przez ramię. Pokój za nią był czysty i jasny. Białe porcelanowe figurki tłoczyły się na łukowatym okapie kominka wyłożonym płytkami.
- Po obecnych cenach rynkowych czynsz tutaj wynosiłby trzy, cztery tysiące miesięcznie. Dużo, jak na pensję pielęgniarki.
- Mieszka pani sama, panno Holzer? - Tak.
- Pochodzi pani z Niemiec?
- Z Liechtensteinu. - Przysunęła kciuk do palca wskazującego. - To maciupkie państwko między...
- Austrią i Szwajcarią
- Zna pan Liechtenstein?
- Słyszałem, że jest tam bardzo ładnie. Banki, zamki, góry.
- Ładnie, tak - zgodziła się. - Ale tutaj bardziej mi się podoba.
- L.A. ekscytuje.
- Więcej można robić, muzyka, konie, plaża.
- Jeździ pani konno?
- Robię wszystko, byle na słońcu - odparła.
- Pracując nocami, śpiąc w dzień i pomagając Billy'emu.
- Praca jest dobra. Czasami biorę podwójną zmianę.
- Czego Billy potrzebuje? - spytałem.
- Niewiele. Jeśli chce zamówić coś do jedzenia, a dowóz z restauracji trwa bardzo długo, przywożę mu obiad. Na Doheny przy Olympic jest Domino Pizza. Billy lubi tajską kuchnię, jest dobra restauracja przy La Cienega i Olympic. Sushi też na Olympic. Niezły lokal przy Doheny. Bardzo wygodnie położony, blisko Olympic.
- Billy jest smakoszem.
- Zje wszystko - powiedziała Annalise Holzer. - Naprawdę musi pan o nim myśleć jak o chłopcu. Grzecznym chłopcu.
- *
- Kiedy wróciłem na Olympic, zadzwoniłem do Mila na komórkę, spodziewając się poczty głosowej, ponieważ miał rozmawiać z Armandem Vasquezem.

- - Odwołane - powiedział. - obrońca Vasqueza zmienił plany, ale nie przyszło mu do głowy, żeby mnie o tym poinformować. W końcu dotarł wstępny raport z autopsji Michaeli. Miałem być przy sekcji, ale przeprowadzili ją wcześniej, niż wynikało z grafiku. Generalnie nie ma śladów gwałtu, przyczyną śmierci było uduszenie, ślady dźgania na piersi stosunkowo powierzchowne. Rana na szyi to nakłucie, patolog nie potrafi stwierdzić, czym ją zadano. Byłeś już u Billy'ego?
- Właśnie wyszedłem, poczujesz się cwany. Kobieta piętro wyżej to pielęgniarka. Pracuje na nocnej zmianie w szpitalu Santa Monica, czyli wychodzi około dziesiątej piętnaście. Poza tym uważa, że L.A. to ekscytujące miasto. Lubi sztukę, plażę, jazdę konną. Jej opalenizna świadczy, że często przybywa poza domem.
- Kiepski dozór.
- Peaty przychodził kilka razy do Billy'ego. Twierdził, że Brad przysyłał go z rzeczami, których Billy zapominał z biura. Brad powiedział nam, że Peaty nie ma prawa jazdy. O ile nam nie skłamał, Peaty skłamał jemu.
- Ile razy odwiedzał Billy'ego?
- Nie umiała tego sprecyzować. Albo nie chciała. Powiedziała, że Billy często gubi portfel. Potem wycofała się z tego i stwierdziła, że „kilka razy”.
- Jak się nazywa?
- - Annalise Holzer. Mówi dużo szczegółów, a ostatecznie zdradza niewiele. Uważa, że Billy jest dziecinny, miły, nie sprawia żadnych problemów. Po części jej sympatia może wynikać z tego, że Brad daje jej zniżkę czynszu. Budynek należy do Dowdów.
- Tak? Nie figuruje na liście nieruchomości BNB.
- Może Dowdowie mają drugą firmę albo holding, który nie łączy się z ich nazwiskami.
- - Ach, te nieruchomości - mruknął Milo. - Ci ludzie muszą być obrzydliwie bogaci, a bogatych się chroni.
- Holzer ich broniła, to na pewno - odparłem. - Ale nie zaufałbym jej wiedzy na temat szczegółów życia Billy'ego.
- Co znaczy, że Peaty mógł być jego regularnym gościem. Muszę poważnie mu się przyjrzeć. Po tym, jak porozmawiam z żoną Vasqueza. To właśnie ta zmiana planów. Zupełnie nagle nie mam dostępu do Armanda, dopóki nie pogadam z panią Vasquez.
- O czym?

- - obrońca był tajemniczy. Pewnie okaże się, że to głupia prawnicza sztuczka, ale prokurator nalega, żebym wypełnił polecenie.
-
- Biuro prokuratora ma własnych śledczych.
- Którym płacą. Dlatego właśnie uważam, że to jakaś bzdura, którą zepchnęli na mnie.
-
- Gdzie masz się spotkać z żoną?
- W moim gabinecie, za pół godziny.
- Jestem dwadzieścia minut drogi od ciebie.
- Świetnie.

29

-
- Jacalyn Vasquez bez trójki dzieci, makijażu i biżuterii wyglądała jeszcze młodziej, niż kiedy widziałem ją w niedzielę. Rozjaśniane włosy spięła w kucyk. Miała na sobie luźną białą bluzkę, niebieskie dzinsy i adidasy. Opryszczka szalała po jej czole i policzkach. Oczy zapadły się w oczodołach koloru sadzy.
- Za ramię trzymała ją wysoka, miodowowłosa dwudziestokilkulatka. Miała długie, jedwabiste loki; czarny kostium opinał jej figurę modelki. Rubinowy kolczyk w lewym nozdrzu kontrastował z konserwatywnym krojem ubrania. Ładne włosy i figura ścierały się z małpią twarzą, którą kamera by zmasakrowała. Rozejrzała się po małym pomieszczeniu i nachmurzyła.
-
- Jak się tu wszyscy zmieścimy? Milo się uśmiechnął. - Apani to...?
- Brittany Chamfer, z biura obrońców publicznych.
- Myślałem, że pana Vasqueza broni Kevin Shuldiner.
-
- Jestem studentką trzeciego roku prawa - wyjaśniła Brittany Chamfer. - Pracuję przy projekcie resocjalizacyjnym. - Nachmurzyła się jeszcze bardziej. - Ciasno tu jak w schowku na miotły.
- Cóż... - westchnął Milo - im nas mniej, tym lepiej. Niech się pani cieszy świeżym powietrzem, panno Chamfer. Proszę wejść, pani Vasquez.
- Dostałam polecenie zostać z Jackie.
- Ja daję pani polecenie cieszyć się świeżym powietrzem. - Milo wstał, a krzesło zaskrzypiało. Ucisząc je jedną ręką wskazał wolne miejsce Jacalyn Vasquez. - Proszę bardzo.

- Mam tu zostać - oznajmiła Brittany Chamfer.
- Nie jest pani adwokatem, a pani Vasquez nie postawiono żadnych zarzutów.
-

- -Mimo to...Milo zrobił duży krok i znalazł się w drzwiach. Brittany Chamfer musiała się cofnąć, żeby uniknąć zderzenia, i zabrać rękę z ramienia Jacalyn Vasquez. Vasquez spojrzała gdzieś za siebie.
- - Będę musiała zadzwonić do biura - powiedziała Chamfer. Milo wprowadził Vasquez do środka, zamknął drzwi. Kiedy kobieta siadała, już płakała.
- Milo podał jej chusteczkę.
- - Chce mi pani coś powiedzieć, pani Vasquez? - spytał, kiedy osuszyła oczy.
- - Aha.

- Słucham.
- Armando nas bronił.
- Bronił rodziny?

- - Tak. - Przed...?

- Przed nim.
- Peatym?
- Zboczeńcem.
- Wiedziała pani, że Peaty jest zboczeńcem? Skinęła głową.
- Skąd?
- Wszyscy tak mówili. - W budynku? - Tak.
- Na przykład pani Stadlbraun. - Mhm.

- - Kto jeszcze?

- Wszyscy.
- Może mi pani podać nazwiska. Spuściła wzrok.
- Wszyscy.
- Czy Peaty przy pani zrobił coś zboczonego?
- Patrzył.
- Na...?

- Jacalyn Vasquez szturchnęła się w lewą pierś.
- - Patrzył na panią - domyślił się Milo.

- Często.
- Dotknął pani kiedyś? Pokręciła głową.
- Patrzył, a pani czuła się nieswojo.

- - Tak.

- Powiedziała pani Armandowi?

- - E-e.

- Dlaczego nie?
- Nie chciałam go złościć.
- Armando jest gwałtowny. Cisza.

- - A więc Peaty na panią patrzył - podjął Milo. - Uważa pani, że Arman do miał prawo go za to zastrzelić?
- - I jeszcze telefony. To właśnie chciałam panu powiedzieć. Milo zmrużył oczy.

- Jakie telefony?

- W nocy. Dzwonił, odkładał słuchawkę, dzwonił, odkładał słuchawkę. Pomyślałam, że to on.

- Peaty?
- Aha.
- Bo...?

- Był zboczeńcem. Znów spuściła wzrok.
- Uznała pani, że Peaty panią prześladowuje - powiedział Milo.

• - Tak.

- Robił to już wcześniej? Wahanie.
- Pani Vasquez?

• - E-e.

- - Ale podejrzewała pani, że to on. Adwokat to wymyślił?
- - To mógł być Peaty!

- Jest jeszcze jakiś powód, dla którego niepokoiły panią te telefony? - spytał Milo.
- Ciągle odkładali słuchawkę.
- Oni? - spytał Milo, przeciągając słowo. Vasquez podniosła wzrok, zmieszana.
- Może „ich” się pani obawiała, Jackie. - Co?
- Dawnych kumpli Armanda.
-

- Armando nie ma żadnych kumpli.
- Ale miał. Cisza.
- Wszyscy wiedzą, że jeździł z osiemdziesięcioósemkami, Jackie. Vasquez pociągnęła nosem.
- Wszyscy to wiedzą - powtórzył Milo.

• To było dawno temu - wymamrotała Vasquez. - Armando już nie jest w gangu.

- Kim są oni?
- To przez te telefony. Było kilka.
- Ktoś jeszcze dzwonił tego wieczoru?
- Moja matka.
- O której?

- Około szóstej. - Jacalyn Vasquez wyprostowała się na krześle. - Ten drugi nie był od żadnych kumpli.
- Jaki drugi?
- Po tych, co się rozłączały. Ktoś mówił. Szeptem.
- Szeptem?
- Tak.
- O czym?
- O nim. Powiedzieli, że jest niebezpieczny, że lubi krzywdzić kobiety.
- Ktoś szeptał tak o Peatym? - Aha.
- Słyszała to pani.
- Rozmawiali z Armandem.
- O której był ten szepczący telefon?
- - O... Leżeliśmy w łóżku, oglądaliśmy telewizję. Armando odebrał wkurzony, bo wcześniej ktoś odkładał słuchawkę. Armando zaczął krzyczeć, potem przestał, słuchał. Spytałam „co”, a on machnął ręką. Zrobił się cały czerwony. To był ostatni raz.
- Armando się wściekł.
- Bardzo.
- Przez szeptanie. - Aha.
- Czy powiedział pani o szeptach, kiedy odłożył słuchawkę? Jacalyn Vasquez pokręciła głową.
- - Później.
- Kiedy?
- Wczoraj wieczorem.
-
- - Kiedy dzwonił z więzienia.- Aha.

- Nie słyszała pani szeptów, a Armando nic nie powiedział o nich wcześniej. A potem, kiedy zastrzelił Peaty'ego, postanowił zdradzić tajemnicę.
- Ja nie kłamię.
- Rozumiem, że chce pani chronić męża...
- Nie kłamię.
- Założmy, że ktoś rzeczywiście szeptał - powiedział Milo. - Uważa pani, że to usprawiedliwia zastrzelenie Peaty'ego?

- - Tak.

- Dlaczego?
- Był niebezpieczny.
- Według szepczącego.
- Ja nie kłamię.

- Może Armando kłamię.
- Nie.
- Powiedział pani, czy szepczący był mężczyzną, czy kobietą?
- Przez to szeptanie nie dało się określić.
- Ktoś umie niezłe szeptać.
- Ja nie kłamię.

- Jacalyn Vasquez splótła ramiona na piersi i wbiła wzrok w Mila.

- Wie pani, Jackie, wszystkie telefony do państwa można sprawdzić. - Co?
- Sprawdzimy listę połączeń.
- Dobrze - powiedziała.

- Problem w tym, że możemy się tylko dowiedzieć, że ktoś dzwonił do państwa o określonej godzinie. Nie damy rady ustalić, co zostało powiedziane.
- Tak było.
- Według Armanda.
- Armando nie kłamię.
- Tyle razy ktoś odkłada słuchawkę, a potem nagle Armando grzecznie słucha szeptów o Peatym.

- Jacalyn Vasquez przycisnęła dłonie do policzków. Jej rysy twarzy zrobiły się gumiate. Kiedy odezwała się przez ściśnięte usta, słowa zabrzmiały niewyraźnie, jak u wygłupiającego się dziecka.
- - Tak było. Armando mi powiedział. Tak było.
- Brittany Chamfer czekała na korytarzu, bawiąc się kolczykiem w nosie. Obróciła się na pięcie, zobaczyła Jacalyn Vasquez ocierającą oczy.
- Wszystko w porządku, Jackie?
- On mi nie wierzy. - Co?
- Dziękuję, że panie przyszłyście - powiedział Milo.
- Szukamy prawdy - odparła Chamfer.
- Jak my wszyscy.
- Chamfer zastanowiła się nad odpowiedzią.
- Jaką wiadomość mam przekazać panu Shuldinerowi?
- Proszę mu podziękować za spełnienie obywatelskiego obowiązku.
- Słucham?
- Proszę też przekazać słowa uznania za kreatywność.
- Nic z tego - wzburzyła się Brittany Chamfer.
- Miłego dnia.
- Mój na pewno będzie miły. - Chamfer odrzuciła długie włosy. - Znow złapała Jacalyn Vasquez za ramię i poprowadziła korytarzem.
- Dlatego właśnie biuro prokuratora zważyło to na mnie - mruknął Milo. - Co za bzdura.
- Lekceważysz to ot, tak? - spytałem.
- A ty nie?
- Gdyby Vasquez kłamał, żeby się usprawiedliwić, mógł wybrać coś mocniejszego. Na przykład, że Peaty wyraźnie mu groził.
- - A więc jest głupi.
- - Może tak.
- Milo oparł się o ścianę, szturchnął stopą listwę przypodłogową.

- Nawet jeśli ktoś rzeczywiście dzwonił do Vasqueza, żeby podjudzić go przeciwko Peaty'emu, właściwy podejrzany jest w więzieniu. Powiedzmy, że Ertha Stadlbraun zagaściła atmosferę, bo zawsze bała się Peaty'ego. Rozmowa ze mną przeważała szalę i babcia podburzyła lokatorów. Jeden z nich był nie do końca zreformowanym gangsterem z parszywym usposobieniem i bum, bum, bum.
- Jeśli jesteś zadowolony, to ja też.
- Milo odwrócił się do mnie plecami, wsunął obie dłonie we włosy i gwałtownie je nastroszył. Ponowne wygładzenie wyszło mu tylko częściowo. Głośno tupiąc, wrócił do gabinetu. Kiedy tam wszedłem, miał w ręku słuchawkę, ale nie wystukiwał numeru.
- -Wiesz, dlaczego nie spałem całą noc? Przez cholerną śniegową kulę. Brad myślał, że to Meserve ją tam podrzucił, ale prawdopodobnie zrobił to Peaty. Czy Peaty szydziłby z Brada?
- - Może to nie Peaty ją zostawił.- Co?
- Meserve uważa się za aktora - przypominałem. - Aktorzy podkładają głosy.
- Piekielny Szeptacz? Nie mogę marnować czasu na takie bzdury, Alex. Muszę jeszcze sprawdzić wszystkie budynki, w których Peaty sprzątał. Nie mogę też zignorować Billy'ego, bo kolegował się z Peatym, a ja jestem takim masochistą, że to odkryłem. - Przełożył słuchawkę z ręki do ręki. - Wiesz, czego bym chciał? Dopaść Billy'ego w jego mieszkaniu, z dala od Brada, i sprawdzić jego reakcję na śmierć Peaty'ego. - Sapnął. - Zajmijmy się tymi szepczącymi pierdołami.
- Zadzwoił do firmy telekomunikacyjnej.
- - Chciałbym uniknąć całego zamieszania z nakazami. Dzięki, tak... Ty też. Zaczekam. - Kilka chwil później zaczerwienił się i zaczął wściekle zapisywać coś w notesie. - W porządku, Lorenzo, *mucho* dzięki... nie, poważnie... zapomnimy o tej rozmowie, a ja dostarczę ci ten cholerny papier jak najszybciej.
- Słuchawka huknęła o widełki. Milo wydarł kartkę z notesu i pokazał mi notatkę. Pierwszy wieczorny telefon do mieszkania Vasquezów wykonano o siedemnastej pięćdziesiąt dwie i rozmowa trwała trzydzieści dwie minuty. Miejski numer dzwoniącego był zarejestrowany na Guadalupe Maldonado. To telefon od matki Jackie Vasquez, „około szóstej”. Milo zamknął oczy i udawał, że drzemie, kiedy ja czytałem. Pięć następnych telefonów między dziewiętnastą a dwudziestą drugą, wszystkie z kierunkowym 310, który Milo zapisał jako „ukradzioną komórkę”. Pierwsze połączenie trwało osiem sekund, drugie cztery. Potem trio dwusekundowych połączeń, które musiały zostać przerwane. Armando Vasquez tracił cierpliwość i rzucał słuchawką.

- Ukradziona komu? - spytałem.
 - Jeszcze nie wiem, ale została zwinięta tego samego dnia, kiedy wykonano telefony. Czytaj dalej.
-
- Pod pięcioma zapiskami znajdowała się bezkształtna, amebalna plama pełna krzyżyków. Potem coś, co Milo podkreślił tak mocno, że rozdarł papier.
-
- *Ostatni telefon, 22:23, 42 sekundy.* Mimo gniewu Vasqueza, coś zdołało przykuć jego uwagę. Inny dzwoniący, kierunkowy 805. Milo zabrał mi kartkę, starannie podarł i wyrzucił do kosza. - Nigdy tego nie widziałeś. Zobaczysz to, kiedy dostaniemy cholerny nakaz na wyciąganie billingów.
-
- Hrabstwo Ventura - powiedziałem. - Może Camarillo?
 - Nie może, na pewno. Mój kolega Lawrence mówi, że to budka w Camarillo.
 - Niedaleko dyskontów?
 - Nie potrafił powiedzieć aż tak dokładnie, ale się dowiemy. Teraz mam prawdopodobny związek z Gaidelasami. Zadowolony? Cały czas nie pasował ci do nich Peaty. A więc co my tu mamy, mordercę z kierunkowego 805, który grasuje po wybrzeżu, i musimy zaczynać od początku?
 - Tylko jeśli Gaidelasowie są ofiarami - zauważyłem.
 - A czym mogą być?
 - Uciekinierami? Tak uznało biuro szeryfa. Armando powiedział żonie, że się nie zorientował, kto dzwonił: kobieta czy mężczyzna. Jeśli mówimy tu o amatorskim teatrze, Cathy Gaidelas byłaby odpowiednią kandydatką.
-
- Milo zacisnął zęby. Nachylił się do przodu na krześle, zatrzymał kilka centymetrów od mojej twarzy. Podziękowałem Bogu, że jesteśmy przyjaciółmi.
 - - Nagle Gaidelasowie z ofiar przeistoczyli się w psychotycznych morderców?
 - - To rozwiązuje kilka problemów - stwierdziłem. - Nie odnaleziono ciała, a wypożyczony samochód znalazł się w Camarillo, bo Gaidelasowie tam go porzucili, tak jak założyła agencja. Kto sprawniej skasuje karty kredytowe niż ich właściciele? I kto może lepiej wiedzieć, do której elektrowni w Ohio zadzwonić?
-
- Miła para ukrywająca się w hrabstwie Ventura i podróżująca do L.A., żeby dopuszczać się niegodziwości? Po pierwsze, dlaczego zakładałiby bazę wypadową tak daleko?
 - Blisko do oceanu i nie trzeba być milionerem. W Oxnard wciąż są miejsca, gdzie jest niski czynsz.

- Milo szarpnął się za grzywkę i napiął skórę na czole.
- Skąd, do cholery, to wszystko ci się wzięło, Alex?
- Z mojego spaczzonego umysłu - odparłem. - Ale zastanów się: uważaliśmy Gaidelasów za sympatyczną parę tylko dlatego, że tak ich opisała siostra Cathy. Ale Susan Palmer mówiła też o problemach: narkotykach, życiu na koszt rodziny. Cathy wyszła za mężczyznę, którego ludzie podejrzewają o homoseksualizm. Jest tu jakaś złożoność.
- Jeśli tak, to mało istotna. Dlaczego mieliby zabijać?
- A co powiesz na skrajną frustrację? Mówimy o dwojgu ludzi w średnim wieku, którzy sami nigdy niczego nie osiągnęli. Robią wielki krok, przyjeżdżają do L.A., kierując się złudzeniami jak tysiące innych chętnych. Ze względu na wiek i wygląd, ich szanse są jeszcze niniejsze, ale oni podchodzą do sprawy metodycznie: lekcje aktorstwa. Może inni prowadzący też ich odrzucili i Nora była ostatnią szansą. A jeśli mało dyplomatycznie pokazała im drzwi? Charlie Manson nie zareagował dobrze na wiadomość, że nie zostanie gwiazdą rocka.
- Chodzi o zemstę na Norze? - spytał Milo.
- Zemście na niej, a także na symbolach młodości i piękna, którymi się otoczyła.
- Tori *Giacomo* zginęła, zanim Gaidelasowie zniknęli.
- To nie przeszkadza, żeby mieli z nią kontakt. Jeśli nie w Domu Gry, to w pracy. Może przyniosła im zamówionego homara i tak się dowiedzieli o Domu Gry.
- Załatwiają Tori, a potem czekają prawie dwa lata, żeby zamordować Michaelę? To bez sensu, Alex.
- - Tylko przy założeniu, że nie zaginęły żadne inne studentki Domu Gry. Milo westchnął.
- - Numer w górach mógł być katalizatorem - powiedziałem. - Nazwisko Nory trafiło do gazet. Michaeli i Dylana też. Nie wspominając o Latigo Canyon. Może całkiem się mylę, ale uważam, że nie wolno odpuścić sobie tropu kierunkowego 805. Ani opowieści Armanda Vasqueza.
- Milo wstał, przeciągnął się, znów usiadł, ukrył twarz w dłoniach i wyprostował się po chwili z zaczerwienionymi oczami.- Twórczy jesteś, Alex. Sprytny, pomysłowy, imponująco nieszablonowy. Tylko co z Peatym? Zdecydowany drań z dostępem do wszystkich ofiar i przybornikiem gwałciciela w furgonetce. Jeśli Gaidelasowie chcieli zostać gwiazdami, po co mieliby się zadawać z takim typem jak on, nie wspominając już o wystawianiu go na strzał? I skąd, do diabła, pomysł, żeby podjudzać przeciwko niemu Vasqueza przez telefon? Zastanowiłem się nad tym.
- Niewykluczone że spotkali Peaty'ego w Domu Gry i nawiązali nie porozumienia, jako

odrzućeni.

- Wobec tego cholernie dużo się działo podczas tego nieudanego przesłuchania. Zakładając, że Gaidelasowie w ogóle byli w Domu Gry.
-
- -Może Nora kazała im długo czekać, a potem bezceremonialnie ich spławiła. Porozumieli się z Peatym, złożyli mu wizytę i wychwycili napięcie między sąsiadami. A może Peaty wspomniał, że nie lubi Vasqueza.
- Ertha Stadlbraun mówiła, że Peaty nigdy nie przyjmował gości.
- Kobieta chodzi spać o jedenastej - zauważyłem. - Ciekawe, czy ktoś w budynku rozpoznałby Gaidelasów na zdjęciach.
- Milo patrzył na mnie.- Peaty, Andy i Cathy. Dorzucmy do tego Billy'ego Dowda, bo mamy gest. Co to, do cholery? Klub niedostosowanych?
- Popatrz tylko, ile strzelanin w szkołach rozpoczynają outsiderzy.
- O Boże - mruknął Milo. - Zanim dam się wessać w ten wir fantazji, muszę odwalić trochę nudnej policyjnej roboty. Na przykład zlokalizować budkę w Camarillo i zebrać odciski palców. Szukać dalej trofeów, które Peaty mógł schować, Bóg wie gdzie. Na przykład... dość już tego gadania, co? Głowa mi pęka jak dojrzwały kokos.
- Rozluźnił krawat, podniósł się z krzesła, przeszedł przez maleńkie biuro i zamasyście otworzył drzwi. Rąbnęły w ścianę, odłupały kawał tynku. W uszach wciąż mi dzwoniło, kiedy kilka sekund później zajrzał z powrotem do środka.
- Gdzie mogę kupić ten zajzajer z aminokwasów, po którym człowiek robi się mądrzejszy?
- One nie działają - powiedziałem.
- Dzięki za twój wkład.

-
- Brazylijski palisander, z którego zrobiono drzwi kancelarii prawniczej Eriki Weiss, powinien być wykorzystany na gitarowe pudła. Cynowymi literami wymieniono na nich dwadzieścioro sześcioro partnerów. Weiss znajdowała się blisko początku listy.

- Kazała na siebie czekać dwadzieścia minut, ale wyszła mnie przywitać osobiście. Pod czterdzistkę, srebrnowłosa, z niebieskimi oczami, posągowa w brązowym armanim i koralowej biżuterii.
- Przepraszam za opóźnienie, doktorze, chciałam do pana przyjechać.
- Nie ma sprawy.
-
- Kawy?
- Czarnej poproszę.
- Ciastko? Jeden z naszych partnerów przyniósł rano czekoladowe. Cliff świetnie piecze.
- Nie, dziękuję.
- Już robię kawę.
- Przeszła po miękkim, granatowym dywanie do drzwi. Na drewnianym parkiecie stukot jej wysokich obcasów zabrzmiał jak solo kastanietów. Urzędowała w jasnym, chłodnym narożnym biurze na siódmym piętrze wieżowca przy Wilshire, na wschód od Rossmore w Hancock Park. Szare ściany, mahoniowe meble, fotel w chromie i czarnej skórze, pasujący do wykończenia monitora komputera. Dyplom Stanford wisiał w rogu, tak żeby nikt go przypadkiem nie przeoczył. Przy palisandrowym stole konferencyjnym w kształcie trumny ustawiono cztery czarne krzesła na kółkach. Usiadłem u szczytu. Może to było miejsce Eriki Weiss; trudno, przecież mnie nie uprzedziła. Wschodnia, szklana ściana ukazywała widok na Koreatown i daleki błysk śródmieścia. Na zachodzie, poza polem widzenia, znajdował się dom Nory Dowd przy McCadden. Weiss wróciła z niebieskim kubkiem z nazwą firmy i logo na złotym liściu. Symbol składał się z hełmu na tle wieńca i łacińskiej sentencji. Coś o honorze i lojalności. Kawa była mocna i gorzka. Weiss przez chwilę patrzyła na fotel u szczytu stołu, potem bez słowa usiadła po mojej prawej stronie. Do pomieszczenia weszła Filipinka z sądową maszyną stenograficzną, za kobietą wkroczył młody mężczyzna z nastroszonymi włosami, w luźnym, zielonym garniturze. Weiss przedstawiła go jako Cliffa.
- Będzie świadkiem pana przysięgi. Jest pan gotów, doktorze?
- Jasne.
- Włożyła okulary i przeczytała akta sprawy. Sączyłem kawę. Kiedy Weiss zdjęła szkła, jej twarz stwardniała, a błękit oczu nabrał odcienia stali.
- - Po pierwsze - zaczęła, a zmiana w jej głosie sprawiła, że odstawilem kubek. Skoncentrowała się na czubku mojej głowy, jakby wyrósł mi tam dziwny twór. Wyciągając

palec, zamieniła słowo „doktorze” w coś nie przyzwoitego.

- Przez następne pół godziny odpierałem jej pytania, wszystkie zadane w szybkim tempie, ociekające insynuacjami. Dziesiątki pytań, wiele postawionych z punktu widzenia Patricka Hausera. Bez chwili wytchnienia; Erica Weiss najwyraźniej potrafiła mówić bez oddychania.

- To wszystko - powiedziała niespodziewanie. Uśmiechnęła się szeroko. - Przepraszam, jeśli byłam trochę oschła, doktorze, ale traktuję przesłuchania jak próby, a lubię, kiedy moi świadkowie są przygotowani do zeznań przed sądem.

- Myśli pani, że dojdzie aż do tego?

- Postawiłabym, że nie, ale już się nie zakładam. - Odsunęła mankiet i spojrzała na zdobionego szafirami roleksa. - Tak czy inaczej, będzie pan przygotowany. Teraz, proszę wybaczyć, mam spotkanie.

- *

- Dziesięć minut jazdy do McCadden Place. Rangę rovera nadal ani śladu, ale podjazd nie był pusty. Jasnoniebieski cadillac kabriolet rocznik 1959 wielkości małego jachtu zajmował całą wolną przestrzeń. Lśniące szprychowe alufelgi, biały złożony dach, na błotnikach płetwy, na które powinno być potrzebne pozwolenie na broń. Stare żółto-czarne tablice miały oznaczenie samochodu zabytkowego. Obok stali Brad i Billy Dowdowie, plecami do mnie. Brad miał na sobie jasnobrązowy lniany garnitur i gestykulował prawą ręką. Lewą trzymał na ramieniu brata. Billy, ubrany w niebieską koszulę i luźne dockersy, był piętnaście centymetrów niższy od brata; gdyby nie siwe włosy, mogliby uchodzić za ojca i syna. Tata mówi, syn słucha. Wyłączyłem silnik, Brad obejrzał się przez ramię. Sekundę później to samo zrobił Billy. Kiedy wysiadłem, obaj stali już twarzą do mnie. Spod marynarki Brada wystawała koszulka polo w odcieniu akwamaryny. Na nogach miał dziurkowane włoskie sandały koloru masła orzechowego. Dzień był pochmurny, ale on ubrał się jak na lunch na promenadzie. Siwe włosy miał zmierzwiłone i wyglądał na spiętego. Twarz Billy'ego nic nie zdradzała. Tłusta plama na jego spodniach wyglądała jak plansza testu Rorschacha. To on przywitał mnie pierwszy.

- Cześć, detektywie.
- Jak leci, Billy?
- Źle. Nory nigdzie nie ma i się o nią boimy.

- Raczej martwimy, Bill - wtrącił Brad. - Powiedziałeś...
- Pamiętasz broszury, Bill? Co ci mówiłem?
- Myśl pozytywnie.
-

- - Właśnie.
- Billy wskazał dom.

- Brad znów tam był.

- Za pierwszym razem tylko pobieżnie się rozejrzałem. Teraz pogrzebałem w szufladach, znalazłem materiały biura podróży w szafce nocnej. Wszystko wygląda zwyczajnie, może oprócz wolnego miejsca w szafie.

- Spakowała się na wyjazd - powiedziałem.
- Mam nadzieję.
- Co to za broszury? - spytałem.
- Reklamówki ośrodków w Ameryce Łacińskiej. Chce pan zobaczyć?
- Chętnie.

- Podbiegł do cadillaca i przyniósł plik błyszczących folderów. Sak Pelikana, Southwater Caye w Belize; Turneffe Island w Belize; Posada La Mandragora, Buzios w Brazylii; hotel Monasterio w Cuzco w Peru; Chata Tapirów, Ekwador.

- Robiła plany wakacyjne - stwierdziłem.

- Wspomniałaby nam o tym - powiedział Brad. - Zapomniałem spytać, czy dowiedzieliście się panowie, czy gdzieś poleciała.

- Paszport Nory nie był używany.

- Jak dotąd nic nie znaleźliśmy, ale wciąż szukamy - odparłem. - Czy Nora lata prywatnymi samolotami?

- Nie. Czemu pan pyta?

- Na wszelki wypadek.
- Rozmawialiśmy o tym - powiedział Brad. - Głównie to ja mówiłem. Mamy biuro blisko lotniska Santa Monica. Czasami obserwujemy startujące piękności. Bardzo zachęcający widok.
- To samo zauważył Milo. Dla Dowdów lot prywatnym odrzutowcem mógł być czymś więcej niż tylko fantazją.
- Co myślała o tym Nora? - spytałem.
- Była gotowa wejść z kimś w spółkę. Ale kiedy dowiedziałem się, jakie są koszty, odpuściliśmy sobie. Fajnie mieć własny samolot, ale to nie wchodzi w grę.
- Jak to?
- Nie jesteśmy nawet blisko tej ligi finansowej, detektywie.
- - Nora zgadzała się z tą oceną?Brad się uśmiechnął.
- - Ona nie zna się na finansach. Czy wyczarterowałyby coś na własną rękę? Może tak. Ale pieniądze musiałyby dostać ode mnie.
- Nie ma własnych funduszy?
- Tylko konto na codzienne wydatki. Po większe sumy przychodzi do mnie. Tak jest najlepiej dla nas wszystkich.
- Billy wznosił oczy ku niebu.
- - Ja nigdy nigdzie nie jeżdżę.
- - Daj spokój, Bill - powiedział Brad. - Polecieliśmy przecież do San Francisco.

- Dawno temu.
- Dwa lata temu.

- - To dawno. - Spojrzenie Billy'ego stało się rozmarzone. Sięgnął ręką do krocza. Brad odchrząknął i Billy wepchnął dłoń do kieszeni. Odwróciłem się do Brada. - Nora nie wyjeżdża bez powiadomienia?

- Żyje po swojemu w ograniczonym zakresie, ale nigdy bez słowa nie zniknęła na dłużej.

- Wycieczki do Paryża.

- Właśnie. - Brad zerknął na broszury. - Zamierzałem skontaktować się z tymi ośrodkami, ale jeśli pan chce to zrobić, proszę zatrzymać reklamówki.

- - Dobrze. Potarł kącik oka.
- - Może Nora zjawi się jutro rano z... chciałem powiedzieć „wspaniałą opalenizną”, ale ona nie lubi słońca.
- Pomachałem broszurami.
- - To wszystko słoneczne miejsca.
- Brad zerknął na Billy'ego. Billy patrzył w niebo.

- Na pewno jest jakieś logiczne wyjaśnienie, detektywie. Chciałbym tylko... Tak czy inaczej, dziękuję, że pan wpadł. Jeśli się pan czegoś dowie, proszę dać mi znać.
- Jeszcze jedno... - westchnąłem. - Reynold Peaty został zamordowany wczoraj wieczorem.

- Brad aż sapnął. - Co? Billy zmarł. Znieruchomiał, ale spojrzał mi prosto w oczy. Już całkiem przytomnie.
- - Billy? - odezwał się Brad.
- Bill dalej wpatrywał się we mnie. Wyciągnął palec.
- - Powiedziałeś coś strasznego.
- - Przepraszam...
- - Reyn zamordowany? - Billy zacisnął dłonie w pięści. - Niemożliwe! Brad dotknął jego ramienia, ale Billy zrzucił jego dłoń i wybiegł na środek trawnika Nory, gdzie zaczął walić pięściami w uda.

- Brad podbiegł do niego, powiedział mu coś do ucha. Billy gwałtownie potrząsnął głową i odsunął się kilka kroków dalej. Brad poszedł za nim, bez przerwy mówiąc. Billy znów się odsunął, Brad nie ustępował mimo jego grymasów i kręcenia głową. W końcu Billy dał się przyprowadzić z powrotem. Rozdęte nozdrza powiększały jego płaski nos o połowę. Na wargach miał gęstą, białą ślinę.
- Kto zabił Reyna? - zapytał ostro.
- Sąsiad - odparłem. - Pokłócili się i...
- Sąsiad? - przerwał Brad. - Jeden z naszych lokatorów? Kto?
- Armando Vasquez.
- Ten. Cholera, od samego początku miałem co do niego złe przeczucia, ale papiery były w porządku, a w dzisiejszych czasach nie można odrzucić lokatora na podstawie przeczucia. - Pociągnął klapę marynarki. - Jezu. Co się stało?
- Co niepokoiło pana w Vasquezie?
- - Wyglądał jak... no, wie pan, meksykański gangster.
- Gdzie on jest, Brad? - spytał Billy. - Też chcę go zabić.
- Ćśś! Pokłócili się? Jak to się stało, że rozmowa skończyła się morderstwem?
- Trudno powiedzieć.
- Chryste - wymamrotał Brad. - O czym rozmawiali? Oczy Billy'ego wyglądały jak szparki.
- Gdzie ten drań?
- W więzieniu - rzucił szybko Brad i spojrzał na mnie. - Prawda?
- Jest aresztowany.
- Na jak długo? - spytał Billy.
- Bardzo długo - odparłem.
- Niech mi pan powie, kiedy wyjdzie, to odstrzelę mu dupę.
- Billy, przestań! - warknął Brad.
- Billy spojrzał na brata złowrogo. Ciężko dyszał. Brad spróbował go dotknąć. Billy znów się otrząsnął.
- - Przystanę, dobra, w porządku. Ale kiedy wyjdzie, wpakuję mu kulkę w dupę! - Machnął pięścią w powietrzu.
- - Billy, to...

- Reyn był moim przyjacielem.
 - Nie, on tak naprawdę... dobrze, dobrze, jak chcesz, Bill, przepraszam. Był twoim przyjacielem, masz prawo być zdenerwowany.
 - Nie jestem zdenerwowany. Jestem wkurzony na maksa!
 - Jasne, bądź wkurzony. - Znów do mnie: - Pokłócili się? Jezu, zamierzałem wpaść do tego budynku dzisiaj albo jutro.
 - Po co?
-
- Brad dyskretnie wskazał głową brata. Billy wpatrywał się w trawę.
 - - Rozejrzeć się.
 - Zwolnić i eksmitować Peaty'ego. Billy uderzył pięścią w otwartą dłoń.
-
- Reyn był moim przyjacielem. A teraz nie żyje. Jasna cholera!
 - Co pan i Reyn robiliście razem, Billy? - spytałem.
-
- Brad próbował stanąć między mną a bratem, ale Billy się odsunął.
-
- Reyn był dla mnie miły.
 - Billy... - wtrącił się Brad. - Reyn miał trochę problemów. Pamiętasz, mówiłem ci o nich...
 - Jeździł za szybko. I co z tego, ty też to robisz.
-
- - Billy... - Brad się uśmiechnął i wzruszył ramionami. Bill wskazał głową cadillaca.
 - - Nie w pięćdziesiątce dziewiątce, ona jest cholernie wolna... zawsze tak mówisz, cholernie wolna. Nie może rozpędzić swojego ciężkiego dupska. Jeździsz szybko w sting rayu i porsche, i austinie...
-
- Wystarczy - warknął Brad. Znów się uśmiechnął. - Pan detektyw już zrozumiał, Bill.
 - Mówisz, że ray jest szybki jak ta dziewczyna z twojej klasy... jak ona się nazywała... eee... Jocelyn... sting ray jest szybki jak Jocelyn... Jocelyn... Olderson... Oldenson... i tyle samo kosztuje. Zawsze to mówisz, sting...
 - To żart, Bill.
-
- - Ja się nie śmieję. - Bill spojrzał na mnie. - Reyn jechał za szybko bardzo dawno temu i wpadł w kłopoty. To znaczy, że trzeba było go rozwalić?- Nikt nic takiego nie mówi, Bill -

odparł Brad.- Pytam jego.

- Nie, to nic takiego nie znaczy - powiedziałem.
- Ale mnie to wkurzyło.

- Billy znów się wyrwał, poszedł na podjazd. Z pewnym wysiłkiem przelazł przez drzwi pasażera cadillaca, opadł na fotel, splótł ręce na piersi i zapatrzył się przed siebie.

- -Takie wsiadanie, on wie, że to wbrew... - zaczął Brad. - Musi być bardzo wzburzony, chociaż za nic nie umiem panu wyjaśnić, dlaczego.

- Uważał Peaty'ego za swojego przyjaciela. Brad zniżył głos.
- Myślenie życzeniowe.
- Mógłby pan jaśniej?

- - On nie ma kolegów. Kiedy zatrudniłem Peaty'ego, zauważyłem, że gapił się na Billy'ego, jakby mój brat był jakimś dziwadłem. Kazałem mu przestać i od tamtej pory zachowywał się wobec niego przyjaźnie. Uznałem, że mi się podlizuje. Tak czy inaczej, o tym właśnie Billy mówi. Każdy, kto traktuje go choć trochę jak człowieka, zostaje jego kumplem. Po waszej wizycie w biurze wyznał mi, że jesteście panowie jego kumplami.
- Billy w cadillacu zaczął się kiwać.

- Jest wzburzony, że nic już nie łączy go z Peatym - powiedziałem.
- Mój brat źle znosi zmiany.
- Śmierć znajomego to poważna zmiana.

- - Tak, oczywiście. Chciałem tylko powiedzieć, że Billy'emu trudniej przyswoić takie rzeczy. - Pokręcił głową. - Zastrzelony w czasie głupiej awantury? Teraz, kiedy Billy nie słucha, może mi pan powiedzieć, co naprawdę się stało?
- - Właśnie to, nie próbowałem chronić Billy'ego.
- - Aha, rozumiem, przepraszam. Lepiej pójde go uspokoić, więc jeśli...

- Jest pan pewien, że Billy i Peaty się nie przyjaźnili.
- Na sto procent. Peaty był cieciem, na Boga.
- Bywał w mieszkaniu Billy'ego - powiedziałem. Brad otworzył usta.
- O czym pan mówi?

- Powtórzyłem, co usłyszałem od Annalise Holzer.

- Zgubione przedmioty? - powtórzył. - To się nie trzyma kupy.
- Czy Billy jest roztargniony? - Tak, ale...
- Zastanawialiśmy się, czy Peaty nie wpadał z pana polecenia.

- Mojego? Bez sensu. Przecież nie wiedziałem, że jeździł samochodem. - Brad otarł czoło. - Annalise tak powiedziała?
- Jest wiarygodna?
- Boże, mam nadzieję. - Podrapał się w głowę. - Skoro mówiła, że Peaty wpadał, to pewnie wpadał. Ale przyznam, jestem zaskoczony.
- Że Peaty i Billy mogli się kolegować?
-

- - Nie wiemy, czy się kolegowali, tylko że Peaty podrzucał mu różne rzeczy. Tak, Billy jest roztargniony, ale zazwyczaj mi mówi, kiedy coś zostawi, a ja mu odpowiadam: „Nie martw się, wrócimy po to jutro”. Jeśli Peaty coś podrzucał, na pewno na tym sprawa się kończyła. - Spojrzał na Billy'ego, który kołysał się coraz mocniej. - Najpierw Nora zniknęła, teraz...

- To dorośli ludzie - powiedziałem.
- Według metryki.
- Niełatwo być ich opiekunem.
- Najczęściej to nic wielkiego. Czasami to wyzwanie.
- Jak teraz.
- Teraz to bardzo duże wyzwanie.

- - Przyjdzie taka chwila, że będziemy chcieli porozmawiać z Billym o Peatym - uprzedziłem.

- Po co? Peaty nie żyje i wiecie, kto go zabił.
- Chcemy być dokładni.
- Co to ma wspólnego z Billym?
- Prawdopodobnie nic.
- Czy Peaty wciąż jest podejrzany o zamordowanie tej dziewczyny?
- Wciąż?
- Kiedy przyszliście panowie do mnie do domu, zadawaliście mnóstwo pytań o niego. Było oczywiste, do czego zmierzacie. Naprawdę uważacie, że Peaty mógł zamordować?
- Śledztwo trwa.
- Czyli nic mi pan nie powie. Proszę posłuchać, doceniam, co robicie, ale nie pozwolę, żebyście wymuszali na Billym zeznania.
- Nie ma mowy o żadnym wymuszaniu, panie Dowd. To tylko rutynowa rozmowa.
- Niech mi pan wierzy, detektywie, on nie ma nic do powiedzenia.
- Jest pan pewien.
- Oczywiście. Nie mogę dopuścić, żeby mój brat został wciągnięty w jakąś aferę.
- Bo według metryki jest dorosły, ale...
- Otóż to.
- Nie wydaje się niedorozwinięty.
- Mówiłem panom, nie jest - odparł Dowd. - Jaki jest, nikt nie potrafił ocenić. Teraz pewnie by uznano, że ma autyzm. Dawniej był po prostu „inny”.
- Musiało być ciężko.
-
- Różnie. - Spojrzał na cadillaca. Billy oparł głowę o deskę rozdzielczą. - Dzieci mu dokuczały. Jestem młodszy, ale zawsze czułem się jak starszy brat. Tak już zostało i muszę panów poprosić, żebyście uszanowali naszą prywatność.
- Może Billy’emu dobrze by zrobiła rozmowa - zasugerowałem.
- Dlaczego?
- - Wieści najwyraźniej nim wstrząsnęły. Czasami wyrzucenie z siebie złości i żalu pomaga.
- Mówi pan jak psycholog. - W jego głosie pojawił się nowy, ostry ton.
- Ma pan doświadczenie z psychologami?
- Kiedy byliśmy mali, Billy jeździł do najróżniejszych konowałów. Witaminy, hipnoza, ćwiczenia, psychiatrzy. Nikt mu nie pomógł. Więc trzymajmy się wszyscy tego, co umiemy najlepiej. Wy ścigajcie przestępców, a ja się zaopiekuję bratem.
- Podszedłem do cadillaca, słysząc za sobą protesty Brada. Billy siedział sztywno wyprostowany. Oczy miał zamknięte, dłonie zaciśnięte na zapięciu koszuli.

- - Miło znów pana widzieć, Billy.
 - - Nie jest miło. To dzień złych wiadomości. Brad usiadł na miejscu kierowcy, zapalił silnik.
-
- Bardzo złych wiadomości - powiedziałem. Billy pokiwał głową.
 - Bardzo bardzo bardzo złych.
 - Cofam, detektywie - ostrzegł Brad.
-
- Zaczekałem pięć minut po ich odjeździe, potem podszedłem do drzwi Nory Dowd i zapukałem. Cisza, tak jak się spodziewałem. Pusta skrzynka na listy. Braciszek Brad zabrał korespondencję. Sprzątał po innych, jak zwykle. Twierdził, że Billy jest niegroźny, ale jego opinia była nic niewarta. Wsiadłem do seville'a i odjechałem, mijając dom Alberta Beamisha. Starzec miał zasłonięte okna, ale otworzył drzwi. Czerwona koszula, zielone spodnie, drink w dłoni. Zatrzymałem się i opuściłem szybę.
 - - Co słysząc?
 - Beamish zaczął coś mówić, pokręcił z obrzydzeniem głową, wrócił do środka.

31

- Billy lubił Peaty'ego. I miał temperament. Czy był zbyt ograniczony, żeby rozumieć konsekwencje przyjaźni z Reynoldem Peatym? A może w grę nie wchodziły żadne konsekwencje?
- Jedno wydawało się prawdopodobne: wizyty sprzątacza były czymś więcej niż odwożeniem zgubionych przedmiotów. Jadąc Szóstą w kierunku, gdzie kończyła się na San Vicente, zastanawiałem się nad reakcją Billy'ego. Szok, gniew, żądza zemsty. Kolejne z rodzeństwa sprzeciwiało się Bradowi. Dziecięca impulsywność w połączeniu z hormonami dorosłego mężczyzny mogły stanowić niebezpieczną kombinację. Jak zauważył Milo, Billy zamieszkał sam mniej więcej wtedy, kiedy Tori Giacomo została zamordowana, a Gaidelasowie zniknęli. Doskonała okazja, żeby Billy i Peaty przenieśli swoją przyjaźń na nowy poziom? Jeśli stanowili zespół, Peaty na pewno był w nim osobowością dominującą. Też mi wódz. Zdziwaczały alkoholik podglądacz i tępy mężczyzna z umysłowością dziecka nie pasowali do wizerunku przebiegłych i dokładnych morderców. Miejsce porzucenia zwłok Michaeli oczyszczono z wszelkich śladów, a ciało Tori Giacomo ukryto na dość długo, żeby zamieniło się w kupkę kości. Do tego dochodziła kwestia szeptanego telefonu z Ventura City. Niemożliwe, żeby stał za tym Billy. Telefoniczny Jago. Podziałało. Snulem hipotezy na temat skrywanego okrucieństwa Gaidelasów, ale warto było się zastanowić nad jeszcze jedną parą specjalistów od występów. Nora Dowd, ekscentryczna amatorka i niespełniona aktorka, wykazała dość umiejętności, żeby oszukać swojego brata co do zerwania z Dylanem Meserve'em. Dorzućmy do tego młodszego kochanka ze skłonnościami do ostrego seksu i psychomanipulacji. Wychodzi interesujący miks.
- Może Brad nie znalazł śladów walki w domu Nory, bo żadnej agresji nie doszło. Broszury

biura podróży w szufladzie i brak ubrań plus ucieczka Dy lana Meserve'a przed zapłaceniem czynszu kilka tygodni temu świadczyły, że była to dawno zaplanowana podróż. Albert Beamish nie widział, żeby ktoś mieszkał z Norą, ale ktoś składający wizyty po zmroku uszedłby jego uwagi.

- Nora chciała mieć prywatny samolot. Jej paszport nie był ostatnio używany, a Meserve nigdy sobie go nie wyrobił. Ale wychowywał się na ulicach Nowego Jorku, wiedziałby, jak zdobyć fałszywy dokument. Przedostanie się przez kontrolę paszportową na LAX mogło być wyzwaniem. Ale przelot z Santa Monica na jakieś lądowisko w wiosce na południe od granicy, z płatnością gotówką, to zupełnie inna historia. Reklamówki w szufladzie, nie próbowano ich szczególnie ukrywać. Bo Nora była pewna, że nikt nie naruszy jej prywatności? Kiedy zatrzymałem się na czerwonym świetle przy Melrose, przyjrzałem się uważniej ośrodkom wakacyjnym, które wybrała. Ładne miejscowości w Ameryce Południowej. Może zależało jej na czymś więcej niż na klimacie. *Jechałem do domu najszybciej, jak pozwalała Sunset. Ledwie miałem czas rozglądać się za brązowym audi Hausera. Kilka chwil po zalogowaniu się do Internetu dowiedziałem się, że Belize, Brazylia i Ekwador miały podpisane umowy o ekstradycji ze Stanami Zjednoczonymi, a niemal wszystkie kraje bez takich umów leżały w Afryce i Azji. Ukrywanie się w Rwandzie, Burkina Faso czy Ugandzie nie byłoby zbyt przyjemne, a nie przypuszczałem, żeby Nora dobrze zniosła kobiecą modę Arabii Saudyjskiej. Jeszcze raz przyjrzałem się folderom. Każdy ośrodek znajdował się w głębi dżungli. Żeby kogoś wydalić z kraju, najpierw trzeba go znaleźć. Wyobraziłem sobie taką scenę: para osób w różnym wieku melduje się w luksusowym apartamencie, cieszy się plażą, barem, basenem. Wieczory to pora kolacji przy świecach, może masażu. Długie, słoneczne dni dają dużo czasu, żeby znaleźć ocienione przedmieście, gościnnie przyjmujące zamożnych cudzoziemców. Hitlerowscy zbrodniarze wojenni ukrywali się w Ameryce Łacińskiej przez dziesięciolecia, żyjąc jak arystokraci. Dlaczego nie mogłaby tego samego zrobić para dyskretnych morderców? Jeżeli jednak Nora i Dylan uciekli na dobre, dlaczego zostawili foldery na widoku? Dla zmyłki?

- Sprawdziłem wynajem odrzutowców, czartery powietrzne i firmy zajmujące się time-sharingiem w południowej Kalifornii. Skompilowałem zaskakująco długą listę. Przez następne dwie godziny podawałem się za Bradleya Dowda przeżywającego „kryzys rodzinny”, który musi jak najszybciej znaleźć swoją siostrę i siostrzeńca, Dy lana. Wiele razy mi odmawiano, kilka firm sprawdziło listy pasażerów, ale nie znalazło na nich Nory ani Meserve'a. Co o niczym nie świadczyło, bo mogli podróżować pod fałszywymi nazwiskami. Milo, żeby zdobyć nakazy ujawnienia list pasażerów, potrzebowałby dowodów przestępczego zachowania, a Dowd i Meserve jedynie zniknęli. Chyba że przeciwko Dylanowi można by wykorzystać jego wyrok za wykroczenie. Milo był zajęty „nudną policyjną robotą”. Mimo to zadzwoniłem do niego i opisałem zachowanie Billy'ego Dowda.
- - Interesujące - powiedział. - Właśnie dostałem pełny raport z autopsji Michaeli. Też interesujący. *
- Spotkaliśmy się o dwudziestej pierwszej w pizzerii na Colorado Boulevard, w sercu Starego Miasta Pasadeny. Młodzi biznesmeni i modnie ucztowali przy cienkim cieście i dzbanach piwa. Milo przeglądał budynki BNB we wschodnich przedmieściach, szukając śladów

nieoficjalnego schowka Peaty'ego. Spytał, czy mogę się z nim spotkać. Kiedy wychodziłem z domu o ósmej piętnaście, zadzwonił telefon, ale nie odebrałem. Kiedy przyjechałem na miejsce, Milo siedział w boksie przy wejściu, z dala od gwaru, pracując nad półmetrowej średnicy talerzem, pełnym niezidentyfikowanych produktów spożywczych; jego dzbanek był do połowy opróżniony i oszroniony. Milo wyrysował palcem na szkle uśmiechniętą buźkę. Jej rysy roztopiły się w coś ponurego i psychiatrycznie obiecującego. Zanim zdążyłem usiąść, podniósł zniszczoną teczkę, wyjął z niej raport koronera i położył go sobie na kolanach.

- - Kiedy będziesz gotowy. Żeby ci nie odebrało apetytu. - Chrup, chrup.- Już jadłem.
- To niezbyt towarzysko z twojej strony. - Milo pomasował dzban, starł buźkę. - Chcesz szklanke?
- Nie, dzięki - powiedziałem, ale i tak wstał i mi przyniósł, zostawiając raport na krześle.
- Na początku były rutynowe formularze podpisane przez zastępcę koronera, lekarza medycyny A.C. Yee. Na zdjęciach dawna Michaela Brand, zamieniona w wystawowego manekina, etapami rozbieranego na kawałki. Jeśli człowiek naogląda się dużo zdjęć z autopsji, uczy się redukować ciało do części składowych, próbuje zapominać, że w ludzkiej powłoce tkwił pierwiastek boski. Jeśli człowiek za dużo przy tym myśli, nie może potem spać. Milo wrócił i nalał mi piwa.
- - Zginęła wskutek uduszenia, a wszystkie rany cięte zadano pośmiertnie. Szczególnie interesujące są numer sześć i dwanaście.
- Numer sześć - zbliżenie prawej strony szyi. Rana miała z dwa i pół centymetra długości, była lekko wybrzuszona na środku, jakby coś wsunięto w szparę i zostawiono, aż powstała mała kieszonka. Koroner zakreślił opuchliznę i napisał numer odnośnika nad fragmentem linijki przyłożonej po to, by dać wyobrażenie o rozmiarze nacięcia. Przekartkowałem do podsumowania, znalazłem opis. Nacięcie wykonane *post mortem*, na górnej krawędzi zagłębienia mostkowo-obojczykowego, ślady rozchylania tkanki i powierzchniowe nakłucia żyły szyjnej. Numer dwanaście - gładka kobieca klatka piersiowa z pełnymi piersiami. Implanty Michaeli rozpląszczyły się, jakby uszło z nich powietrze. Doktor Yee wskazał miejsca, gdzie je zaszyto, i podpisał „ładnie zabliźnione”. Na równej powierzchni między wzgórkami znajdowało się pięć małych ran. Bez opuchlizny. Według pomiarów Yee, były płytkie, dwie ledwie przebiły skórę. Wróciłem do opisu rany na szyi.
- „Powierzchniowe nakłucia”. Bawił się żyłą?
- Wyjątkowa zabawa - mruknął Milo. - Yee by tego nie napisał, ale powiedział, że nacięcie przypomina mu to, co balsamista mógłby zrobić, zaczynając preparować zwłoki. Dokładnie w tym miejscu należałoby naciąć, gdyby chciało się dostać do żyły i tętnicy szyjnej, żeby je opróżnić. Potem rozszerza się ranę, żeby odsłonić naczynia i umieścić w obu rurki. Krew wypływa z żyły, a do arterii jest pompowany środek konserwujący.
- Ale tutaj tego nie zrobiono - powiedziałem.

- Nie, żyła jest tylko zadrapaną.
 - Niedoszły balsamista, który nie wytrzymał nerwowo?
-
- - Albo się rozmyślił. Albo nie miał dość sprzętu i wiedzy, żeby dokończyć dzieła. Yee powiedział, że morderstwo zostało popełnione w sposób „niedojrzały”. Rany na szyi i piersi nazwał drobnymi i niejednoznacznymi. Tego też nie chciał mi dać na piśmie. Wysłał mnie po interpretację do psychologa. - Wyciągnął rękę.
-
- Lepiej znajdź sobie innego.
 - Boisz się zobowiązań?
 - Tak słyszałem.
-
- Milo się zaśmiał, zjadł i wypił.
-
- To wszystko w kwestii dziwacznych rzeczy. Nie było seksualnej penetracji, zabawy genitaliami ani nadmiernego sadyzmu. Nie doszło też do dużej utraty krwi, większość zakrzepła, a plamy opadowe wskazują, że martwa dziewczyna przez dłuższy czas leżała na plecach.
 - Ręczne uduszenie - mruknąłem. - Patrzysz jej w oczy i wyduszasz życie. To trwa. Może dość długo, żeby się podniecić.
-
- - Patrzenie - podchwycił Milo. - Specjalność Peaty’ego. On i Billy to para niedorozwiniętych oferm. Mogę sobie wyobrazić, że bawili się trupem, ale bali się grzebać za głęboko. Teraz ty mi mówisz, że koleżka Billy ma temperament.- Ma.- Ale?- Ale co?
 - - Nie jesteś przekonany.
 - - Nie wydaje mi się, żeby Billy i Peaty byli wystarczająco sprytni. Co ważniejsze, nie sądzę, żeby Billy wystawił Peaty’ego tym telefonem.
-
- Może nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Prawdziwy aktor w rodzinie.
 - Brada łatwo oszukać - powiedziałem - ale wątpię, żeby aż do tego stopnia. Dowiedziałeś się czegoś o kradzionym telefonie?
-
- Milo wyjął z teczki swój notes.

- Motorola V551, operator Cingular Wireless; zarejestrowany na Angelinę Wasserman, Bundy Drive, Brentwood. Dekoratorka wewnątrz, żona bankiera inwestycyjnego. Miała komórkę w torebce. Robiła zakupy, zainteresowała się czymś, odwróciła głowę i puf. Najbardziej przejęła się samym faktem kradzieży. I torebką firmy Badgley... coś tam... za czterocyfrową sumę.
 - Badgley Mischka.
 - Twoja marka?
 - Znało się kilka kobiet.
 - Ha! Zgadnij, gdzie robiła zakupy?
 - W dyskontach w Camarillo - powiedziałem.
 - Konkretnie w Barneysie. Jutro o dziesiątej, kiedy otworzą, pojedę tam pokazywać wszystkim zdjęcia Peaty'ego i Billy'ego, Gaidelasów, Nory i Meserve'a, sędziego Cratera*, Amelii Earhart**, każdego, kogo zaproponujesz.
-
- Nora i Meserve mogą się w tej chwili dobrze bawić. - Opowiedziałem mu o folderach biura podróży, moich telefonach do prywatnych linii lotniczych.
 - Przydałby się kolejny nakaz, gdybym miał podstawy - stwierdził Milo. - Papiery do komórki pani Wasserman przysły szybko, bo zgłoszono kradzież, ale cały czas czekam na ustalenie budki telefonicznej. Mam nadzieję, że dostanę to dzisiaj wieczorem.
-
- Sędzia nocny marek? Uśmiechnął się ze znużeniem.
 - Znało się kilku prawników.
-
- Skazanie Meserve'a za oszustwo nie pomogłoby przy listach pasażerów?
 - Oskarżenie o drobne wykroczenie, skazanie na prace społeczne? Wykluczone. Teraz bardziej pasuje ci on i Nora? Andy i Cathy już nie sąpsy-cholami?
 - Ich wyjazd z miasta włączył mój radar.
 - Nora i pan Śnieżna Kula. Schował swój samochód w skarbczyku Brada i zostawił kulę jako wiadomość: „pieprzę cię”.
 - Jeśli on i Nora namierzyli Peaty'ego, mogli się dowiedzieć o niezarejestrowanej furgonetce. Drugą kulę zostawili dla zmyłki.
 - Przybornik gwałciciela też?
 - Dlaczego nie? - spytałem. - A może to jednak był Peaty. Wszyscy w Domu Gry wiedzieli, że się gapił, a Brad znał jego przeszłość, więc nie trzeba wyteżać wyobraźni, żeby założyć, że Nora też się orientowała w sytuacji. Jeśli ona i Dylan szukali kozła ofiarnego, trafił się im doskonały kandydat.
 - Lata odstrzału słabeuszy, a potem nagle postanawiają wyjechać do ciepłych krajów?
 - Znudzili się. Przyszła pora odkryć nowe miejsca - zasugerowałem.
-
- Brad mówił, że Nora przyszlaby do niego po grubszą forszę.

- Brad myli się w wielu sprawach.
- Milo w zamyśleniu przekartkował raport koronera.
- Dylan kazał, żeby Michaela zacisnęła mu pętlę na szyi - powiedziałem. - Udawał nieżywego tak dobrze, że ją wystraszył. Mówiła też, że ból nie sprawiał mu problemu.
- Znajome odrętwienie psychopaty.
- Młoda, czarnoskóra kelnerka z włosami zaplecionymi w warkoczyki podeszła i spytała, czy czegoś nam nie trzeba.
- - Proszę zapakować resztę na wynos - powiedział Milo. - A ja spróbuję jeszcze ciastka czekoladowego.
- Zamknął raport. Kelnerka zobaczyła słowo „koroner” na okładce.
- Pracujecie panowie w telewizji? - spytała. - W programie kryminalnym czy w czymś takim?
- W czymś takim - odparł Milo.
- Przesunęła palcami po warkoczykach. Zatrzepotały rzęsy.
- Jestem aktorką. - Szeroki uśmiech.
- Naprawdę? - spytał Milo.
- - Bardzo naprawdę. Grałam mnóstwo ról w regionalnych teatrach w Santa Cruz i San Diego, w tym w Old Globe, gdzie występowałam jako główna wróżka w *Śnie nocy letniej*. Robiłam też improwizacje w Groundlingsie i nakręciłam reklamówkę dla Amtraka w San Francisco, ale jej nie puścili. Wydęła usta.
- Bywa - mruknąłem.
- Jasne. Ale, co tam, jestem w L.A. dopiero od kilku miesięcy, a agent w Starlight już zamierza podpisać ze mną kontrakt.
- Powodzenia.

- D'Mitra. - Wyciągnęła rękę.
- Alex. To Milo. On jest szefem.
- Spojrzał na mnie wilkiem, uśmiechnął się do dziewczyny. Przynęła się do niego bliżej.
- Świetne imię, Milo. Miło pana poznać. Mogę zostawić swoje nazwisko i telefon?
- Jasne - powiedział Milo.
- - Fajnie. Dzięki. - Nachyliła się, oparła pierś na jego ramieniu i napisała coś w notesie na zamówienia. - Już przynoszę panu ciastko. Na koszt firmy.

- **32**
- Wyruszyliśmy do dyskontów o dziewiątej. Pojechaliśmy seville'em, bo „masz skórzane fotele”. Dzień był piękny, osiemnaście stopni, słońce - gdyby się nie miało akurat żadnych zmartwień, można by udawać, że Kalifornia to Eden.
- - Pojedźmy trasą widokową - oznajmił Milo.
- Czyli Sunset do autostrady biegnącej wybrzeżem i na północ przez Malibu. Kiedy dojechałem do Kanan Durne Road, zdjąłem stopę z gazu.- Jedź dalej.Siedział oklapnięty, ale obserwował drogę. Wyobrażał sobie tę podróż z perspektywy mordercy.Na Mulholland Highway przejechaliśmy granicę hrabstwa Ventura. Przemknęliśmy obok domu na plaży, który wynajmowałem z Robin wiele lat temu. Telefon o ósmej piętnaście poprzedniego wieczora, kiedy wychodziłem, był od niej. Zostawiła wiadomość, żebym oddzwonił. Próbowałem. Nie zastałem jej w domu.Droga zwężała się do dwóch pasów i ciągnęła dalej przez kilometry stanowego parku na urwiskach i pół namiotowych. W Sycamore Creek wzgórze pokrywała bujna roślinność; rok był mokry. Łubin, maki i kaktusy igrały po stronie lądu. Na zachodzie rozciągał się huczący Pacyfik i sznur skąpanych w pianie falochronów. Dwadzieścia metrów od brzegu zauważyłem skaczące delfiny.

- Cudownie.
- Kiedy wybucha pożar, cała ta zielenina zamienia się w piecyste - burknął. - Pamiętasz, jak kilka lat temu to wszystko się spaliło?

- Też życzę ci miłego dnia.

- *
- Skręt na wschód w Las Posas Road powiódł nas przez kilometry pól warzywnych. Część terenu zajęta przez zielone liściaste grządki; reszta brązowa, płaska i uśpiona. Samoobsługowe stoiska i kramiki były zamknięte przed sezonem. Kombajny i inne metalowe potwory sterczały za bruzdami, czekając na sygnał, by orać, mleć i zapładniać. Po zachodniej stronie Camarillo skręt na południe w Factory Stores Drive zaprowadził nas do brzoskwinioworóżowej osady handlowej. Sto dwadzieścia sklepów podzielone na sektory południowy i północny. Barneys New York zajmował zachodni skraj południowego skrzydła;
 - przestronny, dobrze oświetlony, atrakcyjnie urządzone, z liczną obsługą prawie pusty. Przeszliśmy może trzy kroki, kiedy podszedł do nas młody mężczyzna z nastroszonymi włosami, ubrany cały na czarno.
 - - W czymś pomóc?
 - Miał zapadnięte policzki i umalowane oczy, pachniał cytrusową wodą kolonską. Platynowa bródka pod dolną wargą unosiła się i opadała z każdą wymówioną sylabą jak małe trampolina.
 - Macie krawaty Stefano Ricciego? - spytał Milo. - Te za pięćset dolców, z prawdziwą złotą nitką?
 - Nie, proszę pana, obawiam się...
 - Żartowałem, przyjacielu. - Milo dotknął cienkiego, poliestrowego krawata, zwisającego chłopakowi na brzuch.
 - Młodzieniec wciąż pracował nad uśmiechem, kiedy Milo błysnął mu odznaką. Dwie tureckie sprzedawczynie z boku przyjrzały się nam i zaczęły rozmawiać przyciszonym głosem.
 - Policja?
 - Chodzi nam o kradzież, do której doszło cztery dni temu. Pewnej kobiecie ukradziono tu torebkę.
 - Jasne. Pani Wasserman.
 - To stała klientka?
 - Co miesiąc jak w zegarku. Zawsze znajduję te torebki. Tym razem chyba naprawdę ktoś ją ukradł.
 - Roztargniona?
 - Raczej - odparł młody mężczyzna. - Piękne rzeczy, można by pomyśleć, że... Nie chcę plotkować, to miła kobieta. Tym razem zostawiła Badge-Mish z wężowej skóry. Ma już Missoni i Cavallo, klasyczne torebki Judith Leiber, Hermesa, Chanel.

- Można by pomyśleć... - podjął Milo.
- - Nie chcę jej obmawiać, jest bardzo miła. Idealny rozmiar S, zawsze próbuje dawać nam napiwki, chociaż nie wolno. Znaleźliście tę torebkę?
- Jeszcze nie. A wcześniej, kiedy je zostawiała, panie...
- Topher Lembell. Jestem projektantem, więc zawsze zwracam uwagę na szczegóły. Badge-Mish była urocza. Z anakondy, z wyraźnym wzorem, barwiona tak dobrze, że prawie można było uwierzyć, że istnieją jasnofioletowe węże...
- Gdzie pani Wasserman najczęściej zostawiała swoje torebki?
- W przebieralni. Tam je zawsze znajduję. Pod stosem ubrań. Tym razem twierdziła, że widziała ją tam. - Wskazał gablotę na środku sklepu. Lśniące przedmioty ułożone równo pod szkłem. Niedaleko wieszak z lnianymi męskimi garniturami z zeszłego sezonu, w kolorach ziemi, słomianymi kapeluszami, koszulkami za pięćdziesiąt dolarów sztuka.
- Pan w to wątpi - powiedział Milo.
- Pewnie wie, co mówi - odparł Topher Lembell. - Chociaż gdyby torebka została na widoku, ktoś by zauważył, taka była piękna. A wszyscy wiedzą, jaka pani Wasserman jest zapominalska.
- Może jednak ktoś zauważył.
- Miałem na myśli kogoś z nas. Pracowaliśmy wtedy w komplecie, bo przyjechało sporo towaru, w tym mocno przecenione rzeczy, z domu towarowego. Firma zrobiła kampanię reklamową, poza tym wybrani klienci dostali e-maile.
- Na przykład pani Wasserman.
- Zdecydowanie tak.
- Pracowity dzień mógł utrudniać zauważanie różnych rzeczy - stwierdził Milo.
- Tylko tak się wydaje, bo kiedy mamy superruch, jesteśmy superczujni. Dlatego średnia kradzieży nam spada. W inne dni czasami wystarczy się odwrócić i już ktoś coś zwija.
- - Mimo to torebka pani Wasserman została skradziona. Topher Lembell wydał wargi.
- Nikt nie jest doskonały. Wciąż stawiam na przebieralnię. Cały ranek wchodziła i wychodziła, przymierzała ciuchy, potem rzucała na podłogę. Niekiedy potrafi zrobić spory bałagan... niech jej pan nie mówi, że tak powiedziałem, dobrze? Lubi mnie. Traktuje jak osobistego sprzedawcę.
- Kamień w wodę - obiecał Milo. - A teraz, niech mi pan wyświadczy przysługę, spojrzysz na zdjęcia i powiesz, czy któraś z tych osób była w sklepie tamtego dnia.
- Podejrzeni? - spytał Topher Lembell. - Super. Mogę pochwalić się znajomym, że biorę udział w dochodzeniu, czy to ściśle tajna sprawa?
- Niech pan mówi, komu chce. Czy są tu dziś wszyscy, którzy wtedy pracowali?

- Mieliśmy jeszcze pięć osób, w tym jedną z ich koleżanek z Valley. - Zerknął w stronę Turczynek. - Pozostałe to Larissa, Christy, Andy i Mo. Wszyscy studiują, przychodzą w weekendy albo kiedy jest duży ruch. Larissa i Christy wpadną odebrać wypłatę, zadzwonię i spytam, czy dadzą radę przyjść wcześniej. Może też uda mi się skontaktować z Mo i Andym, mieszkają razem.
- Dzięki za pomoc - powiedział Milo.
-
- - Jasne, obejrzymy podejrzanych. Jak mówiłem, mam oko do detali. Kiedy Milo wyjmował zdjęcia, Topher Lembell przyjrzał się jego pogniecionemu krawatowi i koszuli non-iron pod spodem. - Przy okazji, wciąż mamy dobre ceny na rzeczy z zeszłego sezonu. Sporo luźnych, wygodnych ciuchów.
- Milo uśmiechnął się i pokazał mu zdjęcia Nory Dowd i Dylana Meserve' e.
- - On jest młodszy i przystojniejszy niż ona. Cathy i Andy Gaidelasowie.
- - Przykro mi, nie. Wyglądają, jakby byli z Wisconsin, ja dorastałem w Kenosha. To naprawdę przestępcy? - A on? Lembell przyjrzał się zdjęciu Reynolda Peaty' ego, zrobionemu po aresztowaniu, i wystawił język.
- - Fuj. Gdyby tu tylko wszedł, miałbym się od razu na baczności. E-e.
- - W ruchliwy dzień, mimo dodatkowego personelu, ktoś mógłby się wmieszać w tłum... - zasugerował Milo.
- - Gdybym ja był kierownikiem, nigdy. Mam oczy jak lasery. Z drugiej strony, niektórzy ludzie...
- Znów zerknął na sprzedawczynie kręcące się w milczeniu przy wieszaku z sukienkami. Jedna z nich spostrzegła spojrzenie Mila i niepewnie pomachała.
-
- Zobaczmy, co mają do powiedzenia pana koleżanki. A gdyby mógł pan teraz zadzwonić do tych dorywczych pracowników, byłbym wdzięczny.
- Już się robi - zgodził się ochoczo Topher Lembell, idąc za nami przez pomieszczenie. - Przy okazji, szyję na zamówienie. Męskie garnitury, marynarki, spodnie. Na miarę. Biorę tylko pięć procent ponad cenę materiału, a mam dostęp do nadwyżek z Dormeuil, Hollanda i Sherry, i trochę naprawdę fajnego Super 100. Jeśli trudno panu znaleźć coś, co pasuje...
- Trudniej po porządnym obiedzie - wyznał Milo.
- Nie ma sprawy, mogę zrobić rozciągliwą talię z dużym zapasem.
- Hm - mruknął Milo. - Niech się zastanowię... Dzień dobry paniom.
-
- *
- Czterdzieści minut później siedzieliśmy w zaparkowanym samochodzie przy barze szybkiej obsługi po północnej stronie kompleksu i piliśmy mrożoną herbatę z półlitrowych kubków. Milo wyjął słomkę, powyginał ją, stworzył plastikowego tasiemca i zrobił na nim supeł.

- Był w kiepskim nastroju. Personel sklepu nie zidentyfikował nikogo ze zdjęć, nawet afektowane Christy i Larissa, które przyjechały rozchichotane i wszystko to uważały za niesłychanie zabawne. Współlokatorzy Andy i Mo zostali przesłuchani przez telefon w Goleta. Tak samo Fahriza Nourmand z Westlake Village. Nikt nie pamiętał, żeby ktoś czaił się w pobliżu Angelinę Wasserman lub jej torebki. Tamtego dnia w ogóle nie było żadnych podejrzanych typów, chociaż ktoś buchnął paczkę męskich bokserek. Topher Lembell zapisał numer Angelinę Wasserman na odwrocie swojej jasnoniebieskiej wizytówki.
- - Może pan dzwonić do mnie o dowolnej porze w sprawie mierzenia, ale proszę nie mówić nikomu, stąd ma pan numer. Zasadniczo nie wolno mi zajmować się własnymi sprawami w czasie pracy, ale Bóg chyba się tym nie przejmuje, prawda?
- Teraz Milo przepisał numer Wasserman do notesu, zmiął wizytówkę i wyrzucił do popielniczki. - Nie jesteś zainteresowany ubraniem na miarę? - spytałem.
- W tych sprawach dzwonię do Omara, wytwórcy namiotów.
- A Stefano Ricci? Pięćset dolców za krawat to dobra cena.
- Rick - powiedział. - Jego krawaty kosztują więcej niż moje garnitury. Kiedy jestem w mściwym nastroju, zawsze mu to wypominam. - Bawił się słomką; spróbował przerwać plastik, nie udało się, wepchnął rurkę z powrotem przez otwór w pokrywce kubka. - Tuż przed naszym spotkaniem dostałem identyfikację budki telefonicznej, z której odstawiono ten numer z szeptaniem. Rzućmy okiem, to niedaleko.
- Stacja benzynowa przy Las Posas i Ventura, pięć minut jazdy samochodem. Ciężarówki i osobowe ustawione w kolejkach do dystrybutorów, głodni kierowcy wchodzący i wychodzący z przyległego baru sklepu. Budka stała z boku, przy toaletach. Nie zauważyłem tam policyjnej taśmy ani śladu proszku do zdejmowania odcisków palców. Powiedziałem to głośno.
- - Departament z Ventura był tu o szóstej rano, wzięli mnóstwo odcisków. Nawet z AFIS-em chwilę im to zajmie.
- Weszliśmy do sklepu, gdzie Milo pokazał zdjęcia sprzedawcom. Kręcenie głowami, apatia.
- Jakież pomysły? - spytał, kiedy wyszliśmy na dwór.
- Ktokolwiek ukradł torebkę, był na tyle ostrożny, że z komórki się rozłączył, a szeptał z budki. Albo mamy do czynienia z dwiema osobami działającymi jako zespół. Tak czy inaczej, dzwoniący trzymał się Camarillo, więc może zajrzemy tam? - Wskazałem drugą stronę Ventura, na masę barów i restauracji.
- Jasne, czemu nie.

- Przeszliśmy sześć lokali, zanim powiedział:
- Dość. Może roztargniona pani Wasserman kogoś rozpozna.
- Nie pokazywałeś zdjęć Billy'ego Dowda.
- Nie udało mi się żadnych zdobyć - odparł. - Uznałem, że to nie ma znaczenia, bo niby jak Billy dotarłby tu na własną rękę.
- - Nawet gdyby mu się udało, personel Barneysa by go zauważył.- Nie jest wystarczająco cool. Jak w szkole średniej.
- Po co pokazujesz zdjęcie Peaty'ego? Przecież nie dzwonił do Vasqueza, żeby powiedzieć o sobie, że jest niebezpieczny.
- Chciałem sprawdzić, czy kiedykolwiek się tu pojawił. Wygląda na to, że nie było nikogo z naszych zainteresowanych.
- Niekoniecznie - sprzeciwiłem się. - Angelinę Wasserman bywała tu co miesiąc Jak w zegarku". Sprzedawcy zdążyli już się zorientować, że jest roztargniona, więc może wiedział o tym ktoś jeszcze. Na tyle elegancki, że się nie wyróżniał, jak Dylan Meserve.
- Nikt nie rozpoznał go na zdjęciu, Alex.
- Może zna się na efektach specjalnych.
- Robi zakupy w przebraniu?
- Performance - przypomniałem. - To może być sedno sprawy.
- Pojechałem drogą 101 z powrotem do miasta, wyrabiając się w dobrym czasie. Miło tymczasem zadzwonił sprawdzić wiadomości. Musiał się przedstawiać trzy razy temu, kto odebrał na posterunku West L.A. W końcu rozłączył się, przeklinając.
- Nowy recepcjonista?
- Kretyn siostrzeniec radnego, wciąż nie wie, kim jestem. Przez ostatnie trzy dni nie dostawałem żadnych wiadomości, co mi odpowiada, chyba że akurat pracuję nad jakąś sprawą. Okazuje się, że wszystko trafiało do cudzej skrzynki, detektywa Sterlinga, który akurat jest na urlopie. Na szczęście to były same śmieci.
-
- Wystukał numer Angelinę Wasserman. Ledwie zdążył się przedstawić, a już słuchał bez

przerywania. W końcu jakoś się wtrącił i umówił na spotkanie za godzinę.

- - Centrum Dekoracji, w sklepie z dywanami, urzędu „drogi, wielopoziomowy apartament na Wilshire Corridor”. Tego dnia, kiedy została okradziona, ktoś obserwował ją na parkingu dyskontu.
- - Kto?
- Zrozumiałem tylko, że facet w terenówce. Powiedziała, że spróbuje sobie przypomnieć. Chcesz ją zahipnotyzować? - Zaśmiał się. - Zdawała się podekscytowana.
- Tak jak projektant Topher. Nie wiedziałeś nawet, że robisz w modnym fachu.
- Milo wyszczerzył się do lusterka wstecznego, podrapał paznokciem siekacz.
- - Jestem gotów do zbliżenia, panie DeMille. Pora wystraszyć małe dzieci i domowe zwierzątka. *
- Manoosian Dywany Orientalne był olbrzymim sklepem na parterze Niebieskiego Budynku Centrum Dekoracji, zawałonym setkami ręcznie tkanych skarbów i pachnącym kurzem oraz papierem pakowym. Angelinę Wasserman stała na środku głównego pomieszczenia galerii, ruda, radośnie chuda, po tylu operacjach plastycznych twarzy, że jej oczy przemieściły się jak u ryby na boki głowy. Zielone spodnie z szantungu oblepiały patykowane nogi jak folia samoprzylepna kurcze kostki. Pomarańczowa, kaszmirowa marynarka rozszerzałaby się u dołu, gdyby Wasserman miała biodra. Podskakując jak piłka między dywanami związanymi konopnym sznurkiem, z uśmiechem wydawała polecenia dwóm młodym Latynosom, rozwijającym wysoki do pasa stos sarouków siedem na siedem metrów.
- - Ja to zrobię! - zawołała, kiedy podeszliśmy, i doskoczyła do dywanów. Odrzucając gęste połacie wełny, każdą natychmiast oceniała. - Nie. Nie. Zdecydowanie nie. Może. Nie. Nie. Ta też nie, musimy się bardziej postarać, Dariusie.
- - A może kashany, pani W? - spytał przysadzisty, brodaty mężczyzna, do którego się zwracała.
- - O ile są lepsze niż to.
- Darius machnął na dwóch młodych mężczyzn i razem się oddalili. Angelinę Wasserman zauważyła nas, obejrzała jeszcze kilka stosów, skończyła i przyklepała włosy.
- -Dzień dobry, panowie policjanci.
- Milo podziękował jej za współpracę, pokazał zdjęcia. Stukała w nie palcem wskazującym.- Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Niech mi pan powie, jak to się stało, że policja z L.A. zajmuje się sprawą z Ventury?
- To może mieć związek z przestępstwem popełnionym w L.A. Rybie oczy Wasserman zaślniły.
- Chodzi o większy krąg zbrodni? No, oczywiście.

- Jak to?
- - Ktoś, kto rozpoznaje Badgley-Mischkę, musi być zawodowcem. - Machnęła ręką na zdjęcia. - Myśli pan, że znajdziecie moją ślicznotkę?
- - Trudno przewidzieć.
- Innymi słowy, nie. Cóż, takie jest życie, i tak miała już rok. Ale gdyby stał się cud, proszę mi ją zwrócić tylko, jeśli będzie w idealnym stanie. Jeśli nie, przekazcie ją na policyjny fundusz charytatywny i dajcie znać, czy mogę to odpisać od podatku. Łatwo przyszło, łatwo poszło, prawda, poruczniku?
- Dobrze podejście.
- Mąż uważa, że jestem patologicznie beztroska, ale niech pan zgadnie, kto bardziej cieszy się życiem. Tak czy inaczej, nie było tam dużo gotówki, z osiemset, dziewięćset dolarów, a magiczny plastik zablokowałam.
- Czy ktoś próbował korzystać z kart?
- Dzięki Bogu nie. Moja czarna AmEx nie ma limitu. Telefon to też nie problem, przyszła już pora wymienić go na nowszy model. Teraz opowiem panom o facecie, który mnie obserwował. Był tam już, kiedy wjechałam na parking, więc mnie nie śledził. Prawdopodobnie czaił się na gołąbka, to dobre określenie? A we mnie zobaczył idealną małą gołębicę.
- Z powodu torebki.
- Torebki, ubrań, wszystkiego. - Kościste ręce przesunęły się po kościstych bokach. - Byłam odstawiona, panowie. Nawet kiedy poluję na *le grandę bargainne*, ubieram się szykownie.
- Jak on panią obserwował? - spytał Milo.
- Patrzył na mnie. Przez okno samochodu.
- Zamknięte?
- Tak. I przyciemniane, więc nie mogłam się facetowi dobrze przyjrzeć. Ale jestem pewna, że miał na mnie oko. - Zawinięte rzęsy zatańczyły. - Nie pochlebiam sobie, poruczniku. Niech mi pan wierzy, patrzył na mnie.
- Co pani pamięta z jego wyglądu?
-
- Typ kaukaski. Nie widziałam szczegółów, ale był tak odwrócony, że miałam dobry widok na jego twarz. - Palec z czerwonym paznokciem dotknął kolagenowych ust. - Jasna skóra. Ale mógł to być też blady Latynos albo Azjata. Nie czarny, na pewno.
- Cały czas siedział w samochodzie?

- -l patrzył na mnie. Po prostu wiem, że śledził mnie wzrokiem.
- Miał włączony silnik?
- Hm... nie, chyba nie... nie, zdecydowanie nie.
- Wszystko widziała pani przez szybę.
- - Tak, ale tu nie chodzi o to, co widziałam, tylko co czułam. Zna pan uczucie łaskotania na karku, kiedy ktoś się panu przygląda.
- Jasne - powiedział Milo.
- Cieszę się, że pan rozumie, bo mój mąż nie rozumie. Jest przekonany, że sobie pochlebiam.
- Ci mężowie... - wyszczerzył się Milo.
- Uśmiech Wasserman sprawdził, gdzie kończy się szkieletowa twarz.
- Czy w samochodzie mogła być więcej niż jedna osoba, pani Wasserman?
- Pewnie tak, ale miałam wrażenie, że jest tylko jedna.
- Wrażenie.
- - Robił... pojedyncze wrażenie. - Dotknęła zapadniętego brzucha. - Ufam temu.
- Może pani powiedzieć o nim coś jeszcze?
- W pierwszej chwili pomyślałam, że to zachowanie zwykłego faceta, oceniającego towar.

Kiedy ukradziono mi Badge'a, zaczęłam dochodzić do wniosku, że mógł coś knuć. Czy z telefonu korzystano?

- Tak, proszę pani.
- - Gdzie dzwonił? Do dalekiej Mongolii? - Do L.A.
- - Cóż... - Angelinę Wasserman westchnęła. - To dowodzi braku kreatywności. Może się myliłam.
- Co do czego?
- Że to jakiś większy kryminalista, a nie zwykły łobuz.
- Większy kryminalista, bo wiedział, co to jest Badge? - zdziwił się Milo.
- Ogólnie: przyjechał do Barneysa, miał rovera.
- Rangę rovera?
- Bardzo ładnego, lśniącego i nowego.
- W jakim kolorze?
-
- - Srebrnym, mój jest antracytowy. Dlatego w pierwszej chwili nie przeszkadzało mi, że na mnie patrzy. Oboje w roverach, zaparkowanych obok siebie? To bliźniacza karma, wie pan?
-
- **33**
- Przyniesiono nowy stos dywanów. Angelinę Wasserman przyjrzała się ich skrajom.
-
- Jakie poplątane.
- Jak moje życie - mruknął Milo. Jeśli go usłyszała, nie zareagowała.
- Danusie, to najlepsze, jakie masz?
- Czarna AmEx, nieużywana - powiedziałem, jadąc na Butler Avenue.
- - Wiem, to samo, co z Gaidelasami. Ale wyobrażasz ich sobie jeżdżących rangę roverem, który zupełnie przypadkiem wygląda identycznie, jak ten Nory Dowd?

- Nie musiałem odpowiadać. Kiedy dotarliśmy na posterunek, Milo zażądał wiadomości od nowego recepcjonisty, przerażonego, łysiejącego mężczyzny pod pięćdziesiątkę o imieniu Tom.
- - Nic do pana nie ma, poruczniku - oświadczył. - Przysięgam.
- Poszedłem za Milem na górę. Kiedy dotarł do swojego gabinetu, rozpakował teczkę, położył raport z autopsji obok komputera i wydał polecenie szukania range rovera.- A co powiesz na to, Alex: Nora i Meserve mają gniazdko miłości w rejonie 805, a foldery służyły tylko odwróceniu uwagi. Myślę o czymś blisko plaży, bo co to za bogata dziewczyna, która nie ma domu na plaży? Może być w samym Camarillo albo dalej na północy: Oxnard Harbor, Ventura, Carpinteria, Mussel Shoals, Santa Barbara, albo jeszcze dalej.
- - Albo na południu - zauważyłem. - Może Meserve wcale nie znał Latigo, bo tam wędrował.
- - Nora to dziewczyna z Malibu - odparł Milo. - Ma kryjówkę w górach.
- - Obiekt zarejestrowany na nią osobiście, nienależący do BNB.
- -Łatwo sprawdzić, od czego płaci podatek od nieruchomości. - Milo włączył komputer. Ekran rozbłysł na niebiesko, poczerniał, zamigotał i zgasł. Kolejne próby uruchomienia nic nie dały. - Obrzucanie go obelga mi to marnowanie powietrza - stwierdził Milo. - Skorzystam z cudzego komputera.
- Wykorzystałem ten czas, żeby zostawić wiadomość na sekretarce Robin. Jeszcze raz przejrzałem raport z autopsji Michaeli. Zabawa z żyłami i arteriami. Dom Gry. Nora zmęczyła się teatralną abstrakcją. Poznała Dy lana Meserve'a i odkryła wspólne zainteresowania. Balsamowanie. Dobór ulubieńców Nory. Milo wrócił.
- Dobrze wieści? - spytałem.
- O ile twoim wyobrażeniem sukcesu jest porażka. Padła sieć, serwis wezwano kilka godzin temu. Jadę do śródmieścia, do biura asesora, żeby zdobyć informacje po staremu. Jeśli pijawki podatkowe porozumiewają się ze swoimi kolesiami w innych hrabstwach, może uda mi się sprawdzić Venturę i Santa Barbara. Jeśli nie, znów ruszam w trasę.
- Zanucił piosenkę Williego Nelsona.
- Dobrze to znosisz.
- Ćwiczę w ramach przesłuchania.
- Do roli?
- Osoby umysłowo zrównoważonej.
- Złapał marynarkę, otworzył drzwi i przytrzymał je dla mnie.

- Wypychanie - rzuciłem. - Co?
 - Koroner wspominał o balsamowaniu. Przypomnij sobie pieska Nory. Milo z powrotem usiadł.
 - Masz na myśli jakieś straszne połączenie sztuki i rzemiosła?
 - Myślałem raczej o rekwizycie scenicznym.
 - Do czego?
 - Do Grand Guignol.
-
- Zamknął oczy, przycisnął pięść do skroni.
-
- Co tobie siedzi w głowie... - Powieki się uniosły. - Jeśli Dowd i Meserve mają makabryczne hobby, dlaczego nie zrobili nic z Michaelą?
 - Odrzucili ją - odparłem. - Tak samo Tori Giacomo. Albo nie. Trudno stwierdzić po kupce kości.
 - Dlaczego?
 -
-
- Pokręciłem głową.
-
- Przy takiej patologii symbolika może być niezrozumiała dla osób postronnych.
 - Dwie ładne dziewczyny, nienadające się do roli - podsumował. - A Gaidelasów nigdy nie odnaleziono. Co znaczy, że ich głowy być może wiszą na ścianie? - Znów rozmasował skroń. - Dobrze, skoro obrazy utrwaliły się już w głowie i na pewno będę miał cudowny dzień, wynośmy się stąd w cholerę. - Wszedł na korytarz, ja podreptałem za nim. - W łeb i na ścianę - mruknął przy schodach. - Zawsze mogę na ciebie liczyć, kiedy trzeba mnie rozweselić.
 - Miłego dnia, poruczniku - zawołał Tom Recepcjonista, kiedy wychodziliśmy.
-
- Odpowiedź Mila była niecenzuralna i wygłoszona *sotto voce*. Zostawił mnie na chodniku i poszedł na służbowy parking. Jego irytacja na zgubione wiadomości skojarzyła mi się z wczorajszym obrzydzeniem na twarzy Alberta Beamisha. Wrodzona zgryźliwość? Czy może starzec, zawsze chętny obrzucić Dowdów błotem, poszperał i dowiedział się czegoś użytecznego? Próbował o tym donieść, ale nikt do niego nie oddzwonił? Nie było sensu przeładowywać obwodów Mila. Pojechałem do Hancock Park. Na dzwonek do drzwi Beamisha odpowiedziała mała indonezyjska służąca w czarnym mundurku, trzymająca zakurzoną miotełkę z piór.

- Z panem Beamishem proszę.
 - Nie w domu.
 - Wie pani, kiedy on wróci?
 - Nie w domu.
-
- Idąc do domu Nory, przyjrzałem się uważnie drzwiom garażu. Zamknięte. Szturchnąłem jedno skrzydło. Lekko ustąpiło, ale gołymi rękami nie byłem w stanie rozsunać ich dostatecznie. Na szczęście mnie nie obowiązywały zasady pozyskiwania dowodów. Z bagażnika seville'a wyjąłem łom, wróciłem, trzymając go wzdłuż nogi, i spróbowałem rozewrzeć drzwi choć na kilka centymetrów. Uderzył mnie zapach zwiędzłej benzyny. W środku nie było rangę rovera ani żadnego innego pojazdu. Przynajmniej Milo mógł nie martwić się o nakaz.
-
- Zapiszczała moja komórka.
-
- Doktor Delaware? Tu Karen z pana centrali. Mam wiadomość od doktora Gwynna, oznaczoną jako priorytet. Prosił, żeby przyjechał pan do niego do gabinetu, kiedy tylko będzie pan mógł.
-
- Doktor Gwynn jest kobietą - powiedziałem.
-
- - Och... przepraszam, to Louise zapisywała, ja jestem tu nowa. Trzeba zaznaczać płeć?
-
- Niech pani sobie tym nie zawraca głowy. Kiedy był ten telefon?
 - Dwadzieścia minut temu, tuż przed moją zmianą.
 - Czy doktor Gwynn podała, dlaczego mam przyjechać?
 - Napisane jest tylko, że jak najszybciej, doktorze. Podać numer?
 - Znam, dziękuję.
-
- Skoro Allison do mnie dzwoniła, musiało się coś stać. Jej babka. Kolejny wylew? Najczarniejszy scenariusz? Nawet jeśli tak, po co by do mnie dzwoniła? Może dlatego, że nie miała nikogo innego. Włączyła się jej sekretarka. Pojechałem do Santa Monica. Pusta poczekalnia. Czerwone światełko obok jej nazwiska nie świeciło się, co znaczyło, że Allison

nie ma pacjenta. Pchnąłem drzwi do gabinetów, przeszedłem korytarzem do narożnego pokoju. Zapukałem, nie zaczekałem na odpowiedź. Allison nie było za biurkiem. Ani w jednym z miękkich, białych foteli dla pacjentów.- Allison? Nikt nie odpowiedział. Coś tu nie grało. Zanim rozwinąłem tę myśl, tył mojej głowy eksplodował bólem. Jak młotkiem w arbuza. Rysownicy kreskówek mają rację: naprawdę widzi się gwiazdy. Obróciłem się, znów dostałem. Tym razem w kark. Opadłem na kolana. Rozpaczliwie czepiałem się resztek przytomności. W moim prawym boku zapłonął nowy ból. Ostry, przeszywający. Ktoś mnie dźgnął? Ciężki oddech za mną, ktoś sapnął z wysiłku, mignęła noga w ciemnej nogawce. Drugi kopniak w żebra odebrał mi resztki woli walki. Padłem na twarz.

- Twarda skóra dalej obrabiała moje żebra. Głowa huczała mi jak dzwon. Próbowałem się osłaniać przed ciosami, ale straciłem czucie w rękach. Nie wiem dlaczego, liczyłem. Trzy kopniaki, cztery, pięć, sześć, do pa...

34

- Szary zupowaty świat, oglądany z dna garnka. Zatonąłem w fotelu, zamrugałem, próbując przejrzeć na oczy, które nie chciały się otworzyć. Ktoś grał solo na trąbce. Powieki w końcu zaczęły współpracować. Sufit runął w dół, zmienił zdanie, skoczył na wiele kilometrów w górę, jak białe gipsowe niebo.
- Niebieskie niebo. Nie, niebieski był po lewej. Ze smugą czarnego na górze. Jasnoniebieski, kolor dokładnie taki sam, jak smak spalonego korka w moim gardle. Czarny, to włosy Allison. Jasnoniebieski, jeden z jej kostiumów. Zalała mnie fala wspomnień. Dopasowana marynarka, spódnica na tyle krótka, żeby ukazać ładne kolana. Plecioną lamówką klap, zakrywane guziki. Dużo guzików; rozpinanie ich trwało rozkosznie długo. Ból w czaszce wysunął się na prowadzenie. Moje plecy i prawy bok... Ktoś się poruszył. Nad Allison. Po prawej.

- Nie widzisz, że on potrzebuje pomocy...
- Zamknij się!

- Powieki mi opadły. Znów zamrugałem. Zrobiłem z tego ćwiczenie akrobatyczne i w końcu odzyskałem jako taką ostrość widzenia. Oto ona. W białym, miękkim fotelu, w którym nie było jej... kiedy? Próbowałem zerknąć na zegarek. Wyglądał jak srebrny, gładki dysk. Trochę mi się przejaśniło w oczach. Miałem rację: była ubrana dokładnie w ten kostium, który sobie wyobraziłem, przybijcie chłopcu piątkę... Poruszenie z prawej. Nad Allison stał doktor Patrick Hauser. Jedna jego ręka zniknęła w jej włosach. W drugiej trzymał nóż, przyciśnięty do gładkiej, białej szyi.

- Czerwona rękonoś. Szwajcarski scyzoryk, większa wersja. Z jakiegoś powodu uznałem, że to przezabawna amatorszczyzna. Szalę przeważało ubranie Hausera. Biała koszula golfowa,

luźne brązowe spodnie, brązowe pantofle. O wiele za eleganckie do takiego stroju. Biały był nieodpowiednim kolorem, jeśli chciało się uniknąć trudnych do sprania plam krwi. Koszula Hausera miała plamy potu, ale czerwieni na niej nie widziałem. Szczęście początkującego. Nie było sensu drażnić oprawcy. Uśmiechnąłem się.

- - Coś cię bawi?
- Miałem tyle ciętych ripost. Zapomniałem wszystkie. Brzdęk. Brzdęk. Allison spojrzała w prawo. Za Hausera, na biurko? Nie było tam nic oprócz ściany i szafy. Drzwi po otworzeniu blokowały szafę. Ciemnoniebieskie tęczęwki znów się poruszyły. Zdecydowanie biurko. Jego drugi koniec. Leżała tam torebka.
- - Siadaj i bierz długopis - rozkazał Hauser. Już siedziałem. Głuptas.
- Rozłożyłem ręce, żeby mu pokazać, uderzyłem w poręcz drewnianego fotela. Wcale nie siedziałem. Prawie leżałem, z głową odrzuconą w tył i dziwnie wygiętym kręgosłupem. Może dlatego wszystko tak mnie bolało. Spróbowałem się wyprostować, prawie zemdlałem.
- - Dalej, wstawaj, wstawaj - szczechnął Hauser.
- Każdy centymetr ruchu rozpałał grzałki tostera, które zastąpiły moje nerwy kręgosłupa. Osiągnięcie pozycji siedzącej zajęło mi lata, a męka odebrała oddech. Wdechy były piekłem, wydechy o wiele gorsze. Jeszcze kilka stuleci i wzrok mi się poprawił. Zacząłem widzieć w perspektywie: Allison i Hauser byli pięć metrów ode mnie. Mój fotel przysunięty do biurka. Po tej stronie, po której mógłby siedzieć pacjent szukający porady. Na jasnym, dębowym blacie karty i szpargały Allison. Zajmowała się papierkową robotą, kiedy on...
- - Bierz długopis i pisz - zagrzmał Hauser.
- Jaki długopis? Ach, tam był, chował się w hałasie i kolorach. Obok białej, czystej kartki.
- - Piś-so? - zapytał jakiś komiczny głos. Odchrząknąłem. Obliziałem usta. Powtórzyłem: - Pi...saśso?

- -Przestań udawać - warknął Hauser. - Nic ci nie jest.
- Allison poruszyła lewą stopą. Bezgłośnie wymówiła coś, co wyglądało jak: „przepraszam”. Skrzywiła się, kiedy ostrze naparło na jej skórę. Hauser wydawał się nieświadomy własnego poruszenia ani jej reakcji.

- Pisz, sukinsynu.
- Jasne - wymamrotałem. - Ale może mi pospo... podpowiesz?
- Odwołasz wszystko, co powiedziałaś tej cholерnej prawniczce. Napiszesz, że tamte dziwki kłamią. Podpis i data.
- Apofem?
- Co potem?
- Sobęse jacho napisę?
- Zobaczymy, ty nieetyczny dupku.
- Eesyszny.
- Jak się już przyznasz, wszystko pójdzie gładko.
- Dla kogo?

- Okulary zjechały mu z nosa i szarpnął głową, żeby je poprawić. Kiedy to zrobił, ostrze odsunęło się od szyi Allison. Zaraz wróciło.
- Zamknij się i pisz albo ją porzně i zwałę winę na ciebie.
- Mówisz poważnie.
- - A wyglądam, jakbym żartował? - Oczy mu zwilgotniały, dolna warga zadrżała. - Było świetnie, dopóki wszyscy nie zaczęli kłamać. Całe życie pomagałem innym. Pora zatroszczyć się o siebie. Udało mi się podnieść długopis, prawie go upuściłem. Ciężki mały drań, robią je teraz z ołowiu czy jak? Czy ołów nie był szkodliwy dla dzieci? Nie, to ołówki. Nie, grafit... Poruszyłem prawą ręką i jej koleżanką. Odrętwienie minęło. Ból się nie zmniejszył, ale zaczynałem się czuć jak człowiek.
- - Żeby to było wiągo... wiąrgo... wia-ry-godne, nie musi tego poświęcić notariusz?
- Hauser oblizał wargi. Okulary znów mu zjechały, ale nie próbował ich poprawiać.
- Przestań udawać, nie uderzyłem cię aż tak mocno.
- Dzięki - odparłem. - Ale pytanie wciąż jest... istotne...
- Ty pisz, ja się będę martwił, co istotne, a co nie.
- Długopis przestał wyrywać mi się z ręki, ułożył się niezgrabnie między serdecznym a środkowym palcem. Zdołałem ustawić go w pozycji do pisania. Allison mi się przyglądała.
- Przerazałem ją. Długopis z ołowiu; co na to Agencja Ochrony Środowiska?
- No to piszę - zasygnalizowałem. - Już. Jak? - Co, jak?
- Jakimi słowami?
- Zaczynaj od przyznania, że jesteś patologicznym kłamcą, niezdolnym do prowadzenia praktyki.
- Mam pisać w pierwszej osobie?
- A co powiedziałem? - Policzki Hausera zatrzęśły się z gniewu. Jego ręka z nożem po raz kolejny odsunęła się od skóry Allison.

- Hauser nie miał podzielnej uwagi. Prawą ręką szarpnął Allison za włosy. Sapnęła, zamknęła oczy i przygryzła wargę.
- Nie rób jej krzywdy - poprosiłem. - Nierobie...
- Ciągniesz ją za włosy.
- Hauser spojrział w dół, na swoją rękę. Przestał ciągnąć.
- Tu nie chodzi o nią.
- No właśnie.
- Powinieneś mi podziękować - powiedział. - Gdybym chciał ci naprawdę dołożyć, użyłbym pałki. A ja walnąłem cię gołą ręką. Tak jak ty mnie. Poobijałem sobie pięść. Nie lubię przemocy, walczę tylko o sprawiedliwość.
- Kopalesz mnie w zębra - burknąłem tonem nadąsanego dziecka.
- - Ty zacząłeś, uderzyłeś mnie w restauracji. Chciałem porozmawiać. Miej pretensje do siebie.
- W restauracji mnie wystraszyłeś - powiedziałem. Uśmiechnął się.
- A teraz się boisz? - Tak.
- - Więc opanuj strach. Bądź ponad to. Zaczynj pisać, a wszyscy rozejdziemy się do domów.
- Wiedziałem, że kłamie, ale mu uwierzyłem. Spróbowałem znów się uśmiechnąć. Patrzył gdzieś za mnie. Allison zerknęła na torebkę. Zamrugowała kilka razy.
- - Może zacznę tak... - zaproponowałem. - Nazywam się Alex Delaware, jestem psychologiem klinicznym z licencją stanu Kalifornia, numer 45...

- Mówiłem dalej, a Hauser potakiwał krótkimi kiwnięciami głowy.
 - - Dobrze. Pisz.
 - Nachyliłem się nad biurkiem, zasłaniając prawą rękę lewą. Opuściłem długopis tuż nad kartkę i zacząłem nim poruszać.
-
- O nie - jęknąłem. - Nie pisze.
 - Gówno prawda, nie próbuj... Podniosłem długopis.
 - Co mam zrobić?
-
- Hauser się zamyślił. Nóż się odsunął.
-
- Weź drugi z szuflady. Nie denerwuj mnie. Z trudem wstałem, przytrzymując się krzesła.
 - Nachylić się nad biurkiem czy iść naokoło?
 - Idź naokoło. W tę stronę. - Pokazał w prawo.
-
- Obchodząc biurko, zaczepiłem torebkę Allison rękawem. Otworzyłem szufladę, wyjąłem kilka długopisów, przystanąłem, żeby odpocząć. Nie udawałem; odnosiłem wrażenie, że zamiast żeber mam tłuczone kotlety. W drodze powrotnej znów dotknąłem torebki, zaryzykowałem rzut okiem. Otwarta. Zły nawyk Allison. Dałem sobie już spokój z upominaniem. Udałem, że uderzam się w nogę o kant biurka. Krzyknąłem z bólu i upuściłem długopisy.
-
- Idiota!
 - Nie łapię równowagi. Chyba coś mi przetrąciłeś.
 - Gówno prawda, nie uderzyłem cię tak mocno.
 - Straciłem przytomność. Może mam wstrząśnienie mózgu.
-
- - Twoja głowa się nie ruszała, a gdybyś miał podstawową wiedzę o neuropsychologii, pamiętałybyś, że poważne wstrząsy najczęściej są skutkiem zderzenia dwóch poruszających się przedmiotów.
 - Spojrzałem na dywan.- Podnieś je! Schyliłem się, pozbierałem długopisy. Wróciłem na fotel. Hauser patrzył. Nóż odsunął się kilka centymetrów od gardła Allison, ale prawa ręka Hausera wciąż mocno trzymała pasma włosów. Spojrzałem jej w oczy. Przesunąłem się w prawo, dalej od Hausera. To go uspokoiło. Allison mrugnęła.
 - - Jeszcze jedno... - zacząłem.

- Zanim Hauser zdążył mi przerwać, Allison uderzyła go w rękę z nożem, wykręciła się i wyrwała z uchwytu. Krzyknął. Pobiegła do drzwi, on za nią. Złapałem torebkę, wsadziłem mrowiące palce do środka, znalazłem. Błyszczący mały automat Allison, idealnie pasujący do jej dłoni, dla mnie za mały. Niedawno go naoliwiła i może trochę smaru wydostało się na rękojeść. Albo moja sprawność mocno ucierpiała i dlatego drżącymi rękami nie mogłem chwycić pistoletu. W końcu się udało, wycelowałem, trzymając broń oburącz. Hauser był tuż za Allison, czerwony i zasapany, z uniesionym ostrzem. Sięgnął, złapał garścią za włosy, szarpnął jej głowę w tył, zamachnął się nożem. Strzeliłem mu pod kolano. Nie upadł od razu, więc strzeliłem pod drugie. Do pary.

35

- Przez dziesięć lat pracowałem w szpitalu. Pewne zapachy nigdy się nie zmieniają.
- Robin i Allison siedziały przy moim łóżku. Obok siebie. Jak przyjaciółki. Robin na czarno, Allison wciąż w błękitnym kostiumie. Pamiętałem szturchanie, sondowanie i inne upokorzenia, ale nie to, jak mnie tu wieźli. USG i rentgen były nudne, tomografia trochę klaustrofobiczna i zabawna. Znieczulenie okołordzeniowe nie było zabawne ani trochę. Ale już mnie nic nie bolało. Ale ze mnie twardziel. Robin i Allison - a może Allison i Robin - się uśmiechnęły.
- - Co to jest - spytałem - jakiś konkurs piękności? W polu widzenia pojawił się Milo. - Wycofuję, redaguję i refraktuję wszystkie dotychczasowe oświadczenia vis-a-vis rywalizacji estetycznej.
- Dookoła uśmiechy. Byłem duszą towarzystwa.
- - Rzykując całkowicie bonanzalną i banalistyczną kliszę, gdzie, kurczaczki, jestem, w sensie szpitalnym?

- W Cedars - powiedział Milo wolno i cierpliwie, co sugerowało, że odpowiada na to pytanie nie po raz pierwszy.
- Widziałeś się z Rickiem? Powinieneś, nie spędzacie razem dość czasu.

- Zbolałe uśmiechy. Czas, najważniejszy jest czas.
- - Panie i katowie - odezwałem się znowu. Milo przysunął się bliżej.

- Rick kazał cię pozdrowić. Dopilnował, żeby zrobili wszystko, co trzeba. Nie masz wylewów, a twój mózg nie jest spuchnięty bardziej niż zwykle. Tylko kilka poobijanych kręgów szyjnych i dwa pęknięte żebra. Stąd król Tut.
- Stąd. Trąd. Swąd. - Dotknąłem swojego boku, poczułem sztywną warstwę bandażu. - Rick nie operował? Nie było noża w plecy?
- Nie tym razem, kolego.

- Zasłaniał mi pole widzenia. Powiedziałem mu to i wycofał się w kąt pokoju. Spojrzałem na dziewczyny. Moje dziewczyny. Obie takie poważne. Może nie powiedziałem tego dość głośno.
- - Nie było nożyka w plecki?
- Dwie sympatyczne próby współczującego śmiechu. Ja tu umierałem.
- - Właśnie wróciłem z Lost Wages - powiedziałem. - Rany, ależ moja dyskografia kręgową jest skonana.
- Robin powiedziała coś do Allison, a może na odwrót. Wszystko było jak precel, skręcony z ładnych dziewczyn, z musztardą i solą kto, do cholery, mógłby go rozplatać...

- Co? - krzyknął ktoś, kto miał głos taki sam jak mój. - Jaka osnowa konwersacji wplata się w wątek uczestniczek?
- Musisz się przespać - szepnęła Allison. Wyglądała, jakby miała się rozplakać.

- Robin też. Pora na nowy materiał...

- Wczoraj spałem doskonale. Dziewczyny!
- Podali ci środki uspokajające - wyjaśniła Robin. - Cały czas jesteś na proszkach.
- Demerol - dodała Allison. - Później będziesz mógł wziąć percocet.
-

- -Po co to zrobili? - spytałem. - Nie biorę prochów, znieczuliła mnie samo życie.
- Robin wstała i podeszła do łóżka. Allison tak samo, trzymając się trochę z tyłu. Jakie perfumy! Rany!
- - Używasz Chanel? - spytałem Mila. - Podejdz, stary, i przyłącz się do wędchowej celebracji!
- Allison spojrzała mi w oczy. Nie musiała już zerkać na torebkę, miała ją w ręku.

- Gdzie byłaś? - spytałem. - Kiedy wszedłem do twojego gabinetu, nie byłaś.

- Zamknął mnie w szafie.
- Biedactwo - westchnęła Robin.
- Ona czyja? - spytałem.

- - Oboje. - Ścisnęła dłoń Allison. Allison spojrzała na nią z wdzięcznością.
- Wszyscy byli tacy smutni. Strata energii, pora się ubrać, napić soku i kawy, może zjeść ciastko i zniknąć stąd jak najszybciej... gdzie moje ubranie... Ubiorę się przy nich, jesteśmy kumplami. Musiałem powiedzieć coś w tym rodzaju, może trochę wulgarniej, bo obie dziewczyny - moje śliczne dziewczyny - wyglądały na zaszokowane. Robin odetchnęła i poklepała moją dłoń, tę bez kroplówki. Allison chciała zrobić to samo, widziałem, że bardzo chciała, może nawet wciąż mnie lubiła, no wiecie jak, ale kroplówka jej nie pozwoliła.
- - Nie ma problemu - powiedziałem - ty też możesz mnie poklepać. Usłuchała.
- - Weźcie mnie za ręce! - rozkazałem. - Obie! Wszyscy trzymajmy się za ręce. Posłuchały. Grzeczne, śliczne dziewczyny.

- Ty - zwróciłem się do Mila - nie możesz mnie za nic potrzymać.
- A niech to - mruknął. Znow zasnąłem.
-

36

- Rick chciał, żebym został w szpitalu jeszcze jedną dobę na obserwacji, ale ja powiedziałem „dość”. Wykorzystał cały swój lekarski autorytet, ale nic nie pomaga w obliczu uporu na skalę przemysłową. Wezwałem taksówkę i wypisałem się na własną prośbę, zabierając ze sobą sporą torbę środków przeciwbólowych, przeciwwzapalnych i sterydów, ze sporządzoną drobnym drukiem listą straszliwych efektów ubocznych. Robin była u mnie wcześniej. Allison raz dzwoniła, ale już nie wpadła.
- Muszę ją lepiej poznać - stwierdziła Robin. - Jest urocza.
- Kobieca więź? - spytałem.
- Fajna babka, to wszystko.
- -1 rozmawiałyście o pogodzie.- Egomaniak. - Poglaskała mnie po głowie. - Dzwoniłam do ciebie w środę, bo postanowiłam się wprowadzić. Wciąż tego chcesz? - Tak. - Allison nie ma nic przeciwko.
- Nie wiedziałem, że potrzebna nam jej zgoda.
- Ona cię uwielbia - zauważyła Robin. - Ale ja cię kocham.
- Nie miałem pojęcia, co chciała przez to powiedzieć. Odzyskałem dość władzy nad sobą,

żeby nie pytać.

- Mówiłam, że może cię odwiedzić, jeśli ma ochotę, ale ona chce, żebyśmy spędzili trochę czasu razem. Męczą ją straszne wyrzuty sumienia po tym, co się stało, Alex.
- Dlaczego?
- Zwabiła cię do Hausera.
- Przyłożył jej nóż do gardła, nie miała wielkiego wyboru. Hauser na pewno się rozpytał i dowiedział, że kiedyś... chodziliśmy ze sobą. Znajomość ze mną naraziła Allison na niebezpieczeństwo. To ja muszę ją przeprosić.

- W oczach wezbrały mi łzy. O co chodzi? Robin je wytarła.

- To niczyja wina, Alex, facet jest najwyraźniej niezrównoważony.
- Teraz będzie niezrównoważonym kaleką. Ciekawe, kiedy policja przyjedzie mnie przesłuchać.
-

- -Milo się tym zajął. Stwierdził, że ze względu na poprzednie aresztowanie Hausera nie powinno być problemów.

- W doskonałym świecie - skomentowałem. Chłodne usta musnęły moje czoło.
- Wszystko będzie dobrze, skarbie. Musisz odpoczywać i zdrowieć...
- Allison naprawdę ma do siebie pretensje?
- Uważa, że powinna być ostrożniejsza, skoro mówiłeś jej o Hauserze.
- Totalna bzdura.

- - Na pewno będzie zachwycona, jeśli sam jej to przekażesz. Dokładnie tymi słowami.
- Zaśmiałem się. Bandaże na moich żebrach zamieniły się w worki z tłuczonym szkłem.
- - Boli, kochanie?- Ani trochę.

- Mój biedny kłamczuszk. - Pocałowała mnie w oczy, potem w usta. Za delikatnie, cholera, potrzebowałem czegoś bliższego bólu, objąłem ją i przyciągnąłem do siebie. Kiedy się w końcu oderwała, była bez tchu.
- Więcej, kobieto! - zawołałem.

- Wsunęła rękę pod prześcieradła, sięgnęła w dół.
- Ta jedna część wydaje się sprawna.
- Człowiek ze stali - powiedziałem. - Naprawdę wracasz?
- Jeśli chcesz.
- Oczywiście, że chcę.
- Może kiedy ból minie, zmienisz... Położyłem jej palec na ustach.
- Kiedy się przeprowadzasz?
- - Za kilka dni. - Pauza. - Chyba zachowam studio. Jak powiedziałeś, do pracy.
- - I żebyś mógł ode mnie uciekać - dodałem. - Nie, kochanie, tego mam już dość.

37

- Wyszedłem ze szpitala, usiłując wyglądać jak ktoś, kto tam pracuje. Taksówka przyjechała dziesięć minut później. W domu byłem o siódmej wieczorem. Seville stał przy krawężniku; kolejna rzecz, którą zajął się Milo. Taksówkarz wpadł w kilka wybojów w West Hollywood. Miasto, które kocha dekoracje, unika rzeczy przyziemnych. Ból przy każdym wstrząsie dodawał otuchy; potrafię to znieść. Schowałem percocet do szafki na lekarstwa, otworzyłem nowe opakowanie ibuprofenu max. Gdyby to i szkocka nie pomogły, spróbowałbym vicodinu. Milo nie odzywał się od wczorajszej wizyty w szpitalu. Może to oznaczało jakieś postępy. Złapałem go w samochodzie.
- Dzięki, że odprowadziłeś mój samochód.
- To nie ja, to Robin. Jesteś grzecznym pacjentem?
- Wróciłem do domu.
- Rick się zgodził?
- Doszliśmy do porozumienia. Cisza.
- Bardzo mądrze, Alex.
- Gdybyś sam go słuchał, nosiłbyś lepsze krawaty. Znów cisza.
- Nic mi nie jest - powiedziałem. - Dzięki, że zająłeś się Hauserem.
- Na tyle, na ile się zająłem.
- Czekają mnie kłopoty?
- Trochę gówna będzie, ale ci, co się znają na rzeczy, mówią, że dasz sobie radę. Tymczasem dupek siedzi w areszcie, ma na sobie żółtą piżamę i ogląda kleksy. Co się stało, implodował?
- Podjął złe decyzje i przeniósł je na mnie. Jak mocno oberwał?
- W najbliższym czasie w piłkę sobie nie pogra. Pukawka Allison się przydała, co?

- Jeszcze jak. Znalazłeś nieruchomości należące do Nory Dowd w okolicy 805?
- Z powrotem do roboty - burknął. - Ot, tak.
- Posłuchałem mądrej rady.
-
- - Czyjej?
- - Swojej. Zaśmiał się.
-
- Nora ma trzy nieruchomości w rejonie 805, zapisane na siebie. Mieszkanie w Carpinteria, dwa domy w Goleta. Wszystko zostało wynajęte bezterminowo. Lokatorzy nigdy nie widzieli właścicielki na oczy, ale ją lubią, bo ma niskie czynsze.
- BNB zajmuje się tymi budynkami?
- Nie, firma z Santa Barbara. Rozmawiałem z kierownikiem. Nora przysłała czeki pocztą, nigdy nie przyjeżdża osobiście. To wszystko, Alex. Żadnej garsoniery, żadnego bezpośredniego związku z Camarillo, żadnej kryjówki w Malibu. Może ona i Meserve zadzwonili, a potem rzeczywiście wyjechali w tropiki.
- A bracia mają tam nieruchomości? - spytałem.
- Dlaczego pytasz? Billy to przygłup, a Brad nienawidzi Meserve'a. Jak dotąd poszukiwania skrytek Peaty'ego nic nie dały. Kiedy skończę z Armandem Vasquezem, zajmę się prywatnymi liniami.
- Co masz zrobić w sprawie Vasqueza?
- Drugie przesłuchanie. Pierwsze było wczoraj wieczorem, jego obrońca zadzwonił o jedenastej w nocy, że Armando chce pogadać. Jako wierny sługa społeczeństwa pojechałem tam. Vasquez zdecydował się rozwinąć trochę historię z telefonami. Twierdził, że to nie był pierwszy raz; to samo zdarzyło się tydzień wcześniej; nie pamięta dokładnie, kiedy ani ile razy. Nikt się nie rozłączał, tylko szeptał, że Peaty to niebezpieczny zboczeniec, który może zrobić krzywdę żonie i dzieciom Vasqueza. Prokurator chce storpedować wszelkie tłumaczenia obrony, więc muszę się tego trzymać, a oni w tym czasie wyciągają billingi z ostatniego miesiąca. Pokazałem Vasquezowi kolekcję zdjęć. Nigdy nie widział Gaidelasów, Nory ani Meserve'a. Sęk w tym, że nie rozpoznaje też Billy'ego, a Billy na pewno był w mieszkaniu z Bradem. Czyli Vasquez, który przebywał poza domem przez cały dzień, na nic się nam nie przyda. Tak samo jak wszystko inne, do czego dotarłem.
- Chcesz, żebym coś zrobił?
- Wyzdrowiej i przestań udawać mumię. Jeszcze jedna nowość: ciało Peaty'ego zostało właśnie odebrane przez kuzynkę z Nevady. Chciała porozmawiać z detektywem prowadzącym. Powiedziała, że zostawiła kilka wiadomości. Jeszcze raz dzięki, Głupi Tomie. Wcisnąłem ją na jutro po południu, zobaczymy, czy rzuci jakieś światło na psychikę Peaty'ego, tak kazał prokurator. Obrona odmalowuje go jako brutala i wariata, ja mam znaleźć jego dobre strony.
-

- -Skoro mowa o Głupim Tomie... - Opisałem mu pełen obrzydzenia wyraz twarzy Beamisha.
- - To by mnie nie zdziwiło. Może Beamishowi przypomniały się jeszcze inne kradzione owoce... co poza tym... ach, tak, dzwoniłem do sklepów z zaopatrzeniem dla wypychaczy. Nie pamiętają, żeby Nora albo Meserve kupowali u nich przyrządy. Dobra, jestem w Le Grandę Puszka, czekam na pana Vasqueza. Pora dorzucić jeszcze kilka kłamstw do codziennej diety. *
- Świt przyniósł najgorszy ból głowy, jaki w życiu miałem. Sztywne kończyny, kapeć w ustach. Garść ibuprofenu, trzy kubki czarnej kawy i później działałem już sprawnie. O ile nie oddychałem za głęboko.Zadzwoiłem do Allison, podziękowałem automatycznej sekretarce za przytomność umysłu jej pani, przeprosiłem, że została wmieszana w tak paskudną sprawę.Sekretarce Robin powiedziałem, że nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę z kolei jej panią.W książce telefonicznej nie było numeru Alberta Beamisha. Zadzwoiłem do jego kancelarii prawnej.
- Pan Beamish rzadko przychodzi - poinformowała recepcjonistka cierpkim głosem. - Ostatni raz widziałam go tu chyba... z miesiąc temu?
- Emeritus.
- Niektórzy z naszych partnerów są profesorami, więc podoba nam się to określenie.
- Pan Beamish jest profesorem?
- Nie - odparła. - Nigdy nie lubił nauczania. Jego specjalnością są spory.
- Zajechałem pod tudora Beamisha o jedenastej. Drzwi otworzyła ta sama indonezyjska służąca.
- - Tak! - rozpromieniła się. - Pan dom!
- Kilka chwil później przyczłapał sam starzec, ubrany w luźny, biały pulower na brązowej wełnianej koszuli, spodnie z seersuckeru w różowe prążki i kapcie z wilczymi łbami na noskach.Prychnął jak wirtuoz.- Przybywa policjant marnotrawny. Ludzie, czego trzeba, żeby was zmotywować?
- - Mieliśmy mały problem z telefonami - odparłem.
- Zachichotał z radości wszechwiedzy, odchrząknął cztery razy, wycharczał coś mokrego i połknął to.
- Dobrze wykorzystanie moich podatków.
- W jakiej sprawie pan dzwonił?
- Nie wie pan?
- Dlatego tu jestem.
- Nie dostał pan jeszcze wiadomości? Więc skąd...
- Domyśliłem się, panie Beamish, po wyrazie pogardy na pana twarzy, kiedy tędy przejeżdżałem.
- Wyrazie... - Pomarszczone, bezwargie usta wygięły się dwuznacznie. - Prawdziwy

Sherlock.

- Co to za wiadomość? - spytałem.
 - Wzdryga się pan, kiedy mówi, młody człowieku.
 - Jestem trochę obolały.
 - Hulało się za moje dolary?
-
- Rozpiąłem marynarkę, kilka guzików koszuli, pokazałem bandażę.
 - - Połamane żebra?- Kilka.
 - - To samo spotkało mnie w wojsku - oznajmił. - Żadne bohaterstwo, stacjonowałem w Bayonne w New Jersey i jakiś irlandzki ćwok z Brooklynu najechał na mnie jeepem, cofając. Jeszcze kilka centymetrów, a zostałbym bezdzielny, śpiewałbym sopranem i głosował na demokratów.
 - Uśmiechnąłem się.
 - - Niech pan tego nie robi - powiedział. - Pewnie boli jak cholera.
 - - Więc niech mnie pan nie rozśmiesza. Uśmiechnął się. Szczerze, bez pogardy.
-
- Lekarze w wojsku nie mogli mnie w żaden sposób połatać, zawinęli tylko i kazali czekać. Kiedy wróciłem do zdrowia, posłali do Europy.
 - Od tamtej pory medycyna nie zrobiła postępów.
 - Kiedy to się panu stało? Zresztą wcale mnie to nie obchodzi.
 - Dwa dni temu. Zresztą, to nie pańska sprawa.
-
- Wzdrygnął się. Spojrzał spode łba. Skubnął brązowy materiał na zapadniętej piersi. Wybuchnął suchym śmiechem, wykaszłał jeszcze trochę flegmy.
 - - Może się napijemy? - zaproponował, kiedy skończył rzeźnić. - Już prawie południe.
 - Poszedłem za nim przez ciemne, zakurzone, wysoko sklepione pomieszczenia, pełne georgiańskich antyków i chińskiej porcelany.
-
- Jak skończył ten drugi? - spytał.
 - Gorzej niż ja.
 - To dobrze.
 -
-
- Siedliśmy przy okrągłym stole w ośmiokątnej jadalni, tuż obok kuchni z blatami z nierdzewnej stali i poobtłukiwanymi białymi szafkami - najwyraźniej nie zmieniano tam nic od pół wieku. Wielodzielne okna wychodziły na ocieniony ogród. Stół z sezonowanego mahoniu był poprzypalany papierosami i poznaczony śladami wody; wokół stały cztery krzesła w stylu

królowej Anny. Bladozielona tapeta w peonie, błękitniki i fantazyjne pnącza miejscami wyblakła do białości. Na jednej ze ścian wisiało samotne zdjęcie w ramce. Czarno-białe, również spłowiałe na skutek dziesiątków lat działania ultrafioletu. Kiedy Beamish poszedł po drinki, przyjrzałem się fotografii. Chudy, jasnowłosy młody mężczyzna w mundurze kapitana armii stał ramię w ramię z młodą, ładną kobietą. Jej kapelusik spoczywał na czarnych lokach, miała na sobie dopasowany letni kostium i trzymała bukiet kwiatów. W tle wielki okręt. U.S.S. coś tam. W prawym dolnym rogu podpis wiecznym piórem: *04.07.45, Long Beach: Betty i Al. Wreszcie po wojnie!* Beamish wrócił z karafką z rżniętego szkła i dwoma staromodnymi szklankami. Wolno opuścił się na krzesło, usiłując ukryć bolesny grymas. Potem rozmyślił się, przestał go ukrywać.

- - Z czasem nie trzeba dać się pobić, żeby wszystko człowieka bolało - występkał. - Natura załatwia to we własnym okrutnym zakresie.
- Nalał nam na dwa palce, przysunął jedną szklankę w moją stronę.
- - Dzięki za słowa otuchy. - Podniosłem szkło w toaście.
- Chrząknął i się napił. Wyobraziłem sobie Mila za czterdzieści lat, charczącego, popijającego i rozwodzającego się nad żalną kondycją świata. Starego i siwego. Fantazjowanie się skończyło, kiedy doszedłem do „heteroseksualnego” i „bogatego”. Napiliśmy się. Whiskey miała posmak torfu, była słodka przy połykaniu, potem miło paliła w żołądku, przypominając, że to jednak alkohol. Beamish oblizał i odstawił szklankę.

- Dobra rzecz, Bóg jeden wie, dlaczego wyjąłem ten trunek.
- Nietypowy przyptyw hojności - stwierdziłem.
- Wyszczekany gość - mruknął. - Nie ma w panu unizoności publicznego sługi.
- Bo nim nie jestem. Pracuję jako psycholog.

- - Co...? Nie, proszę nie odpowiadać, dobrze słyszałem. Ten gruby detektyw przysłał tu pana, żeby rozmówił się pan z niezrównoważonym dinozaurem?

- - To był mój pomysł. - Opisałem pokrótce swoje stosunki z policją. Spodziewałem się najgorszego.
- Beamish napił się i potarł czubek nosa.

- Kiedy Rebecca zmarła, straciłem sens życia. Dzieci nalegały, żebym poszedł do psychiatry. Posłały mnie do jednego Żyda w Beverly Hills. Przepisał mi pigułki, których nigdy nie brałem, i skierował do Żydówki, psycholog w jego gabinecie. Z miejsca ją skreśliłem, jako kosztowną niańkę, ale dzieci mnie zmusiły. Okazało się, że miały rację. Pomogła mi.
- Cieszę się.

- - Czasami ciągle jest ciężko - wyznał. - Za dużo miejsca w łóżku... Dość tego smędnienia, jeśli posiedzimy tak jeszcze chwilę, przyśle mi pan rachunek. Oto wiadomość, którą zostawiłem grubemu detektywowi: trzy dni temu jakaś kobieta węszyła wokół tamtej sterty bali. - Wskazał w kierunku domu Nory. - Poszedłem tam i spytałem, co robi; odpowiedziała, że szuka swojej kuzynki Nory. Poinformowałem, że Nory nie ma od pewnego czasu i że policja też się panną Dowd interesuje. Nie wyglądała na zaskoczoną... doktorze?
- - Wystarczy Alex.
- - Ściągał pan na egzaminach? - warknął Beamish. - Nie...
- - Więc zasłużył pan na swój cholerny tytuł i ma go pan używać, na Boga. Jedno, czego nie znoszę, to fałszywa poufałość, którą wprowadzili beatnicy. Możemy razem pić whiskey, drogi panie, ale gdyby zwrócił się pan do mnie po imieniu, wywaliłbym pana na zbity pysk.

- To by było bolesne, biorąc pod uwagę okoliczności - powiedziałem. Poruszył ustami. Zdecydował się na uśmiech.
- Jak ma pan na nazwisko?
- Delaware.
- A więc, doktorze Delaware... na czym to ja...
- Kuzynka nie wyglądała na zaskoczoną.

- Wręcz przeciwnie - podjął Beamish. - Możliwość, że Nora jest o coś podejrzana, wydawała się wprost syntoniczna. - Wyszczrzył się w uśmiechu. - To określenie psychologiczne, nauczyłem się od doktor Ruth Goldberg.
- Piątka z plusem - powiedziałem. - Dlaczego kuzynka nie była zaskoczona?
- Przycisnąłem ją w tej sprawie, ale nie chciała powiedzieć. Spieszyła się gdzieś i musiałem prawie siłą wydobywać z niej nazwisko i numer telefonu.
-

- Kolejne wolne wstawanie od stołu i pięciominutowa nieobecność gospodarza pozwoliły mi dopić szkocką. Beamish wrócił z kartką, złożoną w pięciocentymetrowy kwadrat. Sękaty palec z trudem rozprostował ją i wygładził. Pół arkusza grubego papieru firmowego z nagłówkiem. *MARTIN, CRUTCH I MELWYN KANCELARIA PRAWNA* Adres na Olive Street, długa lista nazwisk drobnym drukiem, Beamish blisko początku. Na dole strony chwiejne, odręczne pismo wiecznym piórem, rozmazane na krawędziach. *Marcia Peaty. Numer z prefiksem 702.*

- Sprawdziłem, to Las Vegas - oznajmił Beamish. - Chociaż nie wyglądała na kogoś z Vegas.

- To kuzynka Dowdów?

- Tak powiedziała, a nie sprawiała wrażenia oszustki. Nie była zbyt dobrze wychowana, ale i nie wulgarna, a w dzisiejszych czasach to już osiągnięcie...
- Złożyłem kartkę z powrotem.
- Dziękuję.
- W pana oczach zapłonęło małe światełko, doktorze Delaware. Czyżbym się przydał?
- Bardziej niż pan sobie wyobraża.
- Powie mi pan dlaczego?
- Chciałbym, ale nie mogę.
- Kiedy zacząłem wstawać, Beamish nalał mi jeszcze szkockiej.
- To warte piętnaście dolarów. Niech pan nie pije na stojąco, to strasznie wulgarne.
- Dziękuję, ale już mi wystarczy.
- - Powściągliwość to ostatnia ostoja tchórzy. Zaśmiałem się.
- Beamish pstryknął w brzeg szklanki.
- Czy to absolutnie konieczne, żeby uciekał pan jak spłoszony koń?
- Obawiam się, że tak, panie Beamish. Zaczekałem, aż wstał.
- - A więc może kiedy indziej? - zaproponował. - Kiedy ich wszystkich już zamkniecie, powie mi pan, co wskórałem? - Ich?

- Ją, braci, to wredna zgraja, tak jak mówiłem za pierwszym razem, kiedy przyszedł pan z tym grubym detektywem.
- Persymony - przypomniałem.
- To też, oczywiście - przytaknął. - Ale wam chodzi o coś więcej niż kradzione owoce.

38

- Strażnikowi więziennemu powrót do telefonu zajął sześć minut. - Tak, jeszcze tu jest.
 - - Proszę mu przekazać, żeby do mnie zadzwonił, kiedy wyjdzie. To ważne.
 - Strażnik zapytał mnie o nazwisko i numer. Jeszcze raz.
-
- W porządku - odparł tonem, jakby mówił: „nie licz na to”. Godzinę później znów spróbowałem. Odebrał inny strażnik.
 - Zaraz sprawdzę... Sturgis? Już wyszedł.
-
- W końcu złapałem go w samochodzie.
-
- Vasquez zmarnował mi tylko czas - mruknął. - Niespodziewanie przypomniał sobie, że Peaty otwarcie mu groził: „Załatwię cię, kolego”.
 - Tak powiedziałby sam Vasquez.
 - Shuldiner będzie próbował przeforsować linię obrony opartą na długotrwałym nękaniu. Tak czy inaczej, z tym już skończyłem, teraz mogę się skupić na Norze i Meservie. Wciąż nic nie wskazuje, żeby polecili gdzieś lotem komercyjnym, ale rozpoznanie rangę rovera przez Angelinę Wasserman prawdopodobnie pozwoli mi zdobyć nakaz ujawnienia list pasażerów prywatnych czarterów. Jadę złożyć wniosek. Jak się czujesz?
 - Czy kobieta, o której wspominał koroner, nazywa się Marcia Peaty?
 - Tak, czemu?
 - Jest też kuzynką Dowdów.
-
- Opowiedziałem mu, co usłyszałem od Alberta Beamisha.
 - - Stary rzeczywiście miał coś do powiedzenia. Tyle w temacie mojego instynktu. Rodzeństwo Dowdów zatrudnia swojego kuzyna jako ciecia za minimalną stawkę i daje mu do mieszkania starą pralnię. To mówi coś o ich
-
- charakterze. Fakt, że żadne z nich o tym nie wspomniało, mówi jeszcze więcej. Miałeś

okazję przyrzec się prywatnemu majątkowi braci?

- Jeszcze nie, chyba lepiej się tym zajmę. Marcia Peaty nie wspomniała, że jest też ich kuzynką.
- Kiedy masz się z nią spotkać?
- Za godzinę. Zatrzymała się w Rooseveltcie w Hollywood. Umówiłem się z nią w Musso and Frank. Przynajmniej zjem coś dobrego.
- Rodzinne sekrety i fladry - powiedziałem.
- Myślałem raczej o kurczaku w cieście.
- Ja biorę fladry.
- Naprawdę jesteś głodny?
- Kiszki mi marsza grają.
- *
- Zaparkowałem na gigantycznym parkingu za Musso and Frank. Tyle ziemi - deweloperzy musieli się aż ślinić; wyobraziłem sobie huk młotów pneumatycznych. Restauracja miała blisko wiek, była odporna na progres i regres. Jak dotąd, wszystko szło dobrze. Milo upolował narożny stolik w kącie dużej sali. Siedmiometrowe sufity w odcieniu ponurego beżu, którego się już nie widuje, na ścianach scenki myśliwskie w serigrafii, dębowa boazeria prawie czarna ze starości, mocne alkohole w barze. Menu grubości encyklopedii zawiera to, co teraz nazywa się *comfortfood*, ale co kiedyś było po prostu jedzeniem. Przygotowanie niektórych dań wymagało czasu i kierownictwo prosiło, żeby się nie niecierpliwić. W L.A. już chyba tylko w Musso można było zamówić na deser kawał spumoni. Weseli pomocnicy kelnerów w zielonych marynarkach dolewali wody, krążąc między sześcioma zajętymi stolikami. Ubrani na czerwono kelnerzy, przy których Albert Beamish wydawał się przyjacielski, czekali na szansę wprowadzenia w życie zasady niezastąpioności. W kilku boksach siedziały pary wyglądające radośnie cudzołożnic. Stolik na środku zajęło pięciu siwowłosych mężczyzn w kaszmirowych swetrach i wiatrówkach. Mieli znajome, a przy tym obce twarze; chwilę trwało, zanim zrozumiałem, dlaczego tak jest. Kwintet aktorów charakterystycznych - ludzi, którzy zaludniali programy telewizyjne z mojego dzieciństwa, ale nigdy nie pojawiali się w napi-
- sach końcowych. Wszyscy wyglądali na krzepkich osiemdziesięciolatków. Szturchali się

łokciami i śmiali. Może nie trzeba było pchać się aż do ujścia lejka, żeby znaleźć szczęście. Milo rozpracowywał piwo.- Komputery w końcu działają. Kazałem Seanowi przeszukać nieruchomości i zgadnij: Brad nie ma nic, ale Billy jest właścicielem czterech hektarów w Latigo Canyon. Kawałek drogi za miejscem, gdzie Michaela i Meserve udawali ofiary.

- O rany - sapnąłem. - Sama ziemia, bez domu?
 - Tak jest zarejestrowane.
 - Może stoją tam szopy - zasugerowałem.
 - Na pewno sprawdzę. - Spojrzał na swojego timeksa.
 - Brad, najważniejszy z całej trójki, nie posiada żadnej ziemi na własność?
 - Nawet domu w Santa Monica Canyon. To Billy'ego. Tak samo bliźniak w Beverly Hills.
 - Po trzy działki dla Billy'ego i Nory - podsumowałem. - Nic dla Brada.
 - To może być jakiś unik podatkowy, Alex. Bierze pensję za zajmowanie się wszystkimi wspólnymi budynkami, ale ze względów skarbowych nie ma nic na własność.
 - Podatek od nieruchomości można odliczać - zauważyłem. - Tak samo spadek wartości i wydatki na wynajem.
 - Odezwał się magnat ziemski.
-
- Zarobiłem duże pieniądze, kupując i sprzedając nieruchomości podczas dwóch boomów. Wypadłem z gry, ponieważ nie podobało mi się bycie gospodarzem; zyski zainwestowałem w obligacje i żyłem z odcinania kuponów. To niezbyt mądre, jeśli twoim celem jest wartość netto. Kiedyś myślałem, że moim celem jest spokój. Teraz sam już nie wiem.
 - - Może kuzynka Marcia nas oświeci - powiedziałem. Milo skinął głową w stronę głębi sali.
 - - Aha, jako doświadczony detektyw powiedziałbym, że to ona.
 - Kobieta stojąca na prawo od baru miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, około czterdziestki, kędzierzawe jasne włosy i przeszywające spojrzenie. Była ubrana w czarną bluzkę bez dekoltu i spodnie, w rękę trzymała kremową, skórzaną torebkę.
 - - Rozgląda się jak glina - mruknął Milo i pomachał.
 - Kobieta też pomachała. Jej torebka miała nadruk mapy świata. Poza złotym krzyżykiem nie nosiła innej biżuterii. Z bliska jej włosy były sztywne, zaczesane tak, że zakrywały pół prawego oka; szare jasne oczy spoglądały czujnie. Wąska twarz, ostry nos, cera kogoś, kto dużo przebywa na powietrzu. Nie dostrzegalem żadnego podobieństwa do Reynolda Peaty'ego. Ani do Dowdów.
-
- Poruczniku? Marcia Peaty.
 - Miło panią poznać. - Milo przedstawił mnie; tytuł pominął. Wyobraziłem sobie, jak by się na to skrzywił Albert Beamish. Marcia Peaty uściśniła nam dłonie i usiadła.
 - Pamiętam, że mieli tu świetne martini.
 - Pochodzi pani z L.A.?

- - Wychowałam się w Downey. Mój ojciec był kręgarzem, miał gabinety tam i tutaj, w Hollywood, przy Edgemont. Za dobre świadectwa zabierał mnie na lunch. Zawsze przychodziliśmy do Musso, a kiedy nikt nie patrzył, tata dawał mi spróbować swojego martini. Smakowało jak kwas do basenów, ale nic nie mówiłam. Chciałam być dorosła. - Uśmiechnęła się. - Teraz sama je lubię.
- Przyszedł kelner. Zamówiła koktajl z lodem, oliwkami i cebulką.
- Tak wygląda po mojemu sałatka.
- Jeszcze jedno piwo? - spytał kelner.
- Nie, dzięki - odparł Milo.
- Dla pana?
- Wspomnienie słodowej whiskey Beamisha wciąż dzierżawiło sporą część mojego podniebienia.
- - Colę.
- Kelner nachmurzył się i odszedł.
- Co mogę dla pani zrobić, panno Peaty? - spytał Milo.
- Próbuję ustalić, co się stało z Reynem.
- Jak się pani dowiedziała o jego śmierci?
- Jestem panów koleżanką po fachu... raczej byłam.
- Departament Policji Las Vegas?
- Dwanaście lat - powiedziała. - Głównie obyczaj ówka i kradzieże samochodów, potem byłam zatrudniona w więzieniu. Teraz pracuję w dużej prywatnej firmie ochroniarskiej, zajmujemy się niektórymi kasynami.
- W Mieście Grzechu pracy wam nie zabraknie - stwierdził Milo.
- - Wy też nie siedzicie beczynn timer na tyłkach.Przyszły napoje.
- Marcia Peaty spróbowała martini.
- - Lepsze niż zapamiętałam.
- Kelner zapytał, czy może już przyjąć zamówienie. Kurczak w cieście, fladry, fladry.
- - Kolejne wspomnienie - rzuciła Marcia Peaty. - W Vegas nie ma flader.

- W L.A. też rzadko się trafiają. Najczęściej to sola królewska. Peaty wyglądała na rozczarowaną.
- Tani substytut?
- Nie, zasadniczo to jedno i to samo: mała flądra z mnóstwem ości. Jedna żyje głębiej, nikt ich nie rozróżnia.
- Interesuje się pan wędkarstwem?
- Interesuję się jedzeniem.
- Zasadniczo jedno i to samo, tak? - powtórzyła Marcia Peaty. - Raczej bliźniaki niż kuzyni.
- - Kuzyni potrafią się bardzo różnić. Wyjęła oliwkę z drinka. Pogryzła, połknęła.
- Od wielu dni próbowałam się do Reyna dodzwonić i nikt nie odbierał. Nie dzwoniłam do niego regularnie, ale jedna z naszych dalszych ciotek zmarła i dostał w spadku trochę pieniędzy; nic wielkiego, tysiąc dwieście dolarów. Kiedy nie mogłam go złapać, zaczęłam dzwonić po szpitalach, więzieniach. W końcu od waszego koronera dowiedziałam się, co się stało.
- Skontaktowała się pani z więzieniami i kryptą. To specyficzna ciekawość - zauważył Milo.
- Marcia Peaty kiwnęła głową.
- Reyn zawsze przyciągał problemy. Nie marzyłam, że zrobię z niego porządnego obywatela, ale raz na jakiś czas miałam odruchy opiekuńcze. Dorastaliśmy razem w Downey, był ode mnie kilka lat młodszy; ja jestem jedynaczką on też był jedynakiem, więc krewnych mieliśmy niezbyt wielu. Czasami myślałam o nim jak o młodszym bracie.
- Przyciągającym problemy - dodałam.
- Nie zamierzam go wychwalać, ale nie był psychopata. Po prostu niezbyt bystry facet. Taki, który zawsze podejmuje złe decyzje. Może to kwestia genów. Nasi ojcowie byli braćmi. Mój tata pracował na trzy etaty, żeby skończyć kurs kręgarstwa w Cleveland. Naprostował dość grzbietów, żeby wyjść ze slumsów i zyskać szacunek. Tata Reyna, alkoholik i oferma, nigdy nie mógł zdobyć stałej pracy. Co chwila trafiał za kratki za jakieś drobiazgi. Mama Reyna nie lepsza. - Peaty przerwała. - Smutna historia, nic, czego byście panowie już nie słyszeli.
- Jak oboje trafiliście do Nevady? - spytał Milo.
-
- -Reyn uciekł z domu, kiedy miał piętnaście lat, a raczej wyszedł i nikt się tym nie przejął.

Nie wiem dokładnie, co robił przez dziesięć lat. Słyszałam, że zaciągnął się do piechoty morskiej, trafił do karceru, został dyscyplinarnie wydalony. Przeprowadziłam się do Vegas, bo tata umarł, a mama lubiła grać w jednorękiego bandytę. Jedynek zawsze czuje się odpowiedzialny. Mój mąż pochodzi z rodziny, gdzie było pięćdziesięć dzieci. Wielki mormoński klan, zupełnie inny świat.

- Milo pokiwał głową.
- Dziesięć lat. Reyn pokazał się znów, kiedy miał dwadzieścia pięć.
- W mieszkaniu mojej matki. Wytatuowany, pijany, przytył ze trzydzieści kilo. Nie chciała go wpuścić. Nie kłócił się, ale został w pobliżu, na ulicy. Więc mama wezwała córkę policjantkę. Kiedy go zobaczyłam... naprawdę szok; kiedyś był całkiem przystojny. Dałam mu trochę gotówki, zameldowałam go w motelu, powiedziałam, żeby wytrzeźwiał i przeprowadził się do innego miasta. Tego ostatniego posłuchał.
- Reno.
- - Pojawił się znów dwa lata później, potrzebował pieniędzy na kaucję. Nie umiem panom powiedzieć, gdzie się podziewał do tamtej pory.
- Złe decyzje - skwitowałam.
- Nigdy nie miał skłonności do przemocy - powiedziała Marcia Peaty. - Po prostu tak już z nim było, raz na wozie, raz pod wozem.
- Przyłapanie na podglądaniu można by uznać za niepokojące - wtrącił Milo.
- Może próbuję to sobie jakoś tłumaczyć, ale wyglądało mi to bardziej na zakłócanie spokoju po pijanemu. Nigdy nie zrobił nic takiego wcześniej ani potem, prawda?
- Ludzie mówili, że się na nich gapił. Sprawiał, że czuli się nieswojo.
- Tak, ma... miał skłonności do odlatywania - przyznała Marcia Peaty. - Jak mówiłam, Einsteinem nie był, nie potrafił dodawać liczb trzycyfrowych. Wiem, że to brzmi, jakbym za

wszystko usprawiedliwiała Reyna, ale nie zasłużył na to, żeby go zastrzelił gangster. Jak to się stało?

- Milo podał podstawowe szczegóły morderstwa. Nie wspominał o szeptanych telefonach ani że Vasquez skarżył się na prześladowanie.
- Taka głupia śmierć. - Peaty westchnęła i wypłała pół martini. - Gangster zostanie ukarany?
- Coś dostanie.
- To znaczy?
- Obrona zamierza odmalować pani kuzyna jako opryszka.
-
- Reynold był ofiarą przesiąkniętą gorzałą, ale nigdy nie skrzywdził nawet mrówki.
- Wie pani coś o jego życiu erotycznym?
- Marcia Peaty zmrużyła orzechowe oczy. Spojrzenie jak fotoradar.
- Co to ma do rzeczy?
- Prokuratura potrzebuje jasnego obrazu osobowości ofiary. Nie mogę znaleźć żadnych dowodów życia intymnego, tylko zbiór filmów z młodymi dziewczynami.
- Kłycie Marcii Peaty pobielają, gdy zacisnęła palce wokół szklanki.
- Jak młodymi?
- Ledwie dorosłymi.
- Dlaczego to ma znaczenie?
- - Reynold pracował jako stróż w szkole aktorskiej. Dwie studentki tej szkoły zostały zamordowane. Marcia Peaty zbladła.

- E-e. Niemożliwe. Pracowałam w obyczajówce dość długo, żeby rozpoznawać przestępcę seksualnego po wyglądzie, i Reynold nim nie był... i nie chodzi o to, że jestem z rodziny. Możecie mi panowie zaufać, poszukajcie gdzie indziej.
- A propos, pomówmy o pani innych kuzynach.
- Reyn nie był przestępcą - powtórzyła.

- - Inni kuzyni - przypomniał Milo.- Kto?
- - Dowdowie. Była pani w domu Nory Dowd i powiedziała sąsiadowi, że jest pani jej kuzynką.
- Marcia Peaty przesunęła szklankę do lewej ręki. Potem z powrotem do prawej. Podniosła wykałaczkę z cebulką, obróciła ją, odłożyła.

- To nie była cała prawda.
- Istnieje pół prawdy? - spytał Milo.
- Nora Dowd nie jest moją kuzynką. Bradley jest moim kuzynem.

- To brat Nory. Marcia Peaty westchnęła.
- To skomplikowana historia.
- Mamy czas.
-

- **39**
- Jak już mówiłam, pochodzę z rodziny nędzarzy - zaczęła Marcia Peaty. - Wcale się tego nie wstydzę. Mój ojciec, doktor James Peaty, wydobył się z nędzy, to powód do dumy.
- - W przeciwieństwie do jego brata - wtrąciłem.
- - Braci - uściśliła. - I siostry. Tata Reyna, Roald, najmłodszy, całe życie co chwila trafiał do więzienia, w końcu się zastrzelił. Następny był Miliard, a między nim a moim ojcem Bernadine. Umarła po zamknięciu w zakładzie.
- - Zamknięciu za co? - spytał Milo.
- - Zwariowała od alkoholu. Ładna kobieta, ale wykorzystywała urodę w nie najlepszy sposób. - Odsunęła talerz. - Wiem to wszystko od swojej matki, która nie znosiła rodziny taty, więc mogła trochę dodać od siebie. Ale generalnie wydaje mi się, że to trafna ocena, bo tata temu nie zaprzeczał. Mama stawiała mi Bernadine jako negatywny przykład: nigdy nie zrób tego, co ta „rozpuśta szmata”.

- Co zrobiła Bernadine? - spytał Milo.
- W wieku siedemnastu lat wyjechała do Oceanside z koleżanką taką samą szaloną dziewczyną, Amelią Stultz. Obie pracowały przy handlu morskim i Bóg wie, czym jeszcze. Bernadine zaszła w ciążę z jakimś marynarzem na przepustce, którego nigdy więcej nie zobaczyła. Urodziła chłopca.
- - Brada - wtrąciłem. Marcia Peaty pokiwała głową.
- Kiedy Bernadine została zamknięta w zakładzie, miał trzy albo cztery lata. Został wysłany do Kalifornii, gdzie zamieszkał z Amelią Stultz, której powiodło się o wiele lepiej. Wyszła za kapitana marynarki z rodzinną fortuną.
- Amelia też była rozpustnym wycieruchem, ale wychowała cudze dziecko? - spytał Milo.
- Według mojej matki, wujek Miliard zaszantażował Amelię. Zagroził, że opowie bogatemu mężowi o jej przeszłości, jeśli ona nie „weźmie bachora”.
- Podstępny gość z pani wujka - uznałem. - Czy zażądał czegoś dla siebie?
-
- Może jakieś pieniądze przeszły z ręki do ręki, nie wiem. - Marcia Peaty się nachmurzyła. - Zdaję sobie sprawę, że obarczam odpowiedzialnością wszystkich oprócz mojego ojca. Zastanawiałam się nad tym, czy tata mógł być tak wyrachowany. - Zadrżał jej mięsień na policzku. - Nawet gdyby chciał pomóc, moja matka nie zgodziłaby się przyjąć Brada.
- Bogatym kapitanem był Bill Dowd junior.
- Hancock Park - powiedziała. - Pozornie Bradowi się poszczęściło. Problem w tym, że Amelia nie była zainteresowana wychowywaniem własnych dzieci, a co dopiero podrzutka. Zawsze uważała się za tancerkę i aktorkę. Wykonawczynię, jak to mówiła mama. Co oznaczało strip-tease w klubach w Tijuanie, a może i coś gorszego.
- Jak Amelia uwiodła kapitana Dowda?
- Była piękna. - Marcia Peaty się zamyśliła. - Blond seksbomba. Może to jak w tej piosence country, faceci szukają sobie kobiet w rymsztoku.
- A może to rodzinna tradycja. Albert Beamish powiedział, że Bill Dowd junior ożenił się z „kobietą bez klasy”, taką samą, jak jego matka. - Amelia wzięła Brada, ale chłopak nie zaznał szczęścia - podsumował Milo. - Mówimy o molestowaniu czy zwykłym zaniedbaniu?
- - Nie słyszałam nigdy o molestowaniu, raczej zupełnie go ignorowała. Ale tak samo traktowała własne dzieci. Oboje mieli problemy. Poznaliście panowie Norę i Billy’ego trzeciego?
- - Aha.

- Nie widziałam ich, odkąd byli dziećmi. Jacy są? Milo puścił pytanie mimo uszu.
- W jakich okolicznościach widziała ich pani jako dzieci?
- - Tatę dręczyły pewnie wyrzuty sumienia, bo próbował skontaktować się z Bradem, kiedy miałam z pięć lat. Pojechaliśmy do nich do L.A. w gości. Amelia Dowd lubiła moją tatę i zaczęła zapraszać nas na przyjęcia urodzinowe. Mama marudziła, ale w głębi duszy nie miała nic przeciwko chodzeniu na wystawne imprezy w dużym domu. Ostrzegła mnie, żebym trzymała się z daleka od Billy'ego trzeciego. Powiedziała, że to czubek i nie umie się opanować.- Zachowywał się kiedyś groźnie? Marcia pokręciła głową.- Wydawał się cichy i nieśmiały. I inny, ale to mi nigdy nie przeszkadzało. Nora była zakręcona, mówiła do siebie. Mama powtarzała: „Popatrz, Amelia wyszła za bogacza, ma wygodne życie, ale urodziły się jej nienormalne dzieci”. Mama nie była zawistna, po prostu nie znosiła rodziny taty i wszystkich z nią związanych. Wujek Miliard przez całe życie na nas żerował, z Roaldem też nie było lekko. Mama chwaliła mnie i mówiła: „Pieniądze są nieważne, skarbie. Twoje dzieci są twoim dziedzictwem i to dzięki nim jestem bogata”.
- Moglibyśmy porozmawiać z pani mamą? - spytał Milo.
- Zmarła. Cztery lata temu, rak. Typowa staruszka, które widzi się przy automatach. Przykuta do wózka, paląca i wrzucająca bilon do maszyny.
- Brad posługuje się nazwiskiem „Dowd”. Został legalnie adoptowany?
- - spytałem.
- Nie wiem. Może Amelia pozwoliła mu używać tego nazwiska, żeby uniknąć niewygodnych pytań.
- Albo... nie była aż taką wiedźmą - wtrącił Milo.

- Może - przytaknęła Marcia Peaty. - Mama potrafiła być nietolerancyjna.
- Kapitan Dowd nie miał nic przeciwko jeszcze jednemu dziecku? - spytałem.
- Kapitan Dowd nie był twardzielem. Wręcz przeciwnie. Amelia zawsze dostawała to, czego chciała.
- Czy pani matka mówiła kiedyś, jak Brad rozwijał się pod względem psychologicznym?
 - - Nazywała go „nicponiem” i przed nim też mnie ostrzegła. Powiedziała, że w przeciwieństwie do Billy’ego jest bystry, ale bez przerwy kłamie i kradnie. Amelia wysyłała go kilka razy do szkół z internatami i akademii wojskowych. Persymony i nie tylko. Albert Beamish przejrzał Brada, ale nie odkrył jego pochodzenia. Posiadłości, country cluby, wynajęte słonie na przyjęciach urodzinowych. Zastępcza matka. Która uważała siebie za wykonawczynię.
 - - Jak Amelia Dowd ukierunkowała swoje zainteresowania aktorskie? - spytałem.
- Nie rozumiem?
- Jej marzenia o występach się nie ziściły. Czasami ludzie realizują się przez swoje dzieci.
- Czy wypychała dzieci na scenę? Brad opowiadał, że próbowała ich wcisnąć do telewizji. Jako grupę śpiewającą i tańczącą. Mówił, że on sam nie fałszował, ale reszta w ogóle nie miała słuchu.
- W głowie pojawiła mi się ściana Domu Gry, pełna zdjęć. Wśród znanych twarzy zespół, którego nie poznawałem. Dziecięcy kwartet z długimi włosami... Kolorowa Załoga.
 - Jak się nazywała ta grupa?
 - Nie powiedział.
 - Kiedy to było?
- - Zastanówmy się... Brad miał czternaście lat, gdy o tym opowiadał, więc musiało to być właśnie wtedy. Śmiał się, ale robił wrażenie zgorzkniałego. Mówił, że Amelia ciągała ich do łowców talentów. Kazała im pozować do zdjęć. Kupiła gitary i bębny, na których nigdy nie nauczyli się grać. Uczęszczali na lekcje śpiewu. Bez powodzenia. Jeszcze wcześniej próbowała załatwić Norze i Billy’emu trzeciemu pracę aktorów.
- Bradowi nie?

- Powiedział mi, że Amelia przyjęła go do zespołu tylko dlatego, że pozostała dwójka była beznadziejna.
- Tak ją nazywał? - spytałem. - Amelia? Marcia się zastanowiła.
- Nigdy nie słyszałam, żeby mówił o niej „mama”.
- Nora i Billy odnieśli choć drobne sukcesy?
- - Norę angażowano w domach towarowych jako modelkę, przy dziecięcych ubraniach. Billy trzeci nie dostał nic. Nie był dość bystry.
- Często rozmawiała pani z Bradem? - spytał Milo.
- Tylko podczas tamtych przyjęć. - Ajako dorośli?
- Nie licząc spotkania dwanaście lat temu, wyłącznie przez telefon i to rzadko. Może raz na dwa lata.
- Kto do kogo dzwonił?
- On do mnie. Z życzeniami na święta. Głównie chwalił się, jaki jest bogaty. Opowiadał o swoich nowych samochodach.
- Dwanaście lat temu - zastanowiłem się głośno. - To dość precyzyjna data.
- Marcia Peaty zaczęła się bawić serwetką.
- - Był powód i może okazać się dla was ważny. Dwanaście lat temu Brada przesłuchiowano w Vegas. Pracowałam wtedy w kradzieżach, detektyw z komendy głównej skontaktował się ze mną i powiedział, że jakiś świadek rozpowiada moje nazwisko, twierdząc, że jesteśmy kuzynami. Dowiedziałam się, kto to, zadzwoniłam do Brada. Minęło sporo czasu, odkąd się widzieliśmy, ale on zachowywał się bardzo swobodnie: „fajnie cię słyszeć, kuzynko”. Nalegał, żeby zabrać mnie na wystawną kolację do Caesars. Okazało się, że mieszka w Vegas od roku i inwestuje w nieruchomości, ale nie przyszło mu do głowy, żeby się ze mną skontaktować. A kiedy już nie byłam mu potrzebna, nie odzywał się przez następnych siedem lat. Zadzwonił w Boże Narodzenie, żeby się pochwalić. - Czym?
- Że wrócił do L.A., żyje dostatnio i prowadzi rodzinną firmę zajmującą się nieruchomościami. Zaprosił mnie do siebie, powiedział, że przyjedzie jednym ze swoich samochodów. W sensie, że ma ich dużo.

- Bezinteresowne zaproszenie? - spytałem.
 - Z Bradem nigdy nic nie wiadomo. Postanowiłam potraktować je jak bezinteresowne.
 - W jakiej sprawie był przesłuchiwany? - spytał Milo.
 - Zaginionej dziewczyny, tancerki z Dunes, nigdy nieodnalezionej. Brad się z nią umawiał, był ostatnią osobą, która ją widziała.
 - Został oskarżony?
 - Nie. Nie odkryto nigdy żadnych dowodów przestępstwa. Brad twierdził, że powiedziała mu, że chce czegoś lepszego, i wyjechała do L.A. W naszym mieście to się zdarza bardzo często.
-
- Czegoś lepszego, w znaczeniu aktorstwa? - spytałem. Marcia Peaty się uśmiechnęła.
 - Widzę, że nie muszę nic wyjaśniać.
 - Pamięta pani, jak ta dziewczyna się nazywała? - spytał Milo.
-
- Julie jakaś tam, mogę się dla panów dowiedzieć albo sami zadzwońcie. Detektywem prowadzącym był Harold Fordebrand, przeszedł na emeryturę, ale nadal mieszka w Vegas, numer jest w książce.
 - Pracowałem kiedyś z Edem Fordebrandem.
 - Harold miał brata w wydziale zabójstw w L.A.
 - Nie było dowodów przestępstwa - wrócił do tematu Milo. - Ale co Harold myślał o Bradzie?
 - Nie podobał mu się. Za śliski. Nazywał go „panem Hollywood”. Brad nie chciał się poddać badaniu wykrywaczem kłamstw, ale to nie przestępstwo.
 - Jaki miał powód?
 - Po prostu nie chciał.
 - Chował się za prawnikami?
 - Nie. W pełni współpracował, zupełnie spokojny.
 - Pan Hollywood - powtórzyłem. - Może część aspiracji Amelii przeniosła się na niego.
 - Nauczył się grać? - spytała Marcia. - Może. Z całą pewnością umie powiedzieć człowiekowi to, co się chce usłyszeć.
 - Czy Amelia Bradowi też urządziła przyjęcia urodzinowe?
 -
-
- Nie, tylko Billy'emu trzeciemu i Norze. To musiało boleć Brada, ale nigdy nie okazywał gniewu. To były wspaniałe imprezy dla bogatych dzieci. Zawsze na nie czekałam. Jechaliśmy z Downey, moja matka narzekała, że „ci ludzie” są wulgarni, a ojciec uśmiechał się pod nosem, jak zwykle, kiedy wiedział, że nie warto się kłócić.
 - Brad w ogóle nie okazywał urazy?
 - Wręcz przeciwnie, zawsze się uśmiechał i żartował, oprowadzał mnie po olbrzymim domu, pokazywał, czym się interesuje, wymądrzał się, jakie to kiepskie przyjęcie. Jest kilka lat starszy ode mnie, był przystojny, w typie blond surfera. Szczerze mówiąc, podkochiwałam się w nim

wtedy.

- Wyśmiewał przyjęcia - podchwyciłem.
- - Najczęściej szydził z Amelii, że dla niej wszystko było wielką produkcją. Często przesadzała.
- Wynajęty słoń - odpowiedziałem.
- To było coś - odparła Marcia. - Skąd panowie o tym wiecie?
- Od sąsiada.
- Tego zgryźliwego starca? - Zaśmiała się. - Tak, rozumiem, dlaczego zapadło mu to w pamięć, wystarczył sam zapach. Trzynaste urodziny Billy'ego... Myślałam, że to zabawa dla dzieci, że on jest na to za duży. Ale był młodszy umysłowo i chyba mu się podobało. Inne dzieci też piałły z zachwytu. Słoń zapaskudził całą ulicę, a my wrzeszczeliśmy i pokazywaliśmy palcami kilogramy tego, co z niego wychodziło, zatykając sobie nosy. Amelia wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć. Odstawiała Marylin Monroe, platynowy blond, obcisła jedwabna sukienka, mnóstwo makijażu. Biegała za treserem na szpilkach, a wszyscy tylko czekali, kiedy wdepnie w słoniową kupę. Sukienka była bardzo obcisła. Amelii wylewał się z niej biust. Miała z dziesięć kilo więcej niż w swoich najlepszych latach.
- Milo pokazał zdjęcia Michaeli i Tori Giacomo.
- Ładne dziewczyny - stwierdziła. - Wciąż takie ładne, czy macie złe wiadomości?
- Któraś przypomina Amelię?
- Może kolor włosów. Amelia była bardziej... mocniej zbudowana. Miała pełniejszą twarz i wyglądała, jakby cały ranek zbierała się do kupy.
- - A Julie, zaginiona tancerka, dostrzega pani jakieś podobieństwa? Marcia nachyliła się bliżej.
- - Widziałam tylko jedno jej zdjęcie i to dwanaście lat temu... Też blondynka... No i występowała w Dunes, więc nie mogła być ropuchą... Tak, ogólnie była podobna.
- - Aci ludzie?
- Milo pokazał fotki Cathy i Andy'ego Gaidelasów z akt osób zaginionych. Marcia Peaty otworzyła i zamknęła usta.

- To mogłaby być Amelia Dowd, ma masywną szczękę i takie same policzki. Facet nie jest sobowtórem Billa Dowda juniora, ale też bardzo się nie różni... Podobne oczy, zmarszczki, ogólny styl Gregory'ego Pecka.
- Dowd wyglądał jak Peck?
- Podobno Amelia bez przerwy się tym chwaliła. Pewnie było w tym ziarno prawdy, tyle że kapitan Dowd mierzył metr sześćdziesiąt pięć. Mama mówiła, że „to Gregory Peck rankiem po trzęsieniu ziemi, tornadzie i powodzi, bez charyzmy i z nogami obciętymi w kolanach”.
- - Tego tutaj porównywano do Dennisa Quaida - powiedziałem.
- - Widzę... nie jest taki przystojny. - Peaty jeszcze raz przyjrzała się zdjęciom i je oddała. - Zajmujecie się naprawdę paskudną sprawą, co?
- Kapitan Dowd nie był twardzielem - przypomniałem jej własne słowa. - Co jeszcze może pani o nim powiedzieć?
- Cichy, łagodny, nigdy za wiele nie robił.
- Męski?
- To znaczy?
- Typ prawdziwego mężczyzny?
- Nie - odparła. - Wręcz przeciwnie. Mama twierdziła, że był gejem. Albo, jak to ujmowała, homosiem. Trudno mi powiedzieć, wtedy, jako dziecko, nie myślałam w takich kategoriach.
- Pani ojciec miał na ten temat zdanie? - spytał Milo.
- Tata zachowywał swoje opinie dla siebie.
- Ale pani mama nie miała co do tego wątpliwości.
- Mama nigdy nie miała wątpliwości. Dlaczego to ważne? Amelia i kapitan nie żyją od lat.
- - Ilu?
- Zginęli w okresie między tym, kiedy Brad został wezwany na przesłuchanie, a następnym razem, kiedy się odezwał, pięć lat później... Moim zdaniem, dziesięć lat temu.
- Zginęli?
- W wypadku samochodowym - wyjaśniła Marcia Peaty. - Jechali do San Francisco. Kapitan chyba zasnął za kierownicą.

- Chyba - podchwycił Milo.
- Tak mówiła mama, ale ona lubiła ich obwiniać. Może miał atak serca, nie wiem na pewno.
-
- Na przyjęciach urodzinowych Brad oprowadzał panią po domu i pokazywał czym się interesuje - wróciłem do tego wątku. - Jakie miał zainteresowania?
- Typowe, chłopięce - odparła. - Zbieranie znaczków, monet, kart sportowych, noży... o to wam chodzi?
-
- To tylko ogólne pytanie. Coś jeszcze?
-
- Niech pomyślę... puszczał latawce, zrobił kilka bardzo ładnych. Dużo małych metalowych samochodzików, zawsze lubił auta. Miał kolekcję owadów, motyli przyszpilonych do tablicy. Wypchane zwierzęta... trofea, które sam wypychał.
-
- Wypychał?
- - Tak. Ptaki, szop, rzadka, rogata jaszczurka, która stała na jego biurku. Powiedział mi, że nauczył się tego na letnim obozie. Całkiem niezłe sobie radził. Miał pudełka wędkarskie na przynęty, a w przegródkach pełno szklanych oczu, igieł i nici, klejów, najróżniejszych narzędzi. Fajna sprawa. Prosiłam, żeby mi pokazał, jak to robi. Powiedział: „Jak tylko będę miał coś do wypchania”. Nigdy nie dotrzymał słowa. Poszłam chyba na jeszcze jedno takie przyjęcie, ale wtedy miałam już chłopaka, więc o niczym więcej nie myślałam.
-
- Porozmawiajmy o pani drugim kuzynie - zaproponował Milo. - Jak to się stało, że Reynold zaczął pracować dla Dowdów?
- To przeze mnie - powiedziała. - Brad zadzwonił pięć lat temu. W święta, w tle słyszałam straszny hałas, jakby urządził ostry bal. To było już po kłopotach Reyna w Reno. Powiedziałam Bradowi: „Skoro jesteś taką szyszką w nieruchomościach, to może wspomógłbyś kuzyna ze wsi?” Nie chciał o tym słyszeć. On i Reyn się nie znali. Raczej się nie widzieli od dzieciństwa. Ale ja byłam we wrednym nastroju i nie dałam Bradleyowi spokoju. Odwoływałam się do jego dumy. „Widać twoja firma nie jest aż tak duża, żebyś potrzebował pomocy z zewnątrz”. W końcu powiedział: „Niech do mnie zadzwoni, ale jeśli choć raz spieprzy sprawę, natychmiast go wywalę”. A potem Reyn zadzwonił do mnie z L.A. i powiedział, że pracuje dla Brada. Zajmuje się mieszkaniami.

- Brad zatrudnił go do sprzątanania.
- Tego też się dowiedziałam. - Marcia Peaty westchnęła. - Fajnie, co?
- Reynold się na to godził.

- Nie miał większego wyboru. Brad zdradził komuś, że Reynold to jego rodzina?

- Nie. - Milo pokręcił głową. - Czy Billy i Nora wiedzieliby o tym?
- Nie, o ile Brad im nie powiedział. Tu nie ma więzów krwi.
-

- A może Reynold im powiedział. Słyszeliśmy, że zadawał się z Billym.
- Jak to zadawał? - zdziwiła się.
- Wpadał do mieszkania Billy'ego, rzekomo żeby oddać zgubione przedmioty.
- Rzekomo?
- Brad zaprzecza, żeby go z tym wysyłał.

- - Wierzy mu pan? Milo się uśmiechnął.

- Obaj są pani kuzynami, ale wolałaby pani, żebyśmy skupili się na Bradzie, nie Reynoldzie. Po to przyjechała pani do L.A.
- Reynold nie żyje, a nikt inny go nie pochowa. Tylko ja mu zostałam.
- Oprócz Brada.
- Brad to panów zmartwienie, nie moje.
- Nie lubi go pani.
- Wychował się w innej rodzinie. - Zamilkła na chwilę. - Tancerka Julie... - odezwała się w końcu. - To mi nie dawało spokoju. A teraz wy pokazujecie zdjęcia innych blondynek. Reynold był głupi, niechłujny i wiecznie pijany, ale nigdy okrutny.
- Jak dotąd nie opowiedziała nam pani o niczym okrutnym, co zrobił Brad.
- Owszem - przyznała Marcia Peaty. - I chyba nie opowiem, bo raczej się nie kolegowaliśmy.

- - Ale...

- To bardzo dziwne i chyba mi się nie podoba - wymamrotała.
- Co takiego?
- Stać po drugiej stronie i słyszeć to, co sama mówiłam.
- To w imię prawdy, Marcio - przekonywał Milo. - Czy w sprawie tancerki Julie przecucie podpowiedziało Haroldowi Fordebrandowi coś więcej, oprócz tego, że Brad jest śliski?
- Zapytajcie Harolda. Kiedy dowiedział się, że Brad to mój kuzyn, przestał mnie informować.
- A pani przecucia...
- Niepokoiło mnie zachowanie Brada. Jakby śmiał się z żartu, który zna tylko on.
- Mimo to załatwiła pani Reynowi pracę u niego.

- - A teraz Reyn nie żyje... - Jej twarz zmiękła. Marcia odwróciła się, żeby to ukryć. Gdy znów na nas spojrzała, głos miał cichy i cienki. - Mówicie, że dałam ciała na całej linii.

- Nie - zaprzeczył Milo. - Nie próbuję wzbudzać w pani poczucia winy. Wszystko, co pani nam mówi, jest niesłychanie pomocne. Po prostu cały czas poruszamy się po omacku.

- Jeszcze do niczego nie doszliście.
- Zgadza się.
- Miałam nadzieję, że się mylę - wyszeptała.
- Co do czego?
- Że Brad jest zamieszany w śmierć Reynolda.
- Nic nie wskazuje, że jest.
- Wiem, kłótnia. Mówi pan, że to wszystko?
- Jak dotąd.

- Znajomy mur milczenia - mruknęła Marcia Peaty. - Sama dołożyłam do niego kilka cegieł. Zapytam tak: to, jak Brad traktował Reyna, dając mu najgorsze prace... czy to jest ludzkie współczucie? Mama miała rację.

- W czym?
- Oni są trucizną udającą perfumy.

- Marcia Peaty zmieniła temat, a Milo jej nie przeszkadzał. Pytała, jak zabrać ciało kuzyna.

Opowiedział jej mniej więcej to samo, co usłyszał Lou Giacomo.

- Papierkowa akrobatyka. - Westchnęła. - Dobra, dzięki za poświęcony mi czas. Czy jest sens, żebym prosiła was o przekazanie informacji?
- Jeśli coś się okaże, damy pani znać, Marcio.

- - Jeśli, a nie kiedy? Macie jakieś konkretne ślady? Milo się uśmiechnął.

- Dlatego nigdy nie chciałam pracować w wydziale zabójstw - rzuciła. - Za dużo trzeba włożyć wysiłku, żeby podnieść wskaźnik optymizmu.
- W obyczajówce też bywa różnie.
- Dlatego nie siedziałam tam długo. Najlepsze są trefne cztery kółka.
- Chrom nie krwawi - powiedział Milo.
- Co prawda, to prawda. - Sięgnęła po rachunek, ale Milo przykrył go ręką. - Zapłacę za swoje.
-

- Firma stawia - powiedział.
- Pan czy departament?
- Departament.

- - Akurat. - Położyła na stole dwudziestkę, wysunęła się z boku, uśmiechnęła do nas zaciśniętymi ustami i pospiesznie odeszła. Milo schował pieniądze do kieszeni i zaczął przesuwać okruchy po talerzu.

- Kolega Brad był baaaaardzo niegrzeczny.
- Młode blondynki - mruknąłem. - Szkoda że Tori ufarbowała włosy. - Amelia, platynowa seksbomba. Za każdym razem zabija swoją macochę?

- Jego własna matka go zostawiła, oddała komuś, kto nawet nie udawał, że się nim interesuje. Ma dużo powodów, by nienawidzić kobiet.
- Kiedy Julie tancerka zniknęła, miał trzydzieści kilka lat. Myślisz, że była pierwsza?

- - Trudno powiedzieć. Najważniejsze, że uszło mu to na sucho. Nabrał dość pewności siebie, żeby wrócić do L.A. Kiedy Amelia i kapitan zginęli, przejął rodzinne imperium nieruchomości. Dbał o Billy'ego i Norę, bo szczęśliwe rodzeństwo nie narzeka. Może Dom Gry to unik podatkowy i ochłap na odczepnego dla Nory, ale jemu też się przydał. Otwierasz szkołę aktorską i kto przychodzi?
- - Piękne mutanty - odparł Milo. - Przesłuchania blondynek.
- - I odrzuceni, tacy jak Gaidelasowie. Brad zignorowałby Cathy i Andy'ego, ale przypominali mu Amelię i kapitana. Co powiesz na taki scenariusz: wpadł na nich, kiedy wychodzili z przesłuchania. Albo czekali na nie. Tak czy inaczej, musiał poczuć, że to przeznaczenie. Udawał sympatycznego, obiecał pomóc. Poradził, żeby się rozerwali. „Idźcie sobie na wycieczkę, znam świetne miejsce”.
- Działka Billy'ego w Latigo. - Milo złożył i rozłożył serwetkę. Złapał za telefon, sprawdził numer Harolda Fordebranda w biurze numerów Las Vegas. Zadzwoił, zostawił wiadomość.
- Facet ma głos zupełnie jak Ed.
- - Kolorowa Załoga była kwartetem - powiedziałem.- Kto?
- - Dziecięcy zespół popowy, który próbowała wypuścić na rynek Amelia. - Opisałem mu zdjęcie reklamowe wiszące na ścianie w Domu Gry.
- - Dowdowie plus jeden. Może jest ktoś jeszcze, kto nam opowie o starych, dobrych czasach.
- - Jeśli masz ochotę badać historię muzyki młodzieżowej, proszę bardzo
- - prychnął Milo. - Ja muszę jeszcze raz spotkać się z przyszywanym bratem. Zacznę od wizyty w biurze BNB. Jeśli Brada tam nie zastanę, pojedę do niego do domu. Wreszcie służbowo spędzę dzień na plaży.
- Myślisz, że Billy w ogóle wie, że ma działkę w Latigo? - spytałem.
- Brad kupił ją i przepisał na Billy'ego?
- Brad mieszka niedaleko oceanu. Surfował na tyle dużo, żeby zdeformować sobie kolana. A to znaczy, że zna Malibu. Ładna, odludna działka po stronie lądu mogłaby się mu spodobać, zwłaszcza jeśli zapłacił za nią pieniędzmi Billa. Zarządzając rodzinnymi finansami, Brad kazał Billy'emu po prostu podpisać się gdzie trzeba. Albo podrobił jego podpis. Billy tymczasem płaci podatek od nieruchomości i nie ma o niczym pojęcia.
- Rzecznik sądu twierdzi, że na działce nie stoją żadne budynki. Po co Bradowi coś takiego?

- Do medytacji, planowania domu marzeń, zakopywania ciał.
- Billy płaci, Brad się bawi - skwitował Milo. - Nora też nie jest typem biznesowym. Czyli Brad może zasadniczo robić, co chce ze wszystkimi pieniędzmi. - Potarł twarz. - Cały czas szukałem skrytek Peaty'ego, a Brad ma dostęp do dziesiątków budynków i garaży w całym hrabstwie.
- Powiedział nam wprost, że w niektórych trzyma samochody.
- Rzeczywiście. Co to było, psychozabawa?
- Albo chwalenie się kolekcją. To facet, który ma potrzebę bycia ważnym. Zastanawiam się, czy to nie on obserwował Angelinę Wasserman z rangę rovera.
- Dlaczego?
- Kiedy widziałem go po raz ostatni, miał na sobie ładny, lniany garnitur. Takie same wisały w Barneysie.
- Elegancik. - Milo zagwizdał cicho. - Może stały klient, tak jak Wasserman. Obserwuje ją, wie, że jest roztargniona, kradnie torebkę.
- - Celem był telefon, pieniądze ani karty kredytowe go nie obchodziły - powiedziałem. - Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wszystko mi pasuje: dobrze ubrany pan w średnim wieku, który często robi tam zakupy, nie ma powodu go podejrzewać. Angelinę może nawet kojarzyłaby jego twarz, ale przyciemniane szyby rovera nie pozwoliłyby jej domyślić się, że to on. Zresztą skupiła się na jego wozie... „bliźniacza karma”. Otworzył notes i wystukał w telefonie numer Wasserman.
- - Pani Wasserman? Porucznik Sturgis, jeszcze raz... Rozumiem, że jest pani zajęta, ale tylko jedno pytanie, dobrze? Jest taki mężczyzna, który regularnie kupuje u Barneysa, czterdzieści kilka lat, przystojny, siwe
- włosy... naprawdę... och... nie, to raczej... może... dobrze, dziękuję... nie, to wszystko. Rozłączył się.

- „To Braaad, widuję go bardzo częęęęsto. Jemu też coś ukradzioooooo?”
- Postrzega go jako ofiarę, nie podejrzanego, bo jest bogaty i modnie ubrany - stwierdziłem.
- Właśnie. „Wspaniały facet, świetny gust, powinien pan zobaczyć śliczne auta, którymi jeździ, poruczniku. Za każdym razem inne”. Okazuje się, że Angelinę i Brad wymieniają się opiniami na temat strojów. Zawsze jest szczerzy, ale przy tym „delikatny”.
- Uroczy facet.
- Myślisz, że skoro jeździ wozem Nory, to Nora i Meserve mu pomagają? Albo mieli pecha.
- Nie wiem, ale tak czy inaczej Brad ma coś wspólnego z telefonami do Vasqueza.
- Wystawił własnego kuzyna.
- Tego samego, któremu dał pracę ciecica i mieszkanie w składziku. Jeśli Vasquez mówi prawdę, że odbierał telefony tydzień wcześniej, podstęp był wyjątkowo dobrze przemyślany.
- Planowanie morderstwa - mruknął Milo. - Ale skąd pewność, że Vasquez pęknie i zastrzeli Peaty’ego?
- Znał obu i panią Stadlbraun, zaryzykował. Powiedział mi, że miał złe przecucia co do Vasqueza, ale wynajął mu mieszkanie, bo jak tu odmówić. Bzdura. Właściciel nieruchomości, zwłaszcza z doświadczeniem Brada, zawsze może znaleźć powód.
- Ruletka - powiedział Milo.
- Brad mieszkał w Vegas. Przy jednym stole nie wyszło, idziemy do drugiego.
- Dobrze, załóżmy, że wystawił Peaty’ego. Po co?
- Peaty był aresztowany i znany z podejrzanym zachowań. Idealny kozioł ofiarny w przypadku Michaeli, Tori i innych zaginionych dziewczyn, które mogłyby się odnaleźć. Popatrz, co się stało po jego zastrzeleniu: przeszukaliśmy furgonetkę i bez problemu znaleźliśmy narzędzia gwałciciela, jakby nikt nie zadał sobie trudu, żeby je porządnie schować. A do tego, kto by się spodziewał: w skrzynce narzędziowej leżała śnieżna kula. Zupełnie taka sama, jak ta zostawiona w toyocie Meserve’a. O czym w ogóle wiemy tylko dlatego, że Brad zadzwonił do ciebie w panice po znalezieniu samochodu w swoim garażu. Jeśli Meserve prysnął z miasta razem z Norą, po
-
- co zostawiałby swój samochód tam, gdzie na pewno zostałby znaleziony? Jeśli już, postawiłby toyotę w garażu Nory, który przy okazji jest pusty, i nie denerwowałby Brada.
- - Przy okazji - powtórzył Milo.- Łom.
- Pokręcił głową, napił się.
- - Może nie tylko Nora ma teatralne zainteresowania - powiedziałem. - O śnieżnej kuli dowiedzieliśmy się dlatego, bo Brad poruszył ten temat, kiedy z nim rozmawialiśmy w domu.
- - Odmalował Meserve’a jako cwaniaka, któremu chodzi tylko o pieniądze. Co to było? Kolejna zmyłka?- Albo prawda, i rzeczywiście miał powód nienawidzić Meserve’a.Milo poluzował pasek, wsypał sobie do ust lód ze szklanki i rozgryzł twarde kostki. Podniósł rachunek.

- Płacisz ty czy departament? - spytałem.
 - Pozwolę sobie na spontaniczną życzliwość. Może Wszechmogący wynagrodzi mnie zakończeniem tego burdelu.
 - Nie wiedziałem, że jesteś wierzący.
 - Są rzeczy, które skłaniają mnie do modlitw.
-
- Wyszliśmy na parking.
-
- Po trzy własne działki Billy'ego i Nory, ani jednej Brada - podsumowałem. - Tak samo, jak z przyjęciami urodzinowymi. Przez całe dzieciństwo był obok, bo Dowdowie nigdy nie przestali widzieć w nim podrzutka. Amelia wzięła go do Kolorowej Załogi tylko dlatego, że umiał śpiewać. Zaczął sprawiać kłopoty, to go odesłała.
 - Wykorzystany i wyrzucony - powiedział Milo. - Persymony.
 - Stawiałbym na wiele bardziej antyspołeczne zachowania. Chodzi mi jednak o to, że taka sama prawidłowość przeniosła się w jego dorosłe życie: jak długo Brad się przydaje, zajmuje się Norą i Billym, ma zapewnione wszelkie wygody. Ale tak naprawdę wciąż pozostaje zatrudnionym pracownikiem. Nie jest nawet właścicielem domu, w którym mieszka, z prawnego punktu widzenia to zwykły najemca. W pewnym sensie taka sytuacja działa na jego korzyść. Brad żyje wystawnie za cudze pieniądze. Ale mimo wszystko musi go to boleć.
 - Pracownik udający szefa - skwitował Milo. - Ciekawe, jak dochrapał się tej pozycji.
 - Pewnie samo się tak ułożyło, Nora i Billy nie daliby rady. Jest ich opiekunem, a jego wynagrodzeniem są samochody, ubrania i nieruchomości, które podaje za swoje. Image. Ślicznie odstawia gościa z dużą forszą. Angelinę Wasserman należy do tego świata i ona to kupiła.
-
- Dobry aktor.
 - Umie imponować kobietom - dodałem. - Młode, naiwne dziewczyny nie stanowią dla niego większego wyzwania. Były mąż Tori domyślił się, że umawiała się z kimś bogatym. Przymierająca głodem aktorka, podająca rybę, żeby zarobić na czynsz w norze w North Hollywood, i facet z porszakiem? Tak samo było z Michaelą.
 - Michaela nie dała ci do zrozumienia, że się z kimś spotyka?
 - Nie, ale nie poruszaliśmy tego tematu. Skupialiśmy się na problemach prawnych. Jedno postawiła jasno: Dylan nie był już w jej stylu. Może dlatego, że znalazła sobie kogoś lepszego.
 - Pana Superbrykę - podsunął Milo. - To wciąż nie odpowiada na pytanie, jak Brad przejął kontrolę. Dlaczego Dowdowie mu ją oddali?
 - Może wcale nie oddali, ale kiedy ich rodzice zginęli, udało mu się wkręcić na powiernika. Podlizywał się prawnikom, komuś posmarował, stworzył wrażenie, że jest najlepszym kandydatem: bystrzakiem troszczącym się o interesy Billy'ego i Nory. Jeśli Nora i Billy się zgodzili, to czemu nie? A kiedy nim już został, był ustawiony. Powiernicy nie są kontrolowani, o ile ktoś nie wniesie skargi, że przekraczają uprawnienia. Zaspokajał potrzeby Nory i Billy'ego, wszyscy byli zadowoleni.

- Dom Gry i rodzinna posiadłość dla Nory, pizza na wynos i telewizor z dużym ekranem dla Billy'ego.
 - A Brad tymczasem zgarniał co miesiąc pieniądze z wynajmu.
 - Myślisz, że odprowadza gdzieś gotówkę?
 - Nie zdziwiłbym się.
-
- Milo podszedł do budki parkingowego, zapłacił za oba samochody.
-
- Zaczynasz robić konkurencję matce Teresie - zauważyłem. Milo uniósł wzrok ku niebu i złożył dłonie.
 - Słyszałeś to, Panie? Może mi ześlesz dowodową mannę?
-
- Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają - powiedziałem. - Pora sprawdzić, co jest napisane drobnym drukiem w dokumentach założycielskich BNB.
-
- Najpierw chcę się spotkać z Bradem sam na sam.
-
- Wsiedliśmy do służbowego wozu Mila, dyskutując, jaką taktykę najlepiej zastosować. W końcu uznaliśmy, że porozmawiamy jeszcze raz o zastrzeleniu Reynolda Peaty'ego. Milo miał mówić, do mnie należało wypatrywanie sygnałów niewerbalnych. We właściwym momencie zamierzaliśmy wspomnieć o telefonach do Armanda Vasqueza.
-
- Pojechaliśmy na Ocean Park dwoma samochodami. Drzwi do BNB Nieruchomości były zamknięte i nikt nie odpowiadał na pukanie. Kiedy Milo odwrócił się do wyjścia, zwróciłem uwagę na drzwi na drugim końcu korytarza. BIURO PODRÓŻY SUNNY SKY NASZA SPECJALNOŚĆ: KURORTY W TROPIKACH Plakaty w oknie. Szafirowy ocean, szmaragdowe palmy, opaleni na brąz ludzie z koktajlami w dłoniach. Na dole: BRAZYLIA!!! Milo podążył wzrokiem za moim spojrzeniem, zanim go dogoniłem, już otwierał drzwi. Młoda kobieta z kocimi oczami, w malinowej bluzce bez rękawów, coś pisała na komputerze. Łagodne spojrzenie, rubensowskie kształty. Tabliczka na biurku: LOURDES TEXEIRO. Na burzy czarnych loków miała nagłowny zestaw telefoniczny. Ściany wyklejone plakatami, w kącie obrotowy stojak z folderami. Na nasz widok kobieta się uśmiechnęła.
 - - Proszę chwilę zaczekać - powiedziała do mikrofonu. Podszedłem do stojaka, znalazłem to, czego szukałem.
 - Turneffe Island, Belize; Posada la Mandragora, Buzios, Brazylia; hotel Monasterio, Chata Tapirów, Sak Pelikana. Wszystkie w sąsiednich przegródkach.

- - W czym mogę pomóc?
- Chodzi o pani sąsiada z korytarza, pana Bradleya Dowda. - Milo pokazał odznakę. - Jak dobrze go pani zna?
- Ten od nieruchomości? Zrobił coś?
- Jego nazwisko pojawiło się w czasie dochodzenia.
- Przesłupstwo skarbowe?
- Niepokoi panią?
- Nie, nie znam go, rzadko bywa w biurze. Po prostu wygląda na kogoś, kto by właśnie coś takiego zrobił. Gdyby w ogóle coś zrobił. - Ciemne oczy zmrużyły się z ciekawości.
- Przychodzi do biura sam? - spytał Milo.
- Zazwyczaj z jeszcze jednym panem. To chyba jego brat, bo się nim opiekuje. Chociaż ten drugi wygląda na starszego. Czasami zostawia go tam samego. On jest jakby... no, wiecie panowie, niezbyt normalny. Ten drugi.
- - Billy.
- Nie wiem, jak się nazywa. - Zmarszczyła czoło.
- Niepokoił panią?
- - Nie. Raz siedziałam tutaj, klimatyzacja się zepsuła, więc miałam otwarte drzwi. Wszedł, powiedział „dzień dobry” i stanął. Odpowiedziałam „dzień dobry” i spytałam, czy chce pojechać na wycieczkę. Zaczerwienił się, wymamrotał, że chciałby, i wyszedł. Potem widywałam go tylko na dole we włoskiej restauracji; kupował jedzenie dla brata. Kiedy mnie widział, bardzo się zawstydział, jakbym go na czymś przyłapała. Próbowałam z nim zamienić kilka słów, ale szło mu ciężko. Wtedy zrozumiałam, że nie jest normalny.
- Jak to?
- Trochę opóźniony. Chociaż wygląda jak zwykły człowiek.
- Czy Brad kiedyś tu przychodził?
- Też raz, dwa tygodnie temu. Przedstawił się, był bardzo przyjacielski, może nawet za bardzo.
- Śliski?
- - Właśnie. Powiedział, że myśli o wakacjach w Ameryce Łacińskiej i szuka informacji.

Zaproponowałam, żeby usiadł, to coś wybierzemy, ale wolał zacząć od tego. - Wskazała stojak.
- Wziął plik folderów, ale więcej się nie odezwał. Wyjechał z kraju?

- Dlaczego pani pyta? - spytał Milo.
- W filmach czarne charaktery zawsze uciekają do Brazylii - odparła.
- - Wszystkim się wydaje, że nie mamy podpisanej z nimi umowy o ekstradycji. Proszę mi wierzyć, nie chciałby pan pojechać na wakacje do kraju, z którym jej nie mamy.
- Pewnie tak. Chce nam pani powiedzieć o nim coś jeszcze?
- Nic mi nie przychodzi do głowy.
- Dobrze, bardzo dziękuję. - Nachylił się nad jej biurkiem. - Byłbym wdzięczny, gdyby nie wspominała pani nikomu, że o niego rozpytywaliśmy.
- Oczywiście. - Lourdes Texeiros energicznie pokiwała głową. - Powinnam się go bać?
- Milo popatrzył na jej czarne włosy.
- - Ani trochę. - Kolejna zmyłka - powiedziałem, kiedy schodziliśmy po schodach.
- - Chciał, żebyśmy myśleli, że Nora wyjechała z Meserve'em. Albo dlatego, że ją chroni, albo dlatego, że ona i Meserve zniknęli za jego sprawą. Stawiam na bramkę numer dwa.
- Przez tyle lat opiekuje się dwoma przygłupami, które przypadkiem należą do Klubu Fartowej Spermy. Po co miałby to zmieniać?
- Nora zawsze była mu posłuszna. Może teraz właśnie to się zmieniło?
- Pojawił się Meserve - domyślił się Milo.
- -1 zdobył jej względy. Kolejny samozwańczy aktor, przystojny, ambitny, sprytny. Młodszy niż Brad, ale podobny. Niewykluczone że właśnie to pociągało w nim Norę. Tak czy inaczej, nie pozbyła się chłopaka jak innych.
- Meserve zyskał nie tylko jej względy, ale i portfel.
- Gruby portfel. Brad ma nominalną władzę, zależy ona jednak od uznania właścicieli majątku. Nora jest szurnięta, chociaż z prawnego punktu widzenia trudno by udowodnić, że nie posiada pełni władz umysłowych. Gdyby zażądała kontroli nad własnymi aktywami, dla Brada stanowiłoby to poważną komplikację. Gdyby przekonała do tego samego Billy'ego, to już by

była katastrofa.

- Żegnajcie pozory.
- Splawiony, bo już niepotrzebny - powiedziałem. - Zupełnie jak w dzieciństwie.

- W milczeniu szliśmy do samochodów.
- - Michaela, Tori, Gaidelasowie i Bóg wie kto jeszcze zostali załatwieni z żądy krwi - stwierdził Milo. - A Nora i Meserve dla pieniędzy?
- - Albo z żądy krwi i dla pieniędzy. Rozważył to.

- W sumie nic nowego. Rodzina Ricka nie straciła w holokauście tylko życia. Ich domy, firmy i cały dobytek zostały skonfiskowane.

- Zabrać wszystko - powiedziałem. - Trofeum ostateczne.

41

- Pojechaliśmy seville'em do Santa Monica Canyon. Na podjeździe Brada Dowda nie było porsche ani żadnego innego samochodu. W palisandrowym domu nie paliły się światła, na pukanie Mila nikt nie otworzył.
- Wjechałem na zakorkowaną Channel Road, dotarłem w końcu do autostrady na wybrzeżu, dołączyłem do sznura samochodów sunącego z Chataqua

- do Colony. Kiedy minęliśmy już Uniwersytet Pepperdine, okolica ziewnęła, rozciągnęła się i droga zrobiła się łatwa. Ocean miał kolor łupek. Nurkowały w nim głodne pelikany. Dojechałem do Kanan Durne Roadjeszcze z zapasem słońca, skręciłem w Latigo Canyon. Na kolanach Mila leżała mapa działki Billy'ego Dowda z biura rzeczoznawcy. Cztery hektary, nigdy nie wydano żadnych pozwoleń na budowę. Seville nie jest autem terenowym, więc zwolniłem, kiedy trasa zrobiła się bardziej stroma, a zakręty ciaśniejsze. Na drodze nie było nic, dopóki nie zbliżyłem się do miejsca, gdzie Michaela z krzykiem wypadła z lasu. Stary, brązowy ford pikap stał przy skřęcie. Wysoki, starszy mężczyzna zaglądał w zarośla. Kraciasta koszula, zakurzone dzinsy, piwny brzuch zwisający nad paskiem. Przerzedzone siwe włosy powiewały na wietrze. Długi, zakrzywiony nos ciął niebo. Spod maski forda wydobywał się dym.
- - Zatrzymaj - poprosił Milo.
- Starzec odwrócił się w naszą stronę. Klamrę pasa miał z kropkowanego mosiądzu, w kształcie dużego owalu z reliefem końskiego łba.

- Wszystko w porządku, panie Bondurant?
 - Czemu pan pyta, detektywie?
 - Wygląda na to, że się przegrzał.
- Jak zawsze. Mała dziurka w chłodnicy. Dopóki dolewam szybciej, niż ona głodnieje, wszystko gra.
- Bondurant podszedł do samochodu, sięgnął do środka przez okno pasażera i wyjął żółty plastikowy pojemnik płynu do odmrażania.
- Płynna dieta - mruknął Milo. - Jest pan pewien, że blok nie trzaśnie?
 - Martwi się pan o mnie, detektywie?
 - Służę i chronię.
 - Dowiedział się pan czegoś o tej dziewczynie?
 - Wciąż nad tym pracuję.
- Oczy Bonduranta zniknęły w siatce fałd i zmarszczek.
- To znaczy, że nic.
 - Wygląda na to, że pan o niej myślał. Pierś starca nabrzmiała.
 - Kto tak powiedział?
 - W tym miejscu ją pan zobaczył.
- - To też zjazd. - Bondurant podniósł płyn. Zapatrzył się na krzaki. - Goła dziewczyna... - Oblizął wargi. - Kilka lat temu to by było coś. - Wciągnął
- bruch, podciągnął spodnie. Fałda tłuszczu osunęła się w dół, zakryła koniowi oczy.
- Zna pan swoich sąsiadów? - spytał Milo.
 - Właściwie nie mam żadnych.
 - Nie panuje tu sąsiedzki duch?
 - Powiem panu, jak jest - mruknął Charley Bondurant. - Kiedyś to była ziemia koniarzy. Mój

dziadek hodował araby i Tennessee walkery, to, co sprzedawało się zamożnym ludziom. Niektóre z tych arabów trafiły do Santa Anita i Hollywood Park, dwa dostały nawet nagrody. Każdy, kto tu mieszkał, zajmował się końmi. Gównem było czuć na kilka kilometrów. Teraz wszędzie wokoło są sami bogacze, którzy wszystko mają gdzieś. Kupują ziemię pod inwestycje. Przyjeżdżają w niedzielę, gapią się przez kilka minut, nie wiedzą co, u diabła, mają ze sobą zrobić, więc wracają do domu.

- Bogacze tacy jak Brad Dowd?
- Kto?
- Siwowłosy facet, czterdzieści kilka lat, jeździ drogimi samochodami. - Ach tak, on - przypomniał sobie Bondurant. - Za dużo daje gazu, jak zjeżdża z góry. Nosi hawajskie koszule.

- - Często tu bywa?

- Raz na jakiś czas. Widzę tylko przemykające sportowe wozy. Sporo z nich to kabriolety, stąd wiem o koszulach.
- Zatrzymał się kiedyś, żeby porozmawiać?
- Nie słuchał mnie pan? - prychnął Bondurant. - Przemyka, o tak. - Sękata dłoń przecięła powietrze.

- Raz na jakiś czas, czyli jak często? - spytał Milo. Bondurant odwrócił się do połowy.
- Mam policzyć?
- Jeśli zrobił pan wykresy i słupki, chętnie je wezmę, panie Bondurant. Starzec dokończył obrót.

- - To on ją zabił?

- Nie wiem.
- Ale myśli pan, że mógł. Milo milczał.

- Cichy z pana gość - zauważył złośliwie Bondurant. - A może pan ode mnie czegoś chce? Co prawda, władza nigdy nie zrobiła nic dla rodziny Bondurantów. Mieliśmy problemy, a władza nam nie pomogła.
- Jakie problemy?

- - Z kojotami, ze świstakami, z suszą, z bezdomnymi hipisami. Z cholernymi rusałkami żałobnikami. Ja mówię „motyle”, a pan sobie myśli
- „uroczo”, bo jest pan chłopakiem z miasta. A ja widzę problem. Jednego roku przyleciały rojem, naskładały jaj na drzewach, zniszczyły pół tuzina wiązków, zeżarły prawie całą dwudziestometrową płaczącą wierzbę. Wie pan, co zrobiliśmy? Załatwiliśmy je DDT. - Skrzyżował ramiona na piersi. - To nielegalne. Człowiek pyta władz, czy może użyć DDT; nie, to wbrew prawu. Człowiek pyta, co zrobić, żeby chronić swoje wiązki, a oni: „niech pan coś wymyśli”. - Morderstwa motyli to nie moja działka - poinformował grzecznie Milo.
- - Wszędzie pełno gąsienic; były całkiem szybkie, jak na robaki - wspominał dalej Bondurant. - Miałem ubaw, kiedy je rozdeptywałem. Facet od samochodów zabił tę dziewczynę?
- - Interesujemy się nim. W języku władz znaczy to: „nic więcej nie powiemy”. Bondurant pozwolił sobie na lekki uśmiech.
- Kiedy widział go pan po raz ostatni? - spytał Milo.
- Może dwa tygodnie temu. Ale kładę się spać o ósmej trzydzieści, gdyby ktoś przejeżdżał, nie zobaczyłbym go ani nie usłyszał.
- - Bywał z nim jeszcze ktoś?- Nie.
- - A może inna osoba wchodziła na tę działkę?- Niby jak? - spytał Bondurant. - Jest ze trzy kilometry nad moją, nie chodzę tam. Nawet kiedy ziemia należała jeszcze do Waltera MacIntyre’a, nie łąziłem tam, bo wszyscy wiedzieli, że Walt był czubkiem i szybko wpadał w gniew.- Jak to?
- Stare dzieje, detektywie.
- Zawsze warto się czegoś dowiedzieć.
- Walter MacIntyre nie zabił żadnej dziewczyny, nie żyje od trzydziestu lat. Ten od samochodów pewnie kupił ziemię od syna Waltera, dentysty. Walter też był dentystą, miał praktykę w Santa Monica, nabył tę ziemię w latach pięćdziesiątych. Pierwszy człowiek z miasta, który tu się pojawił na stałe. Mój ojciec powiedział: „Patrz, co się będzie działo”, i miał rację. Na początku wydawało się, że Walter się wpasuje w otoczenie. Zbudował olbrzymią stajnię, w której nigdy nie trzymał koni. Przyjeżdżał tu w każdy weekend, ciężarówką, ale nikt nie wiedział po co. Pewnie patrzył na ocean i rozmawiał sam ze sobą o Rosjanach.
- Jakich Rosjanach?
-

- -Tych z Rosji - wyjaśnił bystrze Bondurant. - Komunistach. Na tym punkcie właśnie Walter miał fioła. Wmówił sobie, że lada chwila zaleją nas i zamienią w ziemniakożernych komunistów. Mój ojciec nie przepadał za komunistami, ale uważał, że Walter przesadził. Trochę, wie pan... - Zakręcił palcem w okolicach lewego ucha.
- Miał obsesję.
- Skoro tak chce pan to nazwać. - Bondurant znów podciągnął spodnie i na kabłąkowatych nogach wrócił do samochodu. Położył płyn na fotel pasażera, palnął dłonią w maskę. Dym zamienił się w rzadkie pasemka. - Można jechać - stwierdził. - Mam nadzieję, że znajdziecie tego, kto zabił dziewczynę. Piękna sztuka, cholerna szkoda.
- *
- Wjazd na posesję był nieoznaczony. Minąłem go i musiałem przejechać jeszcze prawie kilometr, zanim znalazłem dość miejsca, żeby zawrócić. Kiedy zawracałem, zaledwie centymetry dzieliły opony seville'a od bezmiaru nieba. Wyczuwałem napięcie Milo. Pojechałem wolno z powrotem, a on patrzył na mapę. W końcu znalazł wjazd, niezagrodzony, ocieniony przez pokręcone sykomory. Ubita, gruntowa droga prowadziła wysoko nad kanion. Dwa ostre skrety i nawierzchnia zmieniła się w asfaltową, dalej prowadząc pod górę.
- - Jedź wolno - polecił Milo. Rozglądał się laserowymi oczami gliniarza. Nie było tu do oglądania nic poza litą ścianą dębów i sykomor; mały trójkącik światła na horyzoncie zwiastował koniec lasu.
- Tam, hektar w głąb posesji, ziemia zamieniała się w płaskowyż osłonięty górami i przykryty niebem usianym cumulusami. Dzikie ary ustąpiły miejsca wysokiej trawie, szaławii nadbrzeżnej, żółtej gorczycy i kilku samotnym dębom w oddali. Asfaltowa droga przecinała łąkę, prosta i czarna jak kreska kreślarza. W trzech czwartych długości działki stała olbrzymia stodoła. Sekwojowe deski posrebrzałe ze starości. Surowe ściany bez okien, dach kryty gontem, stępionym na krawędziach przez wiatr. Zabawnie małe drzwi. Chłodny powiew niósł w naszą stronę zapach gorczycy.
- Nie wydano żadnych pozwoleń na budowę - przypomniał Milo.
- Ludzie w tych okolicach nie certolą się z władzami.
- Nie znaleźliśmy miejsca, w którym seville'a można by ukryć całkowicie. Zjechałem z asfaltu i zostawiłem go pod konarami drzew. Dalej poszliśmy na piechotę. Ręka Milo kołysała się nad jego kieszenią.

- Kiedy zbliżyliśmy się na piętnaście metrów, potwierdziła się nasza wstępna ocena rozmiarów budynku. Dwa piętra w górę, kilkadziesiąt metrów szerokości.
- - Stodoła taka wielka, ale drzwi za małe, żeby wprowadzić do środka samochód - powiedział Milo. - Zaczekaj tu, zajrzę z tyłu.
- Wyjął pistolet, zaszedł stodołę od północnej strony, zniknął na kilka minut, wrócił z bronią w kaburze.
- - Pora odkryć karty.
- Podwójne tylne wrota, wysokie na trzy metry, dość szerokie, by przejechała przez nie naczepa siodłowa. Czyste zawiasy wyglądały na świeżo naoliwione. Terkotał generator tak duży, żeby zasiliby całe pole przyczep kempingowych. Za nami zaświergotał ptak, lecz się nie pokazał. Ziemia poznaczona była śladami opon, całą płataniną, nie do odszyfrowania. Obok prawego skrzydła wrót leżała kłódka.
- - Tak ją znalazłeś? - spytałem. - I tej wersji będę się trzymał.
- Stodoła nie miała strychu na siano; po prostu przestrzeń wielkości katedry, ograniczona grubymi, starymi krokwiemi i ścianami pokrytymi białą płytą gipsową. Co kilka metrów syczały filtry powietrza, takie same jak ten, który widzieliśmy w Domu Gry. Zabytkowa, grawitacyjna pompa benzyny stała na prawo od nieskazitelnie czystego warsztatu. Lśniące narzędzia w przegródkach z płyty pilśniowej, irchowe szmatki poskładane w równe kwadraty, puszkę wosku, pasty do polerowania chromu, preparatu do czyszczenia skóry. Przez środek pomieszczenia biegł chodnik z kamiennych płyt - zmieściłyby się na nim cztery konie obok siebie. Po obu stronach stało coś, co doktor Walter MacIntyre uważał za boksy. Z boksów usunięto drzwi, a betonowe podłogi zamieciono do czysta. W każdym stał benzynowy rumak. Milo i ja poszliśmy chodnikiem. Milo zaglądał do każdego samochodu, kładł dłonie na maskach. Cztery corvette'y. Dwa porsche, jeden z numerem wyścigowym na drzwiach. Nowy srebrny roadster Brada Dowda. Czarny jaguar typ D czaił się do skoku, nie zważając na kremowego packarda clippera, górującego snobistycznie w boksie obok. Zagroda za zagrodą, a w środku lakierowane, chromowane dzieła sztuki. Czerwone ferrari daytona, potworny, błękitny cadillac rocznik 1959, którym Brad przyjechał do domu Nory, srebrna AC cobra, brązowy GTO.
- Wszystkie maski zimne. Milo się wyprostował; musiał się schylić, żeby zajrzeć do środka żółtej pantery. Podeszedł do przeciwległej ściany i przyjrzał się kolekcji.
- Chłopięce hobby.
- Daytona kosztuje tyle, ile dom - zauważyłem. - Albo wypłaca sobie olbrzymią pensję, albo odprowadzał pieniądze.

- Niestety, chrom nie krwawi, a ja pałam żądzą krwi.
- Po wyjściu ze stodoły Milo założył z powrotem otwartą kłódkę i wytarł ją ze śladów.
- Milion dolarów w bryczkach, a jemu nie chce się zamykać.
- Nie spodziewa się gości - stwierdziłem.
- Pewny siebie facet. Bo niby czemu nie.
- Ruszyliśmy z powrotem do samochodu, obchodząc stodołę od południowej strony. Dziesięć kroków dalej zatrzymaliśmy się, jak na komendę. Szary okrąg. Łatwy do zauważenia; trawa wyschła na pół metra wokoło, zostawiając aureolę zimnej, brązowej ziemi. Stalowy dysk, najeżony małymi, metalowymi guzkami. Leżąca płasko dźwignia bez oporu dała się podnieść, kiedy Milo spróbował. Pociągnięta dwa centymetry wywołała syk hydrauliki. Pozwolił jej opaść na miejsce.
- - Żółw Bert - powiedziałem.- Kto?
- Postać z książeczek, które rozdawali dzieciom w szkole, w ramach nauki podstaw obrony cywilnej. Ja tego już nie pamiętam, ale miałem kuzynkę, która sobie zostawiła kilka na pamiątkę. Bert bardzo dobrze chował się do swojej skorupy. Znał się na etykietach schronów przeciwoatomowych.
- Ja miałem w szkole ćwiczenia z padania na ziemię - mruknął Milo. - Schowaj głowę między kolana i pocałuj swoją dupę na „do widzenia”.
- Szturchnął czubkiem buta skraj wjazdu.
- Stary Walter rzeczywiście bał się komunistów.
- A teraz Brad z tego korzysta.
-
-
-
- Milo rozejrzał się po okolicy, szukając kamer przemysłowych. - Żadnej nie widzę, ale kto wie... Wrócił do wjazdu, przykucnął i pociągnął dźwignię jeszcze kilkanaście centymetrów. Pss, psss. Znowu pozwolił jej opaść na miejsce.

- Śluza powietrzna - powiedziałem. - Opad radioaktywny nam nie zagrozi.
- Graj w kanastę, kiedy spadają bomby. - Rozciągnął się płasko na ziemi, przyłożył ucho do metalu. - Słyszysz krzyki damy w opałach tak samo, jak ja?
- W oddali nędzny wiaterek ledwie poruszał źdźbłami traw. Świergoczący ptak zamilkł. Gdyby chmury wydawały dźwięki, może cisza byłaby mniej dzwoniąca.
- - Głośno i wyraźnie - oznajmiłem. - Podstawa do przeszukania.
- Podniósł dźwignię do połowy. Zajrzał. Musiał wstać i naprzeć całym ciężarem, żeby kłapa otworzyła się do końca. Właz poddał się z ostatnim szeptem. Milo się odsunął, zaczekał, znów zbliżył się i spojrzał w głąb.
- W szybie z blachy falistej w dół prowadziły spiralne schody z metalowymi stopniami z nakładkami przeciwpoślizgowymi, przymocowanymi do spodniej strony włazu.
- - Wciąż pozostaje najważniejsze pytanie - odezwał się po chwili Milo.- Czy on tam jest.
- - Żadnym z tych samochodów ostatnio nie jeżdżono, ale to może tylko oznaczać, że siedzi tam na dole od jakiegoś czasu. - Zdjął swoje pustynne buty, rozpiął kaburę, ale nie wyjął pistoletu. Usiadł na brzegu, spuścił nogi do środka. - Jeśli coś się stanie, możesz zatrzymać moje pudełko na drugie śniadanie.
- Ruszył w dół. Zdjąłem buty i poszedłem za nim.
- - Zostań na górze, Alex.
- - I mam tu siedzieć sam, jak się pojawi?Milo zaczął protestować. Przerwał. Nie dlatego, że zmienił zdanie.Patrzył na coś.Na dole schodów znajdowały się drzwi z takiej samej szarej stali jak właz. Do metalu przykręcony był lśniący, mosiężny wieszak na ubrania.Z wieszaka zwisał biały, naprężony nylonowy sznurek. Jego końce zaczepiono o parę uszu.
- Woskowo białych uszu.Głowa, z której wyrastały, była smukła, foremna, zwieńczona gęstymi, czarnymi włosami.Twarz proporcjonalna, ale ohydna. Skóra bardziej przypominała papier niż ludzkie ciało. Guzy deformowały kości policzkowe w miejscach, gdzie zapadło się wypchanie. Niemal niewidoczne szwy utrzymywały usta zamknięte, a oczy otwarte. Niebieskie oczy, szeroko otwarte i zaskoczone. Szklane.Coś, co kiedyś było Dylanem Meserve'em, miało w sobie tyle samo życia, ile podstawka pod kapelusz.Milo wypełził. Nerwowo coś przełykał. Zaczął chodzić w tę i z powrotem.Zbliżyłem się do otworu, poczułem zapach formaliny. Zobaczyłem na drzwiach napis, kilka centymetrów pod brodą woskowej głowy.Zsunąłem się w głąb, przeczytałem.Równe pismo, czarny marker.*PROJEKT UKOŃCZONY*Pod spodem data i godzina. Druga w nocy. Cztery dni temu.Milo przez chwilę szukał po okolicy śladów pochówku. Wrócił, kręcąc głową, zajrzał w paszczę wejścia do schronu.
- Bóg jeden wie, co tam jeszcze może być. Moralna rozterka...
- Czy jest tam ktoś, kogo można uratować - dodałem. - A jeśli tak, to czy próba ratowania nie

pogorszy sytuacji. Mógłbyś zadzwonić, jeśli Brad tam siedzi, może usłyszemy dzwonek.

- Jeśli go usłyszemy, to znaczy, że on już usłyszał nas.
- Przynajmniej ten się nigdzie nie wybiera. - Zerknąłem na wiszącą głowę. - Atyle się zastanawialiśmy.

- Milo wyjął komórkę i wystukał numer Brada Do wda. Na dole cisza. Otworzył szerzej oczy. - Pan Dowd? Porucznik Sturgis... nie, nic ważnego, ale pomyślałem, że może pogadalibyśmy o Reynoldzie Peatym... chcemy wyjaśnić jeszcze kilka rzeczy... liczyłem bardziej na dziś wieczór, gdzie pan jest? Byliśmy tam wcześniej... tak, pewnie tak... proszę posłuchać, nie, nie ma problemu, przyjedziemy do pana do domu, jesteśmy niedaleko. W Camarillo... właściwie to powiązana sprawa, ale nie mogę powiedzieć... przykro mi... a więc, czy... na pewno? Dzisiaj byłoby o wiele łatwiej, panie Dowd... dobrze, rozumiem, jasne. Do jutra.

- Klik.

- Ciężki dzień w Pasadenie - wyjaśnił. - Łatanie dziurawych rur, bla, bla, bla. Był wyluzowany, dopóki nie wspomniałem o Camarillo. W głosie pojawiła się odrobina paniki. Z przyjemnością panom pomogę, poruczniku, ale dzisiaj po prostu nie dam rady.
- Przestraszyłeś go, musi się zreorganizować. Może zajmie się tym, co go uspokajało, kiedy był mały.

- Co takiego?
- Rzemiosło i sztuka.

- Milo znów ruszył na dół, załomotał do drzwi, trzymając się przy tym z dala od obrzydliwstwa na wieszaku. Odsunął się od niego i znalazł miejsce, w którym mógł przyłożyć ucho do metalu, nie dotykając trupiej skóry. Zapukał w drzwi, potem załomotał. Wrócił na górę, otrzepał się z nieistniejącego kurzu.
- - Jeśli ktoś tam jest, nie słyszałem go, a drzwi są zamknięte na głucho.
- Opuścił właz, wytarł go z odcisków palców, zamazał ślady stóp, które zrobiliśmy na ziemistej otoczce klapy.
- Włożyliśmy buty i wróciliśmy do samochodu, zadając sobie dużo trudu, by zatrzeć wszelkie znaki naszej bytności. Opuściłem posesję i pojechałem znów w górę, tak samo jak wtedy, kiedy przeoczyłem wjazd. Kiedy nie znaleźliśmy w odległości swobodnego marszu miejsca do ukrycia seville'a, zawróciłem i pojechałem na dół. Skrzynka dwie działki poniżej terenu Dowda miała naklejone złotymi literami nazwisko: OSGOODOWIE. Przekrzywiona brama z desek i siatki zagradzały podjazd. Skrzynka miała podniesioną flagę. Milo wysiadł i sprawdził.

- - Co najmniej od tygodnia nieopróżniana, wjeżdżamy.
- Osgoodowie posiadali o wiele mniejszą działkę niż Billy Dowd. Taki sam dębowo-sykomorowy las, płaski, brązowy trawnik zamiast łąki. Na środku jasnozielony dom z lat pięćdziesiątych, z białym dachem, przycupnięty za pustą zagrodą. Nie było zwierząt ani nawet ich zapachu. Z boku stało pół tuzina pustych koszy na śmieci. Tania huśtawka z prefabrykatów sterczała niedaleko, przekrzywiona, a dziecięcy trójkołowiec blokował drzwi wejściowe. Niebo zaczęło ciemnieć. W żadnym oknie nie zapaliło się światło. Milo sięgnął nad trójkołowcem i mimo wszystko zapukał do drzwi. Zostawił wizytówkę wciśniętą między drzwi i futrynę oraz list pod wycieraczką seville'a.
- - Co napisałeś? - spytałem, kiedy szliśmy z powrotem do drogi.- „O, szczęśliwi obywatele, robicie to dla Boga i ojczyzny”. Wróciliśmy na posesję Billy'ego pieszo, znaleźliśmy punkt obserwacyjny niedaleko miejsca, gdzie drzewa spotykały się z łąką.
- Dziesięć metrów od drogi ziemia była gąbczasta od zgniłych liści i kurzu. Usiedliśmy oparci o gruby pień niskiego dębu, dobrze schowani. Milo, ja, robaki, jaszczurki i niewidzialne, biegające żyjątka. Nie było o czym rozmawiać. Żaden z nas nie miał na to ochoty. Niebo posiniało, zrobiło się granatowe, potem czarne. Pomyślałem o Michaeli i Dy lanie obozujących niżej na zboczu. Zaprowadzonych na to miejsce przez Brada Dowda. Czy snuł plany zakończenia tej zabawy krwawą niespodzianką, a ucieczka Michaeli mu przeszkodziła? Czy to był powód, żeby ją zabić? A może po prostu pasowała do jakiejś roli? Tak samo Dylan. Wyteżyłem pamięć, żeby przypomnieć sobie chłopaka ze zdjęć. Mijał czas. Nad nami coś zapiszczało, zadrżały liście, potem rozległ się delikatny łopot skrzydeł, kiedy nietoperz wyfrunął z korony dębu i zaczął krążyć wysoko nad łąką. Potem drugi. I jeszcze cztery.- Świetnie - mruknął Milo. - Kiedy rozlegnie się złowroga ścieżka dźwiękowa?
- - Da dam, da dam.
- Zaśmiał się. Ja też. Dlaczego nie? Drzemaliśmy na zmianę. Jego druga drzemka trwała pięć minut.
- Trzeba było zabrać wodę - wymamrotał, kiedy się otrząsnął.
- Kto wiedział, że spędzimy noc w lesie?
- Prawdziwy skaut zawsze jest przygotowany na wszystko. Byłeś skautem, prawda?
- - Aha.
- - Ja też. Gdyby tylko BSA się dowiedziało... Myślisz, że ktoś tam jest na dole?- Mam nadzieję, że nie ktoś taki jak Dylan - odparłem. Oparł twarz na dłoni.
- Jeśli dzisiaj nie przyjedzie... - odezwał się chwilę później - wiesz, jak to się potoczy.

- Grupa specjalna.
- Już się nie mogę doczekać, jak będę pisał wniosek o nakaz. „Tak, wysoki sędzie, taksydermia”.
- Zapadła noc, tak czarna, że zdawała się wieczna. Milczeliśmy przez następne pół godziny. Kiedy asfalt pośliznął się od świateł samochodu, obaj byliśmy w pełni rozbudzeni. Światła przeciwmgielne. Warkot silnika. Kanciasta sylwetka samochodu minęła nas z dużą prędkością i pomknęła w stronę stodoły. Zerwaliśmy się, ruszyliśmy pod osłoną drzew. Rangę rover zatrzymał się po lewej stronie mniejszych drzwi stodoły i ucichł. Od strony kierowcy wysiadł mężczyzna, włączył lampę nad drzwiami. Żarówka miała żółtozielony odcień i zabarwiła białe włosy Brada Dowda na kolor arbuza. Obszedł samochód, otworzył drzwi pasażera. Podał komuś rękę. Kobieta, drobna postać. Luźna marynarka i spodnie skrywały sylwetkę. Oboje podeszli do drzwi, kobieta zaczęła, aż Brad otworzy. Weszła w żółty snop światła. Zarysował się profil. Mocny podbródek, mały nos. Szare włosy, oliwkowe w świetle lampy. Nora Dowd powiedziała coś, co zabrzmiało wyzywająco. Brad Dowd odwrócił się do niej. Szeroko rozłożył ramiona. Rzuciła się mu w objęcia. Nie było nic siostrzanego w tym, jak pieściła jego kark. On złapał ją za pośladki. Zachichotała. Uniosła twarz, ich usta się spotkały. Długi, mocny pocałunek. Sięgnęła do krocza Brada. Zaśmiał się. Ona się zaśmiała. Weszli do środka. Pojawili się znów chwilę później, trzymając się za ręce, obeszli południowy kraniec stodoły. Nora podskakiwała. - Wspaniała noc. - Brad głęboko wciągnął powietrze. - Ślicznie tu, prawda?
- -Pora się zabawić - powiedziała Nora.
- Dotarli do wjazdu. Nora zaczęła poprawiać fryzurę, a Brad pociągnął dźwignię. Całym ciężarem ciała, tak jak Milo.
- Oooch - jęknęła Nora. - Mój ty siłaczu.
- Mam dla ciebie coś *beaucoup* silnego, maleńka. - Aja dla ciebie coś miękkiego i słodkiego, maleńki.
- Pokrywa odskoczyła. Brad wyjął kieszonkową latarkę i wycelował ją w otwór.
- Rzeczywiście. Dobrze tu wygląda.
- To dopiero powitanie - mruknęła. - Puk, puk, puk.
- Zawsze lubił się pobujać. Nora się zaśmiała.

- Brad się zaśmiał. Przywarła biodrami do jego bioder.
 - - Masz rakietę jądrową w kieszeni czy tylko cieszysz się na mój widok?
 - Makabryczna wersja Mae West. Brad pocałował ją, objął i wyłączył latarkę.
-
- Zabierzmy stąd twoje rzeczy. Na pewno masz już dość życia kreta.
 - Jestem gotowa - oznajmiła. - Ale było wesoło.
-
- Brad siadł na krawędzi otworu. Kiedy szykował się do zejścia, Milo skoczył na niego, złapał za szyję, szarpnął mocno w tył, na plecy. Tak samo szybko przewrócił go na brzuch, wykrecił mu ręce i skuł kajdankami. Nora nie stawiała oporu, kiedy ją złapałem. Milo wbił kolano w sam środek pleców swojej ofiary. Brad sapnął.
-
- Nie mogę oddychać.
 - Mówisz, znaczy, że oddychasz.
-
- Poczulem, że Nora sztywnieje. Byłem przygotowany, kiedy spróbowała się wyrwać. Miała miękkie ramiona, mało siły, a nadgarstki tak cienkie, że mogłem chwycić oba jedną ręką. Złapałem mimo to dwiema, mocno pociągnąłem w tył, aż wygięła się w łuk. - To boli.
-
- Zostaw ją - warknął Brad.
 - Zostaw go - zapiszczała Nora.
 - Rodzinna solidarność - powiedział Milo. - Wzruszające.
 - To nie tak, jak myślicie - powiedziała Nora. - On nie jest moim bratem.
-
- - A kim?
-
- Zaśmiała się. Nie był to miły dźwięk. - Zaczekajcie tylko, aż dobierze się do was mój prawnik - wysapał Brad. - A o co nas oskarżysz? - spytał Milo. - O *taxidermus interruptus*! Oboje się zamknęli.
-
- - Zaprowadziliśmy ich z powrotem do stodoły. Brad cały czas patrzył na Norę. Ona unikała jego wzroku.

- - Trzymaj ją, Alex. - Milo szedł kamiennym chodnikiem, popychając Brada. Wybrał cadillaca rocznik 1959, wcisnął mężczyznę na przedni fotel pasażera. - Patrzcie państwo, nienormowy pas bezpieczeństwa. - Zaciągnął go na brzuchu Brada.
- Skóra na karku mężczyzny była tak biała jak jego włosy. Przypominał marmurowy posąg. Nora patrzyła prosto przed siebie. Nadgarstki miała miękkie, jakby rozpuszczały się jej kości. Pachniała francuskimi perfumami i marihuaną. Milo sprawdził, czy Brad jest przypięty, potem zamknął drzwi cadillaca. Kiedy metal uderzył o metal, poczułem falę napięcia przechodzącą przez Norę od ramion po biodra. Nic nie powiedziała, ale jej oddech przyspieszył. Potem podniosła prawą stopę i spróbowała wbić mi obcas w podbicie. Kiedy odskoczyłem, zaczęła wić się i pluć. Prawdopodobnie czuła ból, kiedy ją obezwładniałem, bo krzyknęła. A może to gra. Milo podszedł i przejął Norę.
- Sprawdź warsztat. Zobacz, czy nie znajdziesz tam odpowiednich pęt dla pani Lejek.
- Brad mnie zgwałcił - zapiszczała Nora Dowd. - Bez mojej zgody.
- To zbędne - powiedział Milo. - Co?
- Zgoda przy gwałcie.
- Zmieszanie w zaczerwienionych od trawki oczach. - Na drzwiach wisi małe dzieło sztuki - podjął Milo. Nora zaczęła szlochać bez łez.
- - Dylan! Bardzo go kochałam. Brad był zazdrosny i zrobił coś tak strasznego! Próbowałam go powstrzymać...
- - Jak?
- Przekonywałam go.
- Intelktualna debata? - zakpił Milo. - Wyższość kapoka organicznego nad pianką poliuretanową?
- Nora zawyła.
- - O mój Boże! To straszne!
- Wciąż miała suche oczy. Przydałaby się jej cebula. Pociągnęła nosem. Spojrzała na Mila.
- - Zdejmujemy pani show z powodu złych recenzji - poinformował.
- W szufladzie warsztatu znalazłem rolkę taśmy i dwa zwoje grubej, białej liny.
- - Wiąż - polecił Milo.

- Wykręcił Norze ramiona za plecy. Przeszła od płaczu do przekleństw. Zakłęła głośniej, kiedy wiązałem nadgarstki. Próbowwała głową uderzyć Mila w ramię. Gdy udało mu się zawlec ją przez stodołę na fotel pasażera białego thunderbirda model 1955, zamilkła.
- - Było miło, aż przyszedł Milo i zabrał zabawki. - Przypiął ją pasami.
- Stanęliśmy obaj, zdyszani. Milo był spocony na twarzy, a ja czułem strużki wilgoci spływające po bokach głowy. Bolały mnie żebra. Kark mi zeszywniał, jakby spotkał się z tępym ostrzem gilotyny.
- Milo zadzwonił. Wycie syren najpierw było dalekim jękiem, po chwili wzrosło do ryku atomowych trąb. Bardzo starałem się o niczym nie myśleć, a jazgot brzmiał w moich uszach jak najśłodsza muzyka. Osiem patrolowców szeryfa, dyskoteka migoczących świateł. Milo od razu wyjął odznakę. Czujny, opalony sierżant w brązach wysiadł z pierwszego samochodu.

- Departament Policji Los Angeles - zameldował Milo.
- Proszę trzymać ręce na widoku.

- Celowało w nas kilka luf. Usłuchaliśmy. Sierżant podszedł do nas kołyszącym krokiem, pełen strachu i agresji. Wąsy miał rude i najeżone, dość sumiaste, by mogły się w nich gnieździć kolibry. Na identyfikatorze nazwisko: M. P_{EDERSOHN}. Napięte mięśnie karku. Zerknięcie zmrużonymi oczami na drobny druk na odznace Mila nie ociepliło atmosfery.

- Piegowate dłonie klasnęły o brązowe biodra.

- Dobra... po co tu przyjechaliście?
- Służbowo - odparł Milo. - Pokażę panu...
- Dyżurny mówił coś o zwłokach - przerwał mu Pedersohn.
- To częściowo prawda. - Co?

- Milo kiwnął w południową stronę. Pedersohn nie drgnął - pokazał swoim ludziom, że nie da sobą dyrygować. Milo zniknął. Pedersohn poszedł za nim. Wystarczyło jedno spojrzenie we włąz i opalenizna sierżanta przybrała kolor kredy.

- Jezu... - Złapał się za wąsy. - Czy to...
- To nie plastik - poinformował Milo.
- Jezu... o rany... od jak dawna to tam wisi?

- - To jedno pytanie z wielu, które podnoszą swoje wredne łebki, sierżancie. Wezwaliście gości z laboratorium?
- - E... jeszcze nie... - Kolejne spojrzenie w dół. - Nasi ludzie ze śródmieścia będą musieli się tym zająć.
- - Więc ich też powinniście wezwać.
- Pedersohn odczepił krótkofalówkę od pasa. Zawahał się. Zmrużył oczy.
- - Gdzie podejrzani?- Bawią się w wycieczkę.- Co?
- Milo znów go zostawił i poszedł. Pedersohn spojrzał na mnie.
- - Wielokrotne morderstwo zawsze psuje mu humor.
- Na miejsce zbrodni wezwano mieszkającego w Palisades zastępcę koronera Ala Mordena. Zszedł po schodach, spojrzał na głowę i oznajmił, że dalej nie pójdzie, dopóki schron nie zostanie uznany za zabezpieczony. Ludzie szeryfa popatrzyli po sobie spojrzeniami „kto, ja?”

- Ekipa ze śródmieścia powinna tu niedługo być - powiedział sierżant Mitchell Pedersohn.
- Moja propozycja z pudełkiem na drugie śniadanie wciąż jest aktualna - zwrócił się do mnie Milo.

- - Co? - nie zrozumiał Pedersohn. Milo zniknął w czarnej dziurze.

- Wrócił kilka chwil później.

- Popatrz, mam, nie było pułapek.
- Co tam jest? - spytał Pedersohn.
- Trzy oddzielne schrony, połączone tunelami. W jednym są damskie ubrania, przybory toaletowe i wygodne łóżko. Na ścianach zdjęcia podejrzanych, bardzo przytulnie. W pozostałych wcale nie jest przytulnie.
- Chodziło mi o materiał dowodowy.
- To dość skomplikowane - odparł Milo, zwracając się do Mordena. Zastępca koronera uśmiechnął się ponuro.
- Masa roboty dla mnie?

- - O tak.

DRS 04-592 346-56

OFIARY: BRAND, MICHAELA ALLY

GAIDELAS, ANDREW WILLIAM GAIDELAS, CATHERINE ANTONIA GIACOMO, VICTORIA MARY MESERVE, DYLAN ROGER PEATY, REYNOLD MILLARD BIAŁA KOBIETA #1 BIAŁA KOBIETA #2 BIAŁA KOBIETA #3 BIAŁA KOBIETA #4

OFIARA Z LAS VEGAS. DUTCHEY, JULIET LEE

NEVADA

SEKCJA VIII: DOWODY

I. Z BUDYNKU MAGAZYNOWEGO NALEŻĄCEGO DO BNB NIERUCHOMOŚCI, WEST WOODBURY ROAD 942A, ALTADENA, 91001 KALIFORNIA:

1.3 PUDŁA KARTONOWE Z UBRANIAMI - NIEKTÓRE ZIDENTYFIKOWANE JAKO NALEŻĄCE DO OFIAR: BRAND M. GAIDELAS A. GAIDELAS C. MESERVE D. GIACOMO V. ODZIEŻ DAMSKA, IDEN TYFIKACJA NIEMOŻLIWA.

2. ONYKSOWE PUDEŁKA „MADE IN MEXICO” ZE ŻŁOTĄ, SREBRNĄ I SZTUCZNĄ BIŻUTERIĄ, 3 PARY OKULARÓW, 1 NALEŻĄCE DO OFIARY GIACOMO V, 2 NIEZIDENTYFIKOWANE, 1 PARA MIĘKKICH SOCZEWEK KONTAKTOWYCH NALEŻĄCYCH DO OFIARY BRAND M., 1 MOSTEK STOMATOLOGICZNY NALEŻĄCY DO OFIARY GAIDELAS A.

3.3 POLIETYLENOWE WORKI NA ŚMIECI Z 53 WYBIELONYMI LUDZKIMI KOŚĆMI; IDENTYFIKACJA W TOKU PRZEZ BIURO KORONERA (POR. PROFESOR JESSICA SAMPLE, ANTROPOLOG SĄDOWY).

4.1 PUDŁO KARTONOWE Z OZNACZENIAMI SEARS-KENMORE Z 10 ZACISKOWYMI TOREBKAMI NA KANAPKI, KAŻDA ZAWIERAJĄCA PUKIEL LUDZKICH WŁOSÓW ZWIĄZANYCH DWIEMA GUMKAMI (POR. PROF. J. SAMPLE).

II. Z BAGAŻNIKA LINCOLNA TOWN CAR ROCZNIK 1989 NR NADWOZIA 33893566, ZAREJESTROWANEGO NA BRADLEYA MILLARDA DOWDA, GARAŻOWANEGO ZA BUDYNKIEM MAGAZYNOWYM PRZY WEST WOODBURY ROAD 942A:

1. KAMERA CYFROWA SONY MODEL DSC 588.
2. 1 WYCIĘTY FRAGMENT CZARNEJ WYKŁADZINY PODŁOGOWEJ Z LINCOLNA TOWN CAR.
3. PRZEDNIE I TYLNE CZARNE SKÓRZANE FOTELE Z LINCOLNA TOWN CAR.

Z CZĘŚCI „A” (NAJBARDZIEJ WYSUNIĘTA NA PÓŁNOC, PATRZ RYSUNEK):

1. UBRANIA, KOSMETYKI, RZECZY OSOBISTE NALEŻĄCE DO PODEJRZANEJ DOWD N.

1. SKŁADANE PODWÓJNE ŁÓŻKO Z POŚCIELĄ.
2. ZDJĘCIA PODEJRZANYCH DOWD B. I DOWD N.
3. 5 ZĘBÓW NALEŻĄCYCH DO OFIARY MESERVE D., PRZEWIERCONYCH I NAWLECZONYCH NA SREBRNY ŁAŃCUSZEK.
4. 1 TAKSYDERMICZNIE ZAKONSERWOWANA LUDZKA GŁOWA NALEŻĄCA DO OFIARY MESERVE D.
5. DWIE PODOBNIIE ZAKONSERWOWANE GŁOWY, OFIARY GAIDELAS A., GAIDELAS C.
6. 1 PŁYTA CD Z FOTOGRAFIAMI, OPISANA JAKO „IMPREZA”, ZAWIERAJĄCA PORNOGRAFICZNE ZDJĘCIA:

A.PODEJRZANEGO DOWDA B. PODCZAS STOSUNKU SEKSUALNEGO Z OFIARAMI BRAND M., GIACOMO V, GAIDELAS C, GAIDELAS A., NN 1, 2, 3, 4, OFIARĄ Z LAS VEGAS DUTCHEY J.

B.PODEJRZANEGO DOWDA B. PODCZAS STOSUNKU SEKSUALNEGO Z DOWD N.

C.PODEJRZANEJ DOWD N. PODCZAS STOSUNKU Z OFIARĄ MESERVE D.

D.PODEJRZANEGO DOWD B. PODCZAS STOSUNKU Z OFIARĄ MESERVE D.

3. 8.4 PŁYTY DVD Z FILMAMI O TREŚCI ZBLIŻONEJ DO TEJ WYMIENIONEJ W PUNKCIE

Z CZĘŚCI „B” I „C”:

1. 2 250 MB DYSKI KOMPUTEROWE OZNACZONE „PT SZCZYT”, ZAWARTOŚĆ ZASZYFROWANA, BYĆ MOŻE USZKODZONA (POR. WYDZIAŁ TECHNICZNY LAPD, SIERŻ. S. FUJIKAWA).
2. KOMPUTER OSOBISTY, 1 BATERIA, 1 MONITOR 19” MIKRO-TEK, 1 DRUKARKA LASEROWA HEWLETT-PACKARD 4050.
3. 1 42” TELEWIZOR Z PŁASKIM KINESKOPEM.
4. 1 MOSIĘŻNY WIESZAK NA UBRANIA.
5. 1 19M WYCIĘTY FRAGMENT BEŻOWEJ NYLONOWEJ WYKŁADZINY. 1 20M WYCIĘTY FRAGMENT BEŻOWEJ NYLONOWEJ WYKŁADZINY.

1. 12 PUDEŁEK ROZMONTOWANYCH PŁYTEK WYTŁUMIENIA AKUSTYCZNEGO SUFITOWEGO.
2. 2 KOMPLETY POLICYJNYCH KAJDANEK I KLUCZY SMITH & WESSON.
- 3.

1. 1 KOMPLET ZABYTKOWYCH ŻELAZNYCH KAJDAN NA NOGI „E.D. BEAN”, OK. 1885 (POR. PROFESOR ANDRE WASHINGTON, HISTORYK).
2. 3 DREWNIANE SKRZYNIE Z RÓŻNYMI NOŻAMI CHIRURGICZNYMI, IGLAMI, PIŁAMI, SKROBAKAMI, NOŻYCAMI, RURKAMI, LEJKAMI.

10.1 PRZEMYSŁOWA POMPA SSĄCA, MODEL A-334C.

11.1 POMPA TŁOCZĄCA KINGSLEY, MODEL CSI-PG005.

1. 4 SZPULE NICI CHIRURGICZNEJ MEDIBOND, DWIE 20 MM, DWIE 24 MM.
2. 2 NIEOPISANE PUDŁA KARTONOWE Z ZAMKNIĘTYMI PRZEZROCZYSTYMI FOLIOWYMI TORBAMI Z BAWELNIANYM WYPEŁNIENIEM.
3. 4 PLASTIKOWE CZTEROLITROWE POJEMNIKI Z NADTLENKIEM WODORU.

1. 1 PUDEŁKO ŻEBROWANYCH PREZERWATYW.

1. 1 DWUDZIESTOLITROWY PLASTIKOWY POJEMNIK Z ROZTWOREM KWASU METANOWEGO.

1. 5 KOMPLETÓW LATEKSOWYCH RĘKAWICZEK.
2. 1 EPOKSYDOWY ZESTAW „TAKSYDERMISTA-RZEŹBIARZ”.

19.1 LITROWA BUTELKA ŚRODKA ODTŁUSZCZAJĄCEGO I KONSERWUJĄCEGO SKÓRĘ.

1. 1 TRZYKILOGRAMOWA TORBA SUCHEGO ŚRODKA KONSERWUJĄCEGO.
2. 1 „STÓŁ DO DROBNYCH ZABIEGÓW CHIRURGICZNYCH” OAKES G-235C Z OBEJMĄ NA GŁOWĘ I ODCZEPIANYM ODPLYWEM...

Milo wrócił do gabinetu i zabrał mi raport.

- Jeszcze nie skończyłem.

Wrzucił segregator do szuflady.

- Honda Michaeli w końcu się znalazła. W garażu budynku BNB w Sierra Mądre. Teraz właśnie jest odholowywana do laboratorium.
- Gratulacje. Jak mówiłem...
- Jak ci się podoba mój styl?
- Elokwentny - powiedziałem. - Nie mów, proszę, że chcesz iść na obiad.
- Już dawno po porze obiadowej, ale chemie umówię się z tobą na kolację. - Opadł na krzesło z takim impetem, aż jęknęło. - Dość udawa-
-
- nia wyszczerzanego macho. Jestem wykończony i nie wstydzę się do tego przyznać.
-
- Spaleś trochę?
- Z pięć godzin - odparł. - Przez ostatnich pięć dni.
- Pora zrobić sobie przerwę.
- To nie praca nie daje mi spać, chłopcze, tylko rzeczywistość. Skoro już tam zajrzałeś... może jakieś refleksje?
- Dom Gry był nie kuźnią, ale rzeźnią młodych talentów. Dla Nory odgrywał podwójną rolę. Mogła rządzić i razem z Bradem wybierać ofiary.
- Zimna suka - wycedził Milo. -1 arogancka. Wtedy, kiedy przyszliśmy do niej do domu, nawet nie udawała, że przejmuje się Tori czy Michaelą.
- Nie wiem, czy jest zdolna do udawania.
- Nie umie grać? Jak przekonała tylu ludzi, żeby w nią uwierzyli?
- Wyglodniałemu stadku zdawało się, że trafiło na okazję. Osoby emocjonalnie łaknące wypiją zatrutą oranżadę.
-
- Milo westchnął.
-
- Wszyscy ci piękni ludzie przychodzili na przesłuchania i nie mieli pojęcia, jaka naprawdę czeka na nich rola.
- Udało się zidentyfikować pozostałe dziewczyny?
- Jeszcze nie. Nie znaleziono też więcej zwłok mężczyzn, ale nie liczę, że to już wszystko. Nie przeszukaliśmy jeszcze wielu nieruchomości BNB, a koparki przekopały tylko sam róg posesji. Jak, według ciebie, ma się do tego pozorowane porwanie?
- Teatr grozy. Nora i Brad wymyślili to dla zabawy. Przekonali Dylana Meserve'a, że jest

współspiskowcem. Ale był tylko pionkiem.

- Myślisz, że się orientował, co szykują dla Michaeli?
- - Znalazłeś cokolwiek, co by świadczyło, że wiedział o innych ofiarach?
- - Jak dotąd nie - przyznał Milo. - Ale kazał Michaeli, żeby go dusiła. To mógł być zwiastun losu, jaki ją czekał, prawda?
- - Albo miał swoje zboczenia - odparłem. - Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy, o ile nie znajdzie się jakiś pamiętnik. Albo jeśli Brad lub Nora nie zaczną mówić.- Na razie oboje milczą jak grób - stęknął Milo. - Zgodnie z twoją sugestią, kazałem pilnować, żeby Brad nie popełnił samobójstwa. Strażnik więzienny powiedział, że aresztowany Dowd uznał to za zabawne.
- - Utrzymuje pozory - oceniłem. - Kiedy fasada runie, nic mu nie zostanie.
- Skoro tak mówisz, doktorze... Wracając do oszustwa. Nora puszcza oko do Meserve'a, udaje oburzenie i wyrzuca Michaelę z zajęć. Dlaczego?
- Wciąż stawiałbym na to, że Michaela miała być „uratowana” przez Brada. Była bez grosza, bez pracy, głodna uwagi, sfrustrowana przebiegiem swojej kariery. Jeśli Brad przypadkiem przejeżdżał obok jednym ze swoich lśniących samochodów i zaczął rozmowę, mogła to odebrać jako zrzęcenie opatrności. Znała go już z widzenia z Domu Gry, więc nie bała się nieznanego. A związek Brada z Norą musiał sprawić, że Michaela była tym chętniejsza, by bliżej poznać faceta.
- - I wkraść się z powrotem w łaski Nory.
- Mógł jej też nakłamać, że ma własne dojścia, że pomoże w karierze. Tak samo z Tori. Z nimi wszystkimi.
- Uwiedzenie zamiast porwania - podsumował Milo. - Dobra kolacja, dobre wino, chodźmy obejrzeć zachód słońca w Malibu. Ciekawe, co poczuła Michaela, kiedy zobaczyła, że Brad zabiera ją z powrotem do Latigo Canyon.
- Jeśli zaskarbił sobie jej zaufanie kolacją i winem, pewnie opanowała strach. Albo najpierw zabrał dziewczynę gdzieś indziej i obezwładnił...
- Bo miał jeszcze jedną komnatę grozy, której do tej pory nie znaleźliśmy? - zastanowił się na głos Milo. - Jedno jest pewne: nic z tego nie wydarzyło się ani w jego, ani w Nory domu. W żadnym z lokali nie ma ani śladu obrzydliwości.
- Po co brudzić w domu, kiedy ma się na swoje hobby osobne miejsce? - spytałem.
- Skoro o hobby mowa, jak sądzisz, dlaczego tylko Meserve i Gaidelasowie zostali spreparowani?
- Rana szyi sugeruje, że myśleli o spreparowaniu Michaeli - powiedziałem. - Posunęli się aż do umieszczenia rurki w jej szyi, a potem zmienili zdanie. Nie zajrzemy im do głów, ale

Gaidelasowie i Meserve mieszczą się w jakiegoś rodzaju fantazji. Gdybym mógł doczytać akta...

- Nie znajdziesz tam nic o przeszłości ofiar, Alex, tylko jeszcze więcej ohydy. Ja nie mam wyjścia, ale ty nie musisz tego czytać. Jedź do domu i o wszystkim zapomnij.
- Udało się odkodować dysk? - spytałem.

- Milo przesunął językiem po spękanych, wyschniętych ustach, podrapał się w głowę, potarł twarz. Ogolił się niedbale i wzdłuż krawędzi szczęki miał pasmo białego futra. Jego oczy były spuchnięte i zmęczone.
- - Ogłuchłeś? - powtórzyłem pytanie.

- Nigdy nie odpuszczasz - powiedział.
- Dlatego tyle mi płacisz.
- Dysk jest odkodowany i załadowany w sali cztery. Oglądałem zawartość przez ostatnią godzinę. Stąd moja mądra rada, jedź do domu.
- Nie ma sensu odwlekać nieuniknionego - stwierdziłem.
- Co jest nieuniknione?
- Byłem razem z tobą na miejscu, kiedy znalazłeś schron. Ktoś wezwie mnie na świadka. Albo prokuratura, albo Stavros Menas.
- Oboje Dowdowie próbowali wynająć Menasa, ale to Nora go dostała, i nie miała siostrzanych uczuć. Brad szuka nowego obrońcy.
- Pieniądze przemawiają, a ona ma mikrofon.
- Minus te miliony, które zwinął Brad - powiedział Milo. - Większość poszła na kolekcję samochodów i małą wysepkę niedaleko wybrzeża Belize, którą kupił dwa miesiące temu. I jeszcze jeden luksusowy zakup, trzy tygodnie temu: udział timesharingowy w gulfstreamie V, dwadzieścia pięć godzin. To trzysta pięćdziesiąt tysięcy za samolot o międzynarodowym zasięgu. Chcesz się założyć, że ma też konto gdzieś na południe od równika? Prawnicy, którzy mianowali go powiernikiem, jedzą garściami środki na zgagę, a nowi, wyznaczeni przez sąd, już się oblizują. Szykuje się długoletni proces, pójdzie na niego reszta majątku.
- Planował ucieczkę - powiedziałem. - Foldery brał naprawdę. A potem się wycwanił i zostawił je w szafce nocnej Nory.
- Za bardzo się wycwanił - uznał Milo. - Siedział w rangę roverze, korzystał z posesji Billy'ego. Pozornie oddany opiekun rodzeństwa, a tymczasem dymał ich, dosłownie i finansowo. Myślisz, że zamierzał zabrać Norę ze sobą, czy jechać sam?
- O ile nie wiedziała o wyspie, powiedziałbym, że sam. Czy ktoś chroni interesy Billy'ego?
- Wyznaczeni przez sądownicy twierdzą, że oni.
- W końcu dostałem wczoraj pozwolenie, żeby się z nim zobaczyć. Pojechałem do Riverside.
- Jak wygląda zakład, w którym go zamknęli?
- Ponuro - odparłem. - Ośrodek opieki długoterminowej, stu pacjentów z alzheimerem i Billy.
- Dowiedziałeś się czegoś?

- Jest w szoku i zdezorientowany. Miałem trzy minuty, zanim prawnik skończył wizytę.
- Dlaczego?
- Billy się rozplakał.
-
- Przez ciebie?
- Taka była opinia światłego jurysty - odparłem. - A według mnie Billy ma bardzo dużo powodów do płaczu i jeśli mu nie pozwolimy tego wyrazić, tylko pogorszymy sprawę. Powiedziałem mądralińskiemu prawnikowi, że Billy potrzebuje terapii, że nie zgłaszam się na ochotnika, tylko sugeruję, żeby kogoś znaleźć. Pozwolił sobie wyrazić inne zdanie. Kiedy wróciłem, zadzwoniłem do sędzi, która wypisała nakaz umieszczenia Billy'ego w zakładzie. Jeszcze się nie odezwała, ale myślę już o innych sędziach, którzy byliby skłonni pomóc.
- Uważasz, że Billy jest całkowicie czysty? - spytał Milo.
- Chyba że znajdziesz w jego mieszkaniu coś bardziej złowieszczonego niż zabawki z *Gwiezdných Wojen* i bajki Disneya.
-
- Milo pokręcił głową.
-
- Jak pokój dziecka. Pudełka słodkich płatków kukurydzianych, butelki mleka czekoladowego.
- Niełatwo być dzieckiem - powiedziałem. - Ale nie być ani chłopcem, ani mężczyzną, jeszcze trudniej. Znalazły się pieniądze Billy'ego z kieszonkowego?
-
- - Nie, tylko drobniaki w śwince skarbonce. Niektóre jeszcze z lat sześćdziesiątych.
-
- Tysiąc pięćset miesięcznie, a on wydawał tylko na pizzę, tajskie jedzenie i wypożyczanie filmów. To wyjaśnia wizyty Reynolda Peaty'ego. Udawał, że jest przyjacielem Billy'ego, podbierał mu pieniądze.
- Brzmi logicznie - stwierdził Milo. - Tyle że w melinie Peaty'ego nie znalazły się żadne pieniądze.
- Facet taki jak Peaty na pewno potrafił je wydać - zasugerowałem. - Albo, jeśli jego związek z Bradem wykraczał poza relacje ciecia z szefem, pieniądze wróciły do kuzyna. A kuzyn potem wystawił przygłupiego Reyna na śmierć.
-
- Milo się nachmurzył. Zadrgał mu mięsień tuż pod lewym okiem.

- Co się stało? - spytałem.
- Co za rodzina. - Znalazł stare cygaro w szufladzie, przetoczył je w palcach i odgryzł czubek. Splunął do kosza na śmieci.
- Dwa punkty. - Podeszedłem do drzwi. - Pora przejrzeć dysk. Milo się nie ruszył.
- To naprawdę zły pomysł, Alex.
- Chcę to mieć za sobą.
- - Nawet jeśli ktoś cię wezwie na świadka, to może być dopiero za kilka miesięcy - dodał.
- Nie ma sensu snuć fantazji aż tak długo.
- Uwierz mi, twoje fantazje nie mogą być gorsze niż rzeczywistość.
- Uwierz mi, mogą - odparłem.

45

- Zimne, żółte pomieszczenie. Stół do przesłuchań odsunięto na bok. Metalowy, w takim samym pancernym kolorze jak schron. Człowiek zwraca uwagę na różne rzeczy.
- Dwa krzesła stały naprzeciwko trzydziestocalowego telewizora plazmowego, umieszczonego na stoliku na kółkach. Na dolnej półce odtwarzacz DVD. Dużo poskręcanych kabli. Naklejka na dole ekranu ostrzegała, żeby nikt spoza biura prokuratora okręgowego nie dotykał sprzętu.
- Prokuratorzy nagle zrobili się hojni? - spytałem.
- Wyczuli koniunkturę - powiedział Milo. - Programy sądowe, scenariusze, książki. Z góry przyszedł sygnał, że tym razem to nie OJ.
- Milo wyjął z kieszeni marynarki pilota i włączył telewizor. Usiadł obok mnie. Oklapł, zamknął oczy i tak już został. Niebieski ekran, menu odtwarzacza. Godzina, data, kod ewidencyjny prokuratury. Wyjąłem pilota z dużej dłoni. Milo oczy miał wciąż zamknięte, ale zaczął szybciej oddychać. Pstryknąłem. Ekran wypełniła twarz. Wielkie niebieskie oczy, opalona skóra, regularne rysy, potargane blond włosy. Nieznana numer jeden. Milo spytał, czy chcę zacząć od Michaeli. Zastanowiłem się. „Obejrzyjmy po kolei”. Miałem nadzieję, że brak bezpośrednich kontaktów trochę pomoże. Nie pomógł.

- Kamera filmowała cały czas z bliska. Głos z offu, męski, aksamitny, przyjazny:
 - - Dobrze, zaczynamy przesłuchanie. Podoba ci się jak dotąd?
 - Zbliżenie uśmiechu dziewczyny. Wilgotne, białe zęby, idealnie równe.
 - - Jasne.
 - - Jasne, Brad. Kiedy prezentujesz się agentowi castingowemu albo komukolwiek innemu, ważne, żebyś była bezpośrednia, konkretna i miała osobiste podejście.
 - Uśmiech dziewczyny zmienił się w półksiężyc.
 - - E, dobra.
 - Kamera się odsunęła. Nerwowe spojrzenie niebieskich oczu. Chichot.
-
- Ujęcie drugie - zakomunikował Brad Dowd.
 - Co?
 - Jasne...
 - Jasne, Brad.
 - Jasne. Brad.
-
- Oczy dziewczyny uciekły w lewo.
-
- Jasne. Brad.
 - Doskonale. Dobra, jedziemy dalej.
 - Z czym?
 - Powiedz coś.
 - Niby co?
 - Improvizuj.
-
- Eee... - Oblizła usta. Rozejrzała się po szarych ścianach. - Jest trochę inaczej. Tu na dole.
-
- Podoba ci się?
 - Ee... chyba.
 - Chyba...
 - Chyba, Brad?
 - Rzeczywiście jest inaczej - przyznał Brad. - Hermetycznie. Wiesz, co to znaczy?
-
- Chichot.

- Ee... właściwie nie.
- Cicho i odludnie. Jesteśmy z dala od hałasu i zamieszania. *Sturm und Drang*.

- Dziewczyna nie odpowiedziała.
- - Wiesz, dlaczego przesłuchujemy cię w hermetycznym pomieszczeniu?

- Nora powiedziała, że jest tu spokojnie.
- Spokojnie - powtórzył Brad. - Jasne, to dobre słowo. Jak w medytacji, uummmm, shakti, bodhi vandana, calaballo. Medytowałeś kiedyś?
- Ćwiczyłam pilates.
- Ćwiczyłam. Pilates...

- - Brad. **Westchnienie z offu.**

- W hermetycznym miejscu nie rozprasza się uwagi. Tak?
- Tak... Brad.
- Hermetyczne, spokojne miejsce pozwala pozbyć się tego, co powierzchowne, wtedy łatwiej dotrzeć do swojego wnętrza. Nie tak jak na zajęciach, kiedy wszyscy patrzyli i oceniali. Tutaj nikt nie będzie cię oceniał. Nigdy.

- Dziewczyna znów się uśmiechnęła.

- Co o tym sądzisz? - spytał Brad.
- To dobrze.
- To dobrze?
- Bardzo dobrze.
- Brad!

- **Niebieskie oczy podskoczyły.**

- Brad.
- To. Dobrze...
- To dobrze, Brad. Przepraszam, **trochę się denerwuję.**
- **A teraz mi przerwałaś.**

- Przepraszam. Brad. **Dziesięciosekundowa cisza. Dziewczyna wykręca palce.**
- Wybaczam - **odezwał się Dowd.**
- **Dzięki. Brad.**

- **Kolejnych dziesięć sekund. Dziewczyna z trudem się odpręża.**

- Dobrze, jesteśmy spokojni i hermetyczni, i gotowi do ciężkiej pracy. Lubisz Sondheima?
- Ee, nie znam go... Brad.

- Nieważne, nie idziemy w muzykę, to dzień dramatu. Opuść lewe ramiączko... Tylko się nie pomył, bo prawą stronę masz słabszą. Nie zdejmuj całej bluzki, to nie porno. Musimy po prostu zobaczyć twoją lekko odsłoniętą postać, jak w rzeźbie klasycznej.

- Kamera się odsunęła, pokazała dziewczynę siedzącą sztywno na składanym krześle, ubraną w skąpy, czerwony top na cienkich ramiączkach. Gołe, opalone smukłe nogi; krótka, dżinsowa spódniczka. Stopy w sandałach oparte na ziemi. Sandały brązowe, na wysokich obcasach.

- - No, dale j - zachęcił Brad.
- Zmieszana dziewczyna zsunęła prawe ramiączko.

- Lewe!

- Przepraszam, przepraszam, zawsze miałam problemy... przepraszam, Brad, zawsze miałam problemy...

- Sięgnęła do lewego, przez chwilę nie mogła sobie poradzić, w końcu je zsunęła. Kamera zrobiła najazd na gładkie, złote ramię. Odsunęła się, ukazując całą postać. Minęło piętnaście sekund.

- Masz piękny korpus.
 - Dzięki, Brad.
 - Wiesz, co to jest korpus?
 - Ciało... Brad.
 - Górna część. Ty masz klasyczny. Farciara.
 - Dzięki, Brad.
 - Myślisz, że jesteś obdarzona talentem?
 - Eee, taka mam nadzieję... Brad.
 - Och, przestań! Niech usłyszę trochę bezczelności, pewności siebie, gwiazdorskiego podejścia!
- Nad niebieskimi oczami zatrzepotały rzęsy. Dziewczyna wyprostowała się, odrzuciła włosy. Machnęła ręką.
- Jestem najlepsza! Brad!
 - Gotowa na wszystko?
 - Jasne. Brad.
 - No, to dobrze.
- Pięć sekund. Potem: brzdęk, brzdęk. Łup, łup, łup, łup. Hałas z tyłu sprawił, że dziewczyna się odwróciła.
- Nie ruszaj się - warknął Brad. Dziewczyna zamarła.
 - To twój partner.
 - Ja... ee... nie wiedziałam, że będziemy...
 - Gwiazda musi być przygotowana na wszystko.
- Głowa dziewczyny znów zaczęła się odwracać. Zamarła, reagując na polecenie, którego nie wydano.
- - Dobrze - pochwalił łagodnie Brad. - Uczysz się. Niebieskooka oblizła usta i się uśmiechnęła.
 - Szare tło za nią nabrało koloru ciała. Włochaty brzuch i pierś. Wytatuowane ramiona. Kamera zjechała niżej, do niedźwiedziej kępy włosów łonowych. Wiotki penis zwisał kilka centymetrów od policzka dziewczyny. Jej ramiona zeszywniały.

- - Ja... ee...
- Rozluźnij się - rozkazał Brad. - Przypomnij sobie, czego Nora nauczyła cię o improwizacji.
- Ale... jasne, Brad.
- Nie ruszaj się ani trochę... myśl o kontrolowaniu własnego ciała... grzeczna dziewczynka.
- Włochata masa zapulsowała. Tatuaze podskoczyły. Kamera podjechała w górę, na lśniącą od potu, płaską twarz. Kępiaste baki. Przystrzyżone wąsy. Reynold Peaty opuścił dłonie na ramiona dziewczyny. Jego prawy kciuk wsunął się pod ramiączko. Pociągnął je. Zsunął. Dziewczyna podskoczyła i wykręciła się, żeby go zobaczyć. Lewą ręką złapał ją za czubek głowy i przytrzymał nieruchomo.
- - To boli...- Zamknij gębę!- warknął Brad Dowd. - Bo wleci ci mucha. Prawa dłoń Peaty'ego zacisnęła się na wdzięcznych ustach.
- Panna wydawała paniczne, stłumione odgłosy. Peaty uderzył swoją ofiarę otwartą dłonią tak mocno, że oczy uciekły jej pod czaszkę. Jedną ręką podniósł dziewczynę za włosy. Druga zbliżyła się do gardła.
- - Tak - powiedział.- Doskonale - potwierdził Brad. - To jest Reynold. Razem za improwizujecie mały skecz.
- Wyłączyłem obraz. Milo nie spał, wyglądał smutniej, niż kiedykolwiek go widziałem.
- - Ostrzegłeś mnie - powiedziałem i wyszedłem z pokoju.

46

- Następnym tygodniem był emocjonalnym spaghetti. Bez efektu próbowałem załatwić Billy'emu Dowdowi lepsze miejsce pobytu i regularną terapię. Opędzałem się od Eriki Weiss chcącej przesłuchać mnie raz jeszcze, żeby „wbić ostatni gwóźdź do trumny Hausera”. Ignorowałem coraz bardziej natarczywe telefony od obrońcy Hausera. Nie byłem na posterunku, odkąd zobaczyłem nagranie na DVD. Sześć minut oglądania dziewczyny, której nie znałem. W dniu, kiedy Robin się wprowadzała, udawałem, że wszystko jest w porządku. Kiedy wtargałem ostatni karton jej ubrań do sypialni, posadziła mnie na skraju materaca, pocałowała w kark i pomasaowała mi skronie.
- Wciąż o tym myślisz, co?
- Dawno niczego ciężkiego nie nosiłem. Żebra też dają mi do wiwatu.
- Nie marnuj energii na oszustwa - powiedziała z uśmiechem. - Tym razem wiem, w co się pakuję.

- Moje kontakty z Milem ograniczyły się do jednego telefonu o jedenastej wieczorem. Głosem zduszonym ze zmęczenia prosił, żebym wziął na siebie „sprawy pomocnicze”, bo on zmagał się z górą dowodów w sprawie „Morderców ze schronu”, jak pisano w gazetach. Jakiś tępy felietonista z „Timesa” próbował powiązać to z „paranoją zimnej wojny”.

- Jasne - zgodziłem się. - Co to za sprawy pomocnicze?
- Wszystko, co możesz zrobić lepiej niż ja.

- Sprowadziło się to do pocieszania. Sesja z Lou i Arlene Giacomo trwała dwie godziny. On, odkąd go widziałem, schudł, a jego oczy zrobiły się martwe. Ona była cichą, pełną godności kobietą, zgarbioną jak ktoś dwa razy starszy. Siedziałem tam, a jego gniew przeplatał się z jej umęczonymi opowieściami o życiu z Tori. Wymieniali się rolami w rytmie tak ścisłym, jakby były wcześniej rozpisane. Czas powoli płynął, a ich fotele odsuwały się od siebie coraz bardziej. Arlene opowiadała właśnie o sukience Tori do bierzmowania, kiedy Lou zerwał się na równe nogi, warknął i wyszedł z gabinetu. Ona zaczęła przeproszać, rozmyśliła się. Znaleźliśmy pana Giacomo nad stawem, karmił rybki. Wyszli w milczeniu i żadne z nich nie odebrało mojego telefonu tego wieczoru. Recepcjonista w hotelu powiedział, że się wyprowadzili. Owdowiała matka ofiary Brada Dowda z Las Vegas, Juliet Dutchey, okazała się sama emerytowaną tancerką. Występowała głównie w hotelu Flamingo. Po pięćdziesiątce i wciąż ładna, Andrea Dutchey obwiniła się, że nie zniechęciła córki do wyjazdu do Vegas. Potem przerzuciła się na ściskanie mojej dłoni i dziękowanie za wszystko, co zrobiłem. Miałem wrażenie, że nie zrobiłem nic, i jej wdzięczność mnie zasmuciła. Doktor Susan Palmer przyjechała z mężem, doktorem Barrym Palmerem, wysokim, cichym, gładko uczesany mężczyzną, który wyraźnie chciał być gdziekolwiek, byle nie tu. Zaczęła bardzo rzeczowo, szybko się posypała. On nic nie mówił i przyglądał się obrazkom na ścianach. Matka Michaeli Brand była zbyt chora, żeby przyjechać z Arizony, więc porozmawiałem z nią przez telefon. W tle syczała machina tlenowa i jeśli kobieta płakała, nie docierał do mnie szloch. Może łyzy wymagały za dużo tlenu. Słuchałem jej, dopóki bez ostrzeżenia nie rzuciła słuchawką. Nie pojawił się żaden krewny Dylana Meserve’a. Zadzwoiłem do Robin do pracowni.

- Skończyłem, możesz wracać.
- Nie uciekałam - odparła. - Po prostu pracowałam.
- Jesteś zajęta?
- Dość.
- Ale wróć do domu. Cisza.
- Jasne.

- Zadzwońiłem do Alberta Beamisha.
- Czytałem o tym - powiedział. - Najwyraźniej można mnie jeszcze zaszokować.
- Tak, to szokujące.
- Byli rozpuszczeni i leniwi, ale nie miałem pojęcia, że są potworami.
- Nie tylko persymony - wspomniałem.
- Dobry Boże, tak! Alex... czy mogę się tak do pana zwracać?
- - Oczywiście. Panie Beamish. Zaśmiał się.
- Po pierwsze, dziękuję, że mnie pan poinformował, to niezwykle uprzejme. Zwłaszcza ze strony przedstawiciela pokolenia, ja”.
- Nie ma za co. Chyba.
-
- Odchrząknął.
- Po drugie, czy gra pan w golfa? - Nie.
- Dlaczego?
- Nigdy mnie nie wciągnął.
- Cholerna szkoda. Przynajmniej pan pije... Może któregoś dnia, gdyby miał pan czas...
- Jeśli tylko postawi pan coś dobrego.
- Mam same dobre rzeczy, młody człowieku. Za kogo pan mnie uważa?
- Dwa tygodnie po aresztowaniu Brad Dowd został znaleziony w swojej celi martwy. Pętlę, na której się powiesił, splótł ze spodni od piżamy, które podarł na pasy po zgaszeniu światła. Był pilnowany, osadzony w bloku, w którym takie rzeczy nie powinny się zdarzyć. Uwagę

strażników odwrócił więzień w sąsiedniej celi - symulował napad szaleństwa i wysmarował ściany odchodami. Więzień ten, przywódca gangu i podejrzany o morderstwo mężczyzna, Theofolis Moomah, doznał cudownego ozdrowienia w chwili, kiedy zwłoki Brada zostały odcięte. Przeszukanie celi Moomaha ujawniło zapas większej niż przepisowa liczby papierosów i zwitka pięćdziesięciodolarowych banknotów. Adwokat Brada, stały bywalec sądu w śródmieściu, który bronił kilku przywódców gangów, w trybie ekspresowym wysłał swój rachunek sędziemu. Mecenas Stavros Menas zwołał konferencję prasową i wyryczał, że samobójstwo potwierdziło jego tezę, iż Brad był „szalonym Swengalim”, a Nora Dowd bezwiedną ofiarą. Biuro prokuratora okręgowego wydało oświadczenie z tym sprzeczne. Szykował się cyrk, który miał zadowolić nawet obrońców praw zwierząt. Przysięgłem sobie zapomnieć o tym wszystkim. Doszedłem do wniosku, że pytanie „dlaczego” w końcu przestanie mnie gryźć. Kiedy nie przestało, siadłem do komputera.

47

-
- Wciąż nie mogę uwierzyć, że mnie pan znalazł - powiedziała kobieta. Nazywała się Elise van Syoc i była pośredniczką handlu nieruchomościami, z biurem w Coldwell Banker Encino. Długo to trwało, ale odkryłem, że używała nazwiska panińskiego i dawnego - już kilkudziesięcioletniego - pseudonimu.
- Ginger. Basistka Kolorowej Załogi! Jej tożsamość potwierdziłem dzięki www.noshotwonders.com, okrutnie prześmiewczemu kompendium zespołów popowych, którym się nie powiodło.
- Nie zamierzam się angażować w żadne sprawy sądowe - oświadczyła, kiedy do niej zadzwoniłem.
- Tu nie chodzi o sąd.
- A o co?
- O ciekawość - odparłem. - Zawodową i osobistą. W tym momencie nie jestem pewien, czy mogę je rozdzielić.
- Dość skomplikowane.
- Owszem, jak cała sprawa.
- Nie pisze pan książki ani nie kręci filmu? - Absolutnie nie.
- Psycholog... Czyim konkretnie jest pan terapeutą? Spróbowałem wyjaśnić, na czym polegała moja rola. Przerwała mi.
- Gdzie pan mieszka?
- W Beverly Glen.
- Na własnym czy wynajem?
- Na własnym.
- Dawno pan kupił?
- Wiele lat temu.

- Zostało panu coś do spłacenia?

- - Nie.
- - Świetnie, doktorze Delaware. Osoba w pana sytuacji może zrobić krok dalej. Myślał pan kiedyś o Yalley? Kupiłby pan sobie wygodniejszy dom, z większą działką, i jeszcze dostałby trochę gotówki. Wystarczy otwarty umysł i brak uprzedzeń wobec mieszkania po drugiej stronie wzgórza.

- - Chłubię się swoim otwartym umysłem - powiedziałem. - Poza tym zapamiętuję ludzi, którzy wyświadczyli mi przysługę.
- - Niezły z pana negocjator. Obiecuje mi pan, że nie skończę w sądzie?

- Klnę się na swój akt własności. Zaśmiała się.
- Gra pani jeszcze na basie? - spytałem.

- - Och, proszę. - Zaśmiała się jeszcze głośniej. - Zaprosili mnie, bo miałam rude włosy. Myślała, że to jakiś znak. Kolorowa Załoga, rozumie pan?
- - Amelia Dowd.

- Stuknięta pani D... Stare dzieje. Nie wiem, co chciałby pan ode mnie usłyszeć.

- Przyda się wszystko, co pamięta pani o tej rodzinie.
- Do pana psychologicznych teorii?
- Dla mojego spokoju ducha.
- Nie rozumiem.
- To okropna sprawa. Prześladowuje mnie.
- Hm - zawahała się. - Mogę to chyba ująć jednym słowem: czubki.

- Wolałbym mimo wszystko porozmawiać osobiście. Pani wybierze czas i miejsce.

- Naprawdę zastanowiłby się pan nad zamianą?
- Nie myślałem o tym, ale...

- - Pora pomyśleć. Dobrze, i tak muszę coś zjeść, co mi tam. Spotkajmy się w Lucretia na Ventura przy Balboa, za półtorej godziny. Będzie musiał się pan streszczać. Może przekonam pana, że życie po drugiej stronie wzgórza jest smaczne. Restauracja była duża, jasna, przewiewna, prawie pusta. Przyjechałem na czas. Elise van Syoc już czekała, rozmawiała z młodym kelnerem. W rękę trzymała cosmopolitana i pogryzała brazylijski orzech. Ginger nie była już ruda. Fryzurę miała gęstą, sięgającą do ramion, popielatoblond. Szyty na miarę czarny kostium, szyta na miarę twarz, szeroko rozstawione, bursztynowe oczy. Rzeczowy uśmiech towarzyszył mocnemu, suchemu uściskowi ręki.

- Jest pan młodszy, niż można sądzić po głosie, doktorze Delaware.
- Pani również.
- Jaki pan miły.

- Usiadłem i podziękowałem, że zgodziła się ze mną spotkać. Zerknęła na movado wysadzanego brylantami.

- Czy Brad i Nora naprawdę zrobili to, co wszyscy mówią? Kiwnąłem głową.
- Opowie mi pan soczyste szczegóły?
- Nie chce pani wiedzieć.
- Chcę.
- Naprawdę pani nie chce - przekonywałem.
- Co, to takie obrzydliwe?
- Mało powiedziane.
- Fuj. - Upiła łyk cosmopolitana. - Mimo to niech mi pan opowie. Zrobiłem kilka odsłon.
- Jakim cudem spłacił pan cały dom, pracując dla policji? - spytała.
- Robiłem inne rzeczy.
- Na przykład?
- Inwestycje, prywatna praktyka, konsultacje.
- Bardzo interesujące... nie pisze pan?
- Tylko raporty, czemu?
- To brzmi jak pomysł na dobrą książkę... Obawiam się, że nie zdążymy zjeść lunchu; więc tylko drink. Muszę dokończyć transakcję, wielki dom na południe od bulwaru. I naprawdę nie potrafię panu powiedzieć o Dowdach nic ponad to, że byli szurnięci.
- Niezły początek.

- Podszedł do nas kelner, szczupły, ciemny, z głodnym spojrzeniem. Poprosiłem grolscha.
- - Oczywiście - powiedział.

- Kiedy przyniósł piwo, Elise van Syoc stuknęła się ze mną szklankami.
 - - Ma pan kogoś? Pytam o potrzeby lokalowe.- Mam.
 - Uśmiechnęła się.
-
- Zdradza pan? Zaśmiałem się.
 - Nie próbował pan. - Dokończyła brazylijski orzech.
 - Kolorowa Załoga...
 - To jeden wielki żart.
 - Skąd się pani tam wzięła? - spytałem. - Pozostała trójka była rodzeństwem.
 - Zwerbowała mnie szurnięta pani D.
 - Z powodu koloru włosów.
 - Tak, poza tym uważała, że mam talent. Chodziłam do jednej klasy z Norą w Akademii Essex. Mój tata był chirurgiem, mieszkaliśmy na June
 -
-
- Street. Wtedy wydawało mi się, że lubię muzykę. Brałam lekcje gry na skrzypcach, przerzuciłam się na wiolonczelę, potem namówiłam ojca, żeby kupił mi gitarę elektryczną. Śpiewałam jak gęś na depresantach, pisałam bezsensowne piosenki. Ale niechby mi ktoś spróbował coś wytknąć. Wydawało mi się, że jestem drugą Grace Slick. Brad i Nora naprawdę zabili tych wszystkich ludzi? - Co do jednego.
-
- Dlaczego?
 - Tego właśnie próbuję się dowiedzieć.
-
- Dziwaczne uczucie - powiedziała. - Znać kogoś, kto popełnił tak okrutną zbrodnię. Może to ja powinnam napisać książkę.
-
- W jej oczach pojawił się nowy błysk. Teraz zrozumiałem, dlaczego zgodziła się ze mną spotkać.
-
- Słyszałem, że to niełatwe - powiedziałem.
-
- Pisanie? - Zaśmiała się. - Nie robiłabym tego sama, wynajęłabym kogoś, firmowała tylko swoim nazwiskiem. Część autorów bestsellerów tak robi.

- Pewnie tak.
 - Nie pochwała pan tego.
-
- A więc Amelia Dowd uważała, że ma pani talent... - wróciłem do głównego wątku.
-
- Może nie powinnam opowiadać panu swojej historii.
-
- - Nie interesuje mnie jej spisywanie. Właściwie, jeśli zabierze się pani do tej książki, proszę mnie śmiało zacytować.
 - - Naprawdę?
-
- Przysięgam. Zaśmiała się.
 - Amelia Dowd... - przypomniałem.
-
- - Usłyszała, jak gram na wiolonczeli w szkolnej orkiestrze Essex, i pomyślała, że jestem drugim Casalsem, co mówi wiele o jej słuchu. Zaraz potem zadzwoniła do mojej matki. Znały się ze spotkań w szkole, herbatek w Wilshire Country Club. Były raczej znajomymi niż koleżankami. Amelia powiedziała mamie, że montuje zespół, taki rodzinny, jak Partridge'owie, Cowsillowie, Carpenterowie. Z moimi włosami idealnie się nadaję, najwyraźniej mam talent, a bas to taka trochę inna wiolonczela, prawda?
 - - Pani matka to kupiła?
 - - Moja matka to konserwatywna córka rewolucji, ale zawsze uwielbiała wszystko, co związane z showbiznesem. „Sekretem”, o którym mówi każdemu, kogo zna dość długo, jest to, że marzyła o karierze aktorki. Wyglądała dokładnie tak samo, jak Grace Kelly, ale porządne dziewczyny z San Marino tego nie robiły, nawet jeśli porządne dziewczyny z Philadelphia Main Line tak. Zawsze mnie namawiała, żebym się zapisała do kółka teatralnego, aleja się nie zgadzałam. Pani D. wykorzystała skłonności i marzenia mamy. Poza tym przedstawiła to tak, jakby sprawa była już załatwiona: duży kontrakt, wywiady, występy w telewizji.
 - - Uwierzyła w to pani?
 - - Uważałam, że to idiotyczne. I głupie. Cowsillowie? Ja gustowałam w Big Brother and the Holding Company. Zgodziłam się w nadziei, że stanie się cud i nie będę musiała chodzić do szkoły.
-
- Czy dzieci Dowdów miały muzyczne doświadczenie?

- Brad grał trochę na gitarze. Nic wielkiego, kilka akordów. Billy trzymał gitarę jak paralytyk, Amelia bez przerwy mu ją poprawiała. Nigdy nie słyszałam, żeby nie fałszował. Nora nie potrafiła trafić w harmonię, poza tym zawsze była znudzona i nieobecna. Nigdy nie interesowała się niczym poza kólkami dramatycznymi i ciuchami.
- Śledziła modę - powiedziałam.
- Niezupełnie, zawsze źle się ubierała. Zbyt wymyślnie. Za swobodnie. Nawet jak na Essex.
- Czy wstąpienie do kółka teatralnego było pomysłem jej czy matki?
- Zawsze myślałam, że Nory. Ciągłe parła do głównych ról, nigdy ich nie dostawała, bo nie zapamiętywała tekstu. Dużo osób uważało, że jest trochę opóźniona. Wszyscy wiedzieli, że Billy ma nierówno pod sufitem, zakładano chyba, że to dziedziczne.

- - A Brad?

- On był mądrzejszy. Każdy byłby mądrzejszy od tej dwójki.
- Jak się przystosowywał towarzysko?
- Dziewczyny się za nim oglądały - powiedziała Elise. - Przystojny. Ale raczej niezbyt lubiany. Może dlatego, że często wyjeżdżał.
- Jak to?

- - Jednego roku był w domu, następnego już gdzieś indziej, w szkole poza stanem, przez kłopoty, w które się pakował. Ale pani D. na pewno chciała go mieć przy sobie, kiedy zakładała zespół.

- Jak daleko zaszliście? - spytałem.
- Donikąd. Kiedy pierwszy raz przyszedłam do nich na próbę i zobaczyłam, co to za bzdura, wróciłam do domu i powiedziałam mamie: „Zapomnij”. Ona na to: „My, Ryanowie, nigdy się nie poddajemy”, i poinformowała mnie, że jeśli chcę mieć własny samochód, muszę się postarać.
-

- Uderzyła jedną dłonią w stół, potem drugą, wystukała powolny, mozolny rytm.

- Tak wyglądała gra na bębnach w wykonaniu Nory. Billy miał grać na gitarze akustycznej i nauczył się dwóch jazgotliwych akordów, chyba C i G. Ale brzmiało to jak kwik duszonej świni. - Ściągnęła wargi. - Jakby tego było mało, próbowaliśmy śpiewać. Żałosne. Ale szalonej

Amelii to nie powstrzymało.

- Od czego?
- Od ciągnięcia nas na sesje do promocyjnych zdjęć. Znalazła taniego fotografa na Highland przy Sunset, starego pierdziela, który bełkotał i miał czterdziestoletnie czarno-białe zdjęcia sław, o których nikt nie słyszał, przypięte na ścianach studia. - Zmarszczyła nos. - Śmierdziało tam kocimi siuškami. Kostiumy cuchnęły domem starców. Całe pudła, wszystko przemieszane ze sobą. Musieliśmy pozować jako Indianie, pionierzy, hipisi. Każdy w innym kolorze. „Rozmaitość barwy i stroju”, jak to ujmowała pani D., miała być naszym „znakiem rozpoznawczym”.
- U Village People to zadziałało.
- No i gdzie teraz są? Kiedy zdjęcia były gotowe, przyszła pora na agentów, jednego nażelowanego świntucha po drugim. Amelia flirtowała ze wszystkimi. Ocieranie biodrami, świecenie dekoltem, trzepotanie rzęsami... Miała urok blond seksbomby, nie wahała się go wykorzystać.
- Z pani opisu Amelia nie wygląda na kogoś, komu zaufałyby konserwatywna córka rewolucji - zauważyłem.
- Zabawne, prawda? Widać showbiznes przebija wszystko. Niech pan popyta ludzi w tym mieście, czy oddaliby jakiś ważny narząd za epizod w filmie. Gwarantuję, że większość zapyta, gdzie skalpel. Połowa osób w mojej branży miała powiązania z przemysłem filmowym. Niech pan przyjdzie do biura, zobaczy pan znajome twarze. Na przykład dziewczyna, która podawała kawę bankierce w drugiej części *Beverly Hillbillies*. Nadal nosi w torebce legitymację zrzeszenia aktorów. Porusza ten temat w każdej rozmowie. Ci mądrzejsi przekonują się, że nawet jeśli im się uda, to sukces będzie trwał krótko. Inni są jak Amelia Dowd.
- Żyją w krainie fantazji.
- Cały czas. W każdym razie, tak wygląda historia Kolorowej Załogi.
- Do niczego nie doszliście.
- Mieliśmy chyba ze dwadzieścia przesłuchań. Żadne nie trwało dłużej niż piętnaście sekund, bo kiedy tylko agenci słyszeli, jak śpiewamy, krzywili się. My sami wiedzieliśmy, że jesteśmy okropni. Ale Amelia stała obok, pstrykała palcami do rytmu, cała rozpromieniona. Wracałam do
-
- domu, zapalałam skręta, dzwoniłam do koleżanek, dostawałyśmy hysterii ze śmiechu.
- Jak znosili to młodzi Dowdowie?
- Billy był jak posłuszny robot, mogliby mu równie dobrze zamontować kółka. Nora odlatywała, jak zwykle, odstawiała Monę Lisę. Brad zawsze ukrywał uśmiezek. To on w końcu odważył się sprzeciwić. Nie agresywnie, raczej na zasadzie: „Dajcie spokój, nic z tego nie wyjdzie”. Amelia go zignorowała. Dosłownie, udała, że nie słyszy. Co było dziwne.
- Jak to?
- Generalnie poświęcała Bradowi dużo uwagi.
- Molestowała go?

- Niezupełnie.
- Chodzi o wyjątkową uwagę?

- Elise van Syoc spróbowała nadziać limonkę na mieszadełko.

- To może być istotna część mojej książki.
- Uwiodła go?

- - Albo na odwrót, on ją. Trudno nawet powiedzieć na pewno, że do czegoś doszło. Ale to, jak ci dwoje się do siebie odnosili... tak nie wyglądają relacje matka syn. Zwróciłam na to uwagę, dopiero gdy zaczęłam spędzać z nimi cały wolny czas. Chwilę trwało, zanim zauważyłam, że pani D. jest dziwniejsza niż zwykle.

- Co robiła?
- Nie uchodziła za wzór matki. Billy'ego i Norę trzymała na dystans. Ale Brad... może dlatego, że to adoptowany kuzyn, a nie rodzony syn... mimo wszystko, on miał czternaście lat, a ona była dorosłą kobietą.
- Ocieranie biodrami i dekolt? - spytałem.
- To też, ale najczęściej bardziej subtelne rzeczy. Uśmieшки, ukradkowe spojrzenia. Czasami ocierała się o jego ramię, on też jej dotykał. Nora i Billy tego nie zauważali. Zastanawiałam się, czy sobie tego nie wyobrażam, czułam się, jak kosmita na obcej planecie.
- Jak reagował na to Brad?
- Czasami udawał, że nie jest świadomy tego, co ona robi. Innym razem wyraźnie mu się to podobało. Zdecydowanie była między nimi chemia. Jak daleko się posunęli, tego nie wiem. Nigdy nikomu nie mówiłam, nawet koleżankom. Kto w tamtych czasach myślał o takich rzeczach?
- Jednak brzydziło to panią.
- Tak - przyznała. - Ale skoro własne dzieci Amelii nie widziały w tym nic złego, zaczęłam się zastanawiać, czy nie mam przywidzeń. - Drobny
-

- uśmiech. - Moje wątpliwości podsycił fakt, że pokrzepiałam się dymkiem z nielegalnego zioła. - Amelia zachowywała się uwodzicielsko, ale wysyłała Brada poza stan.
- - Kilka razy. Może chciała się go pozbyć, żeby poradzić sobie z własnymi instynktami? Nazwałby to pan psychologicznym wglądem?
- - Jak najbardziej. Uśmiechnęła się.

- Może powinnam zostać psychoanalitikiem.
 - Ile to razy, „kilka”?
 - Trzy albo cztery.
 - Bo pakował się w kłopoty.
 - Tak głosiła plotka.
 - A konkrety? - spytałem.
 - Typowe chuligaństwo młodocianego - odparła. - Używa się jeszcze tego określenia?
 - Ja używam. Mówimy o kradzieżach, wagarowaniu?
 - O wszystkim. - Nachmurzyła się. - Poza tym niektórym sąsiadom ginęły psy i koty. Mówiło się, że Brad maczał w tym palce.
 - Dlaczego?
 - Szczerze? Nie wiem, tak ludzie gadali. To ważne, prawda? Okrucieństwo wobec zwierząt ma związek z byciem seryjnym mordercą?
 - To czynnik ryzyka - powiedziałem. - Kiedy Brada odesłano po raz ostatni?
 - Kiedy Amelia dała sobie spokój z zespołem. Nie od razu, miesiąc później, może pięć tygodni.
 - Co ją przekonało, żeby rozwiązać kapelę?
 - Kto wie? Któregoś dnia po prostu zadzwoniła do mojej matki i oznajmiła, że muzyka popularna nie ma przyszłości. Jakby to ona o tym decydowała. Co za wariatka.
- - I niedługo potem Brad wyjechał.
- Pewnie go już nie potrzebowała... Teraz rozumiem, jaki to musiał być dla niego cios. Wykorzystany i odrzucony. Jeśli to zabolalo Brada, nie okazał tego po sobie. Wręcz przeciwnie, zawsze był spokojny, nic go nie denerwowało. To też nie jest normalne, prawda? Zostałby pan moim konsultantem psychologicznym?
 - Niech pani załatwi kontrakt, to pogadamy. A kapitan Dowd?
 - Co z nim?
 - Nie interesował się zespołem?
 -
- Nie widziałam, żeby cymkolwiek się interesował. Czym nie różnił się aż tak bardzo od innych ojców z naszej okolicy. Ale oni się nie interesowali, bo pracowali. Kapitan Dowd żył ze spadku, nigdy nie miał pracy.
- Jak spędzał czas?

- Golf, tenis, kolekcjonowanie samochodów, win i kto wie, czego jeszcze. Dużo wyjazdów za granicę. Czy też, jak to nazywała moja matka, „wypraw”.
- Dokąd?
- Chyba do Europy.
- Podróżował z żoną?
- - Czasami. Ale głównie sam. Taka była oficjalna wersja.- A nieoficjalna?
- Elise przez chwilę bawiła się kieliszkiem.
- Ujmijmy to tak: raz usłyszałam, jak tata żartuje z kolegą od golfa, że kapitan wstąpił do marynarki, żeby być blisko chłopców w obcisłych granatowych mundurach.
- Podróżował z młodymi mężczyznami?
- Raczej podróżował, żeby ich szukać. - Ach, ten plotkarski magiel. - Westchnąłem.
- Bez niego nie ma życia - odparła.
- Czy wszyscy wiedzieli, że kapitan Dowd jest gejem?
- Jeśli mój ojciec wiedział, to wszyscy wiedzieli. Wydawał się sympatyczny, ten kapitan. Ale prezencji nie miał za specjalnej. Może dlatego Amelia ciągle flirtowała.
- Nawet z Bradem - dodałem.
- Chyba oni wszyscy byli nienormalni. Czy to wyjaśnia tragedię, jaka się wydarzyła?
- To na pewno jakiś początek.
- Taka sobie odpowiedź.
- Ciągle zastanawiam się, jak brzmią pytania.
- Spojrzenie bursztynowych oczu stwardniało i już czekałem na ciętą ripostę. Ale Elise po prostu wstała i wygładziła spodnie.
- - Muszę lecieć.
- Jeszcze raz podziękowałem za spotkanie.
- - Wiem, że wciskał mi pan kit z tym otwartym umysłem - powiedziała. - Mimo to chciałabym do pana zadzwonić, gdyby trafiła się nam fajna posesja. Coś naprawdę wartego uwagi. Teraz jest świetny okres na rynku dla osób w pańskiej sytuacji. Zostawi mi pan telefon?

- Dałem wizytówkę. Zapłaciłem za drinki i odprowadziłem Elise do srebrnego mercedesa roadstera. Wsiadła, odpaliła silnik, opuściła dach.
- Pewnie nie napiszę tej książki, nie znoszę pisać. Może film do kablówki.
- Powodzenia.
- Dziwne - zagadnęła jeszcze. - Po pańskim telefonie próbowałam jakoś ogarnąć sytuację, przypomnieć sobie coś, co by zwiastowało dramatyczny rozwój wypadków.
- - I?
- To pewnie bez znaczenia... Ale jeśli mówił pan prawdę... O tych makabrycznych szczegółach...
- Nie kłamałem.
- Elise wyjęła z torebki lusterko, przejrzała się, poprawiła włosy, włożyła ciemne okulary.
- Pani D. miała pewien zwyczaj. Kiedy objaliśmy się na próbach, czyli często, a ona traciła cierpliwość. Próbowała tego nie okazać, bo chciała być jak mama Cowsill albo Shirley Jones.
- Fajna mamusia - mruknąłem.
- Jakby to było w ogóle możliwe... W każdym razie zaczynała klaskać, żeby nas uciszyć, a potem udawała Królową Kier z *Alicji w Krainie Czarów*. Na początku kilka razy obwieszczała: „Jestem Królową Kier i macie mnie słuchać!” W końcu załapaliśmy. Kiedy klaskała, była Królową Kier. I rzucała wtedy teksty: „Jestem pięć razy bogatsza i mądrzejsza od was” albo: „Po co komu dziecko bez znaczenia?” Traktowałam to jako jeszcze jedno jej dziwactwo, ale... - Umilkła.
- - Co?
- To pewnie zabrzmiało dla pana bardzo dosłownie. Jak już skończyła cytować Lewisa Carrolla, ściągała brwi, cmokała, podnosiła palec i zaczynała nim machać. Jakby sprawdzała wiatr. Jeśli dalej nie uważaliśmy, a zazwyczaj nie uważaliśmy, zaczynała buczeć. Tak nisko, jak mężczyzna. Potem wytrzeszczała oczy i potrząsała biustem. Przypominała oszalałą striptizerkę.

Miała bardzo duże piersi, wyglądało to niedorzecznie. - Przesunęła dłońmi po własnym szczupłym tułowiu. - W końcu, jeśli nadal się nie uspokajaliśmy, przeciągała palcem po gardle, brała się pod boki i wrzeszczała: „Ściąć im głowy!” Głupie, ale straszne. Nie znosiłam, kiedy tak robiła. Norze i Billy’emu chyba to nie przeszkadzało.

- A Bradowi?

- W tym sęk - powiedziała. - Brad się uśmiechał. Porozumiewawczo. Jakby to był ich prywatny żart. Wie pan, jakie miał hobby? Bardzo go to

-

- wtedy pochłaniało. Kolekcjonował noże. Nosił je przy sobie. Nigdy nie widziałam, żeby komuś coś zrobił albo nimi groził. Więc pewnie to nic nie znaczy, Amelia z dłonią na gardle. Milczałam. - Prawda? - spytała Elise van Syoc. **48**

- Pojechałem przez wzgórze, zastanawiając się, co dla młodych Dowdów znaczyła rodzina.

- Wyraźne granice nie istniały, ludzi wykorzystywano, performance był wszystkim. Brad został porzucony, potem niechętnie przygarnięty, wykorzystany, wygnany. Sprowadzony z powrotem i zmuszony do służenia kobiecie, która nienawidziła go i pożądała jednocześnie. Wiele lat później, po jej śmierci, wkradł się z powrotem na łono rodziny i objął nad nią władzę. Wiedząc, że nigdy nie był jej członkiem i nigdy nim nie zostanie. Wtedy miał już za sobą morderstwo Juliet Dutchey. Może i innych kobiet, których jeszcze nie znaleziono. Swoje hobby z lat chłopięcych zarezerwował dla trzech ofiar. W trakcie śledztwa Miło zastanawiał się głośno nad Cathy i Andym Gaidelasami jako symbolami rodzicielskimi. Cały czas wierzyście w Edypa? Bardziej niż wierzyłem kilka tygodni temu. Dlaczego Meserve? Brad przejawiał gniew tylko wtedy, kiedy mówił o Meservie. Młody, śliski manipulant. Brad widział w nim siebie dwadzieścia lat młodszego? Mimo gładkiego obojętności, ubrań, samochodów, całego image’u, czy nienawidził samego siebie? Ciało wiszące w celi sugerowało, że być może tak. Wykorzystany i odrzucony... to nie tłumaczyło aż takiej potworności. Nigdy nie tłumaczy. Zastanawiałem się, dlaczego wciąż próbowałem znaleźć wyjaśnienie.

- Dojechałem do Mulholland, minąłem domy marzeń i nadal myślałem o zbrodniach Brada. Był aktorem doskonałym. Chronił Billy’ego i Norę, z nią sypiał, okradał oboje. Własnego kuzyna zmusił do ciężkiej pracy, a potem zorganizował jego egzekucję. Nadskakiwał innej kuzynce, policjantce, kiedy jej koledzy prześwietlali go w sprawie zniknięcia tancerki. Dlaczego nie? Czemu więzy krwi miałyby dla niego cokolwiek znaczyć? Marcia Peaty postrzegła Brada jako złego człowieka, ale swojego kuzyna Reynolda uważała za nieszkodliwą życiową ofertę. Była policjantka, a tak się myliła. Na pewno czekała ją długa udręka. Gdyby przyszła do mnie na terapię, próbowałbym sprawić, żeby dostrzegła, że jest człowiekiem, niczym więcej, niczym mniej. Kiedy dochodziło się do tego punktu, trudno było rozdzielić zasady i wyjątki. Diakoni kościoła wkradają się nocą do domów i duszą całe rodziny. Dyplomaci, prezesi i inni szanowani obywatele jeżdżą na seksualne wycieczki do Tajlandii. Każdego można oszukać. Ale gdyby nie ich arogancja, Brad i Nora mogliby uprawiać swoje hobby jeszcze przez długie lata. Ile czasu musiałoby minąć, zanim całkowicie wyczyściliby fundusz powierniczy i uznał, że Nora nie jest mu już potrzebna? Udziały w odrzutowcu i wysepka przy wybrzeżu Belize

świadczyły, że niezbyt dużo. Czy Nora - ograniczona, bezduszna, wiecznie naćpana - rozumiała, że uratowano jej życie? A jaki los ją czekał? Na pewno ciężka depresja, kiedy zapozna się już z więzienną rzeczywistością. O ile była dość głęboka duchowo, żeby cierpieć. Gdyby założyła więzienny teatr, lepiej zniosłaby życie za kratkami. Dobierałaby aktorów, reżyserowała. Doświadczała. Kilka lat i napisaliby o niej w „Timesie”, w serii artykułów o cudach resocjalizacji. A może miałem za dużo wiary w wymiar sprawiedliwości i Nora nigdy nie zobaczy więziennej celi od środka. Wróci na McCadden Place i będzie wychodziła na spacerzy z wypchanym psem.

- Stavros Menas nie tracił żadnej okazji, żeby wykrzyknąć, że Nora to tylko kolejna ofiara Brada. Milo i ja słyszeliśmy, jak żartowała z głowy Meserve'a, ale obaj łatwo mogliśmy wyjść przed sądem na idiotów, a przysięgli w L.A. nie ufają psychologom i gliniarzom. Istniały nagrania tego, jak za obopólną zgodą uprawiała seks z Bradem i Meserve'em, ale nic więcej. Żaden materiał dowodowy nie łączył jej bezpośrednio z morderstwami, a w dzisiejszych czasach przysięgli spodziewają się zmyślnych, naukowych badań. Menas naliczałby sobie kolejne płatne godziny, żeby wszystkie dowody uznać za niedopuszczalne. Może pozwoliby Norze zeznawać i w końcu zagrałaby główną rolę. Tak czy inaczej, zarobiłby swój milion. Prawnicy dążący do przejęcia kontroli nad zrujnowanym życiem Billy'ego Dowda też nie byłiby stratni. Wciąż nie oddzwoniła do mnie sędzia, która skazała Billy'ego na przechowanie i jedzenie papkowatych potraw plastikowymi sztućcami. Kiedy go odwiedziłem, nazwał mnie swoim przyjacielem, oparł mi głowę na ramieniu, zmoczył koszulę łzami. Po co komu dziecko bez znaczenia? Amelia Dowd nie miała pojęcia, jakie ziarno zasiała. Zastanawiałem się, ile wiedział kapitan William Dowd junior, kiedy wyruszał na zagraniczne wyprawy. Oboje zginęli w wypadku samochodowym. Wielki Cadillac zjechał z drogi i spadł z urwiska na trasie numer 1, w drodze na wystawę samochodów w Pebble Beach. Nikt nie podejrzewał, że to mógł nie być wypadek. Ale Brad akurat przebywał w mieście, kiedy wyjeżdżali, a on znał się na samochodach. Milo zasugerował to prokuratorom. Zgodzili się, że to interesujące, ale w teorii, bo wszelkie dowody dawno przepadły, Brad nie żył, pora skoncentrować się na formułowaniu aktu oskarżenia przeciwko żyjącemu przestępcy. A dla mnie pora...? Samochód dostawczy Robin stał przed domem. Spodziewałem się zastać ją w bawialni, jak rysuje, czyta albo drzemie. Ale czekała na mnie w salonie, siedząc z podwiniętymi nogami na dużej kanapie. Sukienka bez rękawów w kolorze nieba podkreślała kolor włosów Robin. Oczy miała jasne, stopy białe. Dowiedziałeś się czegoś? - spytała.

- Że może trzeba było zająć się księgowością. Wstała, wzięła mnie za rękę, zaprowadziła do kuchni.
- Wybacz, nie jestem głodny - mruknąłem.
- Nie myślałam, że będziesz. Wyszliśmy na kuchenny ganek.
- Przed pralką stała plastikowa klatka dla zwierząt. Nie Spike'a, tamtą Robin wyrzuciła. I

nie w miejscu, które zajmowała klatka Spike'a. Trochę na lewo. Robin uklękała, otworzyła drzwiczki, wyciągnęła pomarszczone, płowe zwierzątko. Płaski pysk, królicze uszy, wilgotny, czarny nos. Olbrzymie brązowe ślepia spojrzały w oczy najpierw Robin, potem mnie.

- - Możesz ją nazwać - powiedziała. - Ją?
- - Zasłużyłeś na to. Koniec samczej rywalizacji. Pochodzi z rodu czempionów o wspaniałym usposobieniu.
- Pogłaskała różowy brzuch i podała mi szczeniaka. Piesek był ciepły jak grzanka, tak mały, że prawie mieścił się w dłoni. Połaskotałem szczeniasty podbródek. Wystrzelił różowy języczek i szczeniak wyprężył się, jak to robią buldogi. Jedno z króliczych uszu oklapło. - Trzeba poczekać jeszcze ze dwa tygodnie, zanim się usztywnią - poinformowała Robin. Spike był bryłą mięśni i ścięgien ukształtowaną na ołowianym szkielecie. Nasz nowy piesek wydawał się miękki jak masło.

- Ile ma? - spytałem.
- Dziesięć tygodni.
- Najśłabsza z miotu?

- - Hodowca obiecuje, że szczeniak nadrobi zaległości.
- Maluch zaczął lizać mnie po palcach. Przysunąłem go bliżej do twarzy i język obmył mi brodę. Zwierzątko pachniało szamponem i swoimi psimi zapachami.
- Znów podrapałem je pod brodę. W odpowiedzi polizało mnie jeszcze trochę i wydało gardłowy dźwięk, bardziej koci niż psi.

- Miłość od pierwszego wejrzenia - stwierdziła Robin. Pogłaskała szczeniaka, ale psiak przysunął się bliżej do mnie. Zaśmiała się.
- Czy to prawda? - spytałem szczeniaka. - A może to tylko chwilowe zauroczenie?

- Szczeniak popatrzył na mnie, śledził każdą sylabę olbrzymimi, brązowymi ślepiami. Miał bystre spojrzenie.

- Opuścił łeb, szturchnął mnie w policzek, jeszcze trochę pomruczał, zaczął się wiercić, aż wepchnął swoją kanciastą, małą głowę pod moją brodę. Ułożył się wygodnie. Zamknął oczy, zasnął. Cicho zachrapał.

- Łagodna - powiedziałem.

- Przydałoby się nam trochę łagodności, nie sądzisz?
- Owszem - przyznałem. - Dzięki.
- Nie ma sprawy. - Zmierziła mi włosy. - No dobrze, kto wstaje dzisiaj w nocy, żeby ją wyprowadzić?

„KB”

Table of Contents

StarHopefuls.com